

JAN DOBRACZYŃSKI

PUSTYNIA

JAN DOBRACZYŃSKI

POWIEŚCI BIBLIJNE

PUSTYNIA

*

WYBRAŃCY GWIAZD

*

LISTY NIKODEMA

*

ŚWIĘTY MIECZ

WARSZAWA • PAX • 1957

*„...A niebawem wywiódł Go
Duch na pustynię. I pozostawał na
pustyni czterdzieści dni i czter-
dzieści nocy, i był kuszony przez
szatana. Przebywał wśród dzikich
zwierząt, a aniołowie służyli Mu.”*

(Mk 1, 12 – 13)

CZEŚĆ PIERWSZA

**MORZE CZERWONE
BYŁO NA POCZĄTKU DROGI**

Strażnicy przy bramie stali nieruchomo niby wykuci z kamienia. Mieli na głowach płaskie hełmy ze sterzcącymi na nich półksiężycami jakby dwoma rogami, skórzane pancerze ze spadającym między kolana trójkątnym płatem, okrągłe, nabijane miedzianymi ćwiekami tarcze oraz krótkie miecze, szerokie przy rękojeści, a zwężające się ku końcowi. Byli to żołnierze wyborowej gwardii Tutmozisa, wstawionej zwycięstwami w siedemnastu wojennych wyprawach. Stali rozkraczywszy szeroko nogi, wsparci na mieczach, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Żaden z nich nie drgnął, gdy czterej mężczyźni, odprowadzeni do bramy przez opasłego urzędnika o wygolonej głowie, opuszczali pałac.

Pomarańczowoszkarłatne połyski słońca ślizgały się po spalonej skwarem ziemi. W kanale, wzdłuż którego wiodła droga, nie było wody; zamiast niej leżał smugą rudy, miękkiego pyłu naniesiony przez wiatr. Ślady tego pyłu widziało się wszędzie. Pokrywał przywiedle liście palm, sykomorów i akacji, oblepiał niskie tamaryszkowe krzewy. Podnosił się gęstym tumanem spod nóg idących.

W pewnej odległości od pałacu i stojącej w jego pobliżu świątyni bogini-kotki Bastet rozpoczynało się miasto. Bliżej, wśród ogrodów, pod cieniem rozłożystych drzew ciągnęły się pałacyki i dworki urzędników faraona oraz bogatych kupców. Właściwe miasto ze zbitą masą glinianych lepierek leżało dalej.

Czterej mężczyźni zatrzymali się przed bramą dworu, położonego tuż w pobliżu pałacu. Posiadłość musiała być kiedyś piękna, lecz czas jej świetności dawno minął. Teraz wydawała się opuszczona i zaniedbana. Przy otwartej na oścież bramie nie było nikogo. Wybujała i nie pielęgnowana zieleń zawałiła ogród splątaniem gąszczem krzewów. Sprężyste gałęzie wparły się w dom i porożadzały tu i tam jego mury. Nikt, widać to było, od lat nie plewił zielska, nie naprawiał opadłych tynków. Marmurowa fontanna leżała rozkruszona, a po jej szczątkach skakało całe stado bezpańskich, rudych, nikogo nie lękających się kotów. W gąszczu suchych badyli, którymi zarosły trawniki i alejki, leżało kilka zwałonych. posągów. Liście, żdzbla trawy przysypane były płowym pyłem.

Mężczyźni stanęli przy kamiennej poszczerbionej ławce w cieniu rozłożystego sykomora. Siadali powoli, kolejno. Od wyjścia z pałacu nie odezwali się do siebie ani słowem. Milczeli przeżywając usłyszane słowa. Siedzieli teraz zgarbieni, kiwając wolno głowami. Brzemie, które zaciążyło na nich, nie było lekkie.

Po dłuższej chwili milczenia poruszył się mężczyzna siedzący na końcu ławy. Miał energiczny profil, garbaty, kościsty nos zawieszony nad czarno-błękitną, mocno skręconą brodą. Wyprostował się i zwracając się do człowieka, który siedział obok, zapytał głosem suchym, twardym, prawie nastliwym:

— No i co teraz będzie?

Zapytany nie odpowiedział, choć niewątpliwie usłyszał pytanie; po jego stroskanej twarzy przemknął wyraz gniewnego zniechęcenia. Nie była to twarz młoda. Trudno było określić wiek mężczyzny. Miał policzki zryte zmarszczkami jak ktoś, kogo wysmagały wiatry pustynne, wzrok władczy, energię w zmarszczce rozcinającej brwi. Pod wysokim czołem zdawała się kryć siła szukająca dla siebie wyzwolenia. Ale jednocześnie usta tego mężczyzny, duże i pełne, wydawały się nieśmiałyymi ustami chłopca. Zakrył dłonią twarz, głowa opadła mu nisko na piersi.

— No, co będzie? Powiedz... — zapytał mężczyzna siedzący na przeciwnym skraju ławki.

Wargi pytanego poruszyły się i nie wydawszy żadnego dźwięku zaciśnęły się mocno. Tamci czekali ze zmarszczonymi czołami. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zwrócili się do czwartego spośród siebie, do wysokiego siwowłosego mężczyzny o pełnym godności wyglądzie.

— Dlaczego on nic nie mówi? — zapytali gniewnie.

Tamten, zrobił uspokajający gest dłonią.

— Nie niecierpliwcie się, czcigodni, nie niecierpliwcie. Powie wam jutro.

— Dlaczego jutro? Dlaczego nie teraz?

Siwowłosey uśmiechnął się.

— No, wy wiecie... On sam nie może. Musi zapytać...

Nie wydawali się uspokojeni tymi słowami. Ponad głowami tamtych porozumieli się wzrokiem.

— Nic pożytecznego nie wychodzi z tego pytania... — rzucił niby od niechcienia, a przecieŜ twardo, czarnowłosy.

Zapanowało dłuŝsze milczenie. Wypowiedziane słowa zdawały się być jakimś wyzwaniem, które powinno było wywołać odpowiedź. Człowiek siedzący z zakrytą twarzą drgnął i zdawało się, że coś powie. Ale i teraz nie powiedział nic. Siwowłosy obrócił ku mówiącemu zalęknioną twarz.

— Naasonie... — powiedział z delikatnym wyrzutem. — Nie powinienieś...

Człowiek nazwany Naasonem wstrząsnął niecierpliwie ramionami. Jednocześnie mężczyzna z przeciwnego kraja ławy rzekł:

— Naason ma rację. To trzeba było wreszcie powiedzieć...

— I ty, Fegielu? — siwowłosy zwrócił się ku niemu.

— I on, i ja, i wszyscy — rzucił Naason. — Nie inaczej powiedzą inni książęta rodów. Dość tego! — Obrócił się całym ciałem w stronę człowieka, do którego mówił. — Ta cała historia przestała się nam podobać. Sądziłiśmy, że rzecz jest prawdziwa i święta. Przekonywałeś nas długo, a ty umiesz przekonywać, Aaronie. Ale im dłuŝej się to ciągnie, tym sprawa wygląda gorzej. To prawda, temu nie zaprzeczam, twój brat posiada wielką i tajemniczą wiedzę. Nie wiem, kto go jej nauczył. Cuda, które pokazywał, są groźne. Ale żyjemy w kraju wielu cudów. I aby się im przeciwstawić, trzeba mieć wiedzę jeszcze większą. Wiedza twego brata jest za mało skuteczna. Tak; gdy się ktoś znajduje jak my w rękach potężnego władcy i chce się rządowi tego władcy przeciwstawić, musi wystąpić z bronią, która zdoła mu dać zwycięstwo. Bo głupstwem byłoby drażnić tylko. Nie wystarczy odgadywać nieszczęścia, które mają spaść na kraj, nie wystarczy je wieścić. Nieszczęście przychodzi i odchodzi. A co potem?

— Naason ma rację — potwierdził słowa tamtego Fegiel. — Co potem?

— Lecz on... — zaczął Aaron.

Naason przerwał mówiącemu:

— Wiemy, co chcesz powiedzieć. Może... Ale to trwa za długo. Niedługo minie rok, odkąd zaczęliśmy się targować. Klęski spadają — faraon ustępuje. Potem klęski odchodzą i wszystko pozostaje po starym.

— Nie, nie po starym — zaprzeczył Fegiel. — Po kaŝdej klęsce gniew faraona jest większy. Coraz bardziej nienawidzi nas.

— Fegiel mówi słusznie — przytwierdził Naason. — I tak się wszystko musiało skończyć. — Z gniewem uderzył w kolano swą wielką pięścią. — Teraz nie pozostaje nic innego do zrobienia — podjął po małej chwili — jak zejść szybko z oczu faraona...

— Dla nas lepiej zejść mu z oczu, i tobie także radzę wracać do Gessen. On — Fegiel wskazał na siedzącego z wciąż ukrytą twarzą człowieka — niech tu sobie zostaje, jeżeli chce...

Zapadła cisza. Obaj wzburzeni księżęta oddychali spiesznie. Korzystając z tego, że musieli się po tym wybuchu wysapać, Aaron podjął miękkim, łagodnym głosem:

— Niesłusznie unosicie się, ty, Naasonie synu Aminadaba, i ty, Fegielu synu Ochra. Przecież to Wszechmocny kazał jemu — wskazał palcem na brata — wieścić faraonowi klęski, próbować nimi i ostrzegać...

— Aaronie — powiedział Naason — Wszechmocny, któremu służyli Abraham, Izaak i Jakub, nie ostrzegał wroga. Gdy przychodziła potrzeba, dawał siłę, by z nim walczyć, albo dawał mądrość, by mu ująć z rąk.

Znowu nastąpiła długa cisza, tak wiele wagi zawierały wypowiedziane gniewnie słowa. Słońce zapadało tymczasem coraz niżej za postrzępiony koronami palm horyzont, a jego blask wciąż bardziej czerwony przebijał smugami spletaną gęstwą krzewów. Człowiek siedzący z dłońmi przy oczach odjął je nagle jak ktoś niespodziewanie obudzony ze snu. Zwrócił głowę w stronę księcia rodu Judy. Zmarszczył brwi. Długi haczykowaty nos napiął się mocniej nad ustami o mięsistych wargach. Zdawało się, że padnie z nich mocna odpowiedź. Zgasła jednak w charkotliwym zająknięciu:

— Jjjahwe, Bbbóg Aaabhama, pppowiedział tak...

Naason wyduł usta i powątpiewawczo potrząsnął głową. Przerwał:

— Nie znamy takiego imienia. Co to znaczy „Jahwe”?

— Jahwe — odezwał się Aaron — to znaczy Ten, Który Jest.

— Lecz co znaczą te słowa? — Naason powtórzył swoje pytanie.

— Nie nam pytać, czemu Wszechmocny kazał się nazwać nowym imieniem...

— A jeżeli to nie był On? Nie byłeś z nim — wskazał palcem Mozisa — gdy, jak opowiada, El Szadaj zawołał do niego z krzewu, który miał płonąć, a nie mógł zgorzeć. Skąd wiesz, że nie skłamał?

— Mozis zaklął się na prochy ojców, że to wszystko było naprawdę. Okazał znaki. Widzieliśmy je zresztą sami. Laska...

Wzrok trzech mężczyzn spoczął przez chwilę na długim cienkim kiju pasterskim, który stał oparty o ławkę obok Mozisa. On sam także popatrzył nań, a w jego oczach zapalił się na chwilę jakby błysk. Wyprostowawszy się, próbował odpowiedzieć:

— Ooon rzzrzrekł: fffaraon oopierać się bbbędzie...

— Słyszałeś, co ci dziś powiedział? — zapytał opryskliwie Fegiel. — Czy nie to, byś nigdy już nie śmiał przed nim stanąć? Więc jak go będziesz dalej przekonywał, by puścił lud? Zresztą, jeżeli chcesz — idź znowu do faraona. My z tobą nie pójdziemy. Miłe nam życie.

— I życie nam miłe — podjął Naason — i sprawa przestała się nam wydawać słuszna. Faraon nie przestraszył się twoich gróźb i cudów. Nie dał się wziąć na twój podstęp, gdyś mu mówił, że lud pójdzie tylko ofiarować w świątyni Serabit. Przegrałeś. Lecz z tobą przegraliśmy i my, ponieważ popieraliśmy ciebie. I teraz zadajemy sobie pytanie: czy nie było szaleństwem, żeśmy tobie uwierzyli? Tłumaczyłeś nam wymownymi słowami twego brata, że Bóg kazał ci ratować cierpiący lud izraelski, wyprowadzając go do ziemi, z której przed wiekami przyszli do Mikraim nasi ojcowie. Aaron przemawiał do naszego serca mówiąc nam o nędzy ludu tak, jakbyśmy tego wszystkiego nie widzieli, a jakbyś ty to widział, ty, który mieszkałeś daleko od nas. Bo przecież, Mozisie, nie byłeś nigdy z nami. Najprzód wychowywała cię królowa i kapłani. Byłeś u niej wodzem, dostojnikiem. Gdyby mogła, zrobiłaby ciebie faraonem. Co cię wtedy obchodził Izrael? Co cię obchodzili ludzie, nad których cierpieniem każesz nam dzisiaj płakać? Gdybyś był z wysokości swego stanowiska spojrział... Ale ty nie stałeś się dla Izraela drugim Józefem. Mówią o tobie, że wówczas... Mniejsza zresztą o to, co mówią... Potem, kiedy Tutmozis wydarł władzę królowej — uciekłeś. Gdzieś podobno do Madianitów. Żyłeś wśród nich długie lata. I znowu: czy cię wtenczas obchodził los Izraela? Nic a nic. Twoja żona nie jest Izraelitką. Kto wie, jakim bogom służyłeś. Nie należysz do nas. Jesteś Madianitą. Po coś tu przychodził? Wracaj do swoich!

— Wracaj! — odezwał się jak echo Fegiel.

— Oon kkkazał... — bąknął Mozis — aaaby llud, który cccierpi...

— Cierpi — przeciął sucho Fegiel. — Cierpi więcej niż cierpiał dawniej, a będzie cierpiał jeszcze bardziej. Obudziłeś gniew i zawziętość fara-

ona. Więcej jeszcze. Dawniej cierpieli tylko niektórzy z Izraela... Ci, co nie mogli się wykupić. Rody, które zachowały ziemię, bydło, trochę srebra lub choćby złota dawały sobie jakoś radę. Jeszcze pomagaliśmy tamtym... Od czasu do czasu poprawiała się ich dola. Dzięki nam przetrwali rozmaite złe chwile. Choćby tamten czas, gdy stary Tutmozis kazał zabijać niemowlęta... Przetrwali i istnieją. Są w nędzy, ciężko pracują, ale żyją. Mają dzieci. Ród Jakuba trwa. Czy przetrwają to wszystko, co teraz przez ciebie na nich spadło?

— Ffaraon ppuści llud... — wyjąkał Mozis.

— Puści albo nie puści — mruknął Naason cierpko. Zwrócił się do Aarona. — Tak, synu Amrama — powiedział — uwierzyliśmy twoim gładkim słowom i cudom laski twego brata. Ale lękam się, że z tego jeszcze większe zło spadnie na Izraela. Zapewniłeś nas, że to nasz Bóg upominał się o nas. Tymczasem tak mi się coś wydaje, że ta cała sprawa nie ma nic wspólnego z Najwyższym, a tylko zostaliśmy wplątani w jakieś obce nam spory... Tak, tak. Czy to nie wiemy wszyscy, że Mozis wychowywał się u kapłanów w On? Czy jest komu tajne, że kapłani z On toczą spory z kapłanami z No? Jedni chcą czci Amona, drudzy czci Atona. Co nas to wszystko obchodzi? Składamy ofiary Amonowi—Ra, bo to jest bóg faraona; składamy ofiary bogom naszych miast, bo tego od nas żądają. Wtedy mamy spokój. Możemy żyć, handlować, wychowywać dzieci, a gdy trzeba — wykupywać się od złych zarządzeń. Jeszcze pomagamy tamtym. Fegiel ma słuszność: pomagamy. Nie wyparliśmy się ich... Gdy któremu z rodów grozi wymarcie, bierzemy od tamtych dziecko... Kto mógłby powiedzieć, że nas nie obchodzi ich los? Pragniemy, aby faraon przestał ich prześladować, pomagamy im... Dla nich, tylko dla nich gotowi byliśmy opuścić ziemię Mikraim. Dla nich... Bo czy my musimy wracać do ziemi, z której kiedyś przyszedł Jakub? Nie. Tylko dla nich gotowi byliśmy to zrobić. Ziemia Kanaan jest w rękach faraona. Sądziłyśmy: poprosimy go i pozwoli się nam tam przesiedlić. Da opiekę; poskramiać będzie tamtejsze ludy, które mogłyby nas pożreć. Będziemy mu służyli... A ludowi będzie lepiej... Ale teraz wszystko przepadło. Faraon rozgniewał się. To Mozis przyczynił się do tego swoimi sztuczkami. Więc pytam: co teraz?

— Teraz — powiedział Fegiel — nędzota zginie. A my będziemy musieli wiele zapłacić...

Pokiwali głowami, posapali gniewnie, potem spojrzeli na siebie porozumiewawczo ponad głowami braci. Równocześnie wstali obaj.

— Odchodzimy — rzekł Fegiel.

— Wracamy do naszych. Ty, Aaronie, zostajesz czy idziesz z nami?

Aaron patrzył niepewnie to na nich, to na siedzącego bez ruchu Mozisa.

— Nie wiem doprawdy... — bąknął. Widać było, że jest w rozterce. — A może On powie Mozisowi, jak zwyciężyć faraona? Bo ja jednak widziałem we śnie anioła, który mówił, bym słuchał Mozisa.

— Są rozmaite sny — rzekł Fegiel.

— To prawda — przyznał.

— Są sny, kiedy brzuch człowieka napchany jest baranym mięsem.

— To prawda...

— Są także omamiające ludzi sztuki, a w nich celują podobno kapłani z On. Dlaczego miałbyś słuchać tego jąkacza? Jesteś starszy.

— Prawdę powiedziałeś, Naasonie...

— Czyń zresztą, jak uważasz. Ja wyruszam zaraz, Fegiel zostanie do jutra rana w gospodzie. Radzę ci jednak, wracaj z nim. — Skłonił lekko głowę. — Pokój temu domowi — powiedział.

— Pokój.

— Pokój.

Obaj książęta opuścili ogród. Słońce zapadło za horyzont i tylko jego długie palce rozpiwały się na tle nieba. Mrok schodził między drzewa i krzewy. W suchym, dławiącym powietrzu pojawiło się ledwo wyczuwalne, lecz przynoszące nieco ulgi tchnienie. Ono to sprawiło, że zawieszony w powietrzu pył pustyni przylgnął do ziemi.

Dwaj bracia siedzieli wciąż obok siebie na ławce.

— Poszli... — powiedział Aaron, gdy za zasłoną krzewów ucichło szuranie sandałów. — Poszli... Żle się stało... — mruknął. — To prawda — mówił półgłosem, jakby przekonywał siebie — faraon jest strasznie rozgniewany... On naprawdę gotów kazać zabić... Brr — wstrząsnął się; jego ramiona przebiegł dreszcz. — Nawet ten wiatr — podjął — który tak zaćmił pyłem niebo, że nie było widać słońca, nie przestraszył go... Żle, źle... — Kiwał głową i kołysał się zamyślony na ławce. Nagle, jakby tknięty niepokojem, położył dłoń na ramieniu brata. Zapytał. — Czyś ty naprawdę słyszał te słowa z ognia? Jeszcze raz powiedz: czy naprawdę?

Tamten dźwignął głowę, która mu zwisała na piersi; sprowadził wzrok z dalekiej wędrówki i utkwiał w Aaronie. Zmarszczka przecięła mu czoło, nos napiął się niby łuk, na twarzy pojawił się znowu władczy wyraz.

— Włóż rękę w zanadrze...

Mówił wolno, oddzielając słowo od słowa, ale nie jąkał się. Wobec najbliższych potrafił mówić normalnie.

Aaron zgiął rękę w łokciu, jakby chciał spełnić ten rozkaz, ale zaraz zatrzymał się.

— Nie, nie trzeba... — powiedział szybko. — Tyle razy to widziałem. Potem może nie odczarujesz... — bąknął. — Nie, nie...

Kłopotliwie przeczesywał palcami swą białą, połyskującą brodę. — Ale to źle mimo wszystko. Niedobrze... — mówił do siebie. Tarł czoło. Powiedział w końcu: — Mozis... ja i Miriam zawierzyliśmy tobie... Miałem sen, a przez Miriam mówił duch... Ale oni... — Znowu tarł kark i czoło. W końcu wstał z ławy. W jasnej długiej szacie przypominał leżące w trawie figury. — Idę, żeby ci nie przeszkadzać — powiedział. — Ty zapytaj Go, co teraz... Proś, żeby ci powiedział... Wołaj, błagaj... Mozis... — Czekał czas jakiś, sądząc, że brat coś powie. Ale ten milczał. Powoli, oglądając się kilka razy za siebie, Aaron oddalił się.

Mozis pozostał sam. W pierwszej chwili poczuł jakby ulgę. Tak bardzo miał już dosyć słuchania wymówek i wątpliwości. Opierał się im niby tarcza bijącym w nią grotom. Poczucie odprężenia nie trwało długo: odbite groty znowu nadlatywały i wrażały się w ciało. Każde usłyszane słowo powracało echem, by przeniknąć go boleśnie; gardło ścisnął dławiący kurcz.

Powoli zsunął się z ławy, upadł na kolana. Ziemia pod nim była skamieniała, pokryta po wierzchu pyłem, wśród którego sterczały zamarłe kępy trawy. Nadeptane łamały się z suchym chrzęstem. Słońce obsunęło się gdzieś w głąb. Na stygnącym niebie leżały pasy mroku niby pręgi na skórze tygrysa. Potem na drugiej stronie pojawił się zwiewny krąg księżycy. Był podobny do pieniądza, który wymknął się z palców i toczy się prędko po gładziźnie materii.

Rozległ się chrapliwy głos rogu i naraz nad zbiorowiskiem ludzkim wybuchnął gwar głosów, jakby ci wszyscy, którzy przez wiele godzin znoili się w milczeniu, chcieli teraz spiesznie i wszyscy razem opowiedzieć nie-

bu, piaskom i leniwie płynącej rzece o swej nędzy. Ale zaraz zaklaskały bicze dozorców i rozgadany tłum zaczął się wylewać dwiema bramami poza ogrodzenie cegielni. Na placu pozostały tylko długie koryta, w których rozrabiano glinę, i wysokie sterty suszących się cegieł.

Wąż ludzki spłynąwszy na drogę ciągnął nią wolno. Byli tu mężczyźni i kobiety, wszyscy w wąskich tylko opaskach na biodrach, o ciałach chudych, obryzanych gliną niby wrzodami. Szli sztywno wyprostowani, podani ciałem do tyłu, jakby chcąc tą postawą przemóc zdrętwienie karku, przygiętego przez tak długi czas nad robotą. Plecy i ramiona wielu pocięte były czerwonymi pręgami, pozostawionymi przez bity dozorców. Na chudych bokach rysowały się żebra. Niektórzy wlekli się ciężko uwieszeni na ramionach towarzyszy. Kilku niesiono; ich głowy kiwały się martwo między nogami niosących.

Każdy z robotników miał pod pachą lub na ramieniu płachtę, w której rano, idąc do pracy, przynosił plewy i słomę. Rozkaz faraona przymnożył im trudu; teraz musieli sami dostarczać materiału do wylepiania cegieł przeznaczonych na odbudowę świątyń. To uczyniło ich życie nie do zniesienia. Wyczerpująca praca pochłaniała cały dzień i zżerała wszystkie siły. Gdy wieczorem zabrzmiał róg, zwiastujący jej koniec, w pierwszej chwili odczuwali to jako ulgę. Ogarniało ich podniecenie, chęć do hałaśliwej rozmowy. Ale w miarę jak szli, podniecenie ustępowało miejsca apatii. Teraz pragnęli tylko coś zjeść, by pozbyć się piekącej czczości żołądka, a potem zwalić się na matę i spać — najlepiej bez snów — aż do nowego świtu, który znowu wszędzie rykiem rogów wołających do pracy. Nie było w nich chęci do myślenia, do układania przyszłości. Przyszłość zresztą nie istniała; życie było jak coraz szybciej obracający się kołowrotek. Dni biegly — jeden boleśniejszy od drugiego. Ciągłe coś nowego pogarszało ich dolę. Nie było poprawy, nie można było nawet zatrzymać się w miejscu. Dozorcy stawali się każdego dnia bardziej zawzięci i okrutni. Bili batami przy lada okazji. Wymyślali: „Zdychajcie, wy trędowaci! Wszystko zło przez was! Parszywa azjatycka zarazo!” Ich nienawiść była odbiciem nienawiści całej ludności. Gdy wracając z cegielni szli drogą do swej osady, nieraz przelatywał nad głową ciśnięty zza węgła kamień i rozległ się okrzyk: „Azjatycki trąd!”

W końcu dochodzili — wlokąc się coraz wolniej — do długich bud z trzciny, które musieli sami sobie postawić, gdy ich przypędzono z nomosu Gessen tu, do Pa-Tum. Odnajdywali swe budy takie same, jakie zostawili

je idąc o świcie do pracy: brudne, ciemne, walące się, samym swym wyglądem odbierające nadzieję. Mieszkali w nich stłoczeni, rodzina przy rodzinie, odgrodzeni jedynie zasłoną z mat, we wspólnym kręgu krzyków i hałasów. Gdy tylko weszli do środka, buda rozbrzmiewała zaraz wrzaskami:

— Gdzie jest żarcie?

— Ile czasu będę czekał, aż mi podacie?

— Próżniaki! Nic nie robicie tutaj, a nawet jedzenia nie mogliście przygotować!

Siedząc na ziemi, z miską na kolanach, przybyły jadł spiesznie, rzucając spode łba złym spojrzeniem na kręcące się obok dzieci. Nie wierzył ich głodnym minom. Na pewno jadły, upewniał się w duchu, gdy on pracował. A teraz chciałyby jeszcze jemu zabrać. Dłoń zaciskała się gniewnie na misie. Łykał prędko. Lecz wzroku dzieci nie mógł znieść. Ze złością odpychał w końcu od siebie resztę nie dojedzonej stawy. „Macie, udławcie się!” Dzieci rzucały się chciwie na miskę, biły się o nią. Ten, który się do miski dorwał, wyjadał z niej wszystko do ostatniego ziarnka.

— Próżniaki i chciwcy...! — krzyknął Uri. — Rzucają się na żarcie jak dzikie zwierzęta! — Z gniewem patrzył na bijących się synów. Dziewczynka, którą bracia odepchnęli, płakała rozmazując łzy na twarzy. — Precz! — zawołał w porywie wściekłości. — Wynoście się! — Zacisnął pięści. — Wynoście się, bo się do was wezmę! Dzieci przerażone zniknęły za matą.

— Jak szakale... — mówił Uri przez zaciśnięte zęby. — Aż żałuję, że nie przejechałem którego kijem.

— Głodne są... — cicho i nieśmiało wstawiła się stara Mina.

Podniósł zmęczone i złe oczy na matkę.

— Próżniaki! — cisnął. — Cały dzień nic przecież nie robią. Mogliby zapracować...

— Czym, Uri? — zapytała.

— Niech się wynajmą do roboty. Ech, bo jak się zezłoszczę, sprzedam ich ludziom Mikraim!

— Nie mów tak, Uri — zawołała z przerażeniem w głosie. — Nie, nie, ja wiem, że ty tego nie zrobisz — uspokajała samą siebie. — Ty jesteś dobry, Uri... To straszny grzech sprzedać dziecko czcicielom psów i kotów. A zresztą — podjęła po małej chwili — kto by wówczas zbierał dla ciebie słomę?

— Niewielki trud — machnął pogardliwie ręką.

— Co ty mówisz, Uri? — zawołała. — Boże Abrahama i Jakuba! To okropna praca. — Pochyliła się ku synowi. — Przecież chyba wiesz, że tu, w pobliżu, pola są tak obrane z najmniejszej słomki, jakby je kto zamiótł. Po słomę trzeba iść bardzo daleko. A niebezpieczeństwa grożą. Chłopi nienawidzą naszych dzieci. Pędzą je kijami, kamieniami. Chłopcu Mataja złamali rękę. Dziewczynkę Semeje... — załamała dłonie. — Co ci będę mówiła!? Wygrają już z daleka: „Przyjdźcie tylko na nasze pole, kości wam połamiemy! To przez was wyzdychało nasze bydło! Przez was wszystkie nieszczęścia!” Tak, Uri, tak... — Zakrzuszyła się słowami i zaczęła szlochać. — Chłopcy do tej chwili zbierali — podjęła. — Dopiero co przyszli. Nic nie jedli... I mała chodziła z nimi... A ja się tak o nich bałam, tak bałam... O, Uri... — łkała bezradnie. Tak żyć nie można... Czy skończy się kiedy ta męka?

Niechętnie poruszył ramionami, spuścił głowę. Wzrok miał ponury.

— Nie płacz... — mruknął.

Ale stara szlochała coraz żałośniej.

— Jak długo jeszcze tak będzie? — powtarzała. — Od tylu lat jest źle... Od tylu lat... Ale jeszcze tak jak teraz nie było... Oj, nie, nie... — Jej usta po dziecinnemu zwinęły się w podkówkę. — Zabiją nas, zameczą... Ooo... — zawodziła.

— Cicho bądź! — krzyknął nagle.

Przestraszona umilkła i tylko zanosiła się cichym pochlipywaniem. Uri zagryzł wargi, wczepił dłonie we włosy. Siedział zgarbiony, ponury, głodny. Jednego tylko pragnął: nie słyszeć już biadań matki, nie widzieć oczu dzieci zapomnieć... Ale zapomnieć nie mógł...

Mata uchyliła się — do grodzi Uriego zajrzał jakiś mężczyzna.

— Uri... — powiedział półgłosem.

Robotnik rozkurczył wczepione we włosy palce, opuścił ręce. Niechętnie dźwignął głowę.

— Czego chcesz? — zapytał.

Tamten wszedł, przykucnął koło Uriego.

— Słyszałeś? — zapytał. — Wygonili ich...

— Kto? Kogo? — pytał bez zainteresowania.

— No, faraon — mówił tamten — wygonił ich: Mozisa, Aarona, Naasona, Fegiela... Powiedział, że jak jeszcze raz do niego przyjdą, każe ich powbić na pale. Co ty na to? Naason wrócił...

Ucichli. Po chwili Uri powiedział.

— Takim to dobrze...

— O kim mówisz?

— O Naasonie i Fegielu. Wrócą do swoich. Będą dalej hodować krowy, kozy, owce, będą zbierali z pola... A przecież ja także jestem z rodu Asera.

— Jesteś, jesteś — przytwierdził z gorzkim uśmiechem przybyły. — Wszyscy wywodzimy się tak samo z synów Jakubowych. Ale cóż? Oni mieli się czym wykupić i wykupili się. Inni nie mieli i dlatego się męczą...

— Przeklęte życie!

— Przeklęte życie! Przeklęta ziemia Mikraim i ludzie tutejsi! Wyssą z nas krew. Pożrą nas, jak krokodyl pożera dziecko, co stanęło nad brzegiem rzeki. I dlaczego? Dlaczego oni chcą naszej śmierci?

— Kto to wie, dlaczego?

Siedzieli obok siebie z zawziętymi, ogarniętymi nienawiścią twarzami. W kącie zanosila się szlochom stara kobieta.

— Naason przejeżdżał tędy... — podjął po jakimś czasie przybyły mężczyzna. — Rozmawiał z niektórymi. Mówił, że Mozis ich oszukał...

— Ich? Nie! — warknął Uri. — Nie ich. To nas oszukał!

— Masz słuszność...

— Nas oszukał! — Powtórzył robotnik zaciskając pięści. Przełknął twardo ślinę. Mówił dalej: — Kiedy przyszedł i zaczął opowiadać, że nas zaprowadzi do ziemi, skąd nasi ojcowie podobno kiedyś przyszli — myśmy mu zawierzyli. Bo dla nas wszystko jedno, gdzie żyć, byle nie w tej ziemi cierpień... Tamci z Gessen mogą tu sobie pozostać. Oni dadzą sobie radę... My żyć tak dłużej nie możemy! Zginiemy...

— Zginiemy... — powtórzył tamten, jakby był echem.

— I nasze dzieci poginą — ciągnął ponuro Uri. — Dla nas tylko jedno: albo stąd iść, albo śmierć... Żeby ten Mozis kazał nam się bić z ludźmi faraona — byłoby lepiej. Bo lepiej bić się i zginać niż umierać pod batem. Gdyby zawołał do walki, poszedłbym za nim wszędzie. On kiedyś podobno dowodził wojskiem. Słyszałeś coś o tym?

— Tak mówią. Ale to było dawno. Jeszcze kiedy żyła królowa Haczep-sut...

— No, to chyba wie, jak się uderza oszczepem. Ale on — znowu z gniewem zacisnął swe duże dłonie, wybielone od ciągłej pracy w glinie — poszedł prosić faraona... Prosić!

— Nic nie wyprosił.

— Od razu było wiadomo, że nic nie wyprosi. Prosić faraona to tyle, co prosić bogów. Który z nich kiedy wysłuchał człowieka: Amon czy Szu, Suchos czy Bóg Abrahama?

— Nie mów tak, Uri! — zawołała z trwogą w głosie Mina. — Nie mów tak o Bogu ojców!

— Lepiej tak nie mów... — powiedział również mężczyzna i obejrzał się niespokojnie na wszystkie strony. Ściszył głos: — Nasz Bóg zesłał przez Mozisa na Mikraim wiele klęsk...

Ale Uri miał nadal zaciętą twarz i błyszczące gniewem oczy.

— Zesłał! — cisnął chrapliwie. — Lecz kogo te klęski dotknęły więcej: ich czy nas?

— Uri, Uri... Ty lepiej... — powstrzymywali go.

Uri jednak ciągnął z niepowstrzymaną gwałtownością:

— Ujmiesz bogactw bogaczowi — będzie biedniejszy; ujmiesz mąki takim jak my — pozdychamy... Takiemu tylko bogowi warto służyć, który pomaga, broni, daje pokarm, bogactwa...

— Lecz nasz Bóg, Uri, opiekował się naszymi ojcami... — powiedziała matka. — Słyszałeś, ile razy ich chronił, ocalał, strzegł... O, Uri, ty nic nie mów przeciwko Niemu... Żeby się On nie pogniewał na ciebie... My tylko Jego jeszcze mamy...

Wzruszył porywczo ramionami.

— Wiele lat minęło od czasów, gdy poumierali Abraham, Izaak, Jakub... Czy to, co się o nich opowiada, działo się naprawdę? Kto to wie? A tymczasem wciąż jesteśmy prześladowani... Gdzież jest Bóg naszych ojców? Teraz grozi nam śmierć. Dlaczego On nas nie ratuje? Wołałbym bić czołem Ucie z głową węża, gdybym wiedział, że ona ocali mnie przed umieraniem!

— Nie mów tak lepiej, Uri — rzekł znowu mężczyzna. — Z żadnym z bogów nie należy szukać zwady...

— I On obiecywał... — szepnęła Mina. — A co obiecał — spełnia...

Uri chciał im na to odpowiedzieć, ale powstrzymał się. Wszyscy troje milczeli. Otaczała ich ciemność i tylko Poprzez maty, niby gwiazdy przez mgłę, prześwitywał blask kaganków palących się w innych zagrodach. Krzyki, wołania i kłótnie, od których trzęsła się cała buda, zwolna zamierały; zamiast nich dochodził z tego lub tamtego końca cichy płacz. Potem gdzieś pod ścianą męski głos zaczął śpiewać. Jeden za drugim przyłączały się do niego inne głosy — czasami męskie, lecz częściej kobiece. Zwłaszcza jeden kobiecy głos rozlegał się głośno. Ten śpiew wśród porozwieszanych mat brzmiał głucho, ale pieśń płynęła solenna i majestatyczna. Była to melodia wieczornego hymnu do Ra, śpiewanego w świątyniach Dolnego Egiptu. Lecz słowa były inne; w pamięci pracujących w faraonских cegielniach ludzi zachowały się one z jakichś niezmiernie oddalonych czasów. Od dawna przestano je rozumieć. A przecież powtarzano:

*Zbierzcie się, synowie Jakuba,
I posłuchajcie słów ojca waszego, Izraela...*

*Tyś, Rubenie, mój pierworodny,
Tyś owocem mej siły, ale i pierwszym moim bólem.
Bogato obdarzonyś został
Stadami i władzą
Lecz wszystko utracisz
Za to, żeś śmiało splugawić z Balą łożę ojca twego...*

*Wy, Symeonie i Lewi,
Najdzielniejsi jesteście w boju,
Ale lękam się waszych zamysłów.
Niech bracia nie idą za wami.
Zabijacie w zawziętości
Ściągając na wszystkich zemstę.
I wy wszystko utracicie...*

*Ty, Judo, będziesz panem wśród braci.
Rozbijesz nieprzyjaciół,
Boś groźny niby młody lew i niby lwica.
Nikt nie będzie śmiało cię podrażnić.*

*Nie utraci władzy twój syn,
Póki nie przyjedzie*

*On — oczekiwany przez wszystkie narody —
Wysłannik — Szilo — na ośleciu i oślicy
I póki nie obmyje w krwi jagód winnych
Szaty swojej...*

Długi gwizd powtórzył się znowu. Cicho wyszła na dwór. Rozejrzała się. Gwizd dobiegał spoza gałęzi eukaliptusowego zagajnika. Księżyc świecił mocno, choć tylko połową swej tarczy. Jego blask lał się migocącą strugą między kanciaste cienie rzucane przez trzciniowe budy i ścianę drzew. Postąpiła naprzód i weszła w blask niby w wodę. Piasek pod stopami zdawał się mrugać tysiącem skier, jakby nie był piaskiem, ale pyłem rozkruszonych klejnotów.

Szła powoli. Gdy tylko wynurzyła się z cienia, księżyc chlusnął na jej ramiona szklistą poświatą: spłynęła wzdłuż jej nagich ramion i po krągłźnie młodych piersi. Dotknięcie to odczuwała niby natrętną pieszczołę. Nie osłaniała się jednak. Cóż by z tego przyszło? I tak każdy wyciąga ręce. I tak wcześniej czy później... — myślała.

Matka, zdziecinniała staruszka, nuciła jej, gdy wróciwszy z pracy leżała wyczerpana na macie, starą kołysankę: „Po Tamar, córeczkę moją ukochaną, przyjdzie kiedyś wielu pięknych młodych mężczyzn. Przyniosą dary jak te, które Eleazar przywiózł do Rebeki: manele błyszczące i ciężkie bransolety, i kółka srebrne do włożenia w nos i w uszy. Wabić będą wdzięcznym wołaniem. Opowiadać będą o miłości... Aż wreszcie wybierze najpiękniejszego z nich...” Ale w jej życiu nie było pięknych mężczyzn. Nie było słów o miłości. Nie było darów, maneli czy bransolet. Były tylko dłonie chciwie wyciągające się do jej ciała. Takie same jak jej: dłonie zbielełe od gliny. Tak samo zmęczone, tak samo stwardniałe na brzegach. I gestem tym wyrażały tylko jedno: chęć zapomnienia.

Ukryty wśród drzew mężczyzna musiał widzieć jej postać brodzącą przez księżycową rzekę, gdyż już nie gwizdał. Ale nie wynurzał się z cienia. Czekał. „On — myślała — nie ma stwardniałych na brzegach a zbielełych od środka dłoni. On nie pragnie tylko tego, by zapomnieć. On mógłby być taki jak tamci z piosenki matki.”

— Tamar... — posłyszała szept.

Niecierpliwie wciągnął ją w mrok, pod liście. Miała rację mówiąc sobie, że jego dłonie nie są twarde i suche. Dotykały ją miękko, pachnąc kreteńskim olejkim. Poczowała, jak ją ogarnia oszałamiająca słabość: „Och — myślała — poddać się tym dłoniom...” Przez jej ciało najprzód powoli, potem narastającym rytmem płynął dreszcz: schodził wzdłuż kręgosłupa, rozbiegał się setką strumyczków wokół bioder. Po co stawiać opór? Nie po to przecież tu przyszła. Lecz gdy wola już uległa, w myśli pojawiło się pragnienie obrony. Pośpiesznie zsunęła z siebie dłonie mężczyzny. Cofnęła się. Powiedziała cicho i prędko:

— Nie, Jaredzie, nie. Nie jestem twoja...

— Będziesz moja. Już jesteś moja — zapewniał ją namiętnie. — Już jesteś moja. Nic nie stanie między nami. Kocham cię, Tamar... Kocham twoje oczy, twoje włosy, twój głos... Gołąbko moja, kocham cię, kocham cię całą... Nie broń się...

Znowu czuła na sobie jego dłonie. Oddychał spiesznie i głośno. Jej oddech również stał się prędszy, zaś serce mocno i gwałtownie targało się w piersi. Nadal nie było w niej oporu. A przecież jeszcze raz cofnęła się. Jej plecy spotkały się nagle z szorstką korą drzewa. Wysunęła przed siebie dłonie w obronnym geście.

— Twój ojciec... — powiedziała.

— Zgodzi się, na pewno się zgodzi... — zapewniał pośpiesznie. — Kocham cię, Tamar — mówił znowu — kocham... Jesteś jak bogini Nut pochylona nad ziemią ciałem błyszczącym od gwiazd... Jak bogini Izyda, która daje szczęście kochającym... Jak...

— Lecz czy mówiłeś mi? — przerwała.

— Powiem... Teraz kochaj mnie... Teraz... Ten księżyc...

— Jaredzie... nie... nie...

Ostatni raz zdołała odsunąć od siebie jego dłonie. Choć myślała: nie ucieknę ani jemu, ani sobie... Po co zresztą uciekać? Po co? Niech się spełni, co się musi spełnić. Czemu myśleć wciąż o tym, co będzie? On na pewno nie mówił nic ojcu. Bał się powiedzieć. Stary Sofar nigdy się nie zgodzi, aby jego syn wziął sobie za żonę dziewczynę spośród nędzarzy, co lepią cegły. Ma tyle stad i tyle ziemi. Taki piękny dom. Tyle służby. Cóż z tego, że oboje pochodzą z tego samego rodu? Czy jest między nimi coś wspólnego? Musieliby ją wykupić... Tego nie zrobią, szkoda się ludzić. Ród Sofara jest dość

liczny. Nie, nie... Od Jareda może się tylko jednego spodziewać. Jego miękkie dłonie dać jej mogą wiele, radości — tu, w lesie. Ale potem ta radość odejdzie. Pozostaną znowu: trzciniowa buda, cegły, bat dozorczy. Ciało o tym nie myśli. Jej dłonie nie są już zdolne utrzymać dłoni chłopca. Skoro tu przyszła... Lecz jeszcze zdobyła się na resztkę oporu. Pochyliła się, wymknęła z ogarniających ją objęć. Na ślepo rzuciła się do ucieczki.

Biegł za nią. Nogi jej słabyły. Ale gdy wpadła w księżycowy blask, on zatrzymał się na skraju zagajnika. Zawołał tylko:

— Tamar, wróć się. Nie uciekaj...

Ten głos chwycił ją niby dłoń. A przecież nie dała mu się zatrzymać. Z powrotem brodziła przez rzekę poświęty. Przestała biec. Szła wolno, cisnąc obu dłońmi wzburzone serce. „Po co chodziłam?” — wyrzucała sobie. Głos chłopaka goił za nią:

— Tamar, wróć, wróć! Ojciec zgodzi się. Mamy przecież opuścić ziemię Mikraim. Pójdziemy tam, gdzie wszyscy będą bogaci. Zobaczysz: Zostaniesz moją żoną jak Tefnet i Neftyda... Urodzisz mi synów... Wróć...

Nie zawróciła. Mężczyźni, słyszała coś o tym, oczekiwali wielkich zmian w ich losie. Od dłuższego czasu mówili o nich, zapalali się, gorączkowali. Ona jednak nie przysłuchiwała się temu, o czym rozprawiali między sobą. Prawdziwa zmiana, czuła, to móc kochać i móc rodzić ukochanemu mężczyźnie synów i córki. Zwłaszcza syna pierwszego, w którego pewnego dnia przejdzie duch ojca. Palce cisnące pierś zsunęły się na brzuch. Och, rodzić dzieci. Rodzić w radości, nie w trwodze, że trzeba będzie pracować z rosnącym brzemieniem w ciele; że trzeba będzie ochraniać brzuch przed ciosami bata; że nie wiadomo, gdzie i kiedy urodzi się człowiek; że dozorca może dziecko zabić, że mogą je odebrać; że nie wiadomo, kto je wychowa...

Kanciasty cień budynku był tuż przed nią. Mężczyzna o miękkich, kuszących dłoniach wołał za nią:

— Wróć, wróć, Tamar... Kocham cię... Tamar!

Znowu osłabła. Krew zdawała się inaczej płynąć w żyłach: niby leniwie, a przecież gotowa nagle trysnąć fontanną. Wszystko w niej było pragnieniem i oczekiwaniem. Zdawała sobie sprawę z tego, że zrodzenie syna nie jest tylko potrzebą ciała. „Oni mają zatrutą krew — mówili o nich, potomkach Jakuba, Egipcjanie. — Obcinając chłopcom płat skóry zaciskający człon, zatrują krew”. „Może mamy naprawdę zatrutą krew? — przemknęło jej przez głowę. — Może ten dziwny zabieg dokonywany przez ojca na synu

sprawia, że pożądam kobiety czy też pożądam mężczyzny, pożądam się czegoś więcej jeszcze?”

Ale gdy przekroczyła próg między blaskiem a cieniem, wraz ze świadomością, że już nie może się cofnąć, spłynęła na nią dręcząca gorycz. Żalowała każdej pieszczoty, którą jej mogły dać dłonie Jareda. Czuła całą pustkę samotności. Nie urodzony, nie poczęty syn szarpał się w niej. Zdawał się uderzać gniewnymi piąstkami. To, co w niej było trucizną, tkwiło we krwi zbyt mocno, by można było zwyczajnie żyć; zbyt słabo, by mogło ją ocalić...

Ogarniał ją pulsujący ból. Osunęła się na ziemię pod trzecinową ścianą. Skóra paliła, ale wyprazona w słońcu ziemia jeszcze nie ostygła i jej dotknięcie nie przynosiło ulgi. Za cienką ścianą zamierały ostatnie głosy zasypiających. Pochrzakiwali starzy. Wykrzykiwały przez sen dzieci. Rwały się miłosne szepty. Dom rozpaczy był jednak domem nowego życia. Niby Arka Noego. Stała przed nią ta dziwaczna opowieść, którą ktoś kiedyś opowiadał przy niej, a która zachowała się w jej pamięci wśród historii o ginącym Ozyrysie, płaczącej Izydzie, podstępym Secie, zwycięskim Horusie. Zwierzęta nie wiedziały, dlaczego zamknięto je w uniesionej przez fale skrzyni. Ludzie nie wiedzą także. Ciężkie westchnienie uniosło jej piersi. Dłoń o stwardniałych brzegach znowu poczęła błędzić po rozgorączkowanym cieple.

Nie wiedział, jak długo tak klęczy przy marmurowej ławie. Nagle usłyszał za sobą lekkie kroki. Kobieta podeszła i zatrzymała się opodal, jakby nie śmiać do niego przystąpić. Dźwignął głowę wspartą ciężko czołem o kamienną płytę.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Noc... — powiedziała cicho. — A ty wciąż klęczysz i modlisz się... Bałam się, że ci się coś stało... Wróć już do domu! Chodź do łóżka spać...

— Daj mi spokój — odrzucił jej wezwanie. Położył czoło znowu na to samo miejsce, na którym spoczywało poprzednio. Ale teraz marmur wydał mu się odpychający: kłuł niby setką szpilek. Czoło bolało. Jednocześnie odkrył, że ma nogi zdrętwiałe. Musiał klęczeć bardzo długo. Całe ciało odezwowało się buntem. Z gniewem zawołał: — Po coś tu przyszła?!

— Klęczałaś. Tak długo... Bałam się... — tłumaczyła pokornie.

— Klęczałem... — mówił z twardym wyrzutem. — Tak było trzeba... Po co przychodzisz mnie wołać? Idź, idź stąd.

Zrobił oddalający gest. Znowu próbował przyłożyć czoło do kamienia. Ale na nowo je cofnął. Nie mógł powrócić do stanu, z jakiego został wyrwany. Rozkaz, który przyszedł w północy, nie został odwołany. Obręcz zacisnęła się jeszcze bardziej.

Szeroko rozwarł oczy, wpił je w kobietę. Powoli, drżąc, podniósł się z klęczek. Jego wzrok był jak włócznia. Nagle krzyknął:

— Nie słyszałaś? Idź! Idź! Idź z tego domu! Ja już do niego nie przyjdę. Wracaj do ojca. Wracaj do swego plemienia. Idź! Idź...

— Moziśie — jęknęła przerażona. — Moziśie... Co ty mówisz?!

— Wracaj do swoich. Do ojca. Do plemienia! — słowa mężczyzny brzmiały twardo i głucho. — Wracaj. Zabierz synów... — W jego głos wkrał się dźwięk podobny do skowytu. — Zabierz ich... Zostaw mnie samego. Słyszałaś? Zostaw mnie samego. Idź!

Lecz ona, przeciwnie, zbliżyła się ku niemu. Jakby chcąc się upewnić, że nie śni, dotknęła dłonią jego piersi.

— Moziśie — zapytała — dlaczego mam wracać do swoich? Dlaczego mam ciebie opuścić? Coś ty powiedział!

Zacisnął usta. Obrócił twarz pod czerwonosrebrny blask księżyca. Miał oczy nakryte powiekami; ciężka bruzda przecinała czoło z góry na dół.

— Mam być sam... — wyrzucił z siebie ostatnim tchem.

— Dlaczego? — Kobieta trzymała wciąż dłonią kraj jego kuttony. Głos jej falował. — Dlaczego? Czy... czy byłam dla ciebie złą żoną? — zapytała drżącym głosem.

— Nie, Seforo — odpowiedział powoli, mając oczy zamknięte, a twarz podaną na blask księżyca. — Byłaś dobrą żoną...

— I kocham cię! — zapewniła namiętym szeptem.

— Kochaliśmy się — wzmacnił swe słowa lekkim, melancholijnym kiwnięciem głowy.

— Więc dlaczego? Dlaczego mam odejść? Nie jesteśmy tacy starzy. Moglibyśmy mieć jeszcze dzieci! Zdołam rodzić! — zawołała. — Zechciej, a dam ci znowu syna. Zobaczysz... Jeszcze jednego...

Nie odpowiedział nic, tylko powoli i stanowczo potrząsnął głową.

— Mosisie! — krzyknęła. — Więc dlaczego? Czy ci zbrzydłam? — zapytała boleśnie. Czekala chwilę na odpowiedź. Gdy milczał, zaczęła znowu gwałtownie. — Jeśli nie chcesz mnie, niech będzie, jak bywa nieraz w naszych namiotach: dam ci jedną z usługujących dziewcząt. Weźmiesz, którą sam zechcesz. Tyle ich jest tam, w obozowisku ojca — pięknookich, o szerokich biodrach. Nie odmówię ci żadnej. Weź ją i tylko pozwól, by urodziła na moich kolanach. A mnie nie odpędzaj! Mosisie...!

Znowu szerokim, wolnym, lecz bardzo stanowczym gestem poruszył głową z lewa w prawo.

— Nie rozumiesz, co mówisz, kobieto — rzekł. Przesunął dłonią po oczach, jakby teraz dopiero poczuł na nich iskrzący się blask księżyca. Westchnął. — Nie zbrzydłaś mi — wyznał. — Dość mam sił, byśmy mogli znowu zaznać radości z siebie, jak bywało tam, pod namiotem u twego ojca. Moglibyśmy mieć jeszcze syna — nie jednego... Lecz tak nie będzie. Ty musisz wrócić do swoich, a ja muszę pozostać sam... Sam! — zakończył niby uderzeniem.

— Ale dlaczego? — Nagle zmarszczyła brwi. Wyraz gniewu i niechęci pojawił się na jej szerokiej twarzy, innej niż twarze kobiet izraelskich. Zapytała: — Czy tego żąda ten twój Bóg, Mosisie?

— Tak, to On tego żąda... — przyznał głosem, w którym było lekkie drżenie.

— Dlaczego On tego chce? — zapytała porywczo. — Dlaczego On jest taki zawistny i zawzięty? Czy nie postąpiliśmy tak, jak On chciał? Powiedziałeś, że On ci każe wrócić do twoich braci. Wróciliśmy, choć są to ludzie tobie obcy i choć niczego nam nie brakło wśród ludu i stad mego ojca. A kiedyś zachorował, przypomniałam sobie, czego twój Bóg żąda od mężczyzn... Zawołałam Gersama, kazałam mu się położyć. On się bał, płakał. Ale ja przyniosłam ostry kamień i zrobiłam mu to, choć moje dziecko krzyczało z bólu. Jemu — dla ciebie! Abyś nie został ukarany przez twego Boga, który chce tego bólu. Lecz On żąda wciąż więcej — ciągle czegoś nowego! Kazał ci chodzić do faraona i przemawiać do niego, choć ty nie potrafisz mówić. Teraz znowu każe ci odpędzić mnie...

— Tak, kobieto — przyznał. — Teraz znowu każe, byś odeszła...

— Więc po co Mu służysz, skoro jest taki? — poskarżyła się załóżnie.

Powoli powstał, wyprostował się. Jego sylwetka rysowała się ostro na tle wysrebrzonego, a zarazem zaczerwienionego dziwnym blaskiem nieba.

Lekko uniósł ręce jak kapłan przyzywający bóstwa. Nie wiedział, jak ma Seforze na jej pytanie odpowiedzieć. Nie umiałby odpowiedzieć także samemu sobie. Od tamtego dnia stary Bóg o nowym imieniu zawładnął nim całkowicie. Lecz czy mogło się być stać inaczej, skoro usłyszał Jego głos? Wezwanie stanęło przed nim wtedy właśnie, gdy był już pewny, że uszedłszy przed zemstą faraona uszedł wszelkim wezwaniom. Każdy dzień był taki radosny swym spokojem. Ranek przy stadach pasących się w bujnej trawie u stóp sinych skał; potem powrót do obozu wśród wesołego nawoływania wybiegających na powitanie pasterzy dzieci i kobiet; radosna zabawa z synami, mądre rozmowy z Raguelem, a wreszcie ramiona Sefory, zawsze tak samo dające radość, pewność, ukojenie. Po bujnej młodości, która dała mu zaznać i władzy, i zadowolenia z rozkazywania, i upajających podróży lądami i morzem, po dniach, kiedy zostały przed nim odkryte tajemnice świata — dobrze było zakosztować zwyczajnie ludzkiego, a w swej zwyczajności aż niezwykłego szczęścia. „Niczego już innego nie pragnę w życiu” — myślał, budząc się w nocy, czując przytulone do siebie ciało, bliskie mu jak własne. I po jednej z takich nocy odszedł ze stadami na pastwisko. Chłopcy–pasterze rozegnali zwierzęta w różne strony, on zaś siedząc na rozścielonej derze, na wysokim zbocz, z uśmiechem doglądał ich pracy i snuł pogodne myśli. Na przeciwległym wzgórzu, tuż za małym potoczkiem, rósł krzak. Przypadkowo skierowawszy na niego wzrok spostrzegł, że krzak ten płonie. Nie zdziwił się: pasterze mogli pod nim zostawić nie zgaszone ognisko, które rozżarzywszy się ogarnęło krzew płomieniem. Powrócił do swych myśli. Ale gdy podniósł znowu głowę, zobaczył, że krzak płonie dalej; pali się lecz się nie spala. Mozisa ogarnęło zdumienie. Wstał z dery, zeszedł w dół potoku, a potem zaczął się wspinać zboczem w górę. I wtedy nagle posłyszał głos... Może zresztą ten głos odezwał się w nim samym? Lecz zabrzmiał tak wyraźnie, że Mozis ani wówczas, ani potem nie potrafiłby zwątpić w jego prawdziwość. Ten głos rzekł: „Mozisie, zdejmn sandały, bo ziemia, po której stąpasz, jest święta. Oto jestem tutaj, Ja, Bóg Abrahama, Izaaka, Jakuba, Amrama...”

Sto razy byłoby lepiej zwątpić w prawdziwość tego wydarzenia! A przecież zwątpić nie mógł. Wezwanie przychodziło nie tylko z zewnątrz, było ono także w nim. Zanim zabrzmiał głos z płonącego krzewu, Mozis słyszał go w tętnie swojej krwi — wtedy, gdy zabijał...

Powoli, z namysłem powiedział:

— Służę Mu, Seforo, gdyż muszę Mu służyć... On jest Bogiem prawdziwym.

— Bogów jest wielu...

— Bogów jest wielu — przyznał — ale On jest jeden i nad wszystkim.

— Dlaczego? — sprzeciwiła się. — Są przecież bogowie, którym oddają cześć mój ojciec i bracia. Oni także rządzą światem. Wielu jest bogów tu w Mikraim. W każdej świątyni, w każdym mieście...

Potrząsnął tylko głową. Jak wyłożyć tej Madianitce to, o czym rozmyślał z kapłanami w świątyni On w noc pełne gwiazd, o czym mówił z mądrą „matką” Haczepsut, patrząc na jej delikatną, aż prawie dziecienną twarz, lekko wyciągniętą ku przodowi niby pyszczek lisa, z ostrym nosem nad wywiniętymi wargami i z czołem ukrytym pod męskim zawojem? Sefora gotowa jest wierzyć w boskość każdego stworu z psią, szakalą, gęsią czy sępią głową na ramionach. Nie nauczył jej niczego, nie myślał nawet, aby jej czegoś nauczyć w ciągu tamtych lat. Pamiętał tylko o jednym: że uszedł wezwaniu i chce być szczęśliwy swym spokojem.

— On jest jeden... — powtórzył po chwili.

Kobieta zaniósła się żalonym szlochem.

— On jest zazdrosny... — mówiła wśród płaczu.

— „Sefora ma słuszość” — myślał — On jest zawistny i zazdrosny. Groźnie domaga się od człowieka uznania swej władzy. A kiedy chce, aby Mu służono, przychodzi do człowieka i zgniata jego szczęście, jakby było ono kruchym, przezroczystym naczyniem wyrabianym w nieznaną sposób przez rzemieślników Keftiu. Nie można się Mu opierać. Nie można chcieć inaczej, niż On chce. Jest straszny i niewyczerpany w swych żądaniach. Lecz wydało się Mozisowi, że choć potrafi grozić i przymuszać, łamać i karać, odkrywa przecież jakąś nieznaną swoją cechę... Bezwzględny, zawistny, zazdrosny, gniewny, porywczy, zgadza się przecież czekać. Czekać na człowieka... Przemówił do niego — gdy był chłopcem — słowami starej pieśni, którą Mozis wyssał z mlekiem piersi mamki, pieśni, co brzmiała jak stary hymn. Kazał mu użyć miecza, by ocalić człowieka z ludu, do którego Mozis należał, lecz wśród którego nigdy nie żył! Potem jakby wypuścił go ze Swej dłoni. Ale to było tylko złudzenie. Zapalił krzew i znowu zawołał do niego. Próżno Mozis wymawiał się. „Nie umiem mówić”. Głos odpowiedział niestępliwie: „Czy to nie Ja uczyniłem twoje usta?” Kazano mu wrócić do nieznanym, obcych braci. Wrócił posłusznie. Uczynił to, czego od niego

żądano. Tłumaczył swe myśli Aaronowi, ten zaś wypowiadał je gładkimi, wymownymi słowami. Lecz ciągle oczekiwał, że On zdejmie z niego w końcu swoją dłoń. „Uczynię — myślał — czego On chce, i odejdę. Do szczęścia...” Zamiast tego przyszedł znowu rozkaz i w myślach Mozisa wytworzyła się jakby ciemna luka. Nie wiedział, co ma teraz czynić i myśleć. Rosła w nim świadomość olbrzymiej mocy wezwania — bladła pamięć o cierpliwości Bożej. „Jahwe — myślał — jest Bogiem zawistnym, gniewnym, zazdrośnym. Wydawało mi się, że jest także Bogiem czekającym... Czy jest nim naprawdę?”

Kobieta płakała coraz żałośniej, coraz boleśniej. W końcu wolno, zgarbiona, odeszła. Pozostał sam pod księżycem, którego blask zdawał się ociekać, krwią. Pozostał sam w obliczu nowej próby. „Jak On każe postąpić teraz? — zastanawiał się. — Czy to możliwe, aby dał się zwyciężyć człowiekowi?” Lecz Bóg, któremu służył, był dziwnym Bogiem. On — zazdrośny i zawistny, On, który powiedział mu swe nowe, potężne imię, był przecież jakby mniej wszechmocny niż Adonaj Abrahama, Izaaka, Jakuba... Tamten nie czekał. Ten jednak czeka. Czekają... Nawet na wrogów...

Znowu ukląkł. Dotknął czołem ziemi. Tak leżał wtedy tam, na zboczu, przed płonącym krzewem. Tak czekał teraz na Czekającego.

Amenhotep obudził się gwałtownie. Siadł na posłaniu. Przez okno wdzierała się do królewskiej sypialni noc — ciszą i wonią odżywiających po dziennym skwarze liści — oraz blask księżyca, nie wiadomo dlaczego czerwony, jakby podeszły krwią. Plama drgającej purpury wędrując wzdłuż posadzki wczłogała się na posłanie. Teraz leżała na nagiej piersi faraona.

To ten blask musiał go obudzić. Tylko nie wiedział, dlaczego bije mu mocno serce. Musiał mieć jakiś męczący sen, z którego się wreszcie wyrwał. Niczego jednak nie mógł sobie przypomnieć; ciążyła na nim tylko zmora nieokreślonego przerażenia. Siedząc spoglądał kolejno na ściany pokryte malowidłami i na złoty posążek Amona stojący naprzeciw łoża. Bóg w postaci półnagiego szczupłego mężczyzny o czujnym spojrzeniu, z plecioną bródką opadającą na piersi, szedł niosąc w rękę tajemniczy klucz życia. Amenhotep gniewnie zmarszczył brwi. Grube, ale regularne rysy wielkiego Tutmozisa stały się na twarzy jego syna jeszcze grubsze; nad oczami ciążyły wydatne łuki brwi, pod nimi sterczał szeroki i rozdęty nos; duże, obwisłe usta wyginały się w pogardliwą podkowę. Leżąca obok kobieta obudziła

się także. Spozrzeglwszy, że faraon nie śpi, uniosła się na łokciu i wyciągnawszy lśniące ramię dotknęła pieśczośliwie bioder Amenhotepa. Ale on odepchnął jej rękę. Patrzył dalej na malowidła i na połyskujący posąg boga. Uczucie lęku nie ustępowało. Faraon zsunął nogi z posłania, postawił je na wyplatanej macie. Blask księżycy leżał teraz na jego sprężystych udach wojownika. Mięśnie przesuwwały się pod gładką skórą. Amenhotep lubił swe ciało i lubował się w sile swoich muskułów. Naprężając ramię myślał nie raz: „Ja także potrafię zwyciężać jak ojciec. Lepiej nawet.” Tutmozis, choć wielki zdobywca, sam nie potrafił walczyć. Był zbyt mały, przysadzisty, szybko tracił oddech. Natomiast Amenhotep namiętnie lubił walkę, zabijanie. Nie bez dumy wspominał o swym zwycięstwie nad siedmioma królami Dolnego Retenu „Pobiłem ich — rozmyślał teraz, jakby chciał tym wspomnieniem zabić zrodzony w sercu strach — i każdemu sam wykułem oczy. Zabrałem ich żony i każdą z nich posiadałem. Zdobyłem wiele koni, wozów, skarbów, przyjąłem hołd od ich miast. I jeżeli jeszcze raz tamci zbuntują się, pójdę i znowu ich zwyciężę. Na Amona, pójdę, jeszcze dalej: na Halpę, na Karkemysz, nad wielką płową rzekę Frat! Zgniotę ludy Nahariny i Mitanni. Pójdę dalej niż ojciec... Zwyciężę lud Hittim, choć on kocha się w wojnie i czci swego boga pod postacią miecza...”

Ale ani myśl o odniesionym zwycięstwie, ani marzenie o przyszłych podbojach nie uwolniły go od uczucia lęku. Niecierpliwie wstał z posłania. Opisał na biodrach wąską opaskę, na głowę włożył zawój zdobny srebrnym ureusem i podszedł do zasłony, która wisiała na drzwiach. Odchylił ją. Dwóch strażników czuwało, trzymając w rękach szerokie miecze w kształcie trójkąta. Stara gwardia Tutmozisa była wojskiem czujnym, nie tkniętym żadną słabością. Jednocześnie zwrócili ku faraonowi twarze o wywiniętych, mięsistych wargach. Błysnęły rogi na płaskich hełmach. Gdy minął ich, poszli za nim jak dwa posłuszne cienie. We trzech sunęli długimi korytarzami, wśród pokrytych malowidłami kolumn. Zaszurały ich stopy na wąskich schodach prowadzących w górę wieży. Amenhotep podniósł zasłonę, zaś żołnierze stanęli u drzwi w tej samej co poprzednio postawie, rozstawiając szeroko nogi.

— Useribie — powiedział faraon.

Zawołany podniósł głowę znad niskiego stołu zastawionego glinianymi i szklanymi naczyniami, założonego tabliczkami i zwojami papirusu. Był to kapłan o gładko wygolonej głowie i zwiotczącej twarzy. Ciężkie wory skóry zwisały mu pod oczami. W małej kwadratowej izbie nie było światła, stał

tylko metalowy trójnóg, a na nim płonęły błękitnym zwiewnym płomieniem drobne kawałki węgla, lekkiego i szeleszczącego. Blask bił od dołu, oświetlając długie wąskie wargi kapłana, lecz pozostawiając w mroku jego oczy i czoło. Na widok faraona Userib postąpił ku niemu. Nie wydawał się zdziwiony nocną wizytą. Spokojnie powiedział:

— Bądź zdrow i żyj wiecznie, Horusie. Czego chcesz?

Amenhotep usiadł na niskim fotelu o nogach w kształcie łap zwierzęcych. Rozparł się wygodnie, napiął, a potem zwolnił mięśnie ud. Kapłan stanął po drugiej stronie trójnoga. Uniósł dłonie i trzymał je nad ogniem. Poruszał palcami, jakby pragnąc, by ciepło przywróciło im ich sprawność. Czekał cierpliwie, aż się faraon odezwie. Ten jednak milczał długo, wpatrzony w migoczący płomień.

— Obudziłem się — powiedział wreszcie — z niezrozumiałym lękiem w sercu... Set otworzył mi nagle oczy...

Userib ze zrozumieniem przytaknął ruchem głowy.

— Tak bywa, Horusie. Ty spałeś, lecz twoja Ka uderzała się o twarde granice świata...

Amenhotep przysunął się wraz z fotelem bliżej ognia. Tu na wieży było dziwnie zimno i po jego nagim ciele przebiegały dreszcze.

— Księżyc świeci czerwono... — zauważył.

— Bóg Tot gniewa się.

— Dlaczego?

— Czyżbyś nie wiedział, Horusie?

— Powiedz!

Pochylił się nad ogniem ku faraonowi. Rzekł:

— Trędowaci podrażnili go...

Amenhotep spojrział na kapłana i zaraz przeniósł wzrok na tańczące płomyki. Zdawał się rozkoszować ciepłem, które biło na jego nagie kolana. Powiedział:

— Złożymy mu ofiarę... — Po małej chwili dodał: — Już go więcej nie podrażnią. Przegnałem ich.

— Wiem o tym, Horusie...

— Powiedziałem im, że jeżeli jeszcze raz ośmielą się przyjść do mnie, każę ich pozabijać. I wykonam to, na nieśmiertelną duszę mego ojca! Wykonam to!

— Czy pozwolisz, Horusie, że ci coś powiem? Byłoby lepiej, gdybyś tak uczynił od razu...

— Dlaczego? — faraon nie odrywał wzroku od pulsującego płomienia.

— Po cóż by mieli iść składać ofiary w świątyni, którą nie wiadomo komu postawiła grzeszna królowa? — mówił kapłan pochylony nad płomieniem. — Ten Mozis to niebezpieczny wróż...

— To prawda: potrafi czynić rzeczy cudowne. Ale język mu się płacze. — Amenhotep wysunął pogardliwie dolną wargę. — Wasi wróżbici umieli czynić prawie to samo, co i on.

— Język mu się płacze i jego cuda nie są czymś niezwykłym — przyznał Userib. — Lecz ty, Horusie, jesteś młody i nie pamiętasz może, kim był ten Mozis za życia królowej Haczepsut — niech jej imię będzie na wieki przekłete i zapomniane!

— Kim był? Nazywała go swoim synem... Czyżbyś sądził...?

— Nie, nie — zaprzeczył Userib. — Nie to... — Pochylił się, zaczerpnął z kosza garść szeleszczących czarnych kołeczków i rzucił je na trójnog. Ogień zatrzeszczał i buchnął większym żarem. Znowu podniósł swe sztywne dłonie i trzymał je nad płomieniem. Podjął. — Królowa, Horusie, nazywała go swoim synem... Znalazła go gdzieś nad rzeką. Nie dała go zabić, choć powinien był być utopiony. Wychowywała go. Kochała go... To było bardzo niebezpieczne. Gdyby twój ojciec, Horusie, nie położył w porę kresu temu szaleństwu, nie wiadomo, czego bylibyśmy dożyli... Haczepsut uczyniła go wodzem. Dała mu w ręce siłę, ale jeszcze wcześniej posłała go na naukę do kapłanów Atona–Ra...

— Lecz przecież on jest Izraelczykiem.

— Istniały niegdyś dziwne powiązania między kapłanami z On a tym wstrętnym ludem, który wkrał się do ziemi Kemet korzystając z łaski hyksoskich najeźdźców. Przypomnę ci, Horusie, że Hyksosi, którzy zniszczyli tak wiele naszych świątyń, pozwolili przecież żyć kapłanom Atona. Ów Józef Izraelita, o którym mówią stare zapiski, że był wszechwładny u faraona, ożenił się z córką arcykapłana z On.

— Sądzisz więc, że Mozis i oni...?

— Spiskowali. Tak było, Horusie — przytaknął stanowczo. — Nie myślę się.

— Lecz w takim razie najlepiej uwolnić się od tych spisków, usuwając od nas ten lud azjatycki. Niech sobie idą, nie tylko do Serabit, ale w ogóle precz! Nie potrzebujemy ich! Gdy wyruszę na wyprawę, przypędzę dość niewolników, by miał kto pracować przy zniszczonych świątyniach.

Userib pochylił się znowu poprzez ogień płonący na trójnogu.

— Pozwól sobie powiedzieć, Horusie — rzekł — że jeżeli oni pójdą do ziemi, z której przyszli, wyrosną tam w naród, który kiedyś stanie się dla nas niebezpieczeństwem... Groźnym niebezpieczeństwem...

Zamyśloną twarz Amenhotepa rozjaśnił śmiech. Rozstawiwszy szeroko nogi i rozparłszy się w fotelu faraon chichotał przez jakiś czas pogardliwie.

— Kpisz! — zawołał. — Tam w Amarru są Filistyni, Amalekici, Ammonici, Moabici, Jebujejczycy, Hewejczycy. Sto narodów małych, lecz kąśliwych jak skorpiony. Zwyciężamy je, a oni wciąż się na nowo buntują. Niech tylko Izraelczycy wejdą tam, natychmiast jak we lwa, który wpadł do pułapki, wbiją się w nich oszcypy tamtych. Nie ujdą z życiem. Możemy ich puścić. Bez naszej pomocy nie zdołają nigdzie żyć!

Kapłan skrzyżował ręce na piersi. Nie śmiał się. Blask ognia pełgał po jego obwisłych policzkach, które zdawały się drgać, jakby poruszane hamowanym gniewem.

— Łatwo jest, Horusie — powiedział — zabić lwa w pułapce. Ale trudno jest zabić szczura. Szczur zawsze zdoła się wymknąć...

Faraon lekceważąco poruszył swymi potężnymi ramionami.

— Gdyby nawet uszli tamtym — rzekł wykrzywiając usta — ja, gdy tylko zechcę, zawsze ich dostanę w swoje ręce i wyduszę jak robactwo.

— Wszy, boski Horusie, jeszcze łatwiej jest niż szczurowi wyśliznąć się spomiędzy palców — nieustępliwie oponował Userib. — Twój dziad miał dosyć tych trędowatych. Kazał zabijać każde ich nowo narodzone dziecko. A przecież jego własna córka ocalała jedno. Jedno jedyne! — krzyknął z nagłą pasją w głosie. — I właśnie on...!

Znowu wyciągnął dłonie nad ogniem, jakby odprawiał tajemniczą ofiarę. Blask ślizgał się po jego lnianej szacie, padał na twarz uwydatniając zarys energicznego nosa o pięknym, delikatnym wykoju. Mówiono kiedyś Amenhotepowi, że Userib jest potomkiem dawnego farańskiego rodu, który zo-

stał zwyciężony i wymordowany przez Hyksosów. Ale gdy go kiedyś o to zapytał, kapłan odpowiedział mu tylko zagadkowym uśmiechem.

— Zapora trzyma rzekę — podjął kapłan już bez podniecenia w głosie — lecz kropla wody, która dostanie się w szparę, draży kamień i potrafi całą zapory rozkruszyć. Słuchaj, Horusie... — Pokorny ton głosu Useriba zmienił się. Mówił teraz grzecznie, ale stanowczo, jak nauczyciel do ucznia. — Wy, książęta No, jesteście dzielni, ale młodzi. Uczyniliście kraj potężnym, lecz są rzeczy, których trzeba się wam jeszcze nauczyć. Tajemnica władania wielu ludami opiera się na sztuce rządzenia bogami. Każdy chce mieć swego boga. Niech go sobie ma. Nie będziesz przecież kazał czcić cię-lom Baalów i Kamosów czcić boskiej Izydy. Lecz bogów można kojarzyć ze sobą. Niech Baal zapłodni Izydę — jej syn będzie musiał być Horusem. W tym się zawiera mądrość doświadczonych władców. Tylko barbarzyńca obala cudzych bogów, a na ich miejsce stawia swoich. Lecz trędowaci, choć są barbarzyńcami i choć ich wiara jest wiarą barbarzyńców...

Głos kapłana zawisł w przestrzeni. Mocno zmarszczywszy brwi Userib patrzył w ogień. Amenhotep poruszył się, jakby się ocknął z uśpienia. Zapytał:

— Choć są nimi — to co? Dokończ, nauczycielu faraona.

Kapłan najprzód jedną, potem drugą dłoń przesunął płasko i szybko tuż nad ogniem.

— Każda wiara barbarzyńska rodzi wojny... Kapłani z On wiedzą o tym, a przecież igrają z niebezpieczeństwem.

— Och, oni chcą tylko sławy i bogactw dla swej Świątyni.

— Nie tylko, Horusie, nie tylko. Jesteś młody i dzielny jak buhaj, ale nie dostrzegasz pewnych rzeczy. Nazywamy tamtych trędowatymi, bo są wstrętni jak trąd. Lecz pod tym trądem kryje się ich tajemnica. Jeżeli oni swój trąd zanoszą tam, za pustynię, zarażą nim...

Faraon przesunął się jeszcze bliżej do ognia. Splótł dłonie na tyle głowy, przeciągnął się cały, napiął wszystkie mięśnie.

— Więc sądzisz, Useribie, że lepiej, aby zarażali nas? — zapytał. Czerwony blask drgał na gładkich, bezwłosych tydkach.

Kapłan nie odpowiedział od razu. Stojąc wciąż przy trójnogu i grzejąc dłonie nad żarem zdawał się patrzeć uważnie na faraona rozpartego w fotelu. Potem rzekł:

— Nas nie zarażą...

— Czemu?

— My wiemy, co ma robić człowiek, by o swym trądzie zapomniał...

— Chcesz powiedzieć, że umiemy leczyć trąd?

— Nie. Trądu nikt nie wyleczył i nie wyleczy. Dlatego wszyscy są chorzy. Nawet bogowie. Świat składa się z samych trędowatych. Ale jeden o tym wie, a drugi zapomniał. Nauczyć ludzi zapominać — to nimi rządzić, Horusie. Tej sztuki powinienes się nauczyć.

Faraon zaśmiał się sucho.

— Nie uczyłeś mnie tego nigdy dotąd — powiedział.

— Nie było ci to potrzebne, Horusie. Lecz dziś ci to mówię...

Ogień na trójnogu przygasł, gdyż kapłan od dawna nie dorzucał do niego czarnych patyczków. Im bardziej blask jego ciemniał, tym jaśniej odcinała się na posadzce plama księżycowej poświaty.

— Jeżeli znowu przyjdą — powiedział w zamyśleniu Amenhotep — każę ich pozabijać...

— Byłoby lepiej, gdybyś pozabijał ich przywódców, Horusie — rzucił z nienawiścią kapłan. — Z nimi trzeba tak: jednych głaskać, drugich miażdżyć. Wtedy są nieszkodliwi. Wtedy ich lud musi dla nas pracować, a reszta staje się podobna do innych ludzi w twoim królestwie...

— Tak będzie. Jednych pozabijam, innych zmuszę do pracy. Lecz jeżeli ten Mozis spróbuje znów jakiegoś czaru? — zapytał zwracając się nagle ku kapłanowi.

— Jego czary przychodziły i odchodziły... — odpowiedział Userib.

— I pewny jesteś, że nie będzie czaru, który nie odejdzie?

— Prawa świata są trwałe. Uchylają się na chwilę jak naciągnięta struna i znowu powracają...

— I nic ich nie zmieni?

Userib uśmiechnął się swym zagadkowym uśmiechem.

— Cóż może je zmienić? I po co?

Amenhotep nie zapytał już o nic więcej. Jeszcze raz przeciągnął się, a potem wstał ze swego fotela. Bez słowa skinął ręką kapłanowi i wyszedł. Straż ruszyła zaraz za nim. Schodzili schodami w dół, potem podążyli kory-

tarzem. Ale zamiast iść do swej sypialni, Amenhotep skreślił w inną stronę pałacu. Znowu były drzwi, zaś przed nimi stało dwóch innych strażników w hełmach z rogami. Minał ich, wszedł do środka. W wielkiej sali panował półmrok; tylko mała lampka oliwna paliła się przy drzwiach. Faraon zanurzał się coraz dalej w głąb komnaty. Przystąpił posłanie, z którego zerwała się kobieta. Dał jej ręką znak, by się nie ruszała. W środku sali, na małym wzniesieniu, na które wstępowało się po trzech stopniach, stało łóżko. Drżały nad nim wachlarze ze strusich piór; nad samą głową śpiącego, na gładkim drągu, zwisały niby barwne festony niezliczone amulety.

Pochylił się nad posłaniem. Dziecko spało z rozchylonymi wargami przypominającymi otwarty pyszczyk ryby. Długie rzęsy leżały na smagłych policzkach. Zamknięta w piąstkę dłoń tuliła się do twarzy. Obok dziecka na posłaniu leżały zabawki: miecz wycięty z drzewa, bat, łuk i oszczep.

Amenhotep długo patrzył na śpiącego chłopca. Z brzydkiej, kościstej twarzy faraona opadł na chwilę wyraz dumy i pogardy. To był jego pierworodny i jedyny syn. Twardy i okrutny, rozkochany w krwawych walkach władca dla tej jedynej istoty miał czułe serce. Oparłszy się kolanem o łóżko, nie przestawał przyglądać się chłopcu.

A potem cicho wyszedł z sali. W towarzystwie milczących strażników wrócił do swej sypialni. Jednak nawet doświadczone w miłosnej sztuce dłonie czekającej na niego kobiety nie uwolniły go od czającego się w nim ciągle lęku.

Ranek był jeszcze wczesny, gdy zawołani przez służbę Naasona książęta zasiedli na matach wokoło głównej izby domu księcia rodu Judy. Byli wszyscy: Elisur z rodu Rubena, Salamiel — z Symeona, Natanael — z Izachara, Eliab — z Zabulona, Elisam — z Efraima, Gamaliel — z Beniamina, Ahiezer — z Dana, Fegiel — z Asera, Eliasaf — z Gada i Kore — z Lewiego. Obudzeni wcześniej i nagle sprowadzeni do domu Naasona mężczyźni mrugali jeszcze sennie oczami i pochylając się ku sobie pytali, co to za ważna sprawa kazała im się tu zebrać tak pośpiesznie. Służba tymczasem wniosła wodę z miodem, placki jęczmieńne, sałatę z czosnku oraz owoce. Gdy zjedzono, synowie Naasona przynieśli miskę i dzban z wodą do opłukania palców.

Wbrew zwyczajowi, który nakazywał bawić gości długo obojętną rozmową, zanim się rozpocznie omawiać z nimi poważną sprawę, Naason za-

raz, gdy tylko przybyli obmyli ręce, począł wyjaśniać, dlaczego zaprosił ich do siebie o tak wczesnej porze. Rzecz wymaga szybkiej, ale i rozważnej decyzji — mówił. Wczoraj on, Naason wraz z obecnym tu Fegielem, a także z Mozisem i Aaronem był u faraona. Po raz dziesiąty prosili go, by puścił lud złożyć ofiarę. Lecz faraon znowu odmówił. Nawet więcej — był bardzo surowy i zapowiedział, że jeżeli jeszcze raz ośmielą się przyjść, każe ich pozabijać. Naason usłyszawszy to wrócił natychmiast, jeszcze tego samego wieczoru, do Gessen, zdecydowany uważać sprawę za ostatecznie przegraną. Sądził i nadal sądzi, że dalsze naciskanie na faraona po tak kategorycznej odmowie może tylko ściągnąć na nich nieszczęście. Zresztą nawet sam Mozis wydawał się złamany i nie umiał po opuszczeniu pałacu powiedzieć nic pocieszającego. Tak więc Naason powrócił. Ale Fegiel pozostał do następnego ranka w gospodzie. Otóż w środku nocy przybiegł do niego jeden z chłopców Mozisa wzywając go spieszenie do ojca. O tym, co usłyszał od nabiego, niech sam powie.

Głowy siedzących zwróciły się w stronę syna Ochra. Ten, zanim się odezwał, powoli gładził swą brodę, jakby zbierał myśli i zastanawiał się nad słowami, w jakie ma ubrać przywiezioną nowinę.

— Słuchajcie pilnie, bracia — powiedział wreszcie. — Słuchajcie i rozważajcie od razu w sercach waszych, sprawa bowiem jest doprawdy niezwykła. Rok temu, jak pamiętacie, zjawił się między nami Aaron syn Amrama z domu Lewi i powiedział nam, że jego brat, o którego imieniu dawno zapomnieliśmy, przebywając na pustyni madianickiej miał widzenie. Ujrzał w płonącym krzewie Wszechmocnego, który kazał mu wrócić do naszego ludu i wyprowadzić go z ziemi Mikraim do ziemi danej niegdyś naszym ojcom. Wysłuchaliśmy słów Aarona, a potem jakaniny jego brata. Nie przekonaliśmy nas słowami, uczynił jednak cuda, które sprawiły, żeśmy mu uwierzyli...

Przerwał i chrząknięciem przeczyścił gardło. Kiwali głowami. Ten i tamten zanurzył rękę w zanadrze i szybko ją z powrotem wyjął spoglądając na nią nie bez lęku, jakby się obawiał, że powtórzy się ów groźny cud.

— Tym cudom — podjął Fegiel — nie tylko my uwierzyliśmy. Gdy Mozis i Aaron udali się do faraona z prośbą, aby pozwolił ludowi złożyć ofiarę w świątyni królowej Haczepsut — taki bowiem podstęp wymyślił Mozis, by wyprowadzić lud z ziemi Mikraim, a nam się wydał on rozsądny — faraon, widząc, jak Mozis dzielnie walczy swymi cudami z cudami kapłanów boga Amona, zgodził się na tę prośbę. Ale ledwie wyraził zgodę, już się co-

fnął. Wtedy Mozis zaczął przepowiadać rozmaite klęski, jakie miały spaść na ziemię Mikraim, one zaś sprawdzały się zawsze. Po każdej klęsce faraon ustępował, potem jednak znowu się cofał, a cofając się obarczał nasz lud jeszcze większymi ciężarami...

Zatrzymał się na chwilę. Znowu parę razy chrząknął. Ciągnął dalej:

— Od czasów faraona Ahmesa lud izraelski cierpi boleśnie. Prawa i przywileje, jakimi obdarzyli naszych ojców faraonowie—pasterze, poszły w niepamięć. A za życzliwość, jaką nam tamci władcy okazywali, jesteśmy znienawidzeni i krzywdzeni. Odpędzono nas od dworu, od urzędów, utrudnia się nam handel. My, zwierzchnicy rodów, cośmy mieli wiele — mamy teraz mało. Ci, co nie mieli wiele — nie mają nic... Lud faraon zabrał w niewolę. Uciemieża go pracami nad siły. Bywało wprawdzie źle. Ale nigdy nie było tak źle, jak jest teraz, po dziewięciu klęskach przepowiedzianych, a jak powiadają ludzie Mikraim — ściągniętych przez Mozisa...

Uniósł dłonie nad głową i trzymał je przez chwilę w dramatycznym geście. Potem pozwolił im opaść. Sięgnął po kubek, powoli pił wodę zmieszaną z miodem. Książęta spoglądali po sobie, kiwali głowami, coś do siebie cicho szeptali. Nikt się jednak nie odezwał. Czekano, aż Fegiel skończy.

— Lud cierpi gorzej, niż cierpiał kiedykolwiek — podjął na nowo. — Nasze starania nie przyniosły mu nic. Przeciwnie, postawiły go w obliczu zagłady. Jeżeli faraon nie zelży ucisku, cały lud wyginie. To trzeba sobie powiedzieć otwarcie: wyginie na pewno. Rozum nakazywałby nie myśleć już o żadnych wyprawach, a jedynie starać się, by tamtych ocalić przed zagładą. Zamiast tego Mozis...

Zerwały się niecierpliwe głosy:

— Co zamiast tego? Co Mozis? Co znowu powiedział Mozis?

— Uciszcie się i słuchajcie! — gestem i tonem głosu Fegiel zapanował nad zgiefkiem. — Słuchajcie! Mozis wezwał mnie w nocy. Wstałem i przyszedłem. Księżyc świecił czerwono, jak świeci ostatnio; w mroku czaiła się groza. Nabi stał w ogrodzie przy ławie, w tym samym miejscu, gdzie zostawiliśmy go. Ledwie mnie zobaczył, zaczął mówić. Nie, nie mówić, krzyzczeć. Nie było Aarona, nie mogłem zrozumieć jego bełkotu. Lecz powtarzał wciąż to samo, więc w końcu pojąłem. Słuchajcie! On mówił tak: „Teraz faraon puści lud izraelski na pewno, ponieważ Jahwe przejdzie nocą przez ziemię Mikraim i nie zostawi żywym żadnego pierworodnego...”

— O Adonaj! — krzyknęli pełni przerażenia i grozy.

— U nas, jak zapewniał Mozis, nie zginie nikt, ponieważ Izrael jest pierworodnym Pańskim. Musimy być jednak gotowi na tę chwilę, bo gdy się stanie, będziemy mogli wyjść. Powiedział: „Niech każda z waszych kobiet wyprosi, od sąsiadki przedmioty ze złota albo ze srebra. Złoto i srebro będzie potrzebne. A czternastego dnia wieczorem zbierzcie się rodzinami na ucztę. Przyjdźcie na nią gotowi jak do drogi: w sandałach, w płaszczach, z kijami w rękach. Jeść będziecie baranka rocznego, czystego, upieczonego w całości, z kośćmi nie połamanymi. Spożywać go będziecie spieszenie, tej bowiem nocy Jahwe przejdzie przez ziemię Mikraim i zabije wszystkich pierworodnych. Lecz tam, gdzie próg domu skropiony będzie krwią baranka, nie zginie nikt...” Tak powiedział Mozis i zaraz kazał mi jechać, aby wam to powtórzyć.

Zapadła grobowa cisza. Ktoś tylko powiedział półgłosem: „straszne!”, jakby przerażeni tym okrzykiem księżęta podnieśli poły swoich płaszczy i zarzucili je sobie na głowy. Siedząc wkoło na matach kiwali się całym ciałem, niby oplakując śmierć swoich bliskich. Trwało to długo.

Wreszcie pierwszy zabrał głos Elisam: — Niepokojącą wieść przywiózł nam Fegiel. Niepokojącą... Oto Mozis wieści nową klęskę, straszniejszą niż wszystkie poprzednie. Obiecuje, że faraon teraz ustąpi. Oby tak się stało! Ale co będzie, bracia, jeżeli i teraz uprze się i zamiast puścić lud, uciśnie go jeszcze bardziej?

Płaszcze opadły, wyjrzały spod nich zatroskane twarze. Oczy zebranych zwróciły się ku mówiącemu.

— Syn Amiuda wypowiedział myśl, która trawi nas wszystkich — rzekł Elisur.

— Tak, tego właśnie lękamy się — dodał Abidam.

— Lecz czy możemy się cofnąć? — zapytał Kore.

Skierowali teraz spojrzenia ku niemu. Szeroko rozgałęziony ród Lewiego nie miał od dłuższego czasu jednego zwierzchnika. Poszczególne rody Gersona, Kaata, Merariego wiodły ze sobą spory o pierwszeństwo. Dopiero ostatnio energiczny i ambitny Kore syn Izaara wysunął się na czoło innych księży i zaczął być traktowany jako głowa domu Lewi. Kore umiał przemawiać, umiał także czuć wśród swoich nad kultem Boga ojców. Zebrani czekali z zaciekawieniem na to, co im powie.

— Czy możemy się cofnąć? — powtórzył. Wiedział, że oczekują od niego wyjaśnienia tych słów. Nie śpieszył się jednak, by to uczynić. Utrzymy-

wał ich w napięciu. — Sprawa jest trudna — podjął. — Powiedział Fegiel, że lud tak dalej żyć nie może, że zginie. To prawda. Lecz on już ginie! Wśród tych, co pracują w cegielniach faraona, więcej ludzi umiera, niż się rodzi. Nie trzeba wielu lat, aby wszyscy wymarli. Ani się spostrzeżemy, jak puste staną budy w Pa-Tum. A gdy tamci wymrą, kto zostanie w Izraelu? Tych, którzy wykupili się, jest garstka... Rody są nieliczne... Nie mają wielu synów... Co będzie wtedy?

— I co będzie — zawołał nagle Abidam — gdy faraon każe wówczas zapędzić nas do lepienia cegieł?

Cisza, jaka zapanowała po tym okrzyku, była jeszcze bardziej głucha niż poprzednio. Zdawało się, że zebrani przestali oddychać. Oczy płonęły niespokojnie. Ludzie spoglądali z trwogą jedni na drugich. Wśród tego milczenia zabrzmiał chwiejny i drżący głos Gamaliela:

— Dlaczego miałby nas zapędzić do tej pracy? Czyż mu brak niewolników? A gdy zechce, przygna ich sobie tysiącami z podbitych krajów.

Lecz słuchający pokręcili głowami.

— Faraon — rzekł ponuro Ahir — mścić się zechce za klęski, które spadły na kraj. I gdy raz zaczął uciemiezać Izraela, będzie go uciemieżał do końca...

Cisza brzemienne trwogą powróciła.

— Gdyby Naason i Fegiel nie byli prosili faraona za ludem... — zaczął Abidam płaczliwie.

— Tak — przyznał Ahir — gdyby nie byli występowali przed faraonem w imieniu całego Izraela, moglibyśmy powiedzieć: nic nas nie łączy z tamtymi, niech oni giną. Ale tak...

— Dlaczego oni to zrobili?! — krzyknął ktoś.

— Dlaczego? Po co?

Wiele oczu utkwionych było w Naasonie i Fegielu. Obaj książęta poczuli się nieswojo. Naason rzucił rozdrażniony:

— Przecież sami chcieliście, abyśmy szli prosić...

— Nie uczyniliśmy tego z siebie, zrobiliśmy to tylko, co postanowiła zrobić cała rada książąt — bronił się Fegiel.

— Oczywiście, oczywiście — Elisur wszedł w rolę przedstawiciela najstarszego z rodów. — Wszyscy postanowiliśmy, aby Naason i Fegiel szli razem z Mozisem prosić faraona.

— Więc po cośmy to zrobili? — znowu zawołał ten sam płaczący głos.

— Musieliśmy tak uczynić — rzekł Natanael. — Tamci są przecież naszymi braćmi. Nie mogliśmy ich opuścić.

— Wszyscy ludzie rodzą się z tego samego ojca Adama, nie wszyscy są jednak naszymi braćmi — zauważył Salamiel.

Jedni potakiwali ruchem głów, inni trzęśli nimi przecząco.

— Lecz jest prawdą — odezwał się na nowo Kore — że lud, który pracuje w Pa-Tum, to nasi bracia.

— Co nas z nimi łączy? — Salamiel gniewnie wzruszył ramionami.

— Żyją w upodleniu, są brudni, skłócenii ze sobą, wrody dla nas...

— Ciekaw jestem, czy będziemy inni, gdy przyjdzie nam lepić cegły pod batami! — zawołał Abidam.

— Nie mów tak! Nie mów tego! — zakrzyczeli go wszyscy. — Jeszcze sprowadzisz nieszczęście...

— Nie trzeba się było ujmować za nimi...

— Po cośmy się ujmowali?

— Po co ten Mozis przychodził? Skąd on się wziął?

— Trzeba mu było powiedzieć, aby sam gadał z faraonem. A my powinniśmy byli wysłać ofiarę do świątyni w No... Wielką ofiarę...

Natanael przetarł swe brzydkie, zaropiałe oczy wierzchem dłoni. Wyciągnąwszy szyję podrapał się w nią.

— A jednak oni są naszymi braćmi — powiedział. — Pochodzimy od ojca Jakuba...

— Posiadamy tego samego Boga — pośpiesznie dodał Kore.

Salamiel wzruszył ramionami.

— Od czasu Jakuba upłynęło wiele, wiele lat — rzekł. — Rody rozmnożyły się. Choć nawoływało się, by mężczyźni brali żony z własnego ludu, łączyli się oni nieraz z tutejszymi kobietami... Nie jesteśmy już małym plemieniem, które przyszło niegdyś do ziemi Mikraim. A wiara? — Znowu wzruszył ramionami. — Wiara naszych ojców była wiarą dzikiego ludu.

Wiarą w bogów, których nikt nie umiał wyrzeźbić ani zbudować im świątyni.

— Nie w bogów! W Boga! — przerwał mu Kore. — Nasi ojcowie mieli tylko jednego Boga.

Ale Salamiel nie ustąpił.

— Co my wiemy o Nim? Nazywamy Go Elohim, to znaczy „bogowie”. Nie wiemy, jak wygląda, nie znamy Jego imienia! Skąd pewność, że On jest jeden? Któryż lud ma jednego tylko boga? Niewiele zostawili nam o Nim nasi ojcowie. Słyszeliśmy, że zawarł z Abrahamem przymierze i obiecał, że uczyni jego ród wielkim narodem. Kazał Siebie czcić, składać Sobie ofiary, święcić dzień księżycowy. I nie pozwolił Siebie ani rzeźbić, ani malować... To wszystko. A co z tego zostało? Jedni wierzą, że nasz Bóg to Tot, drudzy, że Ozyrys, jeszcze inni, że bogini Sachmet... Ofiar Mu nie składamy, bo się boimy, że za zabijanie krów czy owiec będziemy sami zabici przez ludzi Mikraim. Znakiem przymierza było obrzezanie. Ale w tutejszej ziemi mężczyźni obrzezują się także i to wcale nie dla bogów, ale dlatego, że to ich czyni płodniejszymi i wzmacnia rozkosz. Więc i u nas nie obrzezują się teraz dzieci, obrzezują się tylko dorośli. Gdy całe miasto składa ofiarę, my, żeby się nie wyróżniać, także ją niesiemy...

— Składamy ją, bo musimy — zawołał Kore. — Pamiętamy jednak, że bogowie Mikraim nie są naszym Bogiem!

Rozejrzał się po zebranych. Jedni kiwali głowami, inni drapali się po włosach lub po brodzie, wyraźnie nie wiedząc, co mają powiedzieć.

— Czy jednak przekonanie, że nasz Bóg nie jest bogiem Mikraim, ma nas i tamtych z cegielni czynić jednym ludem? — zapytał Eliab.

— Jesteśmy jednym ludem!

— Nie, nie jesteśmy!

— Może byliśmy nim kiedyś. Ale dziś...

— Niegdyś — podjął Kore — synowie Jakuba sprzedali swego brata Józefa. To był wielki grzech...

— Lecz przez Józefa — przerwał mu Salamiel — ród Jakuba ocalał. Przez tamtych może tylko zginąć.

— I zginie — dorzucił Ahir. — Mówię wam: gdy ludzie, którzy dziś lepią cegły, wyginą, faraon odbierze nam nasze bydło, ziemię i domy i zapędzi nas do roboty...

— Nie mów tak! — wołali znowu, plując gwałtownie przez ramię, by zła wróżba odeszła.

— Faraon jest bardzo rozgniewany — odezwał się Naason.

— Trzeba by go przebłagać... — podsunął Gamaliel.

— A co by było, gdyby sprawdziła się ta nowa klęska! — westchnął Abidam.

— Mikraim — zaczął Eliab — zniesie śmierć swoich pierworodnych. My nie zniesiemy nowego gniewu faraona.

— Więc co robić? Co robić? — zapytało kilka głosów.

Chwilę trwała cisza; potem posypały się wołania:

— Nie! nie! Dość prób! Żyjmy zwyczajnie i czekajmy. Może się coś odmieni w losie ludu...

— Może nie wymrą tak prędko, jak mówicie...

— Może wcale nie wymrą? Człowiek znieść może dużo. Do najcięższej pracy potrafi nawyknąć...

— Oni są silni i dzielni... Bardzo dzielni...

— Ale jeżeli nic się nie odmieni? — zapytał Natanael.

Odpowiedzieli mu krzykiem:

— Po co to mówisz!? Wszyscy zginiemy, jeżeli będziemy słuchali Moza!

— A kto wam powiedział, że już nie zginęliśmy? — odezwał się nagle Eliasaf. — Wiecie o tym dobrze, że nasze bogactwa zmały. Teraz wykupiśmy się od robót. Ale co będzie, jeśli faraon wymyśli nowe? Czy będziemy się mogli drugi raz wykupić? Dziś zarządcy nomosu wystarczyło nasze złoto. Ale jeżeli go jutro nie wystarczy, każe nas pognać do Pa-Tum...

— O, o, o... O, Adonaj! — zaczęło zawodzić kilka głosów. — Co robić? Co robić? — padały desperackie pytania.

— Dobrze. Eliasaf ma rację — powiedział Kore. Usta Lewity poruszały się energicznie wśród kudłatej brody. — Ale spójrzmy na całą sprawę z innej strony...

— Z jakiej? O czym chcesz powiedzieć?

— O najważniejszym — rzekł, ścisząc tajemniczo głos. Uspokoił ich zatoczywszy nad głową koło uniesioną ręką. Przesztano wołać i lamentować.

Zebrani utkwili wzrok w synu Izaara. — O najważniejszym — powtórzył. Nie śpieszył się i teraz z dalszymi słowami, skupiając coraz bardziej ich uwagę. — Gdy Aaron stanął przed nami i powiedział nam, że Bóg ojców naszych ukazał się Mozisowi, nazwawszy siebie nowym imieniem — uwierzyliśmy w to. Wierzimy w to dalej, czy też nie?

Nie odpowiedziano mu od razu, choć umilkł i czekał, by się odezwali. Książęta spoglądali jedni na drugich. Cisza przedłużała się. Ktoś wreszcie zapytał:

— Po co o to pytasz?

— Pytam — odpowiedział — bo to jest sprawa najważniejsza. Trzeba nam wiedzieć: czy wierzymy w to, że nasz Bóg odezwał się do Mozisa, czy też nie wierzymy?

— A jeżeli wierzymy? — dygocącym głosem zapytał Gamaliel.

Nikt więcej nie odezwał się. Niespokojny wzrok ludzi utkwiony był w Korem.

— Jeżeli wierzymy — podjął Lewita — to nie wolno nam być nieposłusznymi naszemu Bogu. Jeżeli to On przychodzi nam z ratunkiem, nie możemy odpychać Jego dłoni. Tak czy nie?

— Jesteś z rodu Lewiego, więc ufasz swoim! — rzucił Salamiel.

— A ty nie ufasz? — zapytał Kore. — Nie wierzysz już w to, w cośmy przed rokiem wszyscy uwierzyli?

Potomek Symeona spojrzął spode łba na tamtego. Poruszył ramionami.

— Nie wiem... — mruknął. — Ja Aarona ani Mozisa nie znam... Mów zresztą dalej.

— Mów dalej! —zawołano.

— Więc powiadasz, że skoro to Bóg nasz przychodzi nam w pomoc...

— Poczekajcie — odezwał się Fegiel. — Ja w to wierzę, że Mozis usłyszał głos Boga. Ale — uniósł palec — czy ten Bóg jest naszym Bogiem? Przecież Mozis nie był nigdy nasz. Nigdy nie żył z nami. Wychowała go królowa i kapłani z On... To oni nauczyli go robienia różnych cudów...

— Fegiel mówi mądrze! — krzyknął Abidam. — Może on usłyszał głos boga z On, a nie Boga Abrahama i Izaaka?

Siedzieli przygnębieni tymi wciąż pojawiającymi się wątpliwościami. Spoglądali po sobie i beznadziejnie kiwali głowami.

— Powiem wam coś, bracia — rzekł milczący dotąd Elisam. — Powiem wam myśl, która mi przysłała w tej chwili do głowy: A co będzie, jeżeli nie uczynimy tego, co nam Mozis powiedział, że mamy zrobić, a Jahwe przejdzie nocą przez Mikraim i zabije także naszych pierworodnych?

Siedzący w kole książęta wydali okrzyk niby psi skowyt. Kilku narzuciło płaszcze na głowy, inni pluli, jeszcze inni zaczęli wybijać spieszne błagalne pokłony.

— Nie możemy nie zrobić tego, co powiedział Mozis — krzyknął Ahiezer.

— Trzeba krwią baranka naznaczyć progi naszych domów!

— Nie możemy narzekać na śmierć naszych pierworodnych! — krzyczał Ahir. — To jest nasz ród!

Jedni wołali, inni siedzieli milcząc. Ale na wszystkich twarzach wahanie przeradzało się w strasliwą decyzję. Czuli: Bóg Mozisa, kimkolwiek był, zaprowadził ich na kraj przepaści i popychał w stronę urwiska. Żądał posłuszeństwa i oni musieli mu być posłuszni. Pochylał się nad nimi twardy, groźny, nieubłagany. Trzymał ich w swoich rękach, trzymając w nich życie ich dzieci — najcenniejszą rzecz, jaką posiada człowiek. Można płacić skarbami, dostatkiem, bydłem, żoną — nie płaci się dzieckiem. Zwłaszcza pierwsze dziecko, pierwszy syn — to był każdy z nich przeżywający swe tajemnicze odejście w ciemną zagadkę śmierci. Wprawdzie kiedyś Abraham ofiarował Wszehmocnemu Izaaka... Ta zawrotna ofiara żyła w tradycji ich rodu. Pamiętali o niej, wspominali o niej jako o wspaniałym, podziwu godnym wydarzeniu. Szczycili się nim. Lecz nigdy nie przychodziło im do głowy, aby to była rzecz możliwa do powtórzenia. Nie, nie — to mogło się zdarzyć kiedyś... Tak nie mogło być teraz!

I tak siedzieli skurczeni, przerażeni, z wybałuszonymi oczami, z kroplami potu na czole. Łaskawy dla ich ojców Adonaj okazał się bezwzględny w swych żądaniach. Zamiast przyjść i pomóc im dając większe bogactwa i znaczenie — wpychał ich w strasliwą przygodę groźbą zabicia synów. „Czy możemy Mu się przeciwstawić?” — myślało prawie jednocześnie trzynastu prawnuków Jakuba.

Tymczasem minęło południe. Z nieba spadał na ziemię skwar. Zeschnięta ziemia pękała i rozsypywała się w proch. Liście i trawy znów zwiędły. Ludzie leżeli bezsilnie w plamach cienia. Nil — Itraa — płynął leniwie wśród żółtych mielizn. Woda rzeki ziała zgnilizną. Niebo było czyste, tylko na za-

chodzie, nad pustynią, nawalał się ciężki mur obłoków. Żaden powiew nie poruszał powietrza. Wolno, prawie nie uderzając skrzydłami, leciał sęp niosąc w zakrzywionym dziobie krwawy ochłap.

Precz! — krzyknął chłop i rzucił kamieniem. Ale nie chciało mu się wstać, cisnął na ślepo; kamień nie doleciał nawet do dzieci. Mimo to rzuciły się do gwałtownej ucieczki. Nie zatrzymały się aż w głębi nawadniającego rowu, teraz wyschniętego. Były to trzy dziewczynki i dwóch chłopców.

— Co my teraz zrobimy...? — płakały dziewczynki. Młodszy chłopiec miał także ochotę płakać, ale popatrzawszy na starszego, który wychylony poza brzeg rowu śledził czujnie zachowanie człowieka leżącego pod drzewem, usiłował być również dzielny.

— Nie płaczcie — powiedział. — No, nie płaczcie. Hon znajdzie nam pole, na którym będziemy mogli zbierać słomę. Hon zaprowadzi nas...

— Zaprowadzę, nie mażcie się — rzekł starszy nie przestając patrzeć. — Przeklęty człowiek Mikraim nie rusza się. Możemy iść.

Posuwali się teraz rowem nie próbując wrócić na pole, którego pilnował Egipcjanin. Rów był suchy, pokryty na dnie skorupą spękanej gliny. Chłopcy szli przodem. Mały Zambri spoglądał z dumą na towarzysza. Hon był dzielny; bez niego nie ośmieliliby się odejść tak daleko od domu w poszukiwaniu słomy. Z tyłu za chłopcami dreptały dziewczynki. Pociągały jeszcze płaczkliwie nosami. Dwie z nich były siostrami, nazywały się Hegla i Tersa. Trzecia nosiła imię swej babki Miny i była córką Uriego.

Uszedłszy dość duży kawałek drogi dzieci zatrzymały się. Hon wychylił znowu głowę ponad rów. Bacznie rozejrzał się na wszystkie strony. Nie zobaczył nikogo. Jeszcze spoglądał chwilę, a potem dał znak.

— Prędko, prędko! Bierzcie się do roboty!

Dzieci wyskoczyły z rowu i rzuciły się na pole. Rozsypały się w sznur. Idąc zbierały gorączkowo do zawieszanej na szyi płachty kłosa i źdźbła słomy. Jednocześnie rzucały wokół siebie niespokojnym spojrzeniem. Ale choć biegały to tu, to tam, niewiele mogły uzbierać. Wicher, który dał przed kilku dniami nanosząc na kraj kłęby pustynnego pyłu, że aż nie było widać za nimi słońca, zmiótł także leżące na polu źdźbła. Ocalały te tylko, które żniwiarz pozostawił nie ścięte. Dzieci skacząc od słomki do słomki prze-

wędrowały ogromny szmat pola, a przecież niewiele uzbierały. Ogarnęło je natomiast zmęczenie. Długa droga, strach i upał wyssały z nich siły.

— Tak mi się chce pić... — skarżyła się płaczliwie Hegla.

— I mnie! — zawołała Mina. — Ojej, tak mnie bołą nogi. A nic nie zebrałam...

— Ojciec będzie bił — płakała Tera.

— Już nie mogę...

— Cicho! — syknął nagle Hon, a Zambri uderzył stojącą obok niego Minę pięścią w plecy.

Dziewczynki przerażone ucichły od razu i aż przysiadły ze strachu. Zmęczenie sprawiło, że dzieci przestały uważać i niepostrzeżenie znalazły się w pobliżu jakiegoś gospodarstwa. Dom stał w otoczeniu kilku drzew obok budynku gospodarczego, a wszystko było, otoczone niewysokim murem.

Hon dał młodszemu znak, aby były cicho, i powoli, na palcach przysunął się do muru. Wspiąwszy się zajrzał do środka zagrody. Na podwórzu nie było nikogo. Chciał cofnąć się, gdy nagle jakiś widok przykuł jego uwagę. Po przeciwnej stronie podwórza stał stóg ułożony ze słomy. Pokusa była wielka. Kilka kroków — i można było brać z niego pełnymi garściami, nie goniąc za pojedynczymi kłóskami po polu. Hon wahał się przez chwilę. Rozglądał się na wszystkie strony. Ale ludzi nie było; pewno spali znużeni południowym upałem. Żółty stóg kusił. Chłopiec jeszcze raz odwrócił się do towarzyszy i znowu położył palec na usta. Potem powoli, ostrożnie włożył stopę w szparę glinianego murku. Podbił się i usiadł na murze. Ciągle rozglądał się. Nic nie zdradzało niebezpieczeństwa. Zsunął się na przeciwną stronę. Prędko pobiegł ku stogowi. Ale kiedy już był przy nim, nagle wybuchło przeraźliwe szczekanie. Z płata cienia skoczył wielki płowy pies i rzucił się na chłopca.

Nie było możliwości wrócić na mur. Hon uskoczył pod ścianę budynku i zasłonił się podniesionym kijem. Pies usiłował wyminąć kij i dobrać się z boku do nagich łydek dziecka. Charczał ze złości i szczyrzył zęby. Hon oganiał się od niego kijem, świstał nim przed nosem psa. Ale zwierzę lekceważyło cienki patyk, przyskakiwało coraz bliżej, mocne i zawzięte. Ciągle ujadło. Oparty o ścianę Hon myślał ze strachem, że nie ujdzie jego zębom.

Nagle rozległ się głos ludzki. Ktoś zawołał na psa. Głos był cienki, Honowi wydał się głosem kobiecym. Nie mógł podnieść głowy, oderwać wzro-

ku od przyskakującego napastnika. Głos rozległ się znowu: zabrzmiał mocniej, rozkazująco. Pies cofnął się, zatoczył krąg. Obejrawszy się zawrócił jeszcze i skoczył z charkotem. Lecz głos osadził go w porę. Pies podbiegł do człowieka, który go wołał. Hon mógł teraz podnieść głowę i zobaczyć, kto go ocalił przed zębami zwierzęcia.

Ujrzał przed sobą chłopca w swoim wieku. Był nagi z wąską tylko przepaską na biodrach. Miał wypięty brzusek, pełne ramiona i pulchne dłonie. Czarne włosy lepiły się do czoła. Opanowawszy gniew psa i nakazawszy mu położyć się koło siebie, zapytał patrząc ciekawie na Hona:

— Kto ty jesteś? Skąd się tu wziąłeś?

Hon nie odpowiedział. Zezował w stronę muru, zastanawiając się, czy udałoby mu się uciec przed psem, gdyby szybko pobiegł. Pies jednak, choć leżał, patrzył na niego dalej czujnie. Egipski chłopiec postąpił nieco ku Honowi. Powtórzył:

— Kim jesteś? Jak tu wszedłeś?

Hon dalej milczał. Tłusty chłopiec przyglądał mu się uważnie. Wreszcie powiedział:

— Ty jesteś chyba z trędowatych?

Choć go nazwał tym obelżywym mianem, w głosie jego nie było złości. Hon zresztą był przyzwyczajony, że tak ich wszędzie nazywano. Bez słowa kiwnął głową. Mały Egipcjanin znowu podszedł bliżej. Wydawał się zaciekawiony. Nagle zarzucił Hona szybkimi pytaniami:

— Skąd się tu wziąłeś? Po coś przyszedł? Czego tu chcesz? Czemu nic nie mówisz?

Hon wzruszył ramionami. Burknął niechętnie:

— Przecież wiesz...

— Nie wiem. Czego chciałeś? — pytał chłopiec.

— Słomy... — rzucił.

— Słomy?

— No...

— Po co ci słoma?

— Pytasz, jakbyś nie wiedział. Dla ojca... Do lepienia cegieł...

— Aha — mały Egipcjanin kiwnął głową. — Już wiem. Ludzie opowiadali, że wy, trędowaci, zbieracie słomę po polach. Ale tu do nas nikt jeszcze od was nie przychodził. Wasze domy są daleko?

— Daleko — przyznał Hon.

— Zbierałeś słomę na polu? — pytał tamten.

— Zbierałem. Ale słomy nie ma. Wszystko wiatr zdmuchnął.

— To prawda — mały musiał być gadatliwy. — Wiatr był okropny. Nawiał tyle piasku z pustyni, że z dnia zrobiła się noc. — Znowu przyglądał się uważnie Honowi. — Powiadali ludzie — rzekł — że to wy zakłęście boga Seta, aby zesłał ten wiatr. Czy to prawda?

Hon spojrział nieufnie na tamtego. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Mruknął wymijająco:

— Faraon nie chce nas puścić, abyśmy szli na pustynię złożyć ofiarę naszemu Bogu...

— A dlaczego musicie iść na pustynię, aby ofiarować? Dlaczego nie możecie tutaj?

— Nasz Bóg tego chce.

— Ale dlaczego? Dziwny jest ten wasz Bóg. Naszym bogom składa się ofiary w świątyni, a świątyń jest wiele... Czy wasz Bóg nie ma świątyni?

Rozmowa ich stawała się zwolna zwykłą rozmową chłopców. Egipcjanin był niższy wzrostem, okrągły, o lśniącej skórze; Hon szczupły, czarny, z zapadniętą twarzą. Pies nie spuszczał ani na chwilę oczu z przybysza. Co pewien czas pocharkiwał groźnie.

— Leż! — zawołał Egipcjanin. — Jak się nazywasz? — zapytał Hona.

— Hon syn Mahalona...

— A ja Sezes syn Hnunihotepa. Jestem jego najstarszym synem — pochwalił się. — Rodzice kochają mnie bardzo. A mój ojciec jest dzierżawcą ziemi u szlachetnego pana Issi, rządcy nomosu. — Szybko zapytał: — Czy lubisz strzelać z łuku i bawić się w wojnę?

Hon niechętnie poruszył ramionami.

— Nie mam czasu myśleć o zabawie! — mruknął. — Muszę zbierać słomę...

Zerknął w stronę stogu. Sezes spostrzegł to.

— Chciałeś pewno wziąć ze stogu? — zawołał domyślnie.

Hon popatrzył nieufnie, gotów zerwać się do biegu, gdy mały poszczuje na niego psa. Ale Sezes nie wydawał się oburzony.

— No to weź sobie — powiedział niespodziewanie. Honowi zdawało się, że się przesłyszał.

— Co?

— Weź sobie ze stogu. Skoro wiatr na polu wszystko rozwiął...

— Chcesz mi dać słomy? Za darmo? — pytał Hon, wciąż nie wierząc zachętom Sezesa. — Twój rodzice nie pozwolą...

— Moi rodzice — rzekł z dumą Sezes — zrobią wszystko, co ja zechcę. Bardzo mnie kochają. Weź!

Nie trzeba go było dłużej zachęcać. Podeszedł do stogu i począł szybko napychać swą płachtę. Nagle obejrzał się przerażony. Przyszło mu do głowy, że mały Egipcjanin skorzysta z chwili, gdy on odwróci się tyłem, i każe psu rzucić się na niego. Ale pies leżał trzymany głosem chłopca i Hon zobaczył tylko uśmiechniętą twarz Sezesa.

— Bierz, bierz — powiedział tamten zachęcająco. Miał ciągle ochotę na gawędę. — Dlaczego was wszyscy nie lubią? — zapytał. Ale nie czekał na odpowiedź. Mówił sam: — Ludzie powiadają, że wszystko złe, jakie się wydarzyło, przyszło przez was. I te komary, i tyle much, i to, że bydło chorowało. Nawet wiele padło... A także te lodowe kulki, które spadały z nieba... Czy to wasz Bóg je zesłał?

Hon nie przestając napychać słomy w płachtę bąknął:

— Faraon nie chce nas puścić, więc nasz Bóg gniewa się...

— A czy wasz Bóg jest potężny? — zapytał Sezes.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Sezes pytał dalej.

— Czy taki jak Amon z No? Czy taki jak Ozyrys?...

Zagłuszał te pytania szelestem słomy. W końcu płachta była wypchana po brzegi; starczy, by się podzielić z tamtymi. Zarzucił ładunek na ramię. Na ten widok pies poderwał się z warknięciem. Ale Sezes krzyknął gniewnie i pies znowu przywarował do ziemi.

— Szkoda — rzekł do Hona — że nie chcesz bawić się w wojnę. Mógłbyś przyjść, pobawilibyśmy się. Czy to prawda, że wy macie jednego tylko Boga? — zapytał nagle.

Zgięty pod olbrzymim ładunkiem Hon mruknął coś niewyraźnie. Naprawdę to nie wiedział, czy mają jednego, czy też wielu bogów. O Bogu mówiło się u nich tajemniczo. Nie nazywało się Go żadnym imieniem. Powiadało się: On, Wszechmocny, Najpotężniejszy, Nieskończony. Nie opowiadało się o Nim historii. O bogach egipskich ludzie znali całą masę ciekawych opowieści. Ich Bóg był dziwny, skryty; nie wolno Go było malować ani rzeźbić; nie miał swoich kapłanów; nie miał świątyni; nie składano Mu ofiar. To nie był Bóg, z którego można było być dumnym. Hon zazdrościł chłopcom egipskim ich bóstw.

Zamiast odpowiedzi rzekł:

— Dziękuję ci, żeś mi pozwolił wziąć słomy.

Zwrócił się do miejsca, w którym przeskoczył mur. Ale Sezes nie miał ochoty zrezygnować z pogawędki.

— Dlaczego — zapytał — nazywają was azjatyckim trędem? Przecież ty jesteś zdrów.

Hon zatrzymał się.

— My nie jesteśmy wcale trędowaci — powiedział. — Tak nas tylko nazywają nasi wrogowie.

— Macie wrogów? — pytał mały ciekawski.

— Mamy — przyznał.

— Dlaczego? Skąd?

Nieco zniecierpliwiony rzucił:

— Nie wiem.

— Ale ja wiem! — wykrzyknął triumfalnie Sezes. — Mnie mówili, dlaczego was wszyscy nie znoszą. Bo wy mordujecie dzieci. U was ojciec musi zabijać swego pierwszego syna...

— To nieprawda! — zaprzeczył. — Sam jestem pierwszym synem u mego ojca.

— Mnie mówili... — zaczął Sezes.

— Źle ci mówili! — uciał.

Znowu zrobił krok w stronę muru. Chciał już odejść. Czuł się zmęczony; był także pewien, że towarzysze za murem niepokoją się jego zniknięciem. Obawiał się również, że nadejdzie ktoś starszy i odbierze mu daną przez Sezesa słomę. A wreszcie — miał dość pytań tamtego. To prawda —

mówiło się u nich, że pierwszy syn jest własnością Najwyższego. Ale nikt dzieci nie zabijał. Wprawdzie opowiadano tę historię o praojcu Abrahamie... Hon jej nigdy dobrze nie rozumiał. Inni chłopcy też. Bóg chciał, aby Abraham zabił syna, lecz potem nie wiadomo dlaczego odstąpił od swego żądania i przyjął ofiarę z baranka. Chciał dużo, a potem zadowolił się małym. Wszystko to było jakieś tajemnicze, trudne do wytłumaczenia i jakby zawstydzające...

Sezes wypiął mocniej swój tłusty brzuszek.

— Mnie jednak mówili — upierał się — że tak jest u was... i że dlatego jesteście jak trędowaci...

— A ja ci mówię, że tak nie jest! Bądź zdrow! — próbował zakończyć rozmowę.

— Poczekaj jeszcze chwilę. Nigdy nie rozmawiałem z chłopcem od was. Może jesteś głodny?

Hon przestąpił z nogi na nogę.

— Dasz mi coś do zjedzenia? — zapytał.

— Dam. Poczekaj! — Sezes zawrócił i pobiegł w stronę domu. Pies obejrzał się raz jeszcze na Hona i podwinąwszy pod siebie ogon poszedł za chłopcem. Hon mógł teraz uciec, ale obietnica jedzenia trzymała go na miejscu.

Sezes wrócił trzymając w rękach kilka suchych jęczmiennych placków, kolbę kukurydzy, garść fig oraz kubek z mlekiem. Podał to wszystko Hono wi, który łapczywie rzucił się na jedzenie.

— Musiałeś być bardzo głodny... — powiedział widząc, jak Hon je.

— Aha — przyznał zapchanymi ustami.

— Jesteście biedni?

— Aha...

— A czy to prawda, że wy, trędowaci, zabijacie na ofiarę swemu Bogu krowy i owce?

— Nie, nieprawda! — zaprzeczył żywo i stanowczo. Wprawdzie wiedział, że takie ofiary były w tajemnicy składane w dworach rodów w Gesen, ale o tym trzeba było kłamać ludziom Mikraim. Zwierzęta te były dla nich święte: baran wyobrażał boga Chnum, krowa — boginię Hator.

— To dlaczego tak mówią? — ciekawość Sezesa była nienasycona.

— Nasi wrogowie tak kłamią — burknął Hon wygryzając ziarna kukurydzy.

— Ty wszystkiemu zaprzeczasz — rzucił niezadowolony Sezes. — A jednak ludzie opowiadają — wrócił do poprzedniego — że u was ojciec zabija swego pierwszego syna. — Zamyślił się. — Mój ojciec — rzekł — nigdy by mnie nie zabił... Żaden nasz bóg nie żąda, aby mu zabić syna... Ojciec mówi — ciągnął — że pierwszy syn wchodzi na miejsce ojca, gdy ten odchodzi na pola Jalu...

Hon przełknął resztę jedzenia. Chciał już odejść. Ten mały Egipcjanin dał mu słomę i chleb, a przecież drażnił go. Hon nie bardzo wiedział dlaczego. Miał ochotę powiedzieć, że jego ojciec też by go nie zabił i że to jest nieprawda, co mówią o zabijaniu pierworodnych. Ale zawołał tylko:

— Muszę już iść! Bądź zdrow! — Zdecydowanym krokiem podszedł do muru. Spiesznie przerzucił ładunek, na drugą stronę. Potem wspiął się sam. Stojąc na murze obejrzał się: Sezes stał na środku podwórza, zaskoczony jego szybkim odejściem. Miał ochotę unieść rękę i pożegnać go tym gestem. Ale i tego nie zrobił. Jakiś ciężar spoczął na jego sercu. Jakby wstyd, że on i tamten mikraimski chłopiec są inni...

Niewolnik rozsunał kotarę i pisarz wprowadził ich do ozdobionej posągami i malowidłami sali, pośrodku której na małym wzniesieniu stał tron. To tutaj rozmawiali wiele razy z faraonem; tutaj Mozis dokonywał cudów, a jego laska-wąż pożarła laski-węże przeciwników. W tej chwili w sali nie było nikogo. Noc rozpiniała się między kolumnami niby kłęb pajęczyn. Dwie pochodnie zatknięte w miedzianych uchwytach płonęły nierówno, rzucając na malowane ściany i na stojące pod ścianami posągi skaczące plamy błasku. Było tu cicho, lecz zdawało się, że poprzez mury wlewa się i dźwięczy żalosna skarga unosząca się nad każdym nieomal domostwem. Zatrzymali się pośrodku sali. Pisarz, który po nich przybiegł, a teraz przyszedł tutaj z nimi, nie mówił nic, tylko spoglądał na nich z wyrazem nie tajonej trwogi. Oni zresztą czuli także dreszcze na całym ciele.

Gdy w środku nocy ten człowiek o wygolonej czaszce zastukał mocno do drzwi domu — mieli ochotę uciec. Gnąc się w ukłonach błagał o pośpiech: „Horus, byk mocny, żyjący w prawdzie, pan dwóch koron, dawca praw — deklamował — wzywa was, byście natychmiast, bez chwili zwłoki,

stanęli przed nim... O czcigodni — skomlił teraz od siebie — na wiecznie czuwającego Amona, śpieszcie się. Boski faraon niecierpliwi się straszliwie. Nie każcie mu czekać. Gdy będziecie zwlekali, ukarze mnie... Miejcie litość nad najnędniejszym z waszych sług...”

Ta noc pozornie była jak inne: pogodna i srebrno-zielona od blasku księżyca, który toczył się po niebie okrągły, dziwnie wielki, gasząc gwiazdy. Niebo było gładkie i tylko nad pustynią układał się coraz grubszy zwał chmur. Dzień zapowiadał się skwarny, suchy i wietrzny. Wiatr świstał w omdlałych liściach akacji. Przynosił jęk ludzki niby muzykę. Zanim wyszli z domu, spojrzeli na siebie i spostrzegli, że obu im dzwonią zęby. „Powiedział, że zabije...” — przypomniał Aaron. „Lecz on sam wzywa — odpowiedział Mozis. — Jahwe jest potężny. Uczynił, jak zapowiedział...”

To, co się stało, choć dokonało się w ich obronie, napełniało grozą. Noc pełna była krzyku i jęku. Zawodzenie towarzyszyło ich krokom jak szum potoku, który toczy się obok drogi. W pałacu faraona nikt nie spał. Wszędzie płonęły światła, dziedziniec rozbrzmiewał skowytami płaczków. Cała ich gromada siedziała pod murem łkając, potrząsając odkrytymi piersiami, targając zaplecionymi w wiele cienkich warkoczyków włosami. Ich dzikie szloch przemieniały się chwilami w żałosne wezwania: „O Ozyrysie, o Cheuti, o Ozyrysie!...”

Czekano na ich przybycie; przy wartownikach stał żołnierz z płonąca pochodnią w ręku. Poprowadził ich szybko długimi korytarzami między malowidłami, na których widać było niezliczone zwierzęta, ptaki i ryby. Wprowadził ich wreszcie tutaj. Kazał czekać. Pochodnie paliły się sycząc. Czekanie przedłużało się; a może to tylko im wydawało się, że czekają długo. Serca ich były niespokojnie. Moc Pańska budziła przerażenie swoją potęgą. Grom, w którego nadejście już nieomal zwątpili, spadł i zatrzęsł ziemią. Wiatr dął za oknem z coraz jakby większą siłą; był także jakiś niezwykły. Zdawało się, że gniew Boży ciągle jeszcze trwa. Zawodzenie wichru wchłaniało jęk i stapało się z nim. Czasami rozlegało się przeciągłe wycie psa.

Nagle usłyszeli porywcze stapania. Ktoś szedł spiesznym, gwałtownym krokiem. Prawie biegł. W małych drzwiach znajdującym się poza tronem ukazał się Amenhotep. Ledwo go poznali. Był bez dwubarwnego pszentu, bez płaszcza z lwim ogonem, bez berła, bez sztucznej brody. Stał przed nimi — zwyczajny człowiek, barczysty, o grubych mięśniach. Miał nagą i rozdrapaną pierś, zastygło na niej kilka kropel krwi. Na cofniętym czole perliły się krople potu. Wbiegł i zatrzymał się przed nimi. Zadrżeli; wyda-

wało się im, że się na nich rzuci. Wbite głęboko w czaszkę oczy faraona pały. Wpijał się w nich wzrokiem. Przystał z nogi na nogę, jakby szykował się do skoku. Wielkie dłonie zwinięte w pięści kołysały się przy biodrach. Dyszał. Raz po raz skurcz ściągał mu policzki i ukazywał zarys mocnej szczęki.

— Jesteście nareszcie... — rzucił. — Dobrze... — Ciągłe dyszał, jakby pasował się ze słowami, które go przepelniały i dławiły. — Słuchajcie — krzyknął, jakby wreszcie jakaś zaporą przełamała się w nim. — Natychmiast wychodźcie z kraju. Wszyscy. Natychmiast! Dziś! Zaraz! Żeby za dwa dni nie było na całej ziemi Kemet ani jednego z waszych. Ani jednego! Słyszeliście? Natychmiast idźcie sobie! Idźcie, gdzie chcecie. Ale już nie wracajcie! Żeby żaden z was nigdy tu nie wrócił. Zrozumieliście? Idźcie. Natychmiast. Wychodźcie! Wychodźcie!

Zabrakło mu słów i krzyku. Miał ślinę na wargach. Gwałtownie obrócił się na pięcie. Podszedł do tronu, siadł na nim. Oparł swe wielkie dłonie na bocznych poręczach, zacisnął je z siłą na kulach, którymi były zakończone. Wydawało się, że chce je zgnieść, że musi je zgnieść. Mocował się z nimi przez chwilę. Nagle zawołał do pisarza:

— Pisz!

Człowiek o wygolonej głowie, który od chwili wejścia faraona leżał pokornie na ziemi, natychmiast zerwał się i usiadł z podkurczonymi nogami. Na kolanach położył sobie tabliczkę. Wysuniętą do przodu twarzą zdawał się chwytać słowa, zanim jeszcze padły z ust faraona. Amenhotep wciąż zmagał się z kulami. Miażdżył je uciskiem dłoni. W końcu zaczął dyktować:

— Ja, Horus, byk potężny mej matki, pan Dolnego i Górnego Kemet, władca świata, nakazuję, aby lud pasterza Izraela opuścił natychmiast tęjszą ziemię z wszystkim, co posiada. Nikomu nie wolno zatrzymywać tych ludzi ani pozbawiać ich bogactw, jakie posiadają. Lecz oni mają natychmiast wyjść. Tak powiedziałem ja, Horus, dawca praw... — Zwrócił się do pisarza. — Postaw pieczęć! — krzyknął.

Człowiek skoczył na nogi w nieprzytomnym pośpiechu. Chwycił pieczęć wiszącą przy tronie, przyłożył ją. Jeszcze raz lekko rzucił okiem na to, co napisał, po czym trzymając tabliczkę obu dłońmi padł przed faraonem na twarz.

Amenhotep skinał na Aarona i Mozisa.

— Podejdźcie — powiedział. — Macie! — Podał im tabliczkę, jakby chciał nią cisnąć z zamachem ręki. — I natychmiast idźcie! Zrozumieliście? Natychmiast!

— Tak, Horusie, wyjdziemy natychmiast — rzekł Aaron przyklękając. To były pierwsze słowa, jakie wydobył z siebie wobec faraona.

— Żeby żaden z was nie został.

— Nikt nie ośmieli się...

Znowu uniósł rękę nad głowę i machnął nią, jakby chwycił dokuczliwą muchę. Zrozumieli, że mają iść. Upadli i oddali mu pokłon. Lecz kiedy powstawszy skierowali się ku wyjściu, zawołał ich. Wrócili, na nowo zaleknieni. Nie od razu powiedział, o co mu chodzi. Kazał im podejść blisko. Mieli tuż nad sobą jego mieniącą się i szarpaną skurczami twarz. Dłonie faraona wciąż druzgotały oparcie. Głosem stłumionym, wydobytym z samego dna piersi, powiedział:

— Chcę, abyście mnie i moim potomkom życzyli dobrze...

Nie patrzył na Aarona. Skierował wzrok na Mozisa. Ich oczy spotkały się — pozostały utkwione w sobie. Patrzyli tak długo, zda się prowadzili spojrzzeniami rozmowę.

Nabi myślał nie bez podziwu: „Choć jest tak wielkim władcą, Jahwe zwyciężył go. Dotknął go — a on musiał się ugiąć...”

Lecz wyraz cierpienia, jaki malował się na twarzy faraona, obudził w Mozisie jakby odruch współczucia. „Ten człowiek — uświadomił sobie — jest królem, władcą. To dlatego z taką bezwzględnością prowadził z nimi walkę. Przegrał ją — i zapłacił za przegraną drogo.” Ale Mozis wiedział: to nie tylko faraon musiał zapłacić. Płacili obaj: tamten i on sam. Płacili pierworodnymi — tym, co przedłuża życie człowieka poza śmierć. I to jakby ich związało...

Czy lud Mikraim, czy lud Izraela zdoła to pojąć kiedykolwiek? Lud... Mozisowi wydawało się, że bliższy mu jest ten zdruzgotany przez Boga władca niż ludzie, dla których ściągnął na tamtego klęskę. Dla tych, których ocalił, nie miał ani odrobiny uczuć.

Choć patrzył w oczy faraona — przestał je widzieć. Był cały w swych myślach. Ale potem powrócił do rzeczywistości. Jego wzrok spotkał znowu oczy Amenhotepa, czarne, zamglone bólem, który przenikając odkrywa nieznane. Powoli wyjąkał:

— Bbbędziemy cci, Hhhorusie, bbbłogostawili...

Szedł — a za nim ciągnął długą karawaną cały naród. Opuścili Egipt pośpiesznie, przynaglani przez ludność, która otoczywszy ich domy to błagała, to krzyczała gniewnie, by szybciej wychodzili. Nie odmawiano odchodzącym naczyń złotych i srebrnych, o które prosili, byleby tylko szli nie zwlekając, a odchodząc nie przeklinali ziemi Mikraim. W pośpiechu nie mieli czasu przygotować sobie żywności na drogę; ludzie pozabierali w płachty i w chusty niezakwaszone ciasto i tak wyruszyli.

W Sokot zebrał się cały Izrael. Z Gessen nadciągnęły rody ze stadami, z wielbładami obładowanymi wszelkim dobrem, z liczną służbą i niewolnikami. Od Pa-Tum ciągnął szary tłum tych, którzy pracowali przy odbudowujących się świątyniach i pałacach Dolnego Egiptu. Ludzie podążali spiesznie, niosąc swój dobytek w małych węzełkach otoczeni całą chmarą dzieci. Tutaj nastąpiło spotkanie między rozdzielonymi od lat potomkami Jakuba. Nikt się jednak nie cieszył z tego — obie strony patrzyły na siebie nieufnie. W innym zupełnie nastroju jedni i drudzy opuszczali Egipt. Pierwsi wychodzili dotknięci utratą ziemi i domów, codziennego dobrobytu, zaniepokojeni czekającą ich drogą i przyszłością. Drudzy pełni byli gorączkowej radości; dla nich skończyła się nagle zabijająca praca, a otwierała się przyszłość, wprawdzie nieznana, lecz na pewno lepsza od tego, czego doświadczali ostatnio.

Ludzie nadchodzili i nadchodzili; liczba ich urastała w tysiące. Wobec tej masy w Mozisie obudził się dawny wódz. Pragnął przede wszystkim zaprowadzić należyty ład w ciżbie. Aaron wraz z czterema swymi synami i kilkoma jeszcze lewitami biegał między tłumem, wyznaczał grupom miejsc w kolumnie marszowej. Mozis kazał przybyłym ustawić się rodami. Lecz rozkaz nie mógł być wykonany. Moźni woleli trzymać się osobno, biedota osobno. Noc minęła na ustawianiu ludzi, na tłumaczeniu im — a kiedy przyszedł ranek, okazało się, że porządku w dalszym ciągu nie ma. Straże egipskie zaczęły nawoływać, aby natychmiast wyruszano. Mozis musiał odstąpić od swego żądania: ruszono byle jak, zbitą masą. Poprowadził ich wprost na wschód.

Wiatr, który się zerwał przed dwoma dniami, porywisty, duszny, upalny, tworzący powietrzne wiry i kręcący piaskiem — wiatr, który przyniósł na swych rudych skrzydłach tajemniczą śmierć — dał nadal, bijąc idących w

plecy i zda się także zachęcając ich do pośpiechu. Raz po raz tworzył przed maszerującą cizbą potężny, wirujący kłęb pyłu niby posuwający się przed nimi drogowskaz. Kolumna wyciągnęła się w długi, nie dający się ogarnąć wzrokiem wąż ludzki. Początkowo, wyruszając z Sokot, szli spiesźnie, podnieceni wielką przygodą. Zapał dawnych robotników z Pa–Tum zapanował nad lękiem rodów. Ale w miarę jak posuwali się naprzód, gorączkowa radość poczęła ustępować, zwłaszcza gdy minęli ostatnie skupiska domów i porzniete kanałami płyty uprawnych pól, a zanurzyli się w bezmiar lotnego piasku, z którego tylko tu i tam wystawały płowe lub czarne skały. Byli teraz samotni w pustyni, nad którą świstał wiatr i skręcał słupy z piasku. Coraz im było ciężej na sercach, coraz smutniej. Hałaśliwa gadanina umilkła, ludzie szli cicho, pootulani w zawoje. Za nimi pozostawał głęboki ślad niby koryto rzeki, która przepływała i ściekła do morza.

Mozis szedł na czele pochodu sam. Nie towarzyszył mu żaden z książąt. Także Aaron wołał iść ze swoimi. Lecz Mozis nie potrzebował nikogo. Cóż łączyło go z rodem Lewiego? Co łączyło go z całym narodem? Nic — poza rozkazem. Tych, których kochał, już nie było; Sefora odeszła zabierając obu synów. Całą noc po ich odejściu płakał. On jeden był jak ludzie Mikraim, których synów zabił mór. Pozostał samotny z tymi, którzy szli za nim, którzy mu zawierzyli, których miał prowadzić. Ten lud został mu powierzony niby armia, jaką kiedyś polecała mu prowadzić królowa. Lecz jadąc na czele mikraimskich pułków czuł się radosny. Z zapałem potrząsał mieczem. Dziś wędrował tylko ze swą laską w dłoni, zbolwały, a za nim szedł obcy mu tłum.

Wiatr uderzał go w plecy, podrywał płaszcz, łopotał, zarzucał mu go na głowę. Wciąż skręcał piasek przed nim w chwiejące się i opadające zaraz słupy. Ślizgając się po piasku, wydawał dźwięk niby rozgwar zmieszanych głosów. Mozis idąc nadstawał co chwila czujnie uszu. Może On coś mówi do mnie? — zapytywał siebie. Ale głosy w wietrze brzmiały niewyraźnie; nie można było zrozumieć, co mówią, nie można było nic pojąć z tego po sykowania podobnego do kaskad złośliwego śmiechu.

W nim także przez pewien czas trwało gorączkowe podniecenie. Uczucie to na moment zagłuszył ból. Ale teraz, w miarę jak się zagłębiali w pustynię, niepokój urastał. Wzbierał z każdą chwilą, podobny brzemieniu, które uciska barki. Do wszystkiego dołączała się troska doświadczonego wodza. Mozis wiedział dobrze, że wyjść z Egiptu — nie znaczyło jeszcze dojść do Ziemi Obietnicy. A dojść tam — nie znaczyło ją zająć. Koczując

latami to tu, to tam razem z madianickim plemieniem, odwiedzał nieraz ziemię Kanaan. Wiedział, że zamieszkuje ją wiele ludów. Były one wprawdzie ostatnio zwyciężone przez Tutmozisa i Amenhotepa, zmuszone do składania hołdu i haraczu, pilnowane przez wojsko egipskie, które stacjonowało w wielu miejscowościach. Mimo to wciąż na nowo buntowały się, wydierając się zuchwale z żelaznej dłoni faraona. Trzeba będzie długich lat mikraimskiego panowania, aby zostały ujarzmione i złamane. Teraz tylko z pomocą faraona mogliby wkroczyć do Kanaan. A tymczasem oni szli przeciwko jego woli. Faraon został przymuszony i ustąpił, lecz na pewno nie żywił dla nich przyjaznych uczuć. Mozis podejrzewał, że wypędzając ich z Mikraim i pozwalając im iść, gdzie zechcą, sądzi, że mały lud izraelski zostanie rozdarty przez krwawe narody zamieszkujące Kanaan. Oni zaś ku temu niebezpieczeństwu szli. Wędrowali do ziemi danej im — lecz którą musieli sobie zdobyć.

Kiedyś ich ojcowie żyli w Kanaan zaprzyjaźnieni z mieszkańcami kraju. El Szadaj nie kazał im z nikim toczyć bojów. Abraham za to, że walczył jedynie w obronie skrzywdzonych, zyskał uznanie księcia Uru Salem. Dziś Jahwe także nie mówił: „Idźcie walczyć.” Powiedział tylko: „Idźcie, a Ja wam dam tę ziemię.” Lecz — myślał Mozis — nawet dary Najwyższego nie spadają same w ręce. Trzeba będzie po nie sięgnąć. Lud, który szedł za nim — przynajmniej ci, co przedwczoraj jeszcze lepili cegły w cegielniach faraona — wyobrażał sobie, że przyjdzie na gotowe. On natomiast był przekonany, że o daną ziemię trzeba się będzie bić. Znowu odzywał się w nim wódz. Znał wojnę z niejednej wyprawy. Toteż wiedział dobrze, że lud, który miał za sobą, nie był armią. Jeżeli niektórzy posiadali trochę krzywych dzid i tępych mieczów, nie było w nich przeciwieństwa ducha walki. Nie potrafili by uderzyć nawet na słabszego przeciwnika. — Jak — zapytywał siebie — zamienić tę niespokojną gromadę w wojsko? Jak tchnąć w nich wolę zwycięstwa, rodzącą się zawsze z zamięłowania do trudu, z tęsknoty do rzeczy wielkich? „Kazałeś mi ich wyrwać, wyprowadzić z ziemi Mikraim, z tego domu niewoli — mówił w przestrzeń, w której rudopłowa powierzchnia pustyni stapała się z takimi samymi rudopłowymi tumanami, zamykającymi horyzont. — Powiedz, co mam zrobić z nimi teraz. Jak mam ich przemienić. Wiesz, że nie umiem mówić...”

Wiatr gwizdał, szumiał, syczał, lecz w tych odgłosach nie można się było dosłuchać słów. Mozis brnął nieustępliwie naprzód. Choć się nie oglądał, czuł, że coraz większa przestrzeń rozpina się między nim a podążającą za

nim rzeszą ludzką. Ich krok stawał się coraz krótszy. A może to jego krok był, mimo wewnętrznych zmagañ, coraz dłuższy?

Przeszli przecież pierwszego dnia wielki kawał drogi; dotarli aż do Chem. Pograniczna egipska twierdza powitała ich zamkniętą na głucho bramą. Załoga patrzyła na nich niechętnie spoza murów. Ludzie byli zmęczeni, dzieci jak nieżywe od wysiłku. Ale gdy zatrzymali się na postój, nastrój nagle zmienił się. Niepewność, lęk, poczucie opuszczenia ustąpiły miejsca nowej fali gorączkowej radości. Gdy zapłonęły ogniska, gdy zapachniały placki pieczone z zabranej mąki, gdy buchnęło wonią mleka dojonych krów i owiec, podniosły się śpiewy, krzyki, wesoły gwar. Znowu lud świętował skończenie się czasu niewoli i nadejście pory wszelakich możliwości. Teraz, byli pewni, każdy z potomków Jakuba, niezależnie od tego, jaka była jego dola w Egipcie, będzie mógł zostać bogaczem. Zapał ludu począł z wolna oddziaływać na rody. Aaron wraz z synami z polecenia Mozisa nawoływał znowu, by grupowano się wokół księcia swego domu. Książęta uznali to za słuszne; zeszli z synami i wnukami między lud i poczęli obdzielać tamtych jedzeniem ze swych wielkich sakw wiezionych na osłach i wielbłądach. W atmosferze podniecenia nastąpiło zbratanie. Wołano, gestykulowano, klepano się po ramionach, wykrzykiwano na cześć książąt rodowych. Potem zaczęło się planowanie. Większość sądziła, że już następnego dnia wejdą do Ziemi Obietnicy. Inni znali drogę do ziemi Kanaan i wiedzieli, że lekkie karawany madianickie potrafią przebyć tę drogę w pięć, sześć dni. Niechby oni szli dwukrotnie, niechby trzykrotnie dłużej! Nie minie miesiąc Abi — który, jak ogłosił Aaron, ma być teraz pierwszym miesiącem w roku — a staną na pastwiskach Hebronu.

Noc nakryła mrokiem pustynię, lecz oni wciąż paplali i zachłystywali się zapałem; klaskali w dłonie, cmokali, wydawali radosne okrzyki. Już każdy z nich wiedział, ile będzie miał ziemi, ile będzie na niej hodował bydła. Żadna z prac nie wydawała się tak miła jak pasterstwo: ani uprawa ziemi, ani handel, ani rzemiosło. Noc posuwała się, a oni nie przestawali gadać. Wybuchali śmiechem, aż zdawały się trząść mury egipskiej twierdzy.

Mozis siedział na uboczu, na małym wzgórcu, i w zamyśleniu patrzył na obóz. Gdy tamtych naszła fala radości i zadowolenia, jego z większą siłą nawiedził ból. Kołatała w nim myśl: „Nigdy już ich nie zobaczę... Nigdy, nigdy...” Zamiast dwóch chłopców, których kochał, zamiast żony dobrej,

wiernej i uległej, dostał lud obcy sobie, obojętny dla swego serca. Kiedyś nim pogardzał. W tej chwili wydawało mu się, że go nienawidzi. Drażnili go swym krzykiem, wywoływali gniew swą lekkomyślnością. Już wołał, kiedy się bali, a bojąc się szli do niego pokornie, gotowi go we wszystkim słuchać. Bo gdy się cieszyli — budzili w nim złość i wstręt.

Wiatr nie przestawał dąć i kręcić słupy z piasku. Na niebo wytoczył się księżyc, zaś jego blask przesączaający się przez zasłony pyłu wydawał się płomieniem jeszcze jednego ogniska. Znowu nasłuchiwał. Dręczony bólem pragnął usłyszeć na nowo wezwanie czy bodaj wyjaśnienie. Ale wycie wiatru brzmiało jak niezrozumiała pieśń obcego ludu.

Dopiero gdy ogniska pogasły, a rozgorączkowane głosy ucichły, Mozis przyłożył głowę do usypanego z piasku kopczyka i zasnął. Sen jednak nie był twardy; nabi budził się za każdym razem, gdy nad nim szumiał wiatr i sypał szeleszczącym deszczem piasku. Gdy wreszcie obudził się wczesnym świtem, spostrzegł, że płaszcz, którym był przykryty, jest zupełnie przysypany. Musiał go otrząsnąć. Rozejrzał się. Obozowisko spało na poły zasnutę piaskiem niby karawana zagrzebana przez samum, a potem również przez wiatr odkopana. Nikt się nie ruszał, ludzie spali jak zabici, zmęczeni i drogą, i ciągnącą się długo w noc gadaniną.

Wstał, począł wołać, by się budzili i gotowali do marszu. Przez długi czas mimo jego wołań nikt się nie ruszył. Potem tu i tam zaczęli się dźwigać ludzie pokurczeni, niewyspani, źli. Niechętnie wychodzili spod okryć, przeciągali się, ziewali i klęli. Nic nie zostało z wieczornego zapału. Na twarzach był lęk. Rozglądali się niespokojnie na wszystkie strony. Otaczająca ich pustynia wyglądała ponuro. Nie było tu drzew, pól, kanałów, rzeki. To już nie był Egipt. Odkrycie to nappełniło ich złością. Nagle w całym obozie wybuchnęły hałaśliwe spory i kłótnie. Krzyczano, wymyślano sobie, wygrażano pięściami. Z wczorajszego zbratania nie pozostało także nic. Biwakujące obok siebie rodziny zaczęły się wzajemnie oskarżać o kradzież jakichś rzeczy. Od obraźliwych słów doszło do bijatyki. Porwano za kije. Dzieci podniecone złością rodziców zaczęły się wzajemnie szarpać, targać za włosy, tarzać po ziemi. Rósł krzyk. Znowu rody boczyły się na dawnych lepicielei cegieł, ci zaś nie chcieli słuchać poleceń książąt rodów.

Mozisa otoczyła gromada ludzi, żądając, by rozsądził ich spory. Próżno usiłował przekonać, że powinni odłożyć te sprawy na później, a teraz ruszać spiesznie w dalszą drogę. Dlaczego spiesznie — sam nie wiedział. Wydawało mu się, że powinni jak najszybciej oddalić się od granic ziemi Mikraim,

zapaść w pustynię. Lecz ludziom wcale się nie śpieszyło. On się jąkał, oni krzyczeli i przekrzykiwali się wzajemnie. Aaron gdzieś się zawieruszył, był więc sam ze swą żalosną nieumiejętnością mówienia. Podniecenie i gniew sprawiły, że mówił jeszcze gorzej niż zwykle. Znowu miał uczucie, że nienawidzi tłoczących się do niego skłóconych ludzi. Uniósł w górę pięść. Chrypliwym krzykiem i tupaniem rozpędził zanudzającą go hałastę. Pobiegł w tłum, wyszukał Aarona, odciągnął go na ubocze. Kazał mu dać sygnał wy-marszu.

Słońce było już wysoko na niebie, ledwo widoczne, zatopione w rudych tumanach pyłu, kiedy wreszcie lud stanął gotowy do drogi. Leniwie zarzucono bagaż na plecy — i na nowo go odkładano. Złość nie wygasła. Wyładowywano ją szturchańcami na dzieciach i kopnięciami na bydło. Nikt się nie śpieszył. W dalszym ciągu nie było wśród idących porządku; znowu wyruszano nie rodami, ale zbitą masą.

Jak poprzedniego dnia Mozis zwrócił się wprost na wschód. Ale zaledwie ruszył, okazało się, że wiatr zmienił w nocy kierunek, i gdy tylko począł iść, zaciął go w twarz ziarnkami piasku niby ostrymi igłami. Bił jak wściekły, zapierał oddech, zasypywał pyłem oczy, zatykał piaskiem gardło. Płaszcz Mozisa powiewał nad nim niby skrzydła. Gdy z trudem, zmagając się z wichurą, odszedł parę kroków, dogonił go Aaron wołając:

— Stój, zatrzymaj się! Nikt za tobą nie idzie. Ludzie nie chcą iść pod taki wiatr! Ja myślę — mówił przysunawszy twarz do twarzy Mozisa — zatrzymajmy się, przeczekajmy... Może jutro...

— Nie! — odrzucił propozycję brata. — Nie! Musimy iść! Prędko iść!

— Dlaczego prędko? Dlaczego prędko? Mówię ci, że nikt za tobą nie chce iść... Słyszysz?! — aż zsiniał od krzyku w huraganie. — Nikt nie pójdzie...!

Obejrzał się. Ani jeden człowiek nie odszedł za nim od obozowiska. Karawana stała nieruchomo, ludzie obrócili się tyłem do wiatru. Ogarnął go gniew — straszny, lecz bezsilny. Wiedział, że ich nie ruszy z miejsca. Podniósł wzrok w górę na szare niebo; rozglądał się po zasnutym kłębam pyłu horyzoncie. Wiatr znowu skręcał słupy, lecz tym razem na południu. Jeden z tych słupów, większy i potężniejszy niż inne, trwał i zdawał się wiązać chmurne niebo z ziemią. Nagle pojawiło się w nim przekonanie: to jest znak Pański. Jahwe powiedział, że ich poprowadzi. Mocno zacisnął powieki, za-

głębił się w siebie, stał się cały wołaniem. Błagał: „O Jahwe, niech to będzie Twój znak!”

Potem zawrócił ku Aaronowi.

— Dobrze — rzekł. — Nie będziemy brnęli pod wiatr. Pójdziemy w tę stronę — wskazał południe. — To będzie nasza droga.

Ale Aaron chwycił go gwałtownie za ramię.

— Co? Dlaczego? Mosisie! — krzyczał znowu. — Gdzie ty chcesz iść? Dokąd chcesz nas prowadzić? Czy nie wiesz, że tam w dole morze?

— Lecz nie chcecie przecież iść pod wiatr!

— Nikt nie chce iść pod wiatr — to prawda. Lecz od brzegu morza droga tylko z powrotem do Mikraim. A my nie chcemy wracać! Czy nie pamiętasz, co powiedział faraon? Żeby nikt nie wracał...!

— Pamiętam...

— Więc czego ty chcesz?

Jeszcze raz powtórzył mocno w duchu: „Niech to będzie Twój znak!” Potem powiedział:

— Musimy iść. Zaraz, spiesznie iść. Jahwe wskazuje nam drogę... Wiesz?

Porywczo skręcił i ruszył w kierunku powietrznego słupa. Przeszedł przed przyglądającymi mu się ciekawie ludźmi; wskazał im ręką kierunek. Posypały się pytania:

— Co? Co? Dokąd on nam każe iść? Czy on chce, żebyśmy wracali do ziemi faraona? Dokąd on nas prowadzi? Nie pójdziemy z powrotem! Aaronie! Aaronie!

Nie zatrzymały Mozisa te wołania. Minął tłum i poszedł naprzód. Nawet gdyby umiał mówić, nie tłumaczyłby im, dlaczego tak postępuje. Do tych ludzi czuł wciąż pogardę i niechęć. Ach, jacyż mu oni byli obcy! „Dlaczego to im dałeś Swe obietnice? — zapytał, patrząc w kręcący się przed nim słup pyłu. — Dlaczego właśnie im kazałeś mi przewodzić?” Kolumna zdawała się prowadzić go, ale nie dawała odpowiedzi na te pytania.

Znowu postyszał za sobą kroki i za chwilę zrównał się z nim Aaron.

— Mosisie — w głosie brata dyszał niepokój — dokąd ty nas prowadzisz? Ludzie nie chcą iść za tobą... Mówią, że nie wrócą do Mikraim... Po-

wiadają, że miałeś ich prowadzić do Ziemi Obietnicy... Boją się, że chcesz ich wydać w ręce faraona... Słyszysz?

— Słyszę...

— I co?

— Niech idą za mną! Niech idą, dokąd im każe iść Jahwe!

— Ale dlaczego ty nas prowadzisz w tę stronę? Mówię ci — tam jest morze, a od niego droga z powrotem do Mikraim... Mozisie, oni krzyczą, że faraon przekupił ciebie, abyś zgubił cały lud...

Poczuł ogromną chęć, by rzucić sucho, władczo: „I ty, i oni jesteście głupcami! Przestańcie pytać, róbcie tylko to, co wam każe robić! Mam was prowadzić, a wy macie mnie słuchać. Nie jestem jak jeden z was... Jeżeli do was przyszedłem, choć budzicie we mnie wstręt, jeżeli dla was cierpię...” Ale nie wykrzyczał tego wszystkiego. Ani Aaron, ani oni nie zrozumieliby... Przemógł gniew. Panując nad łamiącym się głosem, powiedział:

— Jahwe każe iść. Szybko — rozumiesz? Oni to muszą pojąć także!

— Ale dlaczego mamy iść w stronę morza? Oni mówią...

Zacisnął dłonie w pięści.

— Powiedz tym głupcom...! — Jeszcze raz zdołał się powstrzymać. — Nie chcieliście iść pod wiatr... — przełamując swoją niechęć próbował tłumaczyć — więc pójdziemy w tę stronę. A potem zatoczmy krąg. — Poparł słowa gestem. — Nad samym morzem. Droga dalsza, ale wiatr nie będzie dokuczał... Pojąłeś?

— Pojąłem... — Aaron niepewnie wichrzył brodę. — Pojąłem. Lecz oni nie zechcą pewno nakładać drogi... Będą się dziwili...

Wydało mu się, że jeszcze chwila, a rzuci się na brata i zacznie go bić.

— To wytłumacz im! — wyrzucił ze ściśniętego gardła. — Masz mówić za mnie. I powiedz im, żeby nie zwlekali. Niech zaraz idą! Niech się nie opierają woli Najwyższego! Słyszysz?

— Słyszę... Może ty, Mozisie, masz słuszość. Ja im to spróbuję wytłumaczyć...

Pozostawił go i nie czekając poszedł naprzód za kręcącym się słupem pyłu. Znowu mówił w duchu: „Niech to będzie Twój znak...” Nie oglądając się czuł, że jeszcze nie ruszyli za nim. Słuchali wywodów Aarona, namyślali się, spoglądali po sobie, stękali, narzekali. Mozis nie czekał, aż po-

wezmą decyzję. Szedł naprzód, przekonany, że albo pójda za nim, albo on odejdzie od nich. Aż wreszcie wyczuł, że ruszyli. Wolno, oglądając się za siebie, coś pomrukując — ale szli. Wiatr popędzał ich teraz z tyłu, zdawał się wpychać znowu w granice Egiptu. Lecz choć byli popychani przez wiatr, ciągnęli bardzo wolno. Jeszcze wolniej niż poprzedniego dnia.

Pozostawili na boku Mektar — drugą twierdzę graniczną. Teren, po którym szli, opadał zwolna. Schodzili niby po ścianach wielkiej niecki, która musiała być kiedyś brzegiem morza. Kiedy morze przed wiekami cofnęło się, w miejscu tym wytworzył się jakby olbrzymi półokrąg łagodnie spływających zboczy piaszczystych, z których sterczała tu i ówdzie skała wypolerowana przez smaganie wiatru. Przed nimi w dole leżała zatoka ciemną, ołowianą tarczą wody. Schodzili ku niej. Wiatr ciągle bił po plecach. Nieustannie wiązał piasek w tańczące kolumny pyłu. Wielki słup przed nimi opadał, to znowu wirował.

W miarę jak zbliżali się ku morzu siła wiatru zdawała się słabnąć. Było to jednak tylko złudzenie wywołane tym, że schodzili coraz niżej w zakole wysokich wzgórz. Wiatr hulał na nich z tą samą co poprzednio gwałtownością, o czym świadczyły pióropusze pyłu unosząc się nad krawędzią niecki. Widzieli, jak szarpał i kładł palmy małej oazy Pikeheret leżącej ponad nimi na skalnym zrębie. Oni jednak byli przed jego uderzeniami coraz lepiej zasłonięci.

Doszedłszy do morskiego brzegu Mozis uniósł rękę w górę, a potem wolno ją opuścił na znak, że tu zatrzymają się na postój. Wyszli tak późno — teraz już zbliżał się wieczór.

Wąż ludzki spływał na wybrzeże i rozkładał się obozem. Niżej leżała wąska plaża, wilgotna, pełna wyrzuconych przez morze wodorostów. Za nią rozpościerał się zalew, szeroki jak rozlany Nil. W oddali majaczył skalisty brzeg. Na czarnordzawej powierzchni wody łamały się fale.

Karawana ludzka długo ściagała z góry. Ustawiano namioty, przywiązywano bydło do wbitych w ziemię kołków. Niektórzy, przezorni, przynieśli ze sobą trochę chrustu i wzięli się zaraz do rozpalania ognisk. Inni szli szukać między skałami jakiegoś strumyka. Zwolna nad pustkowiec zaczął się unosić gwar. Nie był jednak tak hałaśliwy jak poprzedniego wieczoru.

Mozis zeszedł na plażę; zbliżył się do miejsca, gdzie ciskane gwałtownymi podrzutami morze wtaczało się z szumem na piasek, a potem spływało, znacząc kres swego zalewu białym osadem piany. Fale były krótkie, lecz uderzały o brzeg z dziwną mocą. Czasami jedna wpadała na drugą; ścierały się ze sobą. Woda wytryskiwała w górę białą fontanną.

Nieustanny szum morza zagłuszał gwar bliskiego obozu. Mógł na chwilę zapomnieć o ludziach, których tu przyprowadził. Morze swoją potęgą przykuwało jego wzrok i myśli. Budziło wspomnienia. To po nim niegdyś płynął na południe, do Puntu, na czele wojsk królowej. Bujna, wojownicza młodość stanęła przed nim. Tam za morzem, w Serabit — postanowili — stanie ich świątynia. Jego i Haczepsut... Okręty ludzi z Keftiu przez długie miesiące woziły materiał na jej budowę. Kiedyś postanowił zobaczyć, jak się posuwa robota. Popłynął z tamtymi. Rozpiąwszy żółte płótna przecinali morski jęzor i niedługo znaleźli się przy ujściu koryta skalistej, bezwodnej rzeki. Wzdłuż niego ciągnęła się droga wydeptana stopami ludzi ciągnących materiał do budowy świątyni z jednej strony, a z drugiej — znoszących bryły miedzi z pobliskich kopalń. Wędrował tą drogą — otoczony służbą — aż znalazł się w końcu u stóp skalnego urwiska. Tu rosły mury tajemniczej świątyni, którą po naradzie z nim i z kapłanami z On „matka” Haczepsut postanowiła poświęcić Hatorze. Imieniem Hatory pokrywało się nieraz w Egipcie imię innego, cudzoziemskiego bóstwa. Tak miało być i teraz. „Czy jesteś zadowolony?” — pytała go, gdy wrócił z tej wyprawy. Jej trójkątną twarz rozjaśniał uśmiech. Mała, ale mocna dłoń przesuwiała się z upodobaniem po opiętym ciężkimi bransoletami ramieniu Mozisa. Wielkie, wyraziste oczy śledziły wyraz jego twarzy. Zdawały się dopraszać uśmiechu. Ale on stał z odchyłoną głową, zagubiony w swych rojeniach. Olśniony dziełem, ku któremu został pchnięty, nie dostrzegał kobiety. Potem nieraz żałował tego. Ale było już za późno. Wielkie rojenia zgasły razem z zielonymi oczami Haczepsut. To dlatego — gdy wszystko runęło — wrósł tak całkowicie w madianickie plemię. Dlatego przylgnął tak mocno do Sefory. Uczucie, którego nie dojrzał u Haczepsut, brał od córki Raguela. Brał je — i cieszył się nim. Ono pozwoliło mu zapomnieć o przeszłości: o tytułach, zaszczytach, bogactwach, władzy. Nawet o planach, które wiązały się ze świątynią w Serabit. O wszystkim...

To wspomnienie rozjątrzyło na nowo ranę serca. Zdawało mu się, że słyszy w szumie morza rozpaczliwy pożegnalny krzyk Sefory: „Dlaczego?

Dlaczego każesz mi odejść, Mozisie?” Może tak samo, przyszło mu do głowy, krzyczała kiedyś Agar wypędzana na pustynię?

Jakiś głaz czy wyprysk skalny leżał na plaży. Siadł na nim, wciąż zapatrzony w morze. Dziwnie, myślał, ułożyło się jego życie. Ocalał dzięki córce faraona, która dla swego królewskiego kaprysu zapragnęła mieć jako żywą lalkę przyniesionego przez fale rzeki chłopca ze skazanego na śmierć ludu. Wychowywała go — czy też może raczej wychowywali się obok siebie. W pałacu Tutmozisa Mozis zapomniał o swym narodzie, o swej matce, która wykarmiwszy go — znikła mu z oczu. Potem zajął się nim arcykapłan Sen-Ka. To on pewnego dnia, pochyliwszy się nad Mozisem i położywszy mu na ramionach swe delikatne dłonie, zbliżył twarz do jego twarzy i wiążąc swe oczy z oczami chłopca zapytał: „Skąd ty to znasz? Kto cię tego nauczył?”

Mozis nie umiał mu odpowiedzieć. „Zaspiewaj tę pieśń jeszcze raz” — rozkazał Sen-Ka. I chłopiec śpiewał: „Jakżeś jest potężny, o Panie i Boże mój. Błask i chwała ubrały cię niby szata. Rozpiąłeś niebo jak namiot nad głową wędrowca. Twym wozem obłok ciągniony przez wichry, a błyskawica Twoim gońcem. Oto położyłeś ziemię na podwalinach mocnych, że nie poruszy się. Tupnąłeś gniewnie nogą, a wody uciekły i posłuszne Ci opasały ziemię. Uniosły się góry, a opadły doliny...”

„Skąd to znasz?” — pytał znowu kapłan. W poczuciu nieświadomości poruszył ramionami. Nie wiedział naprawdę, jak się to stało, że ta pieśń uwięzła w jego pamięci. Sen-Ka patrzył na niego spod przymrużonych powiek. „To przecież stary hymn do Atona-Ra...” — powiedział raczej do siebie niż do chłopca. Podparł głowę ręką i zapatrzył się gdzieś w przestrzeń. Kiedyś — już później — powiedział do królowej: „Boski Horusie, to wszechmocny Aton chciał, abyś wyłowiła z wody tego chłopca. On ma do spełnienia rzeczy wielkie...” Jeszcze wtedy nie wiedział, co arcykapłan miał na myśli.

Długo pozostawał pod opiekuńczymi skrzydłami świątyni w On. Uczono go tam wielu rzeczy, jakich się nie uczy nawet synów faraonów. Tłumaczono mu wielką, niepojętą, niezrozumiałą dla pospólstwa tajemnicę Atona. Razem z kapłanami boga śpiewał o świcie i o zachodzie słońca: „Jestem tym, który jestem tutaj... Jestem wszystkim, co jest, co było i co będzie. Żaden ze śmiertelnych nie uchylił mojej zasłony...” Potem królowa Haczepsut powołała go na wodza armii płynącej na walkę z Puntem. Gdy Mozis opuszczał świątynię, Sen-Ka, kładąc mu swe drżące ze starości dłonie na

czole, powiedział: „Oby wielki Aton uczynił tobie to, czego nie zwykł czynić dla zwykłych śmiertelnych. Niech ci Objawi swoją moc. Niech ci zdradzi tajemnicę swego imienia...”

Wydało się Mozisowi, że znalazł dla swego życia wielki cel. Pochyleni wraz z królową nad posadzką patrzyli na plan świątyni wyrysowany dla nich przez budowniczego Inenu. „Uczynię to, czego pragniesz—— mówiła Haczepsut. — Niech zostanie odkryta wielkość Atona. Lecz nie śpieszmy się z tym. Trzeba działać rozważnie... Pamiętaj: kapłani wszystkich świątyń Komet sprzeciwiają się temu. A oni są potężni... Tak, Mozisie; mój synu najukochańszy...” Lecz on był niecierpliwy. Ona zaś nie potrafiła mu niczego odmówić. Kochała go nade wszystko... Dla niego lekceważyła niebezpieczeństwo...

Mozisa sprowadziła z Puntu wiadomość, że Sen-Ka umiera. Zaledwie przybył, zaprowadzono go do łoża konającego. Stary arcykapłan wydawał się nieprzytomny. Ale gdy jego suwająca się po posłaniu głowa zwróciła się w stronę Mozisa, zatrzymała się w miejscu. Zamglone oczy długo patrzyły na młodego wodza. Usta coś szeptały — słów nie można było pochwycić. Potem zaczęło się rżenie. Oczy rozszerzyły się, stanęły kołem. Jakiś chrypliwy okrzyk wydarł się z już nie mających się zamknąć ust. Mozisowi wydało się, że usłyszał: „Imię...” Potem ciało sprężyło się i w tym sprężeniu skamieniało. Kapłani otoczyli łoże. Jeden z młodszych wyprowadził Mozisa.

Dopiero w parę dni później nowy arcykapłan świątyni w On zaprosił Mozisa do siebie i wręczył mu niewielką żółtą chustkę z dziwnego, lśniącego materiału. Wypisane były na niej słowa znakami dostępnymi tylko dla wtajemniczonych. Długo, w milczeniu przyglądał się młodemu wodzowi. „To — rzekł w końcu, wskazując na chustkę — kazał ci oddać Sen-Ka. I polecił ci powiedzieć: oto jest święte zakłęcie boga. Jesteś jego sługą i jego wybranym. Dlatego nauczono cię czytać skryte znaki, w których wypisane jest zakłęcie. Dziś jest ono tajemnicą. Lecz przyjdzie czas, że Aton odkryje swoją twarz... Wtedy ta chusta będzie znakiem tych, którzy dla jego imienia walczą. Miej ją i zachowaj. Długa jest droga wyzwania się tajemnic boskich. Wiele jest na niej przeszkód...”

Nie czekając na powrót swoich wojsk z Puntu, stanął przed Haczepsut. Powiedział stanowczo: „Nadszedł czas”. Patrzyła na niego wzrokiem, w którym był niepokój i uległość. Swoim zwyczajem przesunęła dłoń po jego

muskularnym ramieniu; zajrzała mu głęboko w oczy. „Mozisie — rzekła cicho — czy naprawdę te przemiany są potrzebne? Aton jest w On, Amon jest w No, w pozostałych miastach inni jeszcze bogowie... To Amon pozwolił naszym przodkom skruszyć jarzmo najeźdźców. Lepiej zostawmy wszystko, jak było... Pamiętaj: Tutmozis... Ty jesteś taki młody... Ale lata biegną... Tak bym chciała, aby dni, co przyjdą, były tylko nasze: twoje i moje... Mozisie...” Gwałtownie pochwyciła jego rękę i przycisnęła ją do piersi. Ale on twardym gestem wyrwał się z jej dłoni... „Nie, matko — powiedział. — Nadszedł czas. Cośmy planowali — czynmy!” „Chcesz tego?” — zapytała jeszcze. — „Chcę!” — cisnął.

Po tej rozmowie Mozis wyjechał do No, gdzie z rozkazu Haczepsut wieny Inenu wznosił nową budowlę. To w czasie jego nieobecności dokonały się te nieoczekiwane wydarzenia. Księżę Tutmozis — brat przyrodni Haczepsut, odsunięty od tronu ze względu na niskie pochodzenie jego matki — nagle zjawił się z wojskiem i zażądał od siostry, by go przyjęła za współmałżonka i podzieliła się z nim władzą.

Jak się to wszystko dokonało w pałacu farańskim — Mozis nie dowiedział się nigdy. Pałac został obstawiony przez wojowników Tutmozisa, którzy złamali opór nielicznej pałacowej straży. Armie uznały zwierzchność księcia — tego niskiego, krępego człowieka o grubych, murzyńskich prawie rysach, którego jednak każdy gest mówił, że jest urodzonym wodzem. Także kapłani z No natychmiast poparli żądania Tutmozisa.

Mozis był bezsilny. Jego armia pozostała daleko. Nie wracał więc na północ, czekając, aż się sytuacja wyjaśni. Podświadomie czuł grożące mu niebezpieczeństwo. Wiedział aż nadto dobrze, że nawet w pałacu ma wielu wrogów nienawidzących go to za stanowisko, to za miłość Haczepsut, to wreszcie za pochodzenie. Lud izraelski był nadal w niewoli i w pogardzie. Uważano go wciąż za stronnika wypędzonych Hyksosów. Nieraz słyszał za plecami złe pomruki: „Dlaczego ten trędowaty panoszy się tutaj w pałacu? Niech idzie pracować razem ze swoimi.” Pogardliwie puszczał usłyszane słowa mimo uszu. Cóż go wiązało z tym niewolniczym narodem? Może wcale nie należał do niego?

Lecz teraz poczuł lęk, że pomruki gotowe urosnąć w krzyk, który zwróci uwagę Tutmozisa. A Tutmozis miał opinię kogoś, kto tylko marzy, aby pociągnąć za Hyksosami do Azji i tam zadać ostateczny cios nie tylko im, ale i wszystkim ich azjatyckim sprzymierzeńcom. Nie było wątpliwości, że faraon Tutmozis uczyni Izraelczykom życie równie bolesne jak jego ojciec

— Tutmozis I, że gotów podnieść rękę także na niego — ukochanego syna królowej Haczepsut...

Bał się, a jednak czekał.

A kiedy w parę dni później rozeszła się wieść — ogłoszona podobno przez kapłanów z No — że królowa ciężko zasłała, Mozisa ogarnęło przeżalenie. Był pewien, że Haczepsut już nie żyje, że została zamordowana, i że jedynie zwlekają z ogłoszeniem tej nowiny. Zbyt dobrze wiedział, jak się zwykle postępowało na farańskim dworze. Ale jeżeli Haczepsut nie żyje — Mozis wiedział, że i jego czeka śmierć. Powinien był natychmiast uciec, zaszyć się w jakiś zapadły kąt. Powinien był — a przecież nie zrobił tego. Czuł się jak sparaliżowany. Czekał — nie wiadomo na co, bo nie na sprawdzenie się przypuszczenia. Nie miał bowiem najmniejszej wątpliwości, że ukochana „matka” nie żyje.

Bał się, a jednak czekał.

W tych to dniach trwożliwego oczekiwania zdarzył mu się dziwny wypadek. Mozis zobaczył kiedyś, jak jeden z dozorców przy budowie znęca się nad chudym niewolnikiem, który nie dość szybko dźwigał włożony mu na kark ciężar. Gruby i barczysty dozorca ciał tamtego batem ile sił. Niewolnik upadł na ziemię zalany krwią. Jęczał głucho. Dozorca nie przestawał go walić. Leżący już się prawie nie ruszał. Lecz jego dłoń żalonym, błędnym ruchem wyciągnęła się w stronę przechodzącego właśnie Mozisa. Sam nie wiedział, co go do tego popchnęło. Krzyknął na dozorcę: „Co robisz? Przestań go bić!” Ale tamten ani myślał słuchać. Jakby ogarnęła go furia, bił i bił niewolnika. Wtedy Mozis poczuł, że i jego ogarnia dziki, wściekły, ślepy gniew. Och, znał dobrze te swoje gniewy, które budziły trwogę wśród żołnierzy. Nie był zdolny pohamować się: wyrwał miecz z pochwy i pchnął nim dozorcę między żebra. Uderzony zwałił się twarzą na ziemię. Rzucił parę razy nogami jak ryba ogonem — a potem uspokoił się. Nie żył. Gniew opadł z Mozisa. Teraz ogarnął go strach. Z niepokojem rozejrzał się na wszystkie strony. W pobliżu nie było nikogo, plac budowy był pusty: na wiadomość o tym, co się stało, Inenu przerwał roboty. Nikt chyba nie widział zabójstwa. Mimo to Mozis czuł na czole kropelki zimnego potu. Cóż za szaleństwo popełnił! Właśnie w tak groźnym dla siebie momencie podniósł rękę na człowieka. Na Mikraimczyka! Jeśli tam, w pałacu, o czym nie wątpił, mówią przeciwko niemu, to zabójstwo człowieka stanie się dla niego wyrokiem śmierci. Już teraz wszyscy pozostali dozorczy gotowi rzucić się na niego. Jeszcze raz rozejrzał się. Nie, nie było nikogo, tylko okrwawiony nie-

wolnik dźwigał się z trudem na nogi. Jego przerażone oczy utkwione były w trupie. Nagła myśl powstała w głowie Mozisa: w pobliżu była góra nawiezonego piasku. Skoczył ku niej. Skinął na trzęsącego się człowieka. Rozkazującym gestem pokazał mu, co ma robić. Wspólnym wysiłkiem rozrzuć piasek i przysypali nim zabitego. Teraz, gdy roboty były przerwane, można było być pewnym, że minie wiele dni, zanim ktoś odkryje trupa. Pracując, Mozis oglądał się niespokojnie na boki. Ciągłe jednak nie widział nikogo. Skończywszy robotę odetchnął. Niewolnik stał przed nim. „Dzięki ci, panie — powiedział zginając się nisko — za to, że ocaliłeś mnie. Niech Najwyższy, mój i twój, strzeże cię zawsze...”

Mozis doznał wstrząsu. Co ten człowiek powiedział? Mój i twój...? Rozszereżonymi z niepokoju oczami wpatrzył się w chudą, zmizerowaną i umazaną krwią twarz niewolnika. Przebiegł go dreszcz. Ależ tak! To był jeden z tych trędowatych. „Mój i twój... Co znaczą te słowa? Skąd on wie? Jak śmiał tak powiedzieć? Nie! Nie! — myślał spiesznie. — Nie mam z nimi nic wspólnego. Nie!” Chciał wołać, zaprzeczać usłyszonym słowom.

Ale uratowanego niewolnika już nie było. Ciężko powłócząc nogą oddalił się. Zanim Mozis zdołał krzyknąć, tamten już znikł.

I znowu minęło kilka dni. Zgodnie z przypuszczeniami Mozisa rozeszła się wieść, że królowa umarła. Ta wiadomość nie poruszyła go. Był na nią przygotowany. Ogarnęła go tylko straszna apatia. Wydawało mu się, że wszystko wali się koło niego, a on nie ma siły wyrwać się z zakłętogo koła. Czas był ostatni, aby się ukryć. Nie zrobił tego. Wciąż zdawało mu się, że musi na coś czekać.

Co go skłoniło, że w tym okresie skradającego się niebezpieczeństwa, zamiast siedzieć gdzieś ukryty, powędrował pewnego dnia do zakątka obozu niewolników, gdzie w nędznych szałasach mieszkała gromada Izraelitów? Nieoczekiwanie pojawiło się w nim pragnienie — całkiem niezrozumiałe — zobaczenia człowieka, którego ocalił. Inenu uciekł. Budowa wciąż nie była prowadzona; robotników nikt nie gonił do pracy, ale także nikt ich nie karmił. Leżeli na ziemi bezsilnie wyciągnięci. Mozis widział kości, które zdawały się przebijać skórę, i szare, apatyczne twarze. Przed jednym z szałasów stała kręgiem gromada ludzi. Zajrzał przez ich ramiona. W środku dwóch mężczyzn walczyło ze sobą. Obaj byli słabi, ale ich wzajemna złość musiała być większa niż wyczerpanie. Jeden wydawał się nieco silniejszy — wsiadł na kark drugiemu, wczepił palce w jego włosy i tłukł głową o ziemię. Obok nich na ziemi leżała miska z resztką jedzenia. To

pewno o nią poszło. Znowu Mozis nie mógł zapanować nad gniewem. Wtargnął w krąg ludzi, chwycił za ramię tego, który ugniatał kark towarzysza. Krzyknął: „Puść go! Dlaczego go bijesz?” Pod palcami czuł kość obciążoną zwiotczałą skórą. Ale wynędzniałe ciało wydarło mu się z ręki. Nie wymotując palców z włosów człowieka, którego miał pod sobą, plunął w twarz Mozisa śliną i wściekłością. „Idź precz! — zawarczał — Czego tu chcesz!? Nie twoja sprawa!” Mozis mocniej ścisnął go za kark. „Puść!” — zawołał. Ale tamten z jeszcze większą furią począł bić głową swojej ofiary. Mozis szarpnął, oderwał go od towarzysza, prawie uniósł w górę jak kociaka. Miał ochotę trzasnąć nim o ziemię. Człowiek w jego rękach miotał się i wrzeszczał: „Precz! Precz! Odejdź! Czego tu chcesz? Do czego się wtrącasz?” Gwałtownie obrócił go. Miał przed sobą małą pomarszczoną twarz, prawie małpi pysk z wyszczerzonymi zębami. „Puść! — charkotał niewolnik. — Kto cię zrobił sędzią między nami, że się wtrącasz? Precz! Idź precz! Znowu chcesz kogoś zabić, a trupa ukryć?”

Mozisowi osłabła nagle ręka. Ani się spostrzegł, kiedy wypuścił z niej człowieka. Tamten wył, krzyczał, obrzucał Mozisa wyzwiskami. Nagle zobaczył, że jego ofiara oprzytomniała i chwyciwszy miskę chce uciec. Puścił się za tamtym w pogoń. Obaj zniknęli w szafasie, z którego za chwilę zaczęły dochodzić odgłosy dzikiej walki.

Mozis nie próbował mieszać się drugi raz do sporu. Nie szukał człowieka ocalonego. Ogarnął go dziki, nieprzytomny lęk. A więc zabójstwo — przelatywało mu przez głowę — jest już znane wszystkim? Było ono straszne: połączyło go z tym nędznym, klótliwym, pogardzanym ludem. Z trędowatymi. Czuł przed tym jeszcze większy strach niż przed śmiercią. Strach i wstręt... Nagle porwał się do biegu. Pędził, ile miał sił w nogach. Opuścił obóz niewolników, dopadł domu, w którym mieszkał. W największym pośpiechu załadowawszy na osła worek z wodą i trochę żywności — uciekł. Nie ostał się aż u Raguela...

A przecież po latach wrócił — właśnie do nich, właśnie, żeby ich ratować. Wtedy lękał się dać życie za jednego nędznego Izraelitę. Teraz za życie wszystkich oddał żonę, synów, wszystko...

Morze przed nim było jak przedtem o brzeg niby drobnymi, a przecież dziwnie potężnymi uderzeniami. Chwilami łamiące się linie pian znikwały z jego powierzchni, a przed oczami Mozisa wydymała się gładka ciemna

tafla, ledwie pomarszczona przez wiatr, lecz jakby wypierana od dołu nieznaną siłą. I zaraz pękała w tysiące rys.

Ktoś nagle szarpnął go za ramię. Wolno obrócił głowę. Przed nim stał chłopak i coś szybko mówił, gwałtownie gestykulując. Ale w szumie morza nie mógł usłyszeć jego słów. Widział tylko, że na twarzy chłopca malowało się przerażenie. Usiłował coś pokazać palcem. Mozis jednak nie patrzył w tamtą stronę. Wtedy chłopiec chwycił go za poję płaszcza i zaczął ciągnąć w kierunku obozowiska. Nabi wstał, pozwolił się prowadzić. Wilgotna plaża skończyła się, nad nią leżała ławica głębokiego piasku. Tu już można było usłyszeć głos ludzki. Pochylił się nad chłopcem. Ten zawołał z wysiłkiem, od którego poczerwieniała mu twarz:

— Wojsko króla Mikraim!

— Gdzie?

Podniósł rękę. Wskazał krawędź wzgórz obiegających półkolem zatokę morską. Mozis skierował wzrok w tamtą stronę. Widział dobrze, gdyż zachodzące z przeciwnej strony słońce przebiło chmury pyłu i oświecało jasno postrzępione skałami urwisko, u którego stóp mieli iść następnego ranka. Między wirującymi słupami, buchającymi nieustannie niby kłęby dymu z niezmiernie wielu ognisk, widać było cwałujące konie i mknące szybko, najeżone dzidami wozy bojowe. Doświadczonym okiem poznał po znakach i kształcie tarcz, że ma przed sobą pułk gwardii faraonńskiej, zwany „Jasnym Czołem Amona”.

— Wojska Mikraim! — darł się chłopiec. — Dogonili nas! Zabiegli nam drogę! Aaron woła, abyś zaraz przyszedł...

Pośpiesznie pobiegł przez głęboki piasek ku obozowi. Skrywała go przed nim mała wydma. Ale gdy na niej stanął, zobaczył, że wszyscy zerwawszy się od ognisk, i namiotów zbili się w ciasną gromadę. Twarze mężczyzn zwrócone były w stronę wzgórz. Las rąk pokazywał pędzące w dali wozy Egipcjan. Kobiety kuliły się z tyłu. Zobaczył, jak rozpaczliwie targały włosy i żalobnie odsłaniały piersi. Głęboka zmarszczka pojawiła się na czole Mozisa. Poczuł, że zapala się w nim gniew. Już nie biegł, lecz szedł spiesznie ku ludowi, energicznym gestem wbijając w piasek swą laskę. Dostrzeżono go; teraz wszystkie twarze zwróciły się w jego stronę. Niezliczone głosy zaczęły wołać:

— Mozis! Mozis!

— Wojsko Mikraim!

- Dogonili nas!
- Popędzą z powrotem...
- Pozabijają...
- Pomszczą na nas śmierć swoich dzieci!

Kiedy stanął przed nimi, ucichli. Patrzyli z drżeniem na jego usta. Czekali, co powie. Rozejrzał się, ale nigdzie koło siebie nie mógł zobaczyć Aarona. Głęboko, ze świstem wciągnął w płuca powietrze i zawołał:

— Szszszukujcie bbroń...!

Ale gdy dźwięk jego głosu przebrzmiał, ludzie, którzy stali przed nim, cofnęli się o krok jak odepchnięci. Stojący z tyłu nie dosłyszeli jego słów, więc pospyły się pytania:

— Co? Co on mówi? Co on powiedział?

— Szszszukujcie bbroń! — powtórzył swój okrzyk. — Dddo wwwalki...!

Ani jeden głos nie powtórzył wezwania. Ani jeden człowiek nie pode-
rwał się, by bieć po dziwę. Zamiast tego krzyknął ktoś w tłumie:

— Oszalał! On chce, żebyśmy walczyli z wojskiem faraona! Oszalał!

Setka głosów podchwyciła:

— Oszalał! Oszalał! Chce walczyć z żołnierzami Mikraim! Któż to zdo-
ła?! Oszalał!

— Pozabijają nas!

— Pozabijają nasze dzieci!

Zdawało mu się, że jeden młody głos krzyknął:

— Walczmy!

Ale ten pojedynczy głos utonął we wrzawie. Widział przed sobą skrzy-
wione przerażeniem twarze. Mignęły mu wybałuszone od strachu oczy Ga-
maliela, księcia rodu Manassesza. Doleciało do niego, o co się tamten pytał:

— Czy za mało było grobów w Mikraim, żeś nas wyprowadził na pu-
stynię?

Poczuł, że ogarnia go coraz większy gniew. Podniósł rękę. Chciał ich
uciszyć. Chciał im powiedzieć: „Jest tu was paręset mężczyzn zbrojnych
we włócznie. Uderzcie tylko śmiało, a otworzycie sobie drogę. Nim faraon
przyśle drugie wojsko, będziemy daleko. Tylko uderzcie.” Ale gdy otwo-

rzył usta, wydobył się z nich niezrozumiały belkot. Oni zagłuszyli go natychmiast. Krzyczeli, wołali, szlochali i lamentowali. Książęta rodów stali obok dawnych robotników z cegielni, tak samo wystraszeni, tak samo zrozpaczeni. Nie był w stanie zapanować nad zgiełkiem. W niemej wściekłości — na siebie i na nich — zacisnął pięści; uniósł je w górę i mocno nimi potrząsnął. Chciał tym gestem nakazać im walkę, ale wywołał tylko nową falę biadań. W zachodzącym zmierzchu skowycząca masa ludzka wydawała się jedną wielką plamą strachu. Furia gniewu przerodziła się w nim we wstręt. Dlaczego Jahwe kazał mu tych właśnie ludzi prowadzić? Mówił, że teraz faraon puści ich. Tak się stało. Faraon uległ. Lecz wypuściwszy ich, zabiegł im drogę. Chce walczyć z wolą Jahwe. Czyż Wszechmocny nie wspomógł ich, gdy uderzą na faraona? Lecz trzeba uderzyć! Trzeba walczyć! W imię Jahwe...

Znowu chciał krzyczeć, zagłuszyć ich lament wołaniem: „Chwyćcie za broń!” Ale wiedział aż nadto dobrze, że głos zdradzi go, załamie mu się w ustach. Z goryczą zawołał w duchu: „Czemu, Jahwe, nie odmieniłeś moich ust, gdy kazałeś mi być wodzem tego podłego ludu?!”

Stał przed nimi pełen gniewu i rozpaczony, bezsilny i niemy. A oni nie przestawali wołać:

— Po coś nas prowadził na pustynię?!

— Lepiej było służyć faraonowi, aniżeli ginąć!

— Hej! — zawołał jakiś głos, a Mozisowi wydało się, że to jest głos Elisura, praprawnuka Rubena. — Zabijmy go! Gdy zaniemiemy jego głowę faraonowi, przebaczy nam i pozwoli wrócić.

— Lepiej — krzyknął ktoś drugi — żeby jeden człowiek zginął niż cały lud...

Lecz wezwań nikt nie podjął. Bano się faraona, ale bano się także Mozisa. Ludzie stali rozdarci przez swój strach, a Mozisa ogarniało coraz głębsze uczucie zawodu. Myślał: czyżby człowiek miał zwyciężyć Wszechmocnego? Lecz nie! Nie! Klęska, która spadnie, będzie klęską słabości wybranego ludu, sto razy zasłużoną klęską. Myśl jak błyskawica przemknęła przez jego głowę: „Więc śmierć tamtych dzieci miałaby być bezowocna?” Dziwaczna myśl. Nie miał pojęcia, skąd się ona wzięła. Wiedział: tajemnicze są drogi Boga, który drugich dotyka i uwalnia, a swoich chroni — i obciąża... Który zażądał od Abrahama dwa razy ofiary z syna — Izmaela i Izaaka — i dwa razy cofnął się...

Odpędził od siebie rozprasające go myśli. Jeszcze raz zapragnął krzyknąć: „Opanujcie lęk! Chwycicie za broń!” Ale słowa zatoneły w niezrozumiałym bełkocie i we wciąż potęgującym się lamencie ludzkim. Ktoś przechnął się ku niemu z tylnych szeregów tłumu. W rozpinającym się mroku zobaczył Aarona. Głos brata był drżący:

— Mozie, zginęliśmy...

— Nie! — odpowiedział resztką zetłalej energii. — Nie! Wezwij ich do walki. Niech staną...

— Do walki? — wykrzyknął. — Ależ czego ty chcesz? Co ty sobie wyobrazasz? Kto się będzie bił? Oszalałeś...

— Słuchaj — z gniewem chwycił brata za kuttone na piersi. — Jeżeli uderzymy...

— Nie uderzymy, Mozie... To szaleństwo...

— A więc chcesz zginąć? Czy nie widzisz, że żołnierze faraona zamknęły nam drogę? Teraz nie uderzą — bo i po co? Mają nas w rękach. Doczekają ranka, a o świcie zagnają lud z powrotem... Uderzmy na nich!

— Mówię ci, że nikt nie uderzy. Ludzie boją się. Nigdy nie walczyli.

— Jeśli uderzą w imię Jahwe...

— Ty szalejesz, Mozie. To twoja wina, bo ty nas tutaj przyprowadziłeś... Oni mówią...

— Nie chcę wiedzieć, co mówią! To są głupcy! Oni nie rozumieją. Jeżeli uczynicie, co wam każe — Jahwe da zwycięstwo...

— Mozie, czego ty chcesz? Oni się bić nie będą... Popatrz na nich... Kto z nich nadaje się do walki? Nie, nie... Ty idź lepiej...

— Dokąd mam iść?

— Odejdź gdzieś na bok i módl się. Wołaj do twego Jahwe, by nas ratował. Bez walki. Błagaj Go, proś, ofiaruj... Niech nas ocali. Módl się, póki nas nie wysłucha... Jeżeli twój Jahwe jest Bogiem naszych ojców...

— Czy wątpisz? — zmarszczył brwi.

— Nie, nie! Nie wątpię, w nic nie wątpię! Dlaczego mam wątpić? Nie chcę wątpić. Idź, proś Go, błagaj, zaklinaj. Może cię wysłucha. Mówił do ciebie tyle razy, niech ci powie, jak masz nas ratować...

— Uratuje was, gdy uderzycie!

— Ty ciągle to samo! Zrozum — ludzie boją się. Oni nie walczyli od setek lat... Oni... Nie, nie! Idź modlić się... Idź prosić Go... Idź...

Opuścił głowę, namyślał się. Potem podniósł wzrok. Słońce zapadło tymczasem za krawędź wzgórz, drobna i misterna sieć zmierzchu kładła się na wszystkim. Na wyżynie szalała w dalszym ciągu zawierucha; gdy nad nimi zapalały się gwiazdy, tam pył kłębił się i tworzył niby wał czy też zasłonę, za którą nie było widać faraonowego wojska. Ale ono tam na pewno było. Zapadło między skały i czekało ranka. Oni nie mogli ujść.

— Dobrze — powiedział — idę się modlić...

Wolno, ciężko poruszając nogami w piasku, oddalił się od szumiącego niby rój pszczeli tłumu. Wieczór zapadał coraz ciemniejszy. Nad wzgórzka wytoczył się wielki czerwony krąg i przesiewał swój blask przez tumany pyłu. W tej poświacie od jasnego tła piasku odcinała się czarna i groźna tafla morza, huczająca, rozkołysana. Upadł na kolana, z żalością uderzył czołem o piasek.

— O, Panie, Panie Wszechmocny, Najwyższy... — zaczął. — O, Jahwe...

Nazywał Go tym nowym, strasznym, niepojętym imieniem. Lecz nic więcej nie umiał wypowiedzieć. Była w nim pustka i bolesna czczość. Żadne wezwanie ani zakłęcia nie pojawiły się na jego ustach. Powtarzał: Jahwe, Jahwe — i to było wszystko. Gdzieś wysoko w górze wył wiatr, niżej ryczało morze.

Ogarnęła go wielka słabość. Przygięte w modlitewnym pokłonie ciało opadało coraz niżej ku ziemi. Mięśnie ogarniał bezwład. Jeszcze przemagał się, jeszcze dźwigał swój twardy kark. „Jahwe, o Jahwe...” — mówił. Ciągle tylko to imię. Czas płynął leniwym przesuwaniem się skrzącej poza tumanami pyłu tarczy księżycy. Ciągle odzywała się w nim gorycz: gdyby zechcieli uderzyć...

Pośłyszała koło siebie szloch.

— Jaredzie... — szepnęła czule. Uniosła się na łokciu, pochyliła się nad człowiekiem, który od poprzedniego wieczoru był jej mężem. Otrzymała go nieoczekiwanie — w godzinie radości i powszechnego zbratania. Pieszczotliwie dotknęła policzkiem jego twarzy. — Jaredzie... — szepnęła po raz drugi, nieco zdziwiona. Twarz mężczyzny była mokra. Jego ręka objęła ją.

Ale w tym gwałtownym uścisku odkryła nie miłość, ale strach. — Jaredzie... mój... — powiedziała łagodnie.

— Tamar... — głos Jareda zabrzmiał płacząco. — O, Tamar... Po cośmy wychodzili? Poszliśmy za nim, żeby zginąć... Jutro faraon każe nas wszystkich pozabijać... Co ten Mozis narobił... Oszukał nas... Wyprowadził nas na zgubę... Zginiemy...

Delikatnie przesunęła palcami po jego czole, po włosach pokrytych potem, do których lepiły się ziarenka piasku. On położył swą rozpaloną od płaczu głowę na jej piersi i skarżył się dalej:

— W ziemi Mikraim można było żyć... Ojciec miał bogactwa, dom, trzody... Wykupiłby ciebie... Cieszylibyśmy się naszą miłością... Czy można się cieszyć, gdy wiem, że jutro zginiemy?

Ciągle bez słowa gładziła go po włosach. Dawniej jej włosy były suche i twarde, wypalone przez słońce niby badyle, jego zaś miękkie, gładkie, napojone olejkami. Teraz włosy jej i jego były takie same: nabite piaskiem, wychłostane przez wiatr. Po dwóch dniach włosy mężczyzny stały się włosami wędrowca. A jej dłonie utraciły coś ze swej chropowatej twardości... Stali się jakby sobie bliżsi. Czuli także, że błogosławieństwo dotknęło jej łona. Czyż mogła rozpaczać, że skończyło się tamto, co było jednym bólem, a przyszło nowe? Nie było w niej rozpacz. „Zboże — pomyślała — nie troszczy się o to, że pewnego dnia przyjdzie człowiek z sierpem... Do jutra tak daleko... A Najwyższy — taki potężny...”

— Tamar... — szlochał Jared. — Nie mogę się tobą cieszyć... Zginiemy... Albo będziemy niewolnikami...

Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Ale była kobietą: nie przestając go gładzić, zaczęła się lekko kołysać z boku na bok. Rytmiczny ruch uspokojał żal Jareda. Szlochał coraz rzadziej. Potem zasnął. Poruszała się dalej. Wydawało się jej, że po raz pierwszy ukołysała syna.

Nagle zdał sobie sprawę, że coś się wokół niego zmieniło. Jeszcze nie wiedział, co się stało, a już czuł na sobie przygniatający ciężar grozy. Po chwili pojął: wiatr, który podczas dnia bił ich po plecach tam, na wyżynie, runął teraz całą swą potęgą w zagłębienie nadbrzeżne. Był palący jak ogień. Pod jego smaganiem piasek zamienił się w gorący popiół. Piersi nie mogły złapać oddechu. Nic nie zdołało mu się oprzeć. Klęczący Mozis został rzu-

cony na ziemię, przygnieciony niby potężną dłonią. Policzkami czuł zar piasku. Przywarł nieruchomo do wydmy. Nad nim huragan przewiewał ciemną płachtę pyłu. Spadł na morze i Mozis usłyszał, jak woda zaczęła się gotować: fale wyskakiwały w górę, padały ciężkimi kolumnami wody na brzeg, podobne do ryb usiłujących uciec z ukropu. Wgniatana potężną pięścią wichru powierzchnia morza zdawała się uginać, to znowu pęczniała, rosła, występowała ponad brzeg. Coraz bliżej siebie czuł bijące fale. Czy morze wystąpi z brzegów — przyszło mu do głowy — i zatopi ich? Potonęliby razem ze swym strachem, swą tchórzliwością i swoją nędzą... Lecz ta myśl zatarła się natychmiast w łomocie wichru i w ryku morza. Wszystko splątało się w jeden czarny, rozrywany niewidzialnymi siłami chaos. Nie wiedział, czy świat już się skończył, czy dopiero za chwilę ma się skończyć. Dyszący wicher sypał mu na głowę rozpalony piasek niby żużel płonącego miasta. „Takim żużlem — popiołami Sodomy i Gomory — sypało niegdyś niebo nad doliną Mambre — pojawiło mu się w myśli. — Lecz Abraham mógł spać spokojnie... Mógł spać, gdyż do końca targował się... Może więc o targ chodzi — znowu przemknęło przez głowę Mozisa — o targ beznadziejny, uparty i choćby przegrany...?”

Deszcz gorącego piasku padał i padał. Rozszarpywana wiatrem noc mijała. Leżąc na ziemi, zasypywany pustynią, którą wicher podniósł i zdawał się ciskać na głowy ludzi, zagrożony morzem rozszalałym i ryczącym, pozbawiony sił Mozis na próżno oczekiwał odpowiedzi na swoje wołania. Pod walącym się niebem czuł się rozpaczliwie samotny, a zarazem jakby ze wszystkim związany. Nie po raz pierwszy nachodziło go takie uczucie... Właśnie tak — zupełnie tak samo — czuł się wówczas w No po śmierci Haczepsut. Wszystko wokół niego łamało się, rozlatywało w drzazgi, odchodziło. Świat się kończył, on zaś w tym świecie był sam. Sam — a przecież nie sam. Z poczuciem, że przetrwa. Ze świadomością, że jego los splątany został z losem wielu...

— Jahwe, o, Jahwe!... — błagał znowu. I nagle poprzez wykrzykiwane słowa przejrzała modlitwa. Zrozumiał, że ma wołać za tymi, którymi pogardzał. Był z nimi związany. Jego modlitwa — to ich życie. Coś mu utknęło w gardle — niby kula białego tam piasku — i nie pozwalało wypowiedzieć nic więcej. Ale wykrztusił: „O Jahwe, ocal ich! O Jahwe, nie daj im zginąć! Abraham — przemknęło mu przez mózg — ofiarował syna, lecz odzyskał go. Mnie zabrano synów, a zamiast nich... Nie dał sobie zamknąć

klamry myśli. Powtarzał głucho, uparcie: — Ocal ich, ocal ich... Jak dałeś Noemu uratować się z fal potopu, tak daj im teraz ujść...”

Sypiący się rozżarzony piasek rodził majaki. Mozisowi wydawało się, że chodzi po wzgórzach nad doliną Mambre i targuje się ze swym Gościem: „Jeżeli znajdziesz stu, czy zatracisz? jeżeli dwunastu...? a jeżeli tylko dwóch...?” Wiatr i piasek były gorące, ale czoło, policzki, usta — paliły także. Rozdarł kuttonę i leżał nagimi piersiami na gorejącym popiele. — „Czy Ty tego chcesz — zapytywał — by oddawać Tobie, co się chce otrzymać?” Znowu błagał: „Ocal ich, uratuj! Jak wyprowadziłeś Lota, wyprowadź ich...”

Nagle sprężył się cały jak ktoś, kto dotknął nieoczekiwanie palcem rozżarzonego węgla. Odruchowo zerwał się na nogi. Wiatr obalił go z powrotem na ziemię, zapchał mu usta piaskiem. Leżał, płuł i łapał oddech. Znowu próbował się podnieść, lecz tym razem ostrożnie, przygarbiony, prawie na czworakach, począł się zsuwać w dół. Za chwilę poczuł na twarzy i na dłoniach rozpryski wody. W ciemnościach fale wznosiły się na wysokość góry, a potem spadały niby walące się kolumny. Morze zdawało się wrzeć. Nie wiele widział. Plaża, gdy na niej stanął, była mokra, jakby ośliniona. Przebiegały po niej jęzory wody niby chwytne macki jakichś potworów morskich. Wpół zgięty, wczepiając się palcami w mokry piasek, posuwał się na oślep wzdłuż brzegu. Ustawał — i znowu parł naprzód, aż wreszcie dotarł do miejsca, gdzie — pamiętał — kamienisty grzebień, stercząc z otaczających zatokę skał, zanurzał się w wodę. Zatrzymał się tu. Trzymając się jakiegoś głazu wpił oczy w ciemność. Lecz nie potrzebował ich bardzo wyteżać. W mętym świetle, jakie dawał blask księżyca przesiany przez chmury pyłu, zobaczył, że ciemną, wełniącą się powierzchnię morza przecina niby jasna smuga.

Usiadł na mokrym piasku, przesunął dłonią po czole. Nie — to nie był sen. Tamta rozmowa miała miejsce. Opowiadał mu to stary pasterz madianicki. Zdawało się Mozisowi, że pamięta nawet zahaczający się, pełen postękiwania głos mówiącego: „Gdy przychodzi wielki, gorący wiatr i uderza w morze — ale tylko gdy jest naprawdę wielki wiatr, Mozisie — wtedy morze rozdziela się... Można by przejść jego środkiem...” Ze śmiechem przerwał mu wtedy: „Opowiadasz bajki, Jetronie”. „To nie są bajki — oburzył się stary — to nie są żadne bajki... Tam, widzisz, pod wodą — postękiwał — jest taki jakby próg. Oddziela zatokę od morza. Zwykle go nie widać. Fala nie rozbija się na nim. Nawet łodzie mogą nad nim przepłynąć. Ale jeżeli nadleci naprawdę wielki wiatr — spędza wodę z progu. I gdyby ktoś

był bardzo odważny, mógłby wtedy po tym progu przejść środkiem morza suchą nogą. Lecz tego nikt się nigdy nie ośmieli zrobić. Nikt. Bo nie wiadomo, kiedy morze zamknie się... Pojmujesz? Ten próg widać czasami długo — a czasami tylko przez chwilę...”

Nie brał wtedy poważnie gadaniny brata teścia. Aż nagle przypomniał sobie o niej. Znowu wstał i patrzył. Próg był naprawdę odkryty. Wiatr rozdał morze, odpędził wody daleko, zostawiając za progiem jakby jezioro. Naprawdę można by tą drogą przejść na drugi brzeg... Przerazająca droga... „Gdyby ktoś był bardzo odważny...” — mówił Jetron. Tak, nie byle odwagi trzeba, by wejść między dwie ściany gotującej się wody, które mogą się w każdej chwili zamknąć. Aby przejść progiem na drugi brzeg, trzeba czasu. A ile czasu trzeba, gdy się chce przejść z całym ludem, z bydłem, z taborem? Przy największym pośpiechu musieliby iść do rana. Czy wiatr tak długo utrzyma morze? „Nigdy nie wiadomo, kiedy morze się zamknie...” — powiedział Jetron. Lecz cóż im pozostało innego jak zaufać? Mozisowi wydało się nagle, jakby coś pojał: to tak, jakby istniały dwie drogi...

Znowu przygięty, przytrzymując się dłonią ziemi, biegł wzdłuż wybrzeża. Śpieszył, jak tylko mógł. Walcząc z wichurą, dotarł do miejsca, gdzie skłębiony, zbity ciasno — człowiek przy człowieku — dyszał trwogą obóz.

— Aaron... Aaaa...! — próbował wołać brata. Nikt nie pojał, co woła, ale dźwięk jego głosu poderwał wszystkich. Ludzie nie spali, czekali na niego. Przecież spodziewali się, że im jednak przyniesie jakiś ratunek. Sto głosów zaczęło krzyczeć w szumie wiatru:

— Aaronie! Aaronie! Idź do Mozisa! On woła. On przyszedł, Aaronie!

— Jestem...

Brat przytulił się do jego ramienia. Szarpana wiatrem broda splątywała się z brodą Mozisa, usta dotykały jego ucha.

— Co przynosisz? Co ci On powiedział? Czy uratuje...? Jak...?

Nic nie wyjaśniał. Nie było czasu.

— Wszysey... za mną...! — rozkazał.

Zrobił przy tym gest, którym chciał nakazać pośpiech. Lecz Aaron nie rozumiał. Uczepiony ramienia Mozisa krzyczał mu w ucho swe pytania: — Czego ty chcesz? Co ty chcesz zrobić? Dokąd mamy iść?

Odepchnął go. Wymachiwał rękami przed twarzą brata.

— Prędko! — zdołał wykrzyczeć. — Za mną!

Do końca nocy nie było daleko. Księżyc siał jeszcze swoją poświatę. Póki ten blask rozświeca nieco ciemności — zdawał sobie z tego sprawę Mozis — zdołają wejść na próg. Potem wszystko pochłonie mrok przedran-ny. A kiedy nastanie dzień — będzie za późno.

— Prędko. Wołaj... Niech idą!

— Dokąd ty chcesz nas prowadzić? — powtarzał swoje Aaron. Nagle w jego głosie pojawił się lęk. Chwyił brata za rękę, przytknął policzek do jego policzka. — Czy ty chcesz, abyśmy teraz rzucili się na żołnierzy faraona?

— Prędejl! — Strząsnął z siebie brata jak czepiającego się płaszcz skor-
piona. „On jest takim samym tchórzem — przebiegło mu przez głowę —
jak oni wszyscy.” — Jahwe uratuje nas! — Znowu osłaniał tym imieniem
swe wezwanie. Lecz była w nim niezachwiana pewność, że On naprawdę
chce tego. — Wołaj! Niech idą! Prędejl!

— Lecz dokąd? Dokąd?

— Nie pytaj! — Zaciśnął pięści i uniósł je groźnie nad głowę. — Masz
słuchać mnie! Wołaj ich! Każ im iść! Rozkazuję ci! Słyszysz? Tego chce
Jahwe!

Aaron chciał jeszcze coś powiedzieć, ale z postaci Mozisa bił taki gniew
i taka siła, że przerażony cofnął się; odpełził w ciemność niby wielki krab.
Przyłożywszy obie dłonie do ust, zaczął wołać:

— Chodźcie, chodźcie wszyscy! Idźcie za Mozisem. Idźcie śpiesznie...
Nie zwlekajcie! On każe, żebyście szli... Prędejl! Prędejl!

Gdy rozkazującym gestem wskazał im laską drogę przez wzburzone
i rozdarte morze — cofnęli się przerażeni. Wydało mu się, że się porwą do
ucieczki. Mimo huku fal i szumu wiatru słyszał ich krzyki:

— On oszalał! Czy wy widzicie, czego on chce?

— Nie pójdziemy za nim!

— Woda zamknie się i pochłonie nas!

— Nie pójdziemy! Tam śmierć!

— Lepiej niech nas zabije faraon...

Wystraszone jękiem rodziców dzieci zanosiły się spazmatycznym krzykiem, kobiety łkały, mężczyźni wołali, bydło, któremu udzieliło się przerażenie ludzi, ryczało. Mozisa ogarnął znowu gniew. Och, gdyby mógł ten cały oporny lud porwać w ręce i cisnąć między szalejącą wodę! To mało, że pogardzał nimi; nienawidził ich. „Podli tchórze — miał na ustach — podli, trędowaci...!” I on miał ochotę tak ich nazywać.

— Nie słuchajcie go! Nie idźcie za nim! — to wołali książęta rodów. — Niech sam idzie się topić! My lepiej prosimy faraona o łaskę...

— Prosić? — krzyknął jakiś głos. — Jedno warto drugiego! Nic nie wyprosimy. I tu śmierć, i tam śmierć!

— Lepiej poprzecinajmy sobie żyły!

Znowu krzyczeli, wyciągając ku niemu ściśnięte pięści:

— Po coś nas wyprowadził z ziemi Mikraim?

— Po coś nam mówił o tym twoim Jahwe?

Gdyby mógł im odpowiedzieć. Gdyby mógł ich zmiażdżyć słowami! Ale stał przed nimi niemy. Łaską tylko wskazywał morze. Gdyby mógł się na nich rzucić i zmusić ich, by szli! Na próżno. Boża moc była w nim bezsiłą. Czuł, jak zapala się w nim straszny, nieprzypadkowy paroksyzm gniewu. Pałającym wzrokiem szukał Aarona. Lecz kiedy go zobaczył wciśniętego w tłum, z płaszczem zarzuconym na głowę, z pogardą odwrócił twarz. Wściekłość dławiała go. Znowu miał ochotę podnieść głowę i krzyknąć: „Cóż za lud mi dałeś?” Ale ten wyrzut — to było mało. Wydawało mu się, że jeszcze chwila, a zacznie się modlić: „Weź i pozabijaj ich. Niech ich faraon zabije! Niech ich morze pochłonie! Niech zgniją! Niech...”

Nagle ktoś wybiegł z tłumu. To była kobieta, lecz wydawała mu się w pierwszej chwili dzieckiem. Szczupła, drobna, trzymała w ręku mały bębenek. Uniosła go nad głowę i uderzyła weń wierzchem dłoni. Z tłumu wyrzwał młody mężczyzna. Zawołał na nią lekliwie:

— Tamar! Tamar...! Co ty chcesz robić? Wróć!

Nie odpowiedziała mu, nie cofnęła się. Stała przed zebranim ludem ze swym bębenkiem w ręku. Biła w niego i potrzasała nim. Głosy krzyczących ucichły. Oczy wszystkich skierowały się ku dziewczynie. Ona nie przestawała bębnić. Aż nagle odrzuciła bębenek. Podniosła oczy w górę, nieoczekiwanie zaczęła śpiewać:

*Bóg ojców twoich będzie twoją pomocą.
Wszchemocny opiekować się tobą będzie...*

Stare błogosławieństwo Jakuba — niezrozumiała, lecz pełna tajemniczej mocy pieśń, która pozostała z dziedzictwa ojców — miała na nich wpływ urzekający. Jak podtrzymywała ich w chwilach najcięższych, tak i teraz zapanowała nad lękiem. Inne dziewczęta i kobiety podchwyciły:

*Da ci więcej, niż daje żyzny pagórek,
I więcej niż cienista dolina.
W Jego błogosławieństwie wieczność...*

Coraz więcej głosów kobiecych; a potem męskich łączyło się z tym śpiewem. Zagłuszana początkowo hukiem morza pieśń potężniała; aż zapanowała nad wichrem i nad wodą.

I lud, jakby zaklęty śpiewaniem, powoli, ale zdecydowanie, ruszył za Mozisem w dół. Gdy stanęli nad samą wodą, znowu morze usiłowało ich głosy stłumić swoim rykiem. Ale już teraz śpiewali wszyscy. Zadrżeli, gdy morze zakłębiło się u ich stóp, zaś fontanny wody uderzyły ich w twarze. Nie cofnęli się jednak. Nie przestając śpiewać ludzie weszli na wąski, kamienny próg. Rozszalałe bałwany sypały im na głowy mokrą mgłę. Mieli pod nogami śliskie kamienie i jakieś podwodne wodorosty, w których utknęły tu i tam pozbawione swego żywiołu ryby. Mimo to — nie zatrzymali się. Szli naprzód środkiem morza.

CZEŚĆ DRUGA

**NOWE
POKOLENIE**

Obozowisko rozpościerało się kilku setkami niskich namiotów w cieniu wiecznie rozkołysanych palm. W pośrodku, otoczony zagrodą z bisioru rozwieszoną na sześćdziesięciu akacjowych słupach, stał święty Przybytek wzniesiony z desek i pokryty poczwórnym dachem: z bisioru, czarnego przędziwa z koziej sierści, z malowanych na czerwono, a wreszcie z malowanych na niebiesko skór. Ponad ogrodzenie, wyższe niż wzrost człowieka, bił w niebo słupem dym z ołtarza ofiarnego.

Mozis minął szerokie, poczwórne drzwi wyprowadzające z dziedzińca, minął obóz zamarty w południowej drzemce. Powoli, zamyślony, szedł w stronę gąszczy wybujałych traw i krzewów. Obrosły zielenią płynął tutaj strumyk. Doszedłszy do wody nabi podążył dalej wzdłuż jej nurtu. Zanurzył się w mały zagajnik. Chropowate pnie przeżyły się jeden obok drugiego. W górze, na tle nieba, kołysały się gałęzie daktylowców niby wachlarze faraona. Pod szeleszczącym stropem liści świergotały i fruwały ptaki.

Zagajnik był niewielki i w parę chwil miał go już za sobą. Teraz rozciągała się przed nim rozległa łąka, z rzadka tylko usiana drzewami. Strumień płynął dalej jej skrajem, zaś świeża trawa nad jego brzegiem odcinała się jasną barwą od szarości twardych badyli i ostów porastających kępami równinę. Na chwilę zatrzymał się i popatrzył wokoło siebie. Na łące odnaleźć można było ślady wielkiego obozowiska, które tu musiało stać przed kilkoma miesiącami. Między kępami pustynnej trawy nie znikły jeszcze czarne koła — pozostałość wytłalych ognisk. Tu i tam wałały się rozrzucone kości; gdzieś widać było zgniły gałgan lub płat skóry. Pośrodku łąki widniał jeszcze duży prostokąt, otoczony dziurami po wyciągniętych palach — tu stał Przybytek. Przyroda nie była w stanie pochłonąć śladów sprzed roku. Natomiast miejsc obozów poprzednich nie można już było odnaleźć. I tak było zawsze: ilekroć przybywali tutaj, na najdalszy kraniec oazy, odnajdywali jedynie ślad z poprzedniego roku.

Rozejrzawszy się ruszył dalej. Rozległą łąkę zamykała znowu kępa palm obrastających mały wzgórek. Na nim kończyła się oaza. Dalej rozpościerała się pustynia. Poprzez kosmate pnie przeświecał rozplómienny słońcem piasek. Wydmy rozbiegały się na wszystkie strony, niby uciekające i zama-

rle w ucieczce fale morza. Potoczek ściekał w kamieniste koryto; na małej przestrzeni — tyle, ile sięgał cień drzew — wił się cienką strużką na jego dnie; potem gdzieś znikał. Wylizywało go słońce, a może krył się przed nim w podziemny korytarz. Między piaskami pustyni płynął już tylko głazami kręty kamienisty rów.

Mozis wszedł między drzewa. Doszedłszy, do samego skraju oazy zatrzymał się. Powoli usiadł. Był wciąż zamyślony i w tym zamyśleniu patrzył na pustynię przed sobą. Słońce prażyło; zdawało się ściekać z nieba strugą rozpalonego metalu. Przestrzeń drgała. Jakiś potężny ptak leciał na szeroko rozpostartych skrzydłach. Unosił się nisko nad wydrami jakby ścigając swój cień, który uciekał rozpaczliwie, skacząc przez nierówności gruntu, podobny listkowi pustynnemu. Ptak zdawał się wracać z wyprawy w pustynię. Jak kruk, którego wypuścił Noe... — pomyślał Mozis.

Lecz on nie musiał wypuszczać ptaka, by się dowiedzieć, czy świat poza oazą, po której od tak dawna krążyli, istnieje jeszcze. Prowadząc ich — wciąż w koło, ciągle po starych śladach — wiedział przecież o wszystkim, co się działo w ziemi, z której wyszli, i w ziemi, do której mieli iść. Ciągące przez pustynię karawany często skręcały ku oazie, by tu napić wielbłądy. Jadący dzielili się z nimi wiadomościami ze świata. I tak Mozis dowiedział się pewnego dnia, że zawsze zwycięski, choć mniej wsławiony od ojca Amenhotep II odszedł między bogów, zaś władzę po nim nad Dolnym i Górnym Egiptem — a także nad wszystkimi ziemiami hołdowanymi przez zdobywczycy władców osiemnastej dynastii — objął jego syn. Faraon — opowiadali podróżni pogwizdując cicho, by wielbłądy spokojnie piły zimną źródlaną wodę — długo nie miał syna. Jego pierworodny umarł w tamtym strasznym czasie, przed wieloma laty, gdy w ciągu jednej nocy nieznaną, gwałtownie szalejącą chorobą zabiła w ziemi Mikraim wiele, wiele dzieci. Ale potem, gdy oświecony przez cudowny sen, zesłany mu przez boga Hermachisa, faraon kazał odkopać zasypaną piaskiem pustyni kamienną podobiznę bóstwa i gdy kazał postawić w objęciu jego potężnych lwich łap i dojrzałych, kobiecych piersi błagalną stelę, syn — następca został poczęty i narodził się...

Oprócz wędrownych kupców pojawiali się od czasu do czasu w Kadesz pasterze madianicy, którzy także lubili tu pasać swoje trzody. Od nich dowiedział się Mozis, iż umarł mądry Raguel, jego teść, który tak roztropnie poradził mu, by obok starej rodowej struktury powołał do życia nową, sobie tylko poddaną, organizację tysiączników i setników. Potem — któregoś

roku — przyniesiono mu wieść o śmierci Sefory... W następnym roku przybył wraz z pasterzami Gersam. Był już dorosły, miał żony i dzieci. Gdy Mozis patrzył na syna, czuł obudzony na nowo ból. Ten ból wzrósł, kiedy zrozumiał, że młody mężczyzna posiadał wiarę szczepu swej matki: czcił Kamosa, Aszerę, a wraz z nimi setkę mniejszych bóstw opiekuńczych — terafimów. O Bogu ojca nie mówił nic. „Czy nie zostałeś ze mną jak Hობab, brat twojej matki? — pytał go Mozis. — Synowie Jakuba przyjęliby cię jako jednego ze swoich. Pamiętaj: Jahwe wybrał sobie lud izraelski. I ty także należysz do niego. Gdyś był dzieckiem, matka zrobiła tobie...” Gersam zżymał się gniewnie: „Nie mam nic wspólnego z synami Jakuba. Nie mam i nie chcę mieć!” To, co zrobiła Sefora, nie miało dla Gersama żadnego znaczenia. Kapłani u nich robią to samo wszystkim dorastającym chłopcom. A lud izraelski... Wszyscy śmieją się z niego, że zamiast iść do obiecanej im przez ich Boga ziemi, chodzi od lat w kółko po jałowej oazie, niby owce dotknięte kołowaczyną. Dlatego wciąż jest mały i nędzny. Inne ludy rosną z roku na rok w siłę — w liczbę ludzi i bydła. Oni, Madianicy, tak się rozrosli, że postanowili ostatnio, by sobie wzajemnie nie wchodzić w drogę, rozdzielić się. Część plemienia powędrowała na północ ku siedzibom Moabitów, z którymi zawarli przymierze. Z tamtymi odszedł brat Gersama — Eliezer. „On jest teraz wielkim bogaczem — opowiadał Gersam. — Wziął za żonę córkę księcia moabickiego, a z nią wiele majątku. O, Eliezer stał się wielkim panem! Nie nazywa się już teraz Eliezer. Zmienił imię. Zwie się Sur. Jest znany, szanowany i bogaty. Posiada nawet w mieście Settim dom, prawdziwy dom, wybudowany z glinianych cegieł. Także wiele służby, wiele zwierząt...”

Gersam odjechał obiecując znowu przybyć. Ale nie wrócił. Próżno Mozis wyczekiwał go z tęsknotą.

Zresztą w miarę lat coraz rzadziej odwiedzali oazę pasterze madianicy. Dochodziło do Mozisa, że między niektórymi z nich a młodymi Izraelczykami miały miejsce jakieś niemiłe spory, jakoby nawet walki. Ale zajęty tyloma sprawami nie miał możliwości wejrzenia w to.

Oprócz kupców i pasterzy w ciągu tych lat pojawiały się także na skraju oazy oddziały wojsk egipskich: czy to ciągnących na wschód, na wojenną wyprawę, czy też z niej wracających. Mozis strzegł się spotkania z Egipcjanami, toteż, gdy tylko wywiadowcy, których nieustannie rozsyłał na wszystkie strony, donieśli mu o zbliżaniu się do Kadesz wojsk faraona, odprowadzał lud daleko, na przeciwny skraj oazy. Po armiach Amenhotepa II

ciągnęły armie Tutmozisa, czwartego władcy—byka tego imienia. Wojska maszerowały na wschód szybko, wracały natomiast wolno, obładowane zdobyczą, prowadzące jeńców. Kiedyś w kierunku ziemi Mikraim przeszedł pustynią liczny zastęp wojska w nieznanymi spiczastych hełmach. Mozis dowiedział się potem, że było to poselstwo króla Mitanni, odprowadzające faraonowi z wielką pompą narzeczoną, córkę króla Artatany, księżniczkę Mutemuje. Podbiwszy całą ziemię Retenu faraon zawarł przyjaźń z królem Mitanni i umocnił ten pakt małżeństwem.

Biegły lata, a oni w nie kończącej się wędrówce powracali raz po raz na wschodni kraniec oazy. Tędy — o tym wiedział każdy w obozie — prowadziła droga do upragnionej Ziemi Obietnicy. Dochodząc tutaj patrzono pilnie, co postanowi Mozis. On był zamyślony, modlił się, a potem kazał zawracać na południe. I to się powtarzało wiele, wiele razy — od trzydziestu siedmiu lat.

Potem doszła do nich wiadomość, że i Tutmozis odszedł na „pola Jalu”, zaś biały i czerwony pszent władców Egiptu spoczął na głowie jego syna Amenhotepa, trzeciego tego imienia. Przez pustynię zamiast wypraw wojennych przechodziły tylko oddziały wojsk luzujących garnizony w podbitych prowincjach. Z drugiej strony nadchodziły strojne, obciążone darami poselstwa. Coraz więcej było tych poselstw. Huragan wojny, wzniecony przez Tutmozisa Wielkiego, przemienił się w spokojny powiew przyjaźni. Nigdy jeszcze nie było życie tak przyjemne jak teraz w ziemi Kemet — chwalili wędrowcy, jeśli zdarzyło się, że który z nich przywędrował do oazy. — Kraj kwitnie pod łaskawymi rządami Horusa—Amenhotepa. Pełno wszelackiego bogactwa. Po rzece — dla ludzi tutaj żyjących istniała tylko jedna rzeka godna tej nazwy, choć byli tacy, co wiedzieli, że daleko, za krajem Hettytów, jest inna rzeka, płynąca, rzecz niesłychana, w przeciwnym naturze kierunku — po rzece żeglują niezliczone statki przywożące towary z najodleglejszych stron świata. A ile wspaniałych budowli powstaje w całym kraju! Nie ma świątyni, której by faraon nie upiększył, nie ma boga, którego by nie uczcił! Opowiadali także, że Amenhotep, podobnie jak i ojciec, wziął sobie za żonę księżniczkę Mitanni, a gdy ona zbyt szybko umarła, sprowadził sobie od Mitańczyków drugą, pięknooką księżniczkę Tuje, która przybyła do Egiptu otoczona licznym gronem służby, a także kapłanów swego ludu.

Mozis pilnie wysłuchiwał tych wiadomości dziwiąc się tylko, dlaczego tak rzadko zajeżdżają teraz do Kadesz wędrowni kupcy. I w miarę tego słu-

chania pojawiało się w nim coraz częściej pytanie, czy już nie minął czas pokuty i czy nie zbliżyła się chwila opuszczenia przez lud zakłętego kręgu oazy? Wtedy rozgniewany Jahwe powiedział: „Umrzeć muszą ci, którzy Mi się sprzeciwili”. Tak się już stało. Tamci ludzie nie żyli. Poza nielicznymi jednostkami wymarło pokolenie, niegdyś policzone na pustyni synajskiej, a jego groby pozaczyły kolisty szlak wędrówki ludu. Naród tworzyli ci, którzy opuścili ziemię Mikraim dziećmi lub porodzili się w drodze. Nowy całkiem lud. Wychowany przez niego naród...

„To nie są tamci — myślał nieraz — na których musiałem się skarżyć Wszehmocnemu. To nie są tamci, którzy tyle razy opierali się Jego woli i buntowali jak wtedy... Chwila, którą przeżył przed trzydziestu siedmiu laty właśnie tu, na wschodniej rubieży Kadeszu, pozostała w jego pamięci wspomnieniem czegoś strasznego, najstraszniejszego spośród rzeczy, których dane mu było doświadczyć kiedykolwiek. Nie spodziewał się tego buntu. Po trzech latach kierowania opornym ludem — po krwawym ukaraniu bałwochwalstwa i po złamaniu tyłu sprzeciwów — wydawało mu się, że okiełznał go wreszcie niby dzikiego osła. Teraz już, sądził, pójda posłusznie za nim tam, dokąd Jahwe nakaze ich prowadzić. Tyle przecie zaznali cudów. Nocami bezszelestnie sypała się na obóz żółta manna; gdy nie mieli co pić — woda wytrysnęła ze skały, a gorzkie źródła stały się słodkimi; gdy zuchwale zażądali mięsa — nadleciały przepiórki i mogli się nimi karmić aż do przejedzenia. Słyszeli pioruny bijące w skały Horebu i tajemnicze dźwięki niby wielu trąb dobywające się z ciemnych kłębow, którymi dymiała góra. Widzieli, jak blask chwały Najwyższego spoczął na twarzy Mozisa, że aż przez długi czas musieli odwracać oczy, gdy mówił do nich. Zdawać by się mogło, że po tych trzech cudownych latach nie ma już rzeczy, na którą powinni się porwać...

Stało się inaczej.

Obozowali wtedy tutaj. Niecierpliwie czekali na powrót zwiadowców, których Mozis posłał przodem do Ziemi Obietnicy, by przynieśli im wieść o tym, jak ona wygląda. Dni płynęły za dniami na radosnych rozmowach, na snuciu planów, na paplaninie o przyszłym dobrobycie i szczęściu. Każdy spodziewał się, że w Kanaan stanie się większym bogaczem, niż był kiedykolwiek. Rozprawiano o wspaniałych pastwiskach, na których wciąż odrasta bujna trawa, o drzewach, które uginają się od owoców, o winnicach, które bez wysiłku ze strony człowieka rodzą olbrzymie grona. Wszystko to miało stać się ich własnością — wraz z miastami otoczonymi murem, z pięknymi

szatami, ze srebrem i ze złotem. Zmęczeni wędrówką po pustyni mieli już potem tylko jeść, pić, spać i rodzić dzieci...

Nie przestawano wypatrywać na piaszczystych wydmach, przez które prowadził szlak do ziemi Edomitów leżącej na drodze do Kanaan, sylwetek wracających wywiadowców. Aż wreszcie gruchnęło po obozie: Idą! Idą! Wracają!

Wszyscy rzucili się patrzeć. Rzeczywiście wracali. Szli wolno, obciążeni jakimiś ogromnymi ładunkami. Liczono ich wzrokiem. Byli wszyscy: dwunastu przedstawicielei rodów, które miały podzielić między sobą Ziemię Obietnicy.

A gdy przyszli, cały lud zbiegł się wokół nich w ogromny krąg. Tamci zaczęli od pokazywania tego, co przynieśli. Rozkładali olbrzymie granatowoczerwone kiście gron winnych, ociekające tłustością oliwki, skrzące się granaty, mięsiste figi, garście ciężkich pszennych i jęczmiennych kłosów, ziarna bobu, główki czosnku i cebuli, plastry miodu. Tłum patrząc na to cmokał z podziwu i wybuchał krzykami hałaśliwej radości. Klaskano w dłonie, klepano się po ramionach, śmiano się. Oto jak potrafi rodzić dana im ziemia! Ich ziemia! Uderzali się mocniej po ramionach. Kobiety garnęły się do mężczyzn, tuliły się do ich ramion. Prędej! — wołano. — Prędej! Idźmy! Chodźmy do tych bogactw!

Lecz wysłańcy nie dzielali powszechnego zapału. Z kolei zaczęli opowiadać. Tak, to prawda, przyznawali, ziemia jest bogata i obfituje we wszystko. Płyynie miodem i mlekiem, ale nie jest pusta. Zamieszkuje ją wiele ludów, które mają murowane miasta z warownymi zamkami. Mieszkają tam Amorejczycy, Hewejczycy, Hetejczycy, Jebujejczycy, Kananejczycy, a także wiele, wiele innych narodów. Są to narody wojownicze i silne, które nie oddadzą bez walki swoich bogactw. Nie będzie łatwo z nimi się zmierzyć. Tamci mają naturę krwawą i nawykli do wojen. Wśród nich żyją także potomkowie Enaka, którzy pobudowali sobie miasta o murach sięgających nieba...

W miarę jak mówili, radość i zapał gasły; zamieniały się w pełną lęku ciszę. Tylko niespokojne szepty poczęły biegać po tłumie: Jak to? Co oni mówią? Co oni mówią? Więc trzeba się będzie z tamtymi bić? Oni przecież nie ustąpią sami...!

Szepty były jak wiatr pośród liści: początkowo ledwo je było słyhać, ale potem zerwały się w porywisty szum głosów:

— Jak to? Co wy mówicie? Jacy są tamci? Mówcie! Mówcie! Opowiadajcie!

Wołano na przybyłych, by więcej jeszcze mówili o tym, co widzieli. Ale opowiadający nie byli ze sobą zgodni. Mówiąc spierali się ze sobą, wzajemnie siebie zakrzykiwali. Zgadzała się w tym, że ludy Kanaan są liczne i groźne. Ale gdy Kaleb, wnuk Naasona, wołał: „Damy im radę!” — a temu wtórował Jozue syn Nuna, Samna, Safat, Igal, Gadi i inni potrzásali przecząco głowami. „Nie, nigdy ich nie zwyciężymy! Ta ziemia nas pożre! — mówili. — Kto do niej wkroczy, znajdzie śmierć...”

— Więc jak jest naprawdę? — gniewne głosy z cizby padały coraz bardziej niecierpliwie. — Więc jak jest? Zwyciężymy tamtych, czy nie zwyciężymy?

— Jeżeli nawet zwyciężymy — połowa nas wyginie... — powiedział jeden ze zwiadowców.

— Latami trzeba będzie walczyć... — dorzucił drugi.

— Więc co? Więc mówicie, że nie damy im rady?

— No, mówcie...!

— Ech, co mają mówić? Słyszeliście, co powiedzieli: zginie, kto tam wejdzie.

— To po co mamy tam iść?

— A dokąd pójdziemy?

— Po cośmy w ogóle wychodzili z ziemi Mikraim? Nie było tam tak znowu najgorzej... Jedzenia nie brakło...

— Lepiej było pomrzeć w Mikraim niż po tylu trudach zginąć z ręki obcych.

— Lepiej było umrzeć w czasie drogi...

— Pewno, że lepiej!

— Czy to Mozis nie wiedział, jak tam jest?

— Musiał wiedzieć! Przecież on — nabi Pański... Rozmawiał z Najwyższym na Horebie...

— Spróbujmy wejść do Kanaan — to nas tamci pozabijają, zaś nasze żony i dzieci pójdą do nich w niewolę...

Zapadł wieczór, nadeszła noc, a oni wciąż stali kręgiem; krzyczeli i zawodzili, biadali i płakali. Coraz głośniejsz, coraz zawzięciejsz.

— Nie pójdziemy! Nie pójdziemy na śmierć! Nie chcemy tej przeklętej ziemi! Nie chcemy umierać!

Ktoś zawołał:

— Wracajmy!

Setki głosów podchwyciły ten krzyk:

— Tak! Tak! Wracajmy! Wracajmy! Wracajmy do Mikraim!

— Co wy wołacie? Czyście poszaleli? — pytali Kaleb i Jozue, rozpaczliwie machając rękami. — Poszaleliście czy co? Chcecie wracać? Dokąd? Do ziemi Mikraim? Znowu przez pustynię, znowu przez tyle niebezpieczeństw i trudów? A już zapomnieliście o tym, co powiedział faraon? Aby nikt nie ośmielił się wrócić? Chcielibyście stanąć przed nim? Po tym, co się stało nad morzem...? Szaleńcy! Szaleńcy! W Mikraim czeka was śmierć. A ziemię Kanaan można zdobyć. Z Pańską pomocą zdobędziemy ją na pewno! Mówimy wam...

— Nie zdobędziemy! Nie zdobędziemy! Łudzicie siebie i nas... Zginiemy, a nie zdobędziemy!

— Gdy Wszechmocny przyrzekł...

— Nie zdobędziemy. Poginiemy wszyscy...!

— Najwyższy przeprowadził nas przez morze...

— Tu nie ma morza. Tu są ludzie... Tysiące zbrojnych... Olbrzymi! Niezdobyte miasta! Sami mówicie, że ich mury sięgają nieba!

— Wy, lud Boży, który wybrał sobie Najwyższy, chcecie wracać do kłamliwych, obrzydłych bożków...?

— Lepsi bożkowie... — padło z tłumu.

— Lepsi bożkowie! — podjęli inni. — Czy to Jahwe Mozisa nie wiedział, co nas czeka w Kanaan?

— Lepsi bogowie, którzy dają bogactwa i wygodne życie, niż tacy, co tylko obiecują... Dość poniewierki! Dość trudów!

— Jahwe Mozisa chciałby nas bez końca wodzić po pustyni...

— A co nam dał? Mannę, której już mamy po dziurki od nosa! Przepiórki, od których tyłu poumieralo!

— Dość udręki! Dość manny! Dość obietnic!

— Wracajmy! Wracajmy do Mikraim! Tam było dość jedzenia...

— Lecz oni powiadają, że gdy wrócimy, faraon każe nas pozabijać...

— Bo nie trzeba było wychodzić...!

— Tego wyjścia chciał Jahwe Mozisa...

— Precz z Mozisem! Precz z Jahwe!

— Szaleńcy! Jak śmiecie!? — krzyknął rozdzierająco Jozue. — Jahwe opiekuje się nami. Dał zwyciężyć...:

— Dość tego gadania! — przerwano. — Szalony jesteś! Szalony i głupi! Lepszy bogowie, którzy dają chleb, mięso, cebulę i bogactwa, niż ten zawistny Jahwe!

Rozpacz przerodziła się nagle w krwawy gniew. Tłum chwycił za kije i kamienie. Z dzikim wrzaskiem rzucił się na Kaleba i Jozuego. Na szczęście był mrok, a ogniska zostały natychmiast zdeptane przez ciżbę. W ciemnościach i w zamęcie obu mężczyznom udało się zniknąć.

Lecz furia tłumu, nie znalazłszy zaspokojenia w ich krwi, szukała innych ofiar. Pięści, kije, miecze i noże domagały się dla siebie celu. Rozjuszona masa ludzka, niby wezbrana rzeka, potoczyła się ku ostatniemu palącemu się ognisku, obok którego siedział na stercie skór owczych nieruchomy, skamieniały z oburzenia i bezsilności Mozis. Pozbawiony Aarona, który gdzieś zniknął, nie miał możliwości powstrzymać tłumu, gdy rzucił się na Jozuego i Kaleba. Teraz zobaczył, jak ludzie biegną w jego stronę. Wrzask uderzył o gwiazdy, zatrzęsł gałęzmi palm.

— Zabić go! Zabić go! On winny! Oszukaniec! Zwodziciel! Kłamca! Rozedrzyć go na sztuki! Śmierć Mozisowi! Za naszą niedolę — zabijmy go!

Pędzili w jego stronę w nieprzytomnej wściekłości. Gdy zobaczył ich wykrzywione twarze, rozdarte we wrzasku usta, palce zakrzywione w kształt szponów, nie potrafił zapanować nad strachem. Zerwał się ze swego siedziska i rzucił do rozpaczliwej ucieczki. Ciżba popędziła za nim. Słyszał za sobą krzyki i nawoływania tamtych, ich sapanie niby goniących się w rui zwierząt. Ścigała go ostra woń potu męskiego. Koło głowy świstały mu kamienie. Jeden z nich trafił go w plecy, aż na chwilę poczuł omdłość w całym boku. Ale uciekał dalej. W ciemności próbował kluczyć. Przewrócił jakieś dziecko, które wplątało mu się pod nogi, gwałtownie skoczył za pień palmy.

On — wódz ludu — uciekał jak spłoszony niewolnik. Był coraz bardziej zadyszany. Jakiś pies wypadł na niego z mroku i chwycił zębami za poję płaszcza, rozdarł ją. Wyrwał się mu; pozostawił psa w tyle. Ludzie biegali na wszystkie strony, nawołując się wzajemnie do szukania go. Nie przestawano mu złorzeczyć. Słyszał charkot nienawiści podobny do zanoszenia się szlochami. Nareszcie udało mu się dopaść bramy dziedzińca Przybytku. Wbiegł przez nią. Na ołtarzu żarzyły się węgle, nad nim wisiała woń kadzidła zmieszana z odorem spalonego mięsa. Lecz na dziedzińcu nie czuł się pewny życia. Odchylił zasłonę, wśliznął się do namiotu. We wnętrzu było ciemno. Posuwał się z wyciągniętymi przed siebie dłońmi jak ślepiec. Nagle natknął się na człowieka. Tamten wydał okrzyk przerażenia, któremu zawtórowały inne głosy. Jacyś ludzie kulili się między ołtarzem kadzenia a siedmioramiennym świecznikiem. Po lękliwych piskach poznał, że to byli Aaron, Eleazar, Itamar i jeszcze kilku znaczniejszych lewitów. Siedzieli przykucnięci na ziemi, rozdygotani od strachu, żałośnie mali, zmiażdżeni grozą śmierci. Gdy wetknął palec w oko jednego z nich, myśleli, że to już przychodzą tamci, by ich zamordować. Kiedy poznali Mozisa, uczepili się dłońmi jego kuttony; zaczęli go błagać:

— Ratuj nas, Mozisie, ratuj! Wołaj do Niego! Módl się, żeby nas wydarł z ręki tych zbójów! Niech spuści na nich swój piorun! Niech ich pozabija wszystkich!

Nie odpowiedział nic na te skowyty. Strach przemagał się w nim z gniewem. Myślał także: zasłużyli na piorun... Na kogóż to ośmielili się podnieść rękę? Na niego? Czyż nie wywiódł ich z ziemi Mikraim? Czy nie przeprowadził ich przez rozdarte do dna morze? Czy nie dał im praw, które Jahwe wypisał własną ręką na kamiennych tablicach? Czy nie błagał za nich, gdy zasłużyli na śmierć? Czy nie znosił ich? Tyle razy... A oni co? Podły, nędzny lud...! Trędowaci! Trędowaci!

Odgarnął niecierpliwie dłonie, które czepiały się jego płaszcza. Porywczym krokiem postąpił w głąb Przybytku. Odnalazł drugą zasłonę. Gwałtownym ruchem odchylił ją. Wszedł do środka.

Przestrzeń była ciasna. Od razu jego ręce dotknęły skrzyni. Dłoń spoczęła na chłodnej złotej płycie.

Sam ogłosił, że tylko arcykapłanowi i synom Kaata, przeznaczonym do noszenia Arki, wolno jej dotykać: Jahwe polecił mu pilnować, aby Przybytek i jego sprzęty otoczone były szacunkiem należnym świętym, Bożym rze-

czom. I strzegł ogłaszanych przez Mozisa praw. Czy nie zabił Nadaba i Abihu? Lecz teraz sam świadomie przekroczył przepis. Gniew i oburzenie były w nim silniejsze od posłuchu. Czuł, że musi w tej chwili mówić z Wszehmocnym. Musi Mu powiedzieć... To, co przeżył uciekając, przepeliło miarę jego wytrzymałości. Nie pamiętał swojej modlitwy pod skałami Horebu. To za wiele! — pulsowało w nim razem z uderzaniem krwi w skroniach. Dosyć! Dosyć! Tego znieść nie można. Tego darować nie wolno. Oni przekroczyli miarę cierpliwości! Podli, nędzni...!

Jahwe nie odpowiedział na zuchwałę dotknięcie Arki wybuchem gniewu. Nie cisnął gromem. W mroku panowała głucha cisza, tak głęboka, że słyhać w niej było wyraźnie poprzez cienkie ściany Przybytku krzyki ludzi, którzy stali przed bramą — może już na dziedzińcu — i wołali:

— Zabić! Zabić go! Śmierć Mozisowi! Spalić ten namiot razem z nim! Zabić go! Spalić! Dość oszustw! Spalić! Zabić! Zniszczyć Arkę!

Głosy brzmiały wyraźnie, lecz nie przybliżyły się. Tamci wrzeszczeli, ale nie mieli widać odwagi, by wtargnąć do Przybytku. Aby Mozis im nie uciekł, zapalali liczne pochodnie. Ich blask przesiewał się przez szpary namiotu, sprawiając, że wzrok Mozisa począł rozpoznawać kształty Arki i dwie skrzydlate postacie cherubinów na jej wieku. Gdy ludzie na zewnątrz miotali się w gniewie i wściekłości, tu wszystko tchnęło spokojem.

Nie zdejmując dłoni ze skrzyni, osunął się na kolana. Jego czoło leżało na złoconej pokrywie. Mówił:

— Nie mogę już więcej z nimi... Nie mogę, Panie... Nie potrafię... Powiedziałeś wtedy: „Inny ci lud dam...” Prosiłem... Lecz nie mogę... Jak powiedziałeś — niech się stanie... Dałem im tyle... Wszystkiego się dla nich wyrzekłem... Nie zdołam więcej... Nikt nie zdoła... To kamienie — nie ludzie... Zrób z nimi, co chcesz... Uwolnij mnie od nich...

Lecz zaledwie to powiedział, poczuł jakby potężny wstrząs. Miał uczucie, że przepaść otworzyła mu się pod nogami, a on na próżno usiłuje zatrzymać się na jej skraju. Dłoń zsunęła się ze złotej blachy i wczepiła we włosy. Runął twarzą na ziemię. Począł się tarzać niby w gwałtownych bólach. Płacz buchnął mu z ust.

— Nie! Nie! Nie! — zaszlochał ustami w pyłe. — Nie! O Jahwe, nie! Nie słuchaj tego, co powiedziałem. Nie uwalniaj mnie! A ich — ocal... Oni... oni nie rozumieją Twoich obietnic... Oni nic nie pojmują... Są mali, nędzni... Ale Ty im przebacz... Nie słuchaj mnie...! O Jahwe! O Jahwe...!

Podźwignął się na kolana, przywarł całym ciałem do Arki.

— Oni nie wiedzą, oni nie rozumieją... — modlił się dalej wśród szlochów, które rozdzierały mu piersi. — Zlituj się nad nimi...! Nie karz ich... Jeśli ich wytracisz, powiedzą inne ludy: „Uwolnił ich z niewoli — a potem powybił ich do ostatniego...” Opuść im...! Nie uwalniaj mnie! O Jahwe...! Oni nie pojmują... Jakież człowiek pojął kiedy Boga? Zlituj się nad nimi... Wybrałeś ich... Nie pozwól, aby mówiono: znalazł ich takich nędznych — więc opuścił ich... Bądź dla nich cierpliwy... Dlatego właśnie, że są tacy... Bądź cierpliwy...

I gdy tak powtarzał żarliwie, bez końca, uderzając czołem o skrzynię i cisnąc do niej usta, wydało mu się nagle, że nad jego głową powiało potężne tchnienie, niby uderzenie wiatru, który wdarł się pod namiot Przybytku i targnął jego ścianami. W półmroku załopotana bisiorowa zasłona, jakby kogoś wpuszczała czy wypuszczała. Mozis miał wrażenie, że zaklaskały także skrzydła schylonych cherubinów. I wydało się, że usłyszał odpowiedź — cichą i bolesną:

— Bliska jest ziemia grzechu Ziemi Moich Obietnic... Proste i krótkie są Moje drogi... To wy je czynicie długimi... Wzywasz Mojej cierpliwości. Prosisz, bym zniósł ich złość. Jak mało żądasz! Czy nie wiesz, że Ja niecierpliwy jestem, by móc wam powiedzieć Siebie...?

Czy głos w mroku przemawiał naprawdę? Czy cisza, która dzwoniła w uszach, była ciszą, jaka zapadła po grzmocie? Krzyki ludzi przed Przybytkiem przyplęły znowu niby powracające z oddali. Mozis wstał. Nie płakał, nie drżał, nie unosił się gniewem. Spokojnie opuścił Debar, a potem Hekal. Bez lęku wysunął się przed zasłonę.

Na dziedzińcu stał rozkrzyczany zbrojny tłum. Ale ciżba, ujrawszy przed sobą nabiego, nagle zamarła w ciszy. Potem rozległ się niehumaniczny wrzask zgrozy i przestachu. Wszyscy rzucili się pędem do ucieczki. W bramie Przybytku tłoczono się i tratowano. Jeszcze chwila — a na dziedzińcu nie pozostał nikt. Dopiero zobaczywszy, jak Aaron zasłania połą płaszczą twarz, Mozis zrozumiał, co się stało: jego twarz płonęła tak samo jak wtedy, gdy zeszedł z Horebu...

Nikt z tych, którzy chcieli go wówczas zabić, już nie żył. Lecz Jahwe, pozwolewszy wymrzeć buntownicemu pokoleniu — myślał Mozis — za-

chował swą łaskę dla jego synów. Któregoś dnia skończy się czas pokuty i nowy lud — przez niego wychowany — pójdzie do Ziemi Obietnicy. Znowu, jak przed trzydziestu siedmiu laty, rozpoczną się dni cudów i znaków...

Słyszał coraz częściej: wszędzie pod władzą faraona panuje ład i dobrobyt. Ustały wojny. Wojska Mikraim złamawszy sto buntów meleków hetejskich, hewejskich, amorejskich, jebużejskich — zaprowadziły wreszcie pokój na krwawej ziemi Kanaan. Siła jej ludów została starta. I gdyby nie potęga faraona, który czuwa zazdrośnie nad ziemiami, stanowiącymi niby most czy korytarz wiodący w samo serce Azji, nie byłoby sposobniejszej pory, by próbować wśliznąć się do danej im przez Jahwe ziemi.

Bo i jak długo mają jeszcze czekać? Czy nowe pokolenie, wolne od słabości ojców, nie zasługuje na to, by je wprowadził wreszcie do Ziemi Obietnicy? Tyle lat krążą po oazie... Jedno pokolenie wymarło, drugie dorosło, trzecie wchodzi w życie... On sam, choć jeszcze pełen sił, czuje przecież na ramionach ciężar wieku. Wciąż czekał, że Bóg da znak: teraz macie iść. Lecz znaku nie ma i nie ma. Lata płyną. Coraz częściej pojawia się w umyśle Mozisa pytanie: „Może nigdy tego znaku nie będzie?”

Obudził się ze swych rozmyślań. Powoli wstał; podniósł głowę, szeroko rozłożył ręce. Patrząc w połyskujące bezbarwne niebo, zaczął się modlić:

— O Jahwe, powiedziałaś, że nie będziesz karał synów za grzechy ich ojców, że dasz im ziemię, którą obiecałaś. Lecz kiedy pozwolisz nam do niej iść? Myślałem — powiesz. Lecz Ty milczysz... Co oznacza to Twoje milczenie? Czy chcesz, abyśmy zawierzyli Tobie milczącemu? Więc słuchaj, o Panie: postanowiłem poprowadzić ich. Tyleś mi o Sobie powiedział... Pójdziemy. Nie będę myślał o tym, że wojska faraona strzegą Ziemi Obietnicy. Nie będę myślał o żadnych trudnościach. Poprowadzę ich, o Jahwe. Czy pozwalasz?

Nie było żadnej odpowiedzi. Nad pustynią rozpinano się milczenie.

Zgarbiony, ze schyloną głową, z rękami założonymi z tyłu, Refna spacerował tam i z powrotem po namiocie. Bokki i Elidad siedząc na ziemi śledzili jego wędrówkę. Milczenie przeciągało się. Na koniec znieczcierpliwiony Bokki zapytał:

— I cóżeś wymyślił?

Refna rzucił niechętnie ramionami.

— Nic! — mruknął. Jeszcze chwilę chodził, potem zatrzymał się. — Cóż tu można wymyślić? — zapytał. — On jest stary i głupi. Ale jego wszyscy się boją. Nikt mu się nie ośmieli sprzeciwić. Wobec niego żaden nie otworzy gęby!

— I on powiedział, że mamy iść na pustynię zamiast uderzyć?

W głosie Elidada zadzwonił namiętny żal. Mocno zacisnął dłonie na rękojeści trzymanego między kolanami miecza. Po wąskich wargach, ukrytych w mocno kręcącej się brodzie, przeleciał skurcz gniewnego zawodu. Nagle wyszarpnął miecz spomiędzy kolan i począł jego końcem porywczo uderzać raz przy razie w ziemię.

— Ale dlaczego on nie chce, abyśmy szli na Edomitów? — zapytał Bokki.

— Ech, jakieś głupstwa! — burknął młody książę. Z irytacją splunął. — Powiada — zaczął po małej przerwie — że Edomici wywodzą się od jakiegoś Ezawa, a ten znowu Ezaw był bratem... Słowem: oni mają być też naszymi braćmi. Ładni bracia! Głupie gadanie starucha! — Machnął ręką z góry na dół. — Co nas obchodzi, kto był ojcem Edomitów? Mają bogate miasta, tłuste trzody, mają pola, na których rośnie pszenica, bób, oliwki, figi, drzewa daktylowe... Dziewczyny edomickie są urodziwe i umieją kochać. Dawno już mówiłem, że powinno się na nich pociągnąć. Mówiłem czy nie mówiłem, co? Pamiętacie? Wtedy, gdyśmy tamtą karawanę... — Zrobił gest rozpostartą dłonią.

— Mówiłeś, mówiłeś — przyznał Bokki. — I myślisz, że nie poszlibyśmy z tobą? Aż się serce rwie, żeby tamtych podkurzyć! Tutaj nudno, głupio. Chodzimy w kółko niby osioł młócaący ziarno. On wciąż tylko opowiada, czego nie wolno, za co Jahwe będzie się gniewał... Karawany trzymają się z dala od oazy...

— Od pół roku — rzucił Elidad — nie było kogo pomacać mieczem pod żebra!

Bokki śmiał się:

— Napędziliśmy im strachu... — Lecz błysk zadowolenia w jego oczach zaraz zgasł. Białe zęby przycięły wargę. — Do licha z tą pustynią! — mruknął.

— On chce — podjął Elidad nie przestając bawić się mieczem — powlec znowu lud na pustynię, wodzić go latami z dala od innych narodów, zanu-

dzać nas swymi naukami i paść manną, od której, gadają, brzuch przyrasta do pleców!

— Ojcowie i dziadowie dawali mu się wodzić za nos...

— W niewoli się porodzili, to się wszystkiego bali.

— My także się boimy! — rzekł Refna przystanąwszy znowu w swej niespokojnej wędrówce poprzez namiot. — Jeszcze jak! Spróbuj się zbuntować! Nikt cię nie poprze! Czy książęta, czy tysięcy — wszystko tylko schyla głowy, gdy on każe Eleazarowi mówić. Ech, umarłby już raz ten staruch zawzięty! Lecz gdzie mu tam do śmierci! Aaron ledwo już wlecze nogami. Ale on? Włosy ma, zęby ma...

— To po to, żeby nas krócej wziąć w garść, wymyślił tę pustynię...

— A pewno! — potwierdził Refna z zawziętością. — A pewno! Już on władzy z ręki nie popuści! Przeklęty staruch! Jego pokolenie dawno wymarło. Tylko on został — i tych kilku koło niego... Jeden z drugim powinien być już dawno w grobie! Albo przynajmniej cicho siedzieć...

— Zmarniejemy na rządach tych staruchów! — dorzucił Bokki.

— Rządzą — Refna nie przestając mówić podjął swą wędrówkę — bo mają za sobą swoich. Dawniej ród był rodowi równy. Teraz synowie Lewiego wszystko wzięli w swoje łapy. Oni to: Mozis, Aaron, Eleazar, Fineses...!

— Kapłaństwo przewróciło we łbach Aaronitom — rzekł Elidad. — Oni pewno byli za tym, by iść na pustynię?

— No, naturalnie! — przyznał Refna. Chodził jakiś czas bez słowa, zwracając ostro. Gdy dochodził do ściany namiotu, z gniewem uderzał nogą o ziemię. — Czy wiecie — podjął — że Mozis posyłał posłów do królów edomickich, aby nam pozwolili przejść przez ich ziemie? Ci naturalnie nie pozwolili. Nie ufają nam... Zatrzymał się, uśmiechnął złośliwie. — Po prawdzie to się im wcale nie dziwi. Gdybyśmy tam weszli, potrząsnęlibyśmy ich miastami i mieszkańcami, co? — Przymrużył jedno oko, chwilę śmiał się okrutnie. Ale zaraz z gniewem, który wypłynął, na nowo podjął przerwany spacer. — Mógł nas wysłać — mruknął chodząc — a my byśmy wygładzili drogę przed ludem. Zamiast tego bredzi o jakimś braterstwie i ciągnie nas na pustynię...

— Nie próbowałaś mu się sprzeciwić? — zapytał Elidad. Nie patrząc na Refnę; pochylony wbijał w ziemię swój miecz z taką siłą, że głownia, utkwiszszy w ziemi, dygotała i podzwaniała lekko.

— A jakżeś myślał — Refna nagle stanął przed nim. — Naturalnie, że próbowałem... Ale nikt nie chciał mnie słuchać. Powiedzieli, że jestem najmłodszy spośród książąt, że trzeba mi się wpierw nauczyć, jak mam się zachowywać w radzie. Głupcy! Głupcy i tchórze! Ech, póki ktoś nie zdzieli tego Mozisa kijem przez czaszkę...

— Tss! — obaj, Bokki i Elidad, syknęli i przyłożyli palce do ust. Bokki podniósł się i wyrzwał poza namiot. Wrócił, usiadł na swoim miejscu.

— Nie krzycz tak o tym — powiedział. — Usłyszysz kto i poleci z tym do lewitów, do Fineesa...

— Bokki ma rację — przyznał Elidad. — O tym nie ma co wykrzykiwać... Jemu się krzykiem nie grozi, a on może ci zawsze zesłać jakąś straszną śmierć. On to potrafi...

Refna nie dał się spłoszyć.

— Oczywiście! Wy też narzekacie, ale boicie się go. Wierzycie w jakieś sztuczki, które on niby to potrafi. A ja wam mówię, że jemu się raz udało, ale drugi raz się nie uda!

— Co się nie uda?

— Z tą śmiercią. Ludzie ciągle gadają o tym ogniu, co spalił Korego i Datana. Lewici naturalnie straszą i wyplatają nie wiadomo co. Chcieliby, aby się ludzie bali... Ale ja wiem od stryja — ściszył głos i pochylił się nad towarzyszami — że to nie był żaden ogień z nieba. Tam, gdzie oni stali, płynął po prostu ze skały strumień. Woda w nim była czarna, tłusta, śmierdząca. Nie do picia. Mozis wyrwał kadzielnicę z ręki Abirona i cisnął w tę wodę... A ona zapaliła się...

Popatrzyli na niego bez zapału.

— Słuchaj, Refna — zapytał Elidad — czy ty widziałeś kiedy palącą się wodę? Ja takiej nie widziałem. Ani nikt. Jeśli się ona zapaliła, to był cud...

— Dla was wszystko jest cudem! — zaśmiał się i zuchwale podparł pod bok. — A gdybym ja zapalił taką wodę, co byście powiedzieli?

— Ty? — w ich głosach była nieufność.

— Ja!

— Opowiadasz! Nie zrobisz tego! Nikt tego zrobić nie potrafi.

— A jak zrobić? — Pogroził im. — Nie wyzywajcie mnie! — zmrużył oczy, mówił znowu ciszej. — Powiadał mi pewien człowiek, że tu w górach

jest taka sama woda, czarna i śmierdząca. Jeśli blisko niej zapalić ognisko, strzela takim płomieniem, że nikt mu nie zdoła ująć.

— Niemożliwe!

— Nie wierz, jak nie chcesz! Jeszcze cię kiedy przekonam, że to prawda. O Mozisie opowiadają lewicy, że robił wielkie cuda. Ale myśmy tych cudów nie widzieli. Nasi dziadowie wymarli. Z tamtych, co mieli widzieć, pozostało niewielu. Mamy wierzyć we wszystko, co opowiadają? Oni chcieliby, abyśmy wierzyli i bali się Mozisa. Ja jednak żadnych cudów nie widziałem i nie boję się tego starucha. Najwyższy czas, aby skończyć z nim...

Nagle urwał, usłyszawszy szelest przy wejściu do namiotu. Wszyscy trzej zwrócili gwałtownie twarze w tamtym kierunku. W trójkątnym otworze stanął młody człowiek z włócznią w ręku.

— Pokój wam — powiedział.

— Ach, to ty, Salmonie — ochłonęli z niepokoju. — Witaj. Pokój tobie. Siadaj.

Salmon wszedł i usiadł na ziemi obok Bokkiego.

— O czym rozmawialiście? — zapytał.

— O tym, o czym ty także chciałeś mówić — odpowiedział Elidad.

Przybyły kiwnął głową na znak, że zgadza się ze słowami Elidada.

— I cóż wy na ten rozkaz? — zapytał.

— To samo co i ty — rzekł Elidad. — Powiedz lepiej, co mówi o rozkazie twój ojciec.

Salmon niechętnie poruszył ramionami.

— Wiecie dobrze, jaki on jest... — mruknął. — Buntowałby się może, ale pamięta o prorocत्वie... Wie także o tym, co się stało z dziadem Naasonem...

— I boi się, że władztwo rodu przejdzie na ród Kaleba — dopowiedział Bokki.

— Jakbyś zgadł! — przytwierdził Salmon. — Gdy lud wychodził z Mikraim — ciągnął — głową domu Judy był Naason. Jego siostra była żoną Aarona, więc Naason spodziewał się, że gdy przyjdziemy do Kanaan, Aaron i Mozis uczynią go królem nad całym Izraelem. Bo tak jest w tym starym prorocत्वie. Ale kto mógł przypuścić, że wędrówka będzie tyle czasu trwała?... Przyszła ta historia — znacie ją? — jak Mozis poszedł na górę i nie

wracał... Wszyscy myśleli, że już nie wróci. Wtedy Naason z Aaronem objęli rządy. Zebrali złoto, uleli posąg... Tymczasem nagle Mozis wrócił. Aaronowi oczywiście darował, ale dziada kazał zarąbać lewitom. Władzę nad domem Judy oddał Jofenowi. A potem, od tamtej wyprawy do Kanaan, łaśka Mozisa spoczęła na Kalebie. I ciągle na nim spoczywa, choć żyjemy również my, potomkowie Naasona...

— Och, Kaleb jest bliski sercu Mozisa — wtrącił Refna — bo umie gadać pięknymi słowami. Mozis sam się jąka, lecz lubi takich gadaczy. Kiedy się słucha Kaleba, niedobrze się robi człowiekowi. Nic tylko: „Bądźcie zgodni, pamiętajcie, że jesteście braćmi, kochajcie, ufajcie w opiekę Najwyższego, drodzy, najdrożsi bracia...” I tak w kółko. Jakby miód kapał po brzuchu... Każdy ziewa słuchając go, ale słuchać musi, bo Aaron i Eleazar ogłosili go największym bohaterem w Izraelu... Osioł nie bohater. Razem z tym swoim bohaterstwem mógłby się już iść przespać w grobie! Nie, na nikogo nie można liczyć w radzie książąt! Mozis powiedział, że mamy iść na pustynię, i wszyscy od razu zgodzili się na to...

— Zamiast wkroczyć na ziemię Edomitów?

— Zamiast na ziemię Edomitów!

— A cóż Jozue na to? — zapytał Elidada. — Czy on też był za tym, by iść na pustynię?

Głowy Bokkiego, Elidada i Salmona zwróciły się ku Refnie. Młody książę rodu Manassesa na skutek śmierci ojca wszedł niedawno do rady książąt rodowych, brał udział w jej posiedzeniach, wiedział więc, jak została przyjęta decyzja Mozisa o opuszczeniu oazy i polecenie, by lud szedł nie przez ziemię Edomitów, ale okrężną drogą przez pustynię Faran. Refna nie odpowiedział od razu na pytanie Elidada. Dłuższy czas spacerował bez słowa po namiocie — chwilami wolniej, chwilami szybciej. Potem dopiero zatrzymał się i rzekł:

— Jozue... Nie mówił na radzie nic. Nie myślę, aby mu była w smak ta wędrówka po pustyni. Lecz i na niego nie można liczyć...

— Pewno — parsknął Bokki. — Służka Mozisa! Co Mozis powie, to dla niego święte!

— Umiał jednak zwyciężyć Amalekitów — zauważył Salmon.

— To prawda — przyznał Refna skrzyżowawszy ręce na piersiach. — I potrafił nas wszystkich zaprowadzić do walki. Och, gdyby on prowadził — za nim

warto by iść. Ale on woli słuchać Mozisa i kapłanów... Szkoda... — mruk-
nął i znowu zaczął chodzić po namiocie.

Elidad na nowo raz po raz dziobał mieczem ziemię koło swych stóp.

— U Edomitów wiele bogactw — podjął Refna po chwili. — Opowiadał
mi o tym twój kuzyn, Salmonie, Achan.

— Skąd on o tym wie? — zapytał Bokki.

— Och, Achan wie... — Salmon przymrużył oko i zachichotał. — On nie-
raz wyprawia się na ziemie edomickie... Bogate łupy przywozi za każdym
razem.

— Dobrze, że tego nie wykryli lewici — zauważył Bokki.

— Achan wie, jak się do rzeczy brać — rzekł Refna. — Nas zresztą także
nikt nie zdołał pochwytać, gdyśmy jednej i drugiej karawanie ukręcili łeb.
Co, nieprawda...? Mozisowi i lewitom wydaje się tylko, że o wszystkim
wiedzą.

— Jak będziesz się wciąż tym przechwalał, dowiedzą się — powiedział
sucho Elidad.

— Tak, tak, trzymaj ty język za zębami, Refna — dodał Salmon. — Już
i ojciec powiadał, że za dużo mówisz...

Rzucił ku nim spojrzeniem, w którym była złość.

— Gdybym o tym wam nie mówił — powiedział — pogodzilibyście się
z Mozisem i słuchali go we wszystkim. Ja was znam.

Oburzyli się:

— Co też ty mówisz! Pogodzić się z rządami Mozisa? Nigdy. Wszyscy
młodzi go nie znoszą — mówili jeden przez drugiego. — Uparty, zazdroś-
ny o swą władzę... A te nakazy, które poleca Eleazarowi ogłaszać! Tego nie
wolno, tamtego nie wolno... Czy istnieje drugi lud, którego Bóg tyłu by się
rzeczy domagał?

— U innych — mruknął Refna — bogowie nie wtrącają się w życie lu-
dzkie...

— Lecz może — zastanowił się Salmon — inni bogowie nie opiekują
się tak bardzo swoimi...?

Refna wybuchnął szyderczym śmiechem.

— Wiele rzeczywiście mamy pożytku z tej opieki! Inni posiadają ziemię, miasta, trzody, różne bogactwa. Siedzą na tym. A my włączymy się bez końca po pustyni!

— Lecz nawet tutaj On jest z nami... — bronił się Salmon.

Nie przestawał się śmiać złośliwie, a zarazem gniewnie.

— Mówisz, o czym nie myślisz, Salmonie. To twoja dziewczyna tak ci powiedziała, a ty za nią powtarzasz...

Skreśli na wschód w kraj pustynny i kamienisty, palony niełitościwymi promieniami słońca. Kierowali się prosto ku łańcuchowi gór, których zwał zaciemniał przed nimi horyzont. Droga była ciężka i żmudna, tym żmudniejsza, że lud w swych powolnych wólczech po Kadeszu odwykł od prawdziwych trudów. Ledwo opuśczone oazę — już się za nią oglądano z tęsknotą. Nie napotykali na swej drodze drzew. Bydło zaledwie mogło sobie znaleźć trochę suchej, twardej i jałowej trawy. Lecz — co gorzej — odkąd odeszli z Kadeszu, nie znaleźli nigdzie wody. Jej zapasy wyczerpywały się szybko. A tymczasem góry zdawały się wcale nie przybliżać. Nad ciągnącym ludem unosiły się narzekania. Nierzadko słychać było klątwę. Wyrzekały ciężarne kobiety. Płakały dzieci.

Mozis, jak niegdyś, szedł sam na czele pochodu. Słyszał za sobą utyskiwania ludu i to budziło w nim zdziwienie. Tamci, starsze pokolenie, szemrali ciągle. Lecz nowy lud, mniemał, zahartowany w warunkach ciągłej wędrówki, nie powinien był narzekać. Ten ich marsz nie był cięższy niż droga przez pustynię Sur czy Sin, którą odbyli ich ojcowie. Dlaczego więc te skargi? Czy nie powiedział im wyraźnie, że już idą do Ziemi Obietnicy? Że mają przed sobą tylko ostatni, niewielki etap drogi? Że skończył się wreszcie czas pokuty?

Aaron, bardzo już słaby, jechał na ośle za Arką. Towarzyszył mu Eleazar. Tylko Finees przyśpieszał czasami kroku i zrównywał się z nabim. Mozis lubił bardzo tego młodego kapłana o smągłej, chudej twarzy i wiecznie płonących oczach. Wyczuwał w nim człowieka o nieustępliwej woli. W Fineesie nie było nic z rozważnej wymowności dziada ani z lękliwej zachłanności ojca. Mały — krzykliwy trochę i o wysokim, kogucim głosie — Finees stał się wodzem lewitów. Był surowym i groźnym stróżem praw Najwyższego w Izraelu: umiał zobaczyć i wykryć każde zło i umiał je wypalić z całą bez-

względnością. Jego dzika energia zabłysła pierwszy raz, gdy trzeba było złamać bunt Korego. Dawny przywódca Bnaj Lewi nie mógł się pogodzić z wywyższeniem Aarona i jego potomstwa. Ale większość lewitów — pociągnięta przez Fineesa — stanęła przy Mozisie. Korę zginał razem ze swymi zwolennikami. Finees — myślał często Mozis — to nowe, wychowane na pustyni pokolenie, wierne Jahwe. Inne niż dziadowie i ojcowie. Choć nie tknięte kamiennym nożem — pod wpływem namów Aarona i Eleazara Mozis kazał wstrzymać na czas pokutnego pobytu w Kadesz obrzezywanie chłopców z wyjątkiem dzieci lewickich — zdoła na pewno wypełnić wszystkie przepisy Pańskiego Zakonu i zostanie im wierne.

— Słyszę, że ludzie szemrzą — powiedział do Fineesa, gdy ten zbliżył się ku niemu. — Dlaczego? Powinniście im przypominać, że każdy dzień, każdy krok zbliża ich do Ziemi danej przez Jahwe...

Młody kapłan porywczo wyrzucił w górę swe dłonie zaciśnięte w pięści. Zawołał:

— Szemrzą, dziadku, bo są głupcami! Powtarzamy im bez końca, aby zamknęły usta. Ale można mówić do nich jak do kamieni! Pozwól odnaleźć najgłośniejszych szczekających i przyprowadzić do siebie, a ty ich ukarż. Ukarż surowo!

Potrząsnął głową. Finees — myślał — jest dzielny i gorliwy, ale zbyt często chce karać. Jemu zaś wydawało się, że za wiele było karanias w ciągu ich drogi... Tam, wśród chmur i błyskawic na Horebie, nie mówiło się nic o karaniu... I w nim samym jakby coś się odmieniło...

— Nie — rzekł. — Szemrzą, bo jeszcze nie stwardnieli w marszu... Powiedz im, żeby śpiewali „Błogosławieństwo Jakuba”, a zapomną o swym zmęczeniu.

Finees pozostał, by powtórzyć rozkaz. Śpiew podniósł się, lecz zaraz ustał. Znowu rozlegały się za Mozisem narzekania i skargi.

Potem usłyszał szybkie kroki kogoś biegnącego. Stał przed nim jeden z wojowników Manassesa, którzy szli w straży tylnej.

— Mozisie! Jakieś wojsko idzie za nami...

Dał znak, by pochód zatrzymał się. W towarzystwie przybyłego i zabranego po drodze Eleazara udał się na koniec kolumny. Rzeczywiście, jakaś zbrojna gromada posuwała się ich śladem. Ale gdy pochód Izraelitów stanął, tamci stanęli także w przyzwoitej odległości. Przyjrzawszy się stwierdził,

że byli to wojownicy edomiccy. Szli zbrojni, nie robili jednak wrażenia napastników: zatrzymawszy się spokojnie, zatknęli włócznie w ziemię. Refna, którego ludzie zamykali pochód, stanął przed Moziszem.

— Uderzę na nich, Mozisie — powiedział.

Nabi potrząsnął głową. Eleazar tłumaczył jego wolę.

— Dlaczego masz na nich uderzać, skoro oni nie atakują nas?

— Lecz mogą napaść...

— Nie, nie wygląda wcale na to, aby chcieli walki.

— W jakim więc celu idą za nami? Na pewno będą usiłowali uderzyć. Lepiej, póki czas, uprzedzić...

Obok Refny stali setnicy i dziesiętnicy. Nie było po nich teraz widać zmęczenia drogą. Ich oczy połyskiwały żądzą walki.

— Ośmielili się za nami iść... Uderzymy na nich... — mówili między sobą. — Niech tylko Mozis zgodzi się — przepędzimy ich...

Ale Mozis trząsał dalej głową. Eleazar starał się jak mógł uspokoić podnieconych wojowników.

— Nie, nie. Słuchajcie: Mozis mówi: „Gdyby tamci próbowali napaść, wam będzie wolno uderzyć na nich. Ale póki nie napadają, nie zwracajcie na nich uwagi. Pamiętajcie, to są nasi bracia, potomkowie Ezawa. Pan sprzeciwia się niepotrzebnemu wylewaniu krwi...”

Nad gromadą zbrojnych przeleciał krótki gniewny pomruk.

— Oni będą myśleli, że się boimy... że przed nimi uciekamy...

— Ależ nie, na pewno nie — przekonywał. — Oni wiedzą, dokąd idziemy.

— Po cóż więc postępują za nami?

— Może chcą się przekonać, czy rzeczywiście ominiemy ich ziemię...

— To znaczy: nie ufają nam! Uderzmy na nich, aby im pokazać, że nasze słowo jest nieodmienne!

— Uderzmy na nich! — podchwyciło kilka głosów; kilka rąk, zbrojnych we włócznie i miecze, uniosło się w górę.

Mozis zmarszczył brwi. Cóż to? Chcą mu narzucić swoją wolę? Ci młodzi, dzieci, które widział, jak się rodziły i jak wzrastały? Poczuł, że zaczyna nim miotać dawny szaleńczy gniew. Drażniło go, że Eleazar zamiast krzyk-

nać i tupnąć na tamtych usiłuje ich udobruchać układnymi słowami. Niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

— Wierzcie mi: nie wolno nam z nimi walczyć, jeśli oni nie zaczęli — przedkładał Eleazar. — Jahwe zakazał. I Mozis nie pozwala. Pamiętajcie: tylko wówczas będziemy mogli iść naprzód i dojdziemy do Ziemi Obietnicy, gdy będziemy we wszystkim posłuszni Wszechmocnemu. Kiedy wasi ojcowie wbrew zakazom wybrali się do Kanaan, Amalekici i Kananejczycy rozbili ich, a potem gonili i zabijali... Gdybyście wbrew woli Mozisa uderzyli na tych Edomitów...

Twarze wojowników były ponure i zacięte. Słowa Eleazara nie trafiały do nich. Natomiast walka ciągnęła ich. Smagłe dłonie zaciskały się porywczo na rękojeściach mieczów, palce pobrzękiwały w struny łuków. Refna rzucił:

— Ech, co tam! Rozniesiemy ich w strzepy! A nasi ojcowie... — wykrzywił się pogardliwie. — Uciekali, bo byli tchórzami. Roztyli na chlebie Mikraim... A potem wyście kazali im się wszystkiego bać...!

— Refna, Refna, ty tak nie mów... — Eleazar robił gesty przypominające głaskanie, takie same gesty, jakimi jego ojciec zwykł był w ciągu lat wędrówki uspokajać gniew ludu. — Nikt im nie kazał się bać. A musieli uciekać, bo sprzeciwili się woli Najwyższego. I ty nic nie uczynisz bez woli Jahwe... Mówię ci...

— D—d—d—osyć! — chrypliwy głos Mozisa przerwał wywody Eleazara. Głowski towarzyszył energiczny ruch ręki. Tupnął nogą. Zrozumieli, że nie zgadza się i nie ustąpi. Powoli, spoglądając po sobie, odeszli do swoich oddziałów.

Dzień zbliżał się ku schyłkowi, więc Mozis nie podejmował dalej pochodu, ale pozwolił ludowi rozłożyć się obozem. Widząc to Edomici zrobili podobnie. Oba obozy leżały w małej odległości od siebie. Noc zapadła i minęła spokojnie. Dopiero nad samym ranem w obozie edomickim wybuchnęły jakieś krzyki i podniosła się wielka wrzawa. Natychmiast cały obóz izraelski porwał się na nogi. Wojownicy stali gotowi do walki, ale krzyki u tamtych po pewnym czasie przycichły, potem całkiem ustały. Widać tylko było, że obóz edomicki nie śpi.

Wczesnym rankiem nad kamienistą pustynią zabrzmiał srebrny dźwięk trąb lewickich. Zaraz też została złożona ranna ofiara. Dopiero potem Mozis dał sygnał do dalszej drogi. Gdy Izraelici wyruszyli, podniósł się także obóz edomicki. Tak jak poprzedniego dnia, tamci szli śladem pochodu. Jedynie w większej odległości.

Słońce, które wyskoczyło nagle ponad góry, paliło żarem. Ciężka wędrówka poprzedniego dnia, brak wody, niespokojna noc — wszystko to sprawiło, że posuwano się jeszcze wolniej. Bydło nie napojone chrapało niespokojnie. Kilka słabszych sztuk trzeba było zabić, gdyż nie uszłyby daleko. Mozis idąc na czele znowu słyszał dochodzące z tyłu narzekania. Zaczynało go to niecierpliwic. Powstrzymał się jednak przed wezwaniem Fineesa i poleceniem mu, by zagroził szemrzącym karaniem. Pochód co chwila zatrzymywał się z byle powodu. Gdy pod wieczór Mozis dał sygnał do rozłożenia obozu — góry były wciąż daleko przed nimi na horyzoncie.

Nie znaleziono wody, nie znaleziono także trawy. Bydłu rzucono resztkę zabranego siana, ludzie wypróżnili do dna wory z wodą.

— Jesteście głupcy — mówił do ludzi Finees, wybierając bydło na ofiarę następnego dnia. — Gdybyście nie narzekali, szłoby się wam szybciej. A tam w górach są pastwiska i potoki... Lecz wy pobudzacie do gniewu Jahwe... Zobaczycie: ukarze was.

Edomici zatrzymali się również. Tym razem znacznie dalej od obozu izraelskiego. Widać także było, że otaczają swój obóz wieńcem straży. Patrząc na to z małego wzgóрка Salmon i Bokki zacierali ręce z radości.

— Boją się...

— Dostali nauczkę! Drugi raz się nie ośmielą...

Noc zapadała. Salmon i Bokki rozstali się: każdy z nich poszedł między swoich krewniaków. Wojownicy rodu Judy razem z wojownikami Izachara i Zabulona tworzyli pod wodzą Kaleba jeden degel strzegący wschodniej ściany obozu. Za linią czat leżał obóz trzech rodów, w którym przebywali zwolnieni od sprawowania nocnej straży mężczyźni; dalej stały namioty Mozisa i kapłanów, jeszcze dalej otwierała się brama Przybytku.

Przeszedłszy między czuwającymi strażnikami i wojownikami, którzy w pełnym oporządzeniu, z włócznią i tarczą pod ręką, spali przy ogniskach, wszedł między namioty potomków Judy. Były one liczne — ród krzewił się bujnie. Znad płonących ognisk biła woń piekącego się mięsa: brak wody i paszy sprawił, że pobito wiele bydła. Jazgotliwe i żalosne głosy kobiet

mieszały się z popłakiwaniem dzieci i porykiwaniem pozostałych przy życiu trzód, które dopominały się napojenia.

Salmon zatrzymał się przy jednym z namiotów na skraju obozowiska. Stanąwszy przy grubym płótnie zawołał niezbyt głośno, tak tylko, aby mógł być usłyszany po drugiej stronie bez zwracania na siebie uwagi ludzi.

— Noa!

Nie czekał długo. Głowa dziewczyny wynurzyła się spod zasłony. Rozejrzała się szukając go wzrokiem, a zobaczywszy szła ku niemu uśmiechnięta. Była młoda — prawie dziecko — czarnowłosa, smągła na twarzy, drobna i lekka. Idąc unosiła się na koniuszkach palców i zdawała się lecieć. Podbiegła do Salmona, okręciła się przed nim jakby w tańcu. Klasnęła w dłonie.

— Przyszedłeś! — zawołała z radością.

— Czekaaś na mnie? — zapytał, choć mógł o to nie pytać.

— Ależ nie! — śmiała się mrużąc oczy i marszcząc zabawnie nos. — Skądże znowu! Czy to brak mi roboty? — Pieszczotliwie położyła palec na jego dłoni. — Wczoraj mego pana nie było — powiedziała — ale dziś przyszedł i jest wesół. Co go uczyniło takim zadowolonym?

— E, nic, nic... — wymijająco poklepał ją po ramieniu. — Nie zmęczył cię dzień dzisiejszy? — zapytał.

— Dzień był męczący i bardzo dla wielu dokuczliwy. Ale twoja Noa — patrzyła na niego dużymi i ciemnymi, pełnymi złotych połysków oczami — nie wie, co to znaczy zmęczenie, gdy pamięta, że wieczorem odwiedzi ją jej pan. Nie odpowiedziałeś mi jednak na moje pytanie, Salmonie. Czyżbym nie zasłużyła?

— Ech, co też mówisz! O co ci chodzi?

— Pytałam tego, którego wola ma być moją wolą, co uczyniło go takim radosnym. — Przekręciła figlarnie głowę. — I gdybym się nie lękała, zapytałabym go także: gdzie był wczoraj wieczorem, że nie odwiedził swej niewolnicy?

Bawił się rękojeścią zatkniętego za pas miecza. Nie patrząc na nią począł się śmiać.

— Obawiasz się? — zapytał. Podniósł głowę.

— Lęk zwykł chodzić obok miłości... — przyznała.

— Bądź spokojna — wesoło roześmiany pochylił się nad nią. — Nie byłem u żadnej dziewczyny. Wierzysz mi?

— Och! — odpowiedziała mu uśmiechem jasnym i srebrzystym. — Tego nie obawiałam się. Nie lękam się innych dziewcząt, skoro mój pan mnie wybrał... — Ciągłe roześmiana zaglądała mu w oczy to z jednej, to z drugiej strony. Pod wpływem tego spojrzenia Salmon spuścił głowę i zmarszczył brwi. Zapytał:

— Więc czego obawiasz się, Noo? Byłem z przyjaciółmi....

Uśmiech nie zniknął z jej ust, ale spojrzenie nabrało powagi.

— Boję się twoich przyjaciół, Salmonie — powiedziała.

Roześmiał się hałaśliwie:

— Boisz się Bokkiego, Elidada, Refny? Uśmieliby się, gdybym im o tym powiedział.

— Och, Salmonie, ty wiesz... — Usiłowała być dalej pogodna. — Nie ich się boję. Boję się tego, co czynicie...

Przestał się śmiać. Zmarszczył brwi. Wydał dolną wargę.

— To są męskie sprawy — rzekł z nagłą opryskliwością. — Nie lubię, gdy się do nich mieszasz...

— Wybacz... — powiedziała. Schyliła głowę niby zganiona niewolnica, ale spod rzęs patrzyła na niego tym samym pełnym uczuć spojrzeniem. — Tylko powiedz — podjęła — co mam zrobić, aby się nie lękać, gdy mój pan odchodzi do tych swoich męskich spraw... Gdy oddała się w noc na wyprawę, choć nabi tego zakazał...

— Noo! — rzucił gniewnie. — Mówię ci...! — zaczął porywczo. Ale jego wzrok spotkał spojrzenie jej oczu — i gniew od razu odszedł. Choć próbował zachować powagę, musiał się śmiać coraz weselej. — Kto ci o tym mówił? — zapytał.

Położyła głowę na ramieniu. Patrzyła na niego filuternie z boku.

— Pewien szakal, który kręci się koło obozu...

Pogroził jej palcem.

— Na drugi raz nie słuchaj go. — Wziął jej dłoń w swoją. — Bądź pewna, Noo — rzekł — że czy jestem z tobą, czy z dala, zawsze cię Kocham. Jak nikt. Słyszysz? A że Mozis zakazuje...? Wielkie rzeczy. On by ciągle

czegoś zakazywał. Chciałby prowadzić wszystkich jak dzieci za rękę. Taki niesyty władzy, taki...

— Nie mów tak, Salmonie. Mój pan — spoglądała na niego figlarnie spod ocieniających policzki rzęs — nie powinien tak nigdy mówić o wielkim nabim Wszechmocnego. Przecież to on wyprowadził ród Jakuba z niewoli, on przyniósł od Jahwe święte prawa, on nas prowadzi do Ziemi Obietnicy. Gdy Mozis czegoś żąda — przez niego mówi Jahwe. — Schyliła głowę i patrzyła na Salmona prosząco. — Oby mój pan nie stanął nigdy przeciwko woli Najwyższego.

— Lecz Mozis... — zaczął znowu gniewnie.

Położyła palec na jego wargach.

— Mój pan strzec będzie pokoju z mężem Bożym... Proszę go o to.

W końcu rozchmurzył się i zaczął się śmiać, już bez przymusu.

— Więc na mnie jednak czekałaś, Noo. Nie byłabyś zebrała tylu wyrzutów...

— To nie były wyrzuty, Salmonie. Musiałam ci powiedzieć. Dziewczyna, która chce być dobrą żoną, powinna pamiętać, aby mówić, kiedy trzeba, choć i milczeć — gdy trzeba...

Wzięli się za ręce i niby para dzieci szli przez układający się do snu obóz. Nie słyszeli narzekań stojących przed namiotami kobiet ani żalosego postękiwania bydła. Troski przestały dla nich istnieć. Księżycy nie było, ale wysokie niebo obsypany niezliczone gwiazdy, które wydawały się stadem owiec tłoczących się wieczorem do zagrody. Delikatna poświata jak srebrny mak sypała się z góry na niskie, płasko rozpostarte namioty, na dogasające ogniska połyskujące tu i tam błękitem i czerwienią, na kudłate ciała wielbłądów, stojących rzędem przy rozpiętym między palikami sznurze. Pustynna noc wydawała się przepaścistą głębią, w której wzrok nie sięga dna, w której może w ogóle nie ma dna, a tylko jego echo. Szli nic do siebie nie mówiąc, tylko mocniej splatały się ich dłonie. Nie potrzebowali słów, ale ich miłość domagała się tego dotknięcia. Z mroku wystąpiła ściana jaśniejsza nieco od tła nocy: zagroda Przybytku. Wionęła ku nim czernią szeroka brama niby szczerba, zaś w jej wykroju różowa kula blasku — jak tajemniczy kwiat: nie gasnący płomień na ołtarzu.

Noa zatrzymała się. Patrzyła w bramę. Powiedziała bardzo cicho:

— On tam jest...

Nie pojął początkowo o czym mówi. Ze zdziwieniem zapytał:

— Kto, Noo?

— On... powtórzyła. Wciąż stała, tylko uniosła się lekko na końcach palców jak ptak zrywający się do lotu. — Jahwe...

Poczuł, jak swędzący dreszcz ścieka mu po karku i łopatkach.

— Chodźmy, chodźmy — powiedział spieszenie. — On... On nie lubi, aby się o Nim mówiło, aby się Go przywoływało... To sprawa kapłanów... Oni wiedzą, jak się do Niego zwracać... My chodźmy...

Pociągnął ją za rękę, ale napotkał opór. Dziewczyna stała, jakby brama wołała ją i tym wołaniem przykuwała do miejsca.

— Czy naprawdę tak myślisz, Salmonie? — zapytała szeptem. — To nie może być, aby On nie lubił, gdy się o Nim pamięta... Gdy się... Dlaczego mieszkaliby razem z nami na pustyni, w namiocie? Dlaczego On chce być z nami?

Odpowiedział jej równie cicho:

— Jest z nami, gdyż jest naszym Bogiem. Ale wiesz, że nie wolno zbliżać się do Niego. Nie wolno dotknąć Arki... Tylko synowie Aarona...

— To prawda — powiedziała w zamyśleniu. — Tylko oni składają ofiary... A znowu synowie Kaata noszą Arkę... Lecz... — zawahała się przed tym, co chciała powiedzieć — lecz może On żąda czegoś więcej...? Czyżby to miało być wszystko?

— Co wszystko? O czym ty mówisz? Nie rozumiem... A najlepiej chodźmy już stąd...

— Nie, nie! — jeszcze go zatrzymała. — On jest taki... — zaczęła. Poruszyła dłońmi w bezradnej próbie wypowiedzenia swej myśli. — Innym bogom wystarczają składane ofiary. Ale Jemu...?

Wzruszył niechętnie ramionami.

— Pytasz o rzeczy dziwne. Kapłani wiedzą, co należy składać Bogu. A nie możesz powiedzieć, że On żąda mało... — Lęklonie spojrzął w stronę bramy i majaczącego za nią w mroku namiotu. — Mozis ciągle domaga się czegoś i powiada, że to jest wola Jahwe. Nawet to, że nas wyprowadził na pustynię. Choć doprawdy....

— Ależ tak! To na pewno On tego chciał! — pośpieszyła. — Lecz On — znowu była zamyślona — choć przebywa wśród nas, choć wypowiada swą wolę przez Mozisa, pozostaje przecież ukryty.

— Bogowie zawsze ukrywają się... — powiedział. Próbował ją pociągnąć, by oddaliła się od bramy, ona jednak jeszcze raz przystanąła.

— Mówisz, że bogowie się ukrywają... — powtórzyła jego słowa tonem pytającym. — Babka mówi inaczej: opowiada, że tam, w Mikraim, byli bogowie z głowami psów, kotów, krokodyli, którzy wcale się nie ukrywali. Można było do nich przyjść zwyczajnie: składało się ofiarę, pytało się...

— I ja słyszałem, że tacy byli bogowie Mikraim — powiedział. — Ale nasz chce być skryty i niewidzialny. To lepiej... — dorzucił cichym szeptem.

— Lepiej? Dlaczego lepiej?

— Bóg, gdy mówi, jest straszny. Słyszałaś, że góra drżała od piorunów, kiedy odezwał się...

— Słyszałam — skinęła głową. — Ale słyszałam także, że nasi ojcowie nie chcieli, aby do nich mówił. Bali się Go. A On może... Słuchaj, Salmonie...

Jeszcze chciała o coś zapytać, ale mężczyzna pociągnął ją mocniej za rękę. Oddalili się od bramy Przybytku z powrotem w stronę obozu.

— Za wiele i za często rozmyślasz o tych sprawach — powiedział z wyzutem — To nie... To niepotrzebne... Mówię ci: nie powinnaś...

Nie odpowiedziała mu od razu. Szła z dłonią przy ustach, a on widział w gwiazdnej poświacie, że spogląda gdzieś w przestrzeń. Nagle zatrzymała się.

— Jak można nie rozmyślać o Nim? — zapytała. Podniosła rękę i zrobiła nią szeroki ruch. — Nie myśleć o Nim? Przecież On jest wszystkim, wszystkim... To niebo, ta pustynia, te góry, te gwiazdy... — Znowu nie było jej łatwo wypowiedzieć swą myśl. — On — zastanowiła się — na pewno dlatego nie chce, abyśmy uczynili Jego figurę, by nikt nie sądził, że On jest tylko tym... On — wszystkim. Te gwiazdy... Spójrz na nie, Salmonie... Ani ty, ani ja, ani nikt nie potrafiłby ich na pewno policzyć...

Stali z głowami podniesionymi w górę, ze wzrokiem utkwionym w niebo rozblyszczane oszołamiającym bogactwem złotych punkcików. Chwilę milczeli. Potem mężczyzna rzekł:

— Dziwna z ciebie dziewczyna, Noo. Inne myślą o manelach, o zausznicach, o pachnących olejkach. Słuchają wróżb starych kobiet, które im mówią, czy będą kochane przez męża i jak wiele będą miały synów. Przechwalają się swoimi robotami. Ty zawsze o tym...

Pochyliła głowę, pokornie złożyła ręce na piersiach.

— Taka jest twoja służka... — powiedziała. Spod pochylonego czoła błysnęła ku niemu na nowo roześmianymi oczami. — Czy przebaczysz jej to?

Porywczco ogarnął ją ramieniem, dotknął ustami jej trzepoczących się rzęs.

— Kocham cię, Noo — powiedział gorąco. — Kocham cię... — Jego ramię zaciskało się mocniej na jej ramionach. Delikatny zapach jej włosów, niby woń traw na zacienionej łące, sprawiał, że krew mu biła mocniej w skroniach. — Chciałbym — mówił głosem przerywanym przez szybki oddech — wprowadzić cię jak najszybciej do mego namiotu... I chcę mieć od ciebie syna... Słyszysz?

— Słyszę — powiedziała. — I ja chcę tego, Salmonie, i ja... Jesteśmy tak blisko i tak wciąż daleko...

Znowu przysunął się bliżej — i znowu ona cofnęła się, nie przestając dotykać pieszczotliwie szukających jej w mroku dłoni. Nagle zapytała:

— Słuchaj: a gdybym cię o coś poprosiła, Salmonie, czy zrobiłbyś to dla mnie?

— Wszystko, wszystko... — zapewnił porywczco.

Jego dłoń omijając jej dłonie dotknęła ramienia dziewczyny wynurzającego się ciemną smugą z fałd kuttony. Ześliznęła się po jego gładziźnie. Oboje czuli się jak zamroczeni. Ale Noa wyrwała się z tego stanu. Wybuchnęła śmiechem.

— Och, Salmonie, nawet nie zapytałeś, o co chciałam cię prosić.

— Powiedziałem, że zrobię wszystko. Mów.

— Nie teraz, Salmonie...

— Więc masz moje słowo, że kiedy poprosisz...

— Nie dawaj go jeszcze.

— Już je dałem. Na imię Najwyższego przysięgam, że spełnię wszystko, czego zażadasz.

— Och — zasłoniła twarz dłońmi i chwilę tak stała nieruchoma. Gdy wreszcie odjęła dłonie, był na jej twarzy uśmiech pełen zachwytu. — Jakiś ty dobry... — szepnęła. — Zobaczysz, zobaczysz — mówiła szybko głosem tętniącym radością — spłynie na nas błogosławieństwo Jahwe... Na nas i twój ród... Lecz nie powinieneś być się tak śpieszyć. Nierozsądne mogą być żądania dziewcząt głupich jak ja... A tyś zaklął się na Jego imię... Teraz spełni się... A gdybym była zażądała...? — Ale ty wiesz, że zanadto cię Kocham, abym mogła żądać czegoś, co by związało twoją wolę...

— Wiem — powiedział czule. — Dlatego ci przysiągłem. Ty jednak chciałabyś, bym był posłuszny Mozisowi...

Skłoniła mu się.

— Proszę cię o to, mój panie. Ośmielam się jedynie prosić... Rachela tylko prosiła Izaaka, by pobłogosławił Jakuba...

Parsknął śmiechem.

— Wpierw oszukała go.

— Tak... — przyznała. — Lecz On posłużył się jej podstępem...

— A jakież podstęp ty kryjesz, Noo?

— Zobaczysz — znowu żartowała wesoło. — Przysiągłeś, pamiętaj. Lecz nie bój się — powróciła do poważnego tonu. — Nie zwiążę twej woli, Salmonie. Choćby... — nie dokończyła.

Weszli w gęstwinę namiotów. Na nowo wdarł się w ich nozdrza mdły zapach krwi i pieczonego mięsa. Znowu słyszeli płaczliwe pochlipywania kobiet i ciężkie stękanie nie napojonych zwierząt. Życie i trudy drogi upomniały się o nich. Musieli do nich powrócić. Ich radość została zwarzona. Odezwały się troski.

— Boję się o babkę — powiedziała Noa. — Coraz słabsza. Jeżeli droga będzie dalej taka ciężka, nie wiem doprawdy...

— Nie wiadomo, co będzie ze wszystkimi — rzucił Salmon. — Widzisz, co zrobił Mozis. A ty mówisz, że on jest głosem Najwyższego. Gdyby był, nie stałoby się tak. Jeżeli jutro nie natrafimy na wodę — nie pozostanie przy życiu ani sztuka bydła...

Nie wiadomo, czy w odpowiedzi na jego słowa, czy do własnych myśli odpowiedziała półgłosem:

— Może wtedy pójdziemy szybciej...

— Co też ty mówisz? — oburzył się. — Co też ty mówisz? Tyle trzód... Takie wielkie bogactwo... Chyba nie wiesz, ile cielnych krów i ile owiec jest w stadzie mego ojca. Gdyby to wszystko padło, my, ród książęcy, stali-
byśmy się równi innym...

— Gdy Jakub przybył do Labana, pamiętasz, Salmonie, nie miał ze sobą nawet kozy. Czyż jednak błogosławieństwo ojca nie uczyniło go najbogatszym?

— Ach, Noo! — powiedział kładąc jej rękę na ramieniu, nie w porywie uczyć, tylko gestem niecierplivej perswazji. — Jak ty lubisz marzyć i przypominać te stare historie. To było kiedyś... W życiu jest inaczej: bogactwa są znakiem Bożego błogosławieństwa. I Najwyższy nie każe ich tracić. To jest szaleństwo, że idziemy przez pustynię. Szaleństwo. Trzeba było ruszyć wprost przez kraj Edomitów. Jeszcze byśmy się wzbogacili. To babka, Tamar, uczyniła cię taką, że lubisz biegać po gwiazdach zamiast stąpać po piasku. Ja cię, Noo, bardzo kocham. Ale wolałbym, abyś była jak dziewczęta, które się zawczasu troszczą o dobytek mający stać się ich dobytkiem...

— Masz słuszność — przyznała — że to babka nauczyła mnie biegać po gwiazdach. Ona sama tak... — Skrzyżowała ręce na piersiach i schyliła głowę. — Twoja służebnica postara się być posłuszna woli swego pana...

— Kocham cię, Noo — powtórzył. Głos jego nabrzmiał znowu uczuciem. Fala gorącego kochania kazała mu zapomnieć o wszystkich gniewach, troskach, niepokojach. — Kocham cię... — mówił gorąco — nade wszystko...

Jeszcze niżej schyliła głowę. Szepnęła:

— A ja ciebie — nad życie...

To był szósty dzień ich wędrówki przez pustynię Faran.

Weszli wreszcie w kraj skalisty i zbliżali się do zębatego łańcucha gór Seiru. Powiew wiatru stał się rzeźwiejszy, w nocy zaś nawet chłodny. A przecież wciąż nie udało im się natrafić ani na pastwiska, ani na wodę. Ich stada już nie istniały: zwierzęta, które nie padły w drodze, zostały wybite i zjedzone. Nie chodziło teraz o paszę dla zwierząt, ale wręcz o życie. Umierali z pragnienia. Nie mieli co jeść.

Nie szli, ale wlekli się, każdego dnia wolniej. Od paru dni wojownicy edomiccy nie postępowali już za nimi. Powrócili do swoich, uspokojeni, że

lud izraelski nie zagrozi ich ziemiom: musi wymrzeć na bezwodnej pustyni. Kamienista równina między skrajem oazy Kadesz a górami miała stać się cmentarzem potomków Jakuba.

Mozis postępował na czele karawany. Miał usta spalone, język stwardniały i uwierający niby wbity w gardło kołek. Chwilami ogarniała go taka słabość, że zataczał się; zdawało mu się, że upadnie. Ale zaciskał pięści i szedł dalej. Rozżarzone od upału powietrze zgęstniało, zamieniło się niemal w lepki maź. Przestrzeń przed nim pełna była polatujących czarnych plam. Góry, pod które nareszcie podchodzili, zdawały się drgać i falować, jakby nie były rzeczywistością, ale pustynnym zwidem.

Za sobą słyszał głosy idących. Nie były to już okrzyki buntu czy gniewu, ale bolesny jęk. Gdy o świcie kazał obozowi powstać na nogi i ruszyć w dalszą drogę, wydawało się, że nikt go nie posłucha. Ludzie leżeli bezsilni, obojętni na wszystko. Nareszcie z pomocą Jozuego, Fineesa, Eleazara i kilku lewitów zmusił ich do wyruszenia. Ale pojmował — to było ostatnie zwycięstwo. Jeżeli dzisiejszego dnia nie znajdą wody, nikt za nim dalej nie pójdzie. „Nie będzie siły — myślał — która by ich zmusiła do marszu. Silniejsi będą próbowali powrócić do Kadesz. Reszta umrze tam, gdzie padnie z wyczerpania.”

Już i teraz ich drogę znaczyły trupy. Ludzie starsi padali i nie wstawali więcej. Nikt przy nich nie zostawał — tylko nad leżącymi poczynały zaraz krążyć sępy. Czasami ktoś krzyknął rozpaczliwie, czasami wśród odchodzących rozległ się skowyt bólu lub przekleństwo. Potem znowu następowała cisza, przerywana tylko pełnym wysiłku sapaniem wlokących się.

Gdyby obejrzał się, zobaczyłby w oczach ludzi do widm podobnych płomień dzikiej nienawiści. Nienawidzono go. Niechętne szemrania, jakie słyszał, gdy kazał ludowi wyruszyć na pustynię, zamieniały się kolejno w krzyki, narzekanie i pogrózki. Teraz były tylko zabijające spojrzenia.

Pojawiła się w nim natrętna myśl, że to pokolenie zrodzone i wzrosłe przy nim, na pustyni, jest tak samo skazane na śmierć jak tamto, które wymarło. Zawzięcie bronił się przed nią. Usiłował siebie zapewnić, że jest inaczej. Ale ogarnięty gorączką umysł nie był zdolny do dysputy. Tkanina myśli rwała się jak materiał zwiotczały od długoletniego leżenia. Tylko to przekonanie wświdrowywało się w mózg razem z palącymi promieniami słońca. Nie potrafiłem — dzwoniło w nim — pojąć tajemniczej woli Jahwe...

W ciągu lat krążenia po oazie wydawało mu się, że tę wolę zrozumiał. Wszelchmocny postanowił wytracić pokolenie nieposłusznych i złych, leniwych i tchórzliwych. Ale przecież zgodził się zachować swe obietnice dla ich synów. Jemu, Mozisowi, powierzył nowy lud — lud dzieci — który on miał wychować, nauczyć, a gdy przyjdzie właściwa chwila — zaprowadzić do Ziemi Obietnicy.

Obudziła się w nim obawa, że tak wcale nie miało się stać. Nie pojął słów Jahwe. Czy naprawdę On to wszystko obiecał? A jeżeli obiecał — czy nie trzeba było czekać na Jego znak? Jak trudne do pojęcia są słowa Boże w swej oślepiającej jasności... Jakże ukryta jest Jego wola...

Potknął się, a osłabłe nogi niezdolne go były utrzymać. Ciężko padł na kolana i na dłonie. Kamienie, których dotknął, były gorące. Paliły. Od ziemi zdawał się buchać żar. Natychmiast dźwignął się z powrotem na nogi. Szedł śpiesznie, jakby chcąc nadrobić chwilę, którą stracił leżąc na ziemi. Zdawało mu się, że za nim rozległy się szydercze śmiechy. Nie chciał ich słyszeć.

Lecz słyszał. „Nienawidzą mnie — uświadomił sobie. — Nienawidzą...” Cóż, że traktował ich jak dzieci, którym wybacza się wszystko? Ich ojców gotów był zdławić i cisnąć w fale rozhukanego morza. Pogardzał nimi, gdy się wahali, gdy tchórzli, gdy mu się sprzeciwiali. Nieomal nienawidził ich. Nigdy nie zdołał pojąć, dlaczego właśnie ich kazał mu Jahwe wyprowadzić i ocalić. Ale tych kochał... Kochał ich, jak się kocha kogoś, kto wyrósł z naszej krwi, z naszego bólu i troski. Sam nie wiedział, dlaczego wtedy, gdy Jahwe powiedział mu. „Odstąp ich, inny lud ci dam” — bronił tamtych. Lecz tych musiał bronić...

Znowu potknął się, ale nie upadł. Udało mu się oprzeć na lasce. Wyglądony od zetknięcia z dłonią kij pasterski, ten sam, którym przed laty dokonywał cudów, ocalił go od upadku. Z energią wsparł się na nim. Na nowo postąpił kilka porywczych kroków.

„Dlaczego On miałby skazywać ich na zagładę? — zadał sobie pytanie. — Nie! Nie! — zaprzeczał sobie. — On obiecał, On przyrzekł... — Mówił. A jednak...” Dokuczliwe myśli kołatały w sercu jak zgęstniała krew w skrońkach. „— Nie! Nie! — powtarzał. To jest przecież nowy lud, inny lud, który sobie wyprosiłem i który prowadziłem przez tyle lat wokół oazy, aż w końcu dopełnili pokuty. I teraz...”

Nowa myśl wybuchnęła w nim nagle niby piorun. A czy On powiedział mu, że już nadszedł kres pokuty? Gdy głos Jahwe odzywał się w sercu Mozisa, brzmiał mocno i wyraźnie. Czasami zamiast głosu pokazywał się znak — i Mozis uważał go z nieustępliwą pewnością siebie za odpowiedź. Nie wątpił. Miał pewność, że Jahwe dokonuje swego dzieła poprzez jego ból... Tak się działo wiele razy, aż po tragiczną noc buntu... Aż po tamtą modlitwę... A potem zapadła cisza. I trwała. Pozostał tylko on — i nowe pokolenie, które szło za nim posłusznie wokół Kadeszu. Ludzie rodzili się, dojrzewali, umierali... On wciąż ich uczył praw, które dał Najwyższy. I mówił o Nim. Przelewał w nich swą wiedzę, choć czuł, że jest to przelewanie morza w maleńki strumyk... I czekał. Czekając kazał powstrzymać ofiarę obrzezania. Myślał: „To ciągle jest czas pokuty. Wszzechwładny zdjął z synów Jakuba znak wybrania. Trzeba na niego znowu zasłużyć. A nim się zasłuży — trzeba czekać.” Czekał. Początkowo cierpliwie, potem coraz bardziej gorączkowo. Czuł, jak życie ucieka z niego wolnym, lecz wciąż sączącym się strumyczkiem. Budził się w nim lęk: i ja umrę na Kadeszu... Co wtedy? Co się stanie z nimi? Niecierpliwie wyglądał wyzwolenia. Aż wreszcie — postanowił iść...

Wierzchem dłoni otarł pot, który zaciążył mu na krzaczystych brwiach. Szerzej otworzył powieki. Wchodzili już między skały — zanurzali się w wąską gardziel skalistego wąwozu. Ponad jałowym rumowiskiem wznosiły się zbocza poprzerzynane rozpadlinami, w których sterczały stożki jasnego piargu. Płaskie różowe kamienie wyglądały z daleka jak bochenki chleba lub owoce. W zwężającym się wąwozie upał łączył się z duchotą. Krew pulsowała coraz trudniej. Jej nierówne uderzenia sprawiały złudzenie, że gdzieś dudni woda na kamieniach. Ale to było tylko złudzenie: skalne rumowisko było suche niby stos kości, odkopanych z piasku na pustyni.

Myśli rzuciły się na niego znowu niby żarłoczne pustynne ptactwo, napadające na trzymającego się jeszcze na nogach człowieka i wydziobujące mu oczy. Dlaczego...? Dlaczego oni giną? Straszna wątpliwość powróciła: może trzeba było czekać...? A może... To było jeszcze straszniejsze. Może Jahwe zadrwił sobie z niego... Kazał mu spełnić wielkie dzieło, z którego nie miało wynikać nic... „On — przebiegło w błyskawicach przez mózg Mozisa — nie cofa swoich postanowień. Tylko ja myślałem, że się ucieszył, gdy Go błagałem, by ich nie wyniszczał... On wydał wyrok i od niego nie odstąpi...!”

Wśród idących z tyłu ktoś wydał okrzyk długi i straszny niby wycie hieny. Głos powtórzyły wielokrotnym echem otaczające ich skały. Potem rozległ się drugi okrzyk, tym razem krótki i urwany. Po nim zapadła dzwoniąca cisza. Mozis słyszał w niej tylko ciężkie stękania idących. Ale wśród nich zdawało mu się, że słyszał szydercze zapytanie: czemuś ich poprowadził...?

Mimo nieludzkiego zmęczenia miał ochotę biec, uciekać przed tym pytaniem. Gdy po małej chwili rozległ się koło niego drżący, żaloszny głos, nie śmiał wierzyć, że jest to głos żyjącego człowieka. Tamten musiał go schwycić za poję płaszcza i przytrzymać.

— Mozisie... Mozisie, stój... Ludzie Kaata nie chcą już dłużej nieść słupów dziedzica... Rzucili je...

Nie zatrzymał się. Nawet nie odwrócił głowy. Cóż mógł odpowiedzieć tamtemu? Zapytał tylko nieswoim, zachrypniętym głosem:

— Czczy... Aaarę... nnniosą...?

— Arkę niosą... Ale... wszyscy już ledwo idą... Wody, Mozisie...!

Człowiek pozostał z tym okrzykiem na ustach. Mozis poszedł dalej. Zaciśnawszy zęby parł przed siebie. Pot zalewał mu oczy i piekł pod powiekami. Wąwóz zwęził się; stał się nieomal wąską bramą. Potem znowu rozszerzył się. Z cienia, w którym się czas jakiś znajdowali, wyszli na łup niesytego ich męki słońca.

Znowu zdawało mu się, że słyszy koło siebie głos. Tym razem to nie było szyderstwo ani drwina. Ktoś jakby ze spokojną rozważą przypominał: „Gdy lud nie miał co jeść — On posypał piasek pustyni żółtymi kulkami; gdy drogę zamknęło morze — otworzył ją przez jego środek; gdy woda była gorzka — kazał do niej wrzucić kawałki drzewa, a stała się słodka...” Tak się działo w ciągu tamtych, pierwszych lat. To były znaki. Znaki opieki. Teraz ich nie ma. Co to znaczy? On cofnął wszystkie swoje dary. Skończył czas swoich cudów. Od kiedy zapadło przekleństwo, cudów nie ma. I nie będzie...! On wyrzekł się ich... Uznał, że są niegodni wybrania. Pozwolił im żyć... Trzeba to było przyjąć... Nie czekać na nic więcej... Niczego się więcej nie dobijając... Żyć — jak inni — zwyczajnie... Pogodzić się z odrzuceniem...

Ostatnie słowa zabrzmiały mocno jakby obudzony na nowo dźwięk, kiedyś już słyszany. Zatrzymał się na moment. Potem ruszył dalej. Lecz słowa szły razem z nim. Pogodzić się z odrzuceniem...? Skąd się to w nim wzięło?

Pamięć wędrowała poprzez przeżyte lata jak kamień lecący w niezgłębioną studnię. Ach, prawda — przypomniał sobie — tak mówił arcykapłan Sen-Ka. Zdawało mu się, że dobiega do niego starczy, drżący głos: „Świat dotknęło przekleństwo: zostaliśmy odrzuceni... Nie jesteśmy już tym, czym kiedyś byliśmy. Czy można tak żyć? Gdyby trzeba się było z tym odrzuceniem pogodzić...” Wtedy wybuchnął z całą swą młodzieńczą porywcznością: „Pogodzić? Nigdy! Nigdy! Jeśli okryło nas przekleństwo, trzeba je z siebie zrzucić! Choćby przyszło przy tym zedrzeć własną skórę! Z odrzuceniem żyć nie można!” Sen-Ka patrzył na niego uważnie. W jego wzroku były jakby podziw i czułość. Patrzył jak ktoś, kto ogląda z dna uległości nagle rozpalony bunt.

Głos — tym razem rzeczywisty — zabrzmiał tuż za jego plecami:

— Mosisie! Mosisie! Ludzie Kaata tak osłabli, że zostawili deski ścian Przybytku... Rzucili dach... Co robić?

Obróciwszy głowę, zapytał:

— Czczy... Aaarke... nnniosą...?

— Niosą. Ale już ustają... Mosisie... Daj nam wody...!

Nie pytał o nic więcej. Powłókł się naprzód, z trudem wymijając głązy leżące przed nim. Może — pojawiło się w nim — nie trzeba było wcale czekać? Albo może trzeba było — jak oni tego chcieli — pójść po prostu przez ziemie Edomitów i siłą wywalczyć sobie zwycięstwo? Gdy ja prowadziłem ich naprzeciw Bożych tajemnic, należało zwyciężajnie...

Znowu posłyszał:

— Mosisie. Oni rzucili ołtarz. Mówią, że już dalej nie mogą... Rzucają naczynia... Rzucili świecznik... Padają... Mosisie... Ratuj! Wody! Wody!

Wsunął głowę w uniesione ramiona, zgarbił plecy. Brał na siebie ten krzyk niby ciężar. Ale nie zatrzymał się, nie odwrócił głowy. Gdy rzucili — myślał — jeden drążek od Przybytku, rzucają wszystko. Czy mogę się na nich gniewać? Czy mam wołać kary? Człowiek ma ograniczone siły. Gdy one go raz zawiodły... Gdy raz poczuje, że za jego słabością nie stoi nikt... Kiedyś miał w dłoniach tablice wyjęte ze skały dłonią Bożą. A przecież, gdy cisnął je z gniewem, rozpadły się. To dziwnie brzmi — ale i sprawy Boże można zniszczyć...

— Stryju! — posłyszał za sobą. — Stryju Mosisie!

Głos był zmieniony, zachrypnięty, lecz poznał w nim głos Eleazara. Sta-
nął, obrócił się ku niemu twarzą.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Stryju — mówił twardo lewita, łykając ślinę, jakby miał usta pełne
kamieni. — Ojciec umiera... Jeśli nie dostaniemy wody...

Bez słowa zawrócił — poszedł dalej. Eleazar pobiegł za nim, chwycił go
za rękę. Dysząc ciężko, zajrzał Mozisowi w twarz.

— Stryju...! — zawołał — Czy... słyszałeś? Ojciec... umiera...

Oczy Mozisa były puste niby dwa opalizujące kamienie. Czemu on krzy-
czy? — myślał. — Czego on chce ode mnie? Co ja mu mogę poradzić? Mam
zatrzymać pochód? Po co?

— Stryju... nie słyszałeś? Ojciec umiera... twój brat umiera... arcykapłan
Jahwe... stryju... ten, który składa ofiary... który modli się... za lud...

Nie odpowiadając włókł się dalej. Wzrok miał utkwiony przed siebie w
przestrzeń, ale nie widział nic: coraz więcej czarnych plam skakało przed
nim. Nie wiedział, gdzie stąpa. Bolesnie uderzał się o leżące kamienie. Miał
usta szeroko otwarte. Łapał powietrze wielkimi łykami, lecz ono paliło mu
tylko usta.

— Stryju...Ojciec...!

Nie zatrzymując się rzucił za siebie:

— Czego chcesz?

— Stryju... — dyszał Eleazar — stryju... Ojciec mówi: to twoja wina...
Oni... nie zasługują... nie... szanują...

Stanął; nogi drżały pod nim.

— Jeżeli to moja wina — zapytał powoli, ciężko łapiąc powietrze między
każdym słowem — to czego chcesz?

— Proś o przebaczenie. Obiecuj, że wrócisz... Że będziesz surowszy...
Niech Jahwe zrobi cud... Jak w Rafidim..

— Nie.

— Dlaczego? Dlaczego nie chcesz prosić? Ratuj ojca! On umiera. To
dzięki niemu lud poszedł za tobą... Ty jąkasz się... Twoich słów nikt nie ro-
zumie... Bez niego...

— Przestań!

— Nie przestanę! Ojciec umiera. Ratuj go! Proś o cud! O wodę! Uderz laską w skałę... Obiecuj...

Zrobił bezradny ruch ramionami. Ale Eleazar chwycił go, zaprowadził pod skałę. Wciąż powtarzał:

— Uderz laską. Jak w Rafidim. Uczynь cud. Ojciec umiera. Arcykapłan...

Niespodziewanie otoczył go tłum. Ludzie resztką sił biegli ku niemu, cisnęli się. Słyszał ich głosy żalosne, podobne do skrzywienia kół:

— Uczynь cud! Uczynь cud!

Skała przed nim wydawała się czerwoną gładzizną. Była niby zamknięte drzwi. Myślał: wszystko stracone... Niech On tylko ocali ich... Potem trzeba się będzie pogodzić... Nie miał siły opierać się wołaniu całego ludu. Nie mógł słuchać ich bolesnych głosów. Uniósł rękę i laską uderzył w skałę. Suchy stukot kija zabrzmiał w głuchej ciszy — i ucichł. Panowało milczenie, w którym słyhać było tętna bijącej krwi. Cisza przedłużała się. Nic się nie działo. Woda nie wytrysła. Skalne drzwi pozostały zamknięte.

Zerwały się głosy przerażenia:

— Mosisie! Dlaczego nie dałeś nam wody? Wody!

— Co to się stało, Mosisie?

— Mosisie! Zginiemy!

A potem zabrzmiało:

— Oszukał nas! Oszust! Kłamca! Daj wody! Słyszysz? Daj wody! Ty kłamco!

Laska wysunęła się z zeszywniałych palców. Mozis zachybotał się jak podcięte drzewo i padł na kolana. Jego dłoń zanurzyła się we włosy. Szarpnęła ile sił. Z piersi wydarł się skowyt.

Ludzie leżeli tak, jak padli, pozbawieni energii do dalszej walki z losem. Bogata przed paroma dniami w ludzi i w bydło karawana była tylko gromadą zabłąkańców, obdartych, wynędzniałych, skazanych na śmierć.

Mozis siedział tuż pod skałą. Miał palce nadal wczepione we włosy, wzrok pełen rozpaczki utkwiony w ziemię. Obok niego położono Aarona. Arcykapłan rzeził. O krok dalej stała Arka. Ludzie Kaata donieśli ją aż tu, a potem rozciągnęli się wokół niej wieńcem nieruchomych ciał.

Ponad leżącym bezsilnie ludem unosił się nieustanny jęk. Zdławione głosy nie przestawały mówić, jakby zawodziły żalobną pieśń:

— Po co nam kazałeś iść z Kadeszu?

— Po co poprowadziłeś nas na pustynię?

— Tu nic nie rośnie... nic się nie rodzi...

— Oszukałeś mówiąc, że poprowadzisz nas do Ziemi Obietnicy...

— Poprowadziłeś na śmierć...

— Kłamałeś, że umiesz robić cuda...

— Kłamałeś, że Bóg jest z tobą...

— Przez ciebie pomarli nasi ojcowie. A teraz my umieramy...

— Wody! Daj nam wody!

— Pić...

— Pić! Twierdziłeś, że twój Jahwe da nam wody...

Jakaś dłoń ujęła kamień i usiłowała nim cisnąć, ale pozbawione sił ramię wzniosło się i opadło. Kamień potoczył się, nie sięgnawszy Mozisa.

— Pić... — słyszał, jak dyszy Aaron.

— Nie ma wody... — powiedział cicho, boleśnie.

— Wiem... — usta arcykapłana poruszały się wśród białego zarostu. — Tak się... musiało... skończyć... Przez... ciebie...

Rozpaczliwym gestem wyszarpnął palce z włosów, by przycisnąć dłonie do uszu. Nie chciał słyszeć od brata tego, co słyszał zewsząd. Znał myśli Aarona. Wiedział, że poprzez drgające w głosie brata cierpienie brzmi ton gorzkiego, śmiertelnego triumfu. Za tamto... Nie mógł tego słuchać... Usiłował podnieść się na nogi. Niełatwo mu to przychodziło: ciało było słabe. Namacał jednak na ziemi swą laskę i wsparłszy się na niej wstał. Aaron coś ciągle szeptał, a on wiedział — choć nie słyszał — co mówi... Błędnym krokiem podszedł do Arki. Padł przy niej na twarz. Rozłożył ręce szeroko w obie strony, tym samym gestem, jakim je trzymał niegdyś rozpostarte nad polem walki z Amalekitami. Przycisnął rozpalone czoło do ostrych kamieni. Chciał się modlić. Ale zamiast słów modlitwy znowu pojawiły się na jego wargach pytania...

Czym było to, co się stało? Dlaczego nie znaleźli wody i dlaczego, gdy dotknął laską skały — woda nie wytrysła jak niegdyś...? Podejrzenie, które

narastało w nim podczas wędrówki przez bezwodną pustynię Faran — zamieniło się teraz w pewność. On opuścił lud... Odjął od niego swą opiekę, swe wybranie... A gdy Mozis usiłował — wbrew Jego woli — poprowadzić Izraela do ziemi obiecanej ich ojcom, zesłał na niego zagładę. Tak było... Lecz dlaczego tak się stało?

Leżąc przed Arką zmagał się z tym gorzkim pytaniem. Ze złotej skrzyni nie nadchodziła żadna odpowiedź. W słońcu, które zaczynało już zapadać za postrzępiony grzbiet górski, skrzyły się tajemniczo skrzydła cherubinów. Ich pochylone postacie zdawały się mówić tylko o jednym: o nienaruszalnym spokoju rzeczy świętych... Jak On może być taki spokojny, gdy ludzie giną? — przelatywało przez głowę Mozisa. Lud cały ginie, wybrany naród! Nie może być spokoju! — buntował się. Jego tak skłonny do gwałtowności naturę ogarniał gniew. — Przebudź się, Panie! — powiedział nagle w duchu. Przebudź się i odpowiedz. Dotychczas nie zawodziłeś mnie. Zawsze na drodze mego czynu odnajdywałem Twoją moc. Dlaczego teraz? Czy dlatego zapragnąłeś ich pozabijać, że stali się mi bliscy i drodzy jak moi synowie...?”

Krzyknął to wyzwanie milczeniem i mocniej przywarł czołem do Arki. Znowu czuł, jak ze skrzyni bije cisza i spokój, które jeszcze bardziej napełniały buntem jego serce. „Dlaczego, dlaczego? — podjął na nowo. Wiem — przyznał gorzko — tego mi nie powiesz. Lecz jeśli postanowiłeś ich wytracić ze względu na mnie — to zabij mnie, nie ich. Dałeś mi ich, a oni zafali mi... Poszli za mną. Wina — jeśli istnieje — jest moja. Zabij mnie! Ich ocal. Ja ich nie chcę zawieść! Ja... Sefora odchodząc powiedziała, że jesteś zawistny i zazdrosny... I Ty naprawdę jesteś zawistny. Gdy prowadziłem tamtych tylko dlatego, żeś Ty mi to kazał — byłeś ze mną. Pozwoliłeś mi nawet spojrzeć na Siebie i nie zabiłeś mnie. Kiedy jestem z tymi — opuściłeś nas... Ty może po prostu zdałeś nas na zwykły ludzki los... Ale ty wiesz, że my już tak żyć nie potrafimy. Nie można być, a potem nie być ludem wybranym! Musiałem ich poprowadzić. I, o Jahwe, poprowadziłem ich na zgubę!

To była moja wina, ale tylko moja. Czy nie wystarczy Ci, że mnie zabijesz? Zabij mnie — ich ocal. Tamto pokolenie wyginęło. Nie mogłem go znieść. Ale ja sam należałem do niego... I należę dalej. Więc zabij mnie! Zabij mnie, jak ich zabiłeś. Każesz, aby człowiek służył całym swym życiem drugim, a potem... a potem pozwalasz mu patrzeć, jak oni giną! O Jahwe, to pokolenie jest mi bliższe niż Gersam i Eliezer! Jest mi bliskie jak Izaak Abrahamowi... Lecz Abrahamowi nie pozwoliłeś zabić syna...”

Poczuł chłód — to słońce zapadło za skały i długi jeźor cienia dosięgał jego ciała. Tylko jeszcze wysoko na niebie płątały się smugi blasku i obrębiały złotem skrzydła cherubinów. Wolno, wspierając się na lasce, powstał. Kilka głów uniosło się: zamglony agonią wzrok ludzi śledził jego ruchy. On zaś szedł chwiejnie znowu pod ścianę skalną.

Gdy za pierwszym razem stanął przed nią i przymuszony łzawym wołaniem Eleazara podniósł swój kij, wydało mu się, że jakaś niewidzialna siła potrąciła leciutko jego koniec. Laska zadrżała mu w palcach. Coś w niej zdawało się kołatać. Teraz posłyszał znowu to kołatanie. Było takie delikatne, takie ciche... A jednak odczuwał je. Znowu stał przed skałą niepewny, co ma, uczynić. Zdawało mu się, że Jahwe kazał mu tutaj wrócić. Lecz po co? Czy ma znowu uderzać w skałę? Czy mógłby się dokonać cud, który nie dokonał się przedtem? A jeżeli znowu się nie uda? Stał onieśmielony, jakoby nie pamiętając tego, co słyszał na Horebie. Och, jakże nędzna jest ludzka pamięć! Czuł to — a przecież nie miał wciąż śmiałości, by odwołać się do wszystkiego, czego tam doświadczył. Przecież wydawało mu się, że jakaś uparta, choć delikatna siła pociąga wciąż za koniec jego laski. Czuł na palcach drzenie. Nie wiedział, czy mu się poddać. W końcu pozwolił ręce wyciągnąć się w kierunku skały. Koniec kija przybliżył się do szczeliny, półprzysłoniętej odpekniętym głazem. Kołatanie w lasce stało się jakby głośniejsze. Wsunął jej koniec w szczelinę. Nacisnął kijem i odsunął głaz. Nie bez zdumienia spostrzegł, że za nim na skale znajduje się wilgotna plama okalająca kępkę czarnego mchu. Laska sunęła dalej między mech. Pochylił się, wyrwał kępkę. Po palcach spłynęło mu kilka kropel zimnej wody. Chciwie dotknął warg wilgotnymi palcami. Teraz już z siłą wbił koniec laski w mech. Trysnęła cieniutka strużka. Upadł na kolana. Jego okrzyk wrócił życie umierającym. Posłyszał za sobą tętent wielu nóg. Gwałtownie rozrywał mech, wciskał palce w spękaną ścianę. Wody płynęło coraz więcej. Dłonie ludzi uczepliły się nawisu przymykającego szczelinę. Wielki głaz tkwiący w skale zadrżał. Setka rąk napała na niego. Ludzie tłoczyli się, potrącali go brutalnie, deptali po nim. Głaz chwiał się coraz mocniej. Aż nagle — ustąpił. Wykruszył się, wypadł ze skały. Z otwartego ujścia buchnęła woda potężną strugą.

Powoli, krok za krokiem, podtrzymując z obu stron Aarona, pięli się piaszczystą ścieżką, która początkowo długimi nawrotami, a w miarę wzno-

szenia się — ostrymi, krótkimi zrywami wyprowadziła ich pod gładką, urwisłą ścianę. Aaron dyszał; zwiślał im ciężko na rękach. Jeszcze poprzedniego dnia leżąc na swoim posłaniu zdawał się konać. Lecz Mozis zmusił go do powstania. Kazał mu się ubrać w arcykapłańskie szaty: w kuttonę z dzwoneczkami, w efod. Poleciał mu zawiesić na szyi hoszen, na głowę włożyć święty turban ze złotą blachą. Tak ubranego — niby do służby w Przybytku — on i Eleazar wyprowadzili z namiotu. Bose stopy Aarona wlokły się i uderzały o każdy sterczący kamień. Kolana uginały się. Lecz oni prowadzili go uporczywie w stronę sterczącej tuż nad głowami czerwonej ściany gór Seir. Ludzie stojący przed namiotami patrzyli zdumieni na tę ich wyprawę. Eleazar także nie wiedział, dlaczego Mozis kazał mu wlec w góry konającego ojca. Zapytał:

— Gdzie ty go prowadzisz, Mozisie?

Ale nabi nie odpowiedział, więc Eleazar nie buntując się wykonywał jego rozkaz. Aaron dyszał, sapał, nie opierał się jednak. Lecz oni czuli, że ciąży im coraz bardziej. Szli, właściwie wlekli się krok za krokiem, między wielkimi głazami, którymi zasypana była dolina podprowadzająca pod skały. Przystawali — i znowu nabrawszy sił ruszali dalej. Tak zastał ich wieczór. Zachodzące słońce zalało krwią łańcuch górski. W jakimś zacisku między głazami położyli Aarona. Sami siedli nad nim niby dwa szakale nad dogorywającym łupem. Mimo dokonanego wysiłku Aaron ciągle żył. Głucho poje kiwał; jego głowa przetaczała się z boku na bok, ciało ogarniały zimno i drętwota. Okryli go swymi płaszczami, pod którymi nadal dygotał.

Czuwając nad nim przetrwali noc. O świcie Mozis znowu kazał Eleazarowi podźwignąć ojca. Ująwszy go z obu stron pod ramiona powlekli do skały. Aaron był jeszcze słabszy. Jego stopy nie opierały się już o ziemię, ciągnęły się bezwładnie. Głowa zwiślała nisko na piersi. Weszli na perć wydeptaną przez kozice górskie. Była pokryta drobnym piargiem, ostrym i tak samo różowym jak otaczające skały. Wznosili się nią w górę prawie przez cały dzień. Gdy stanęli u podnóża urwiska, z którego sączyła się woda, dzień zsuwał się już ku wieczorowi. Unoszące się nad pustynią słońce przepasane woalem mgieł było jak tarcza zawieszona na murze. Jego blask skrzył się w wiązce wody ściekającej wzdłuż rysy czerwonej, jakby była raną.

Chwilę odpoczywali nieludzko zmęczeni. Potem Mozis rozkazał Eleazarowi:

— Zostań tu!

Kapłan podniósł na niego zdumione spojrzenie.

— A ty? A ojciec? — zapytał.

Nic nie wyjaśniwszy zarzucił sobie ciało brata na ramię i ruszył do miejsca, gdzie urwisko zniżało się, pozwalając iść dalej w górę. Każdy krok przychodził mu z wysiłkiem. Mimo wieku zachował wiele sił; ale ciężar konającego przewyższał je. Po każdym stąpieniu musiał łapać oddech. Ręce mdlały; krew biła i rozsadzała skronie; dyszenie unosiło piersi. Jeszcze krok — postanawiał — jeszcze tylko jeden krok... Oddychał rżeniem, rżął krzykiem. Zdołał dowlec Aarona do niewielkiej półki skalnej zawieszanej na zboczu góry. Dalej nie mógł. Pozwolił, aby ciało brata wysunęło się z omdlewających rąk i rozciągnęło bezwładnie niby opadły płaszcz na spękanej płycie skalnej. On sam byłby upadł, gdyby nie oparł się plecami o skałę. Przed oczami przelatywały mu czarne płyty; serce targało się gdzieś w gardle. Długo i boleśnie wdychał powietrze ustami otwartymi szeroko jak u ryby.

Minęło dobrych kilka chwil, aż wreszcie poczuł się lepiej. Pierwszą myślą, jaka się w nim pojawiła, była troska o brata. Spiesznie przyklęknął, pochylił się nad nim. Głowa Aarona leżała odrzucona do tyłu; oczy miał zamknięte; wśród sterzącego kępami zarostu otwierały się czarną dziurą usta. Mozisowi wydało się, że Aaron już nie oddycha. Przerażony chwycił leżącego za ramię i potrząsnął nim. Nie, nie — przeleciało mu przez głowę — niech jeszcze nie umiera... Nie miał wątpliwości, że życie brata liczy się już tylko na chwile. Ale czuł, że potrzebne jest między nimi ostatnie słowo — ostatnie i najważniejsze. Słowo, które powinien był powiedzieć, a którego wciąż nie znał. Nie, nie... — jeszcze raz wezbrało w nim żalosne wołanie.

Usta leżącego drgnęły. Wargi złączyły się. Mozis zerwał z ramion płaszcz, zwinął go w kłęb i podsunął pod głowę arcykapłana. Zamknięte oczy starca rozchyliły się, ukazując białka w wąskiej szparze między powiekami. Spojrzenie początkowo wydawało się błędne. Z ust Aarona wydobył się cichy, rwany szept:

— Mozis... Kto... kto za tobą... stoi...?

Porywczo obejrzał się, ale za nim nie było nikogo. Półka skalna urywała się otwierając przestrzeń niby otchłań bez dna, tym zda się głębszą, że rozpięło się nad nią niebo bez obłoków, zasnutę delikatną mgłą. Niżej zębata czerwonoruda grań jak mur zamku ciągnęła się hen daleko, by gdzieś wreszcie na horyzoncie zagrzebać się w piasek pustyni. Drugi łańcuch górski, tak samo najeżony żarzącymi się w zachodzącym słońcu turniami, ciągnął się

nico dalej. Między jednym a drugim leżała ponura dolina niby mroczny korytarz.

— Nikogo tu nie ma, Aaronie — powiedział łagodnie. — Zdawało ci się...

Ale Aaron powtórzył jakby z lekkim zniecierpliwieniem w głosie:

— Nie... stoi... stoi za tobą... za tobą... mówię...

Choć przekonany, że to są majaki konającego, obejrzał się jeszcze raz. I tym razem nie zobaczył nic poza niebem niby rozpięta płachta i poza dwoma obryzganymi purpurą łańcuchami górskimi, między którymi ciągnęła się dnem wąwozu ich droga.

— Naprawdę nie ma tutaj nikogo... — rzekł. — Naprawdę, Aaronie...

Starzec tym razem nie zaprzeczył. Powoli zamknął oczy. Na jego twarzy odbił się jakby wyraz zniechęcenia. Głowa zakolebała się z lewa w prawo. Potem Mozis zobaczył, jak powieki arcykapłana nabrzmiewają. Wytoczyły się spod nich ciężkie łzy i spłynęły wolno po zrytych zmarszczkami policzkach, pozostawiając za sobą lśniące smugi. Smutek Aarona dotknął boleśnie Mozisa. Wyciągnął rękę, dotknął dłoni brata. Suche palce tamtego drżały. Mozisa napełniała coraz większa serdeczność i współczucie.

— Aaronie... — szepnął — Aaronie... Nie płacz...

— Nie... nie... pocieszaj... — głos arcykapłana szemrał i zacinął się. — Po co...? Umieram... Muszę umrzeć... Jak Miriam... Nie dojdę... Nie zobaczę...

— Aaronie — powtórzył raz jeszcze. Żal przeradzał się w nim w czułość. Dobrze rozumiał żalność brata.

— Nie zobaczę... — rzęził starzec. — Nie... On... On nie chce... nie chce...

Westchnął. Wciąż nie wiedział, co trzeba powiedzieć człowiekowi, który odchodzi w tajemniczą ciemność, gubi się, gdy oni mają dalej iść — i dojść. Odezwało się w nim to samo uczucie, jakiego doświadczył wtedy, przy wychodzeniu z Mikraim: my idziemy naprzód — tamci zostają...

Przesunął dłońią po zroszonym potem czole. Rzekł:

— Pan karze... Ale jest miłosierny... Czy nie przebaczał tyle razy? I teraz przebaczył ludowi... Powiedział: „Zawsze, gdy tylko żałować będziecie i wróćcie do Mnie...”

Zaledwie to wypowiedział, pojął, że dla umierającego jego słowa są pozbawione jakiegokolwiek pociechy, przeciwnie — przytłaczają jak ciężar. Głos Aarona załkał nagle goryczą:

— Mówisz: miłosierny... Nie dla mnie... Czy już zapomniałeś, jak zabił Nadaba i Abihu...?

Splótł palce. Patrząc w ziemię mruknął:

— Uczynili rzecz złą...

— Lecz byli — ciężko poruszająca się pierś arcykapłana wezbrała żalem — moimi synami... Ja ich tak kochałem... Najwięcej... Pamiętasz?... Pytałeś, czemu nie jem ofiarnego mięsa... Gniewałeś się... A ja... ja nie mogłem jeść... To byli moi najdrożsi synowie... Nadab... Abihu... Nie przebaczył im... Ty tyle... ty zawsze...

Głos urwał się. Mozis milczał. Cóż mógł powiedzieć? Czy miał się spierać z umierającym, że jeśli Aaron utracił swoich dwóch najukochańszych synów, to on stracił swoich wszystkich? Aaronowi nie kazano odejść od żony. Do późnych lat odnajdywał w jej ramionach pociechę, największą z codziennych pociech, jakie są dane człowiekowi. Jemu zabrał Seforę. Krótkie niby mgnienie oka wydawały się z odległości lata przeżyte w obozowisku madianickim. I nie raz jeden ją utracił. Dwa razy! Raguel przybywszy do obozu w Rafidim przyprowadził ze sobą Seforę przypuszczając, że Mozis — gdy już wyrwał lud izraelski z niewoli — przyjmie ją z powrotem pod swój namiot. Byłby to zrobił. Tak bardzo potrzebował kogoś bliskiego w swej samotności. Lecz sprzeciwili się temu właśnie Aaron i Miriam... Może obawiali się, że Sefora będzie chciała rządzić w obozie? Może lękali się, że za jej namową Mozis pozbawi kapłaństwa Eleazara i Itamara, a uczyni kapłanami swoich i jej synów? W każdym razie gwałtownie wystąpili przeciwko powrotowi Sefory. Zaczęli buntować ludzi przeciwko niej. Pogardliwie przezywali ją Etiopką. Zrozumiał, że jeśli Sefora zostanie, będzie miał wrogów także we własnym rodzeństwie. A przecież Aaron był mu niezbędnie potrzebny... Nie miał wyboru — musiał kazać kobiecie po raz drugi odejść, choć czuł, jak się w nim wewnętrzności drą na kawały. To drugie rozstanie było boleśniejsze nawet niż pierwsze. Umiał w pełni docenić, czym była dla niego żona — jej wierna miłość, jej oddanie. Tęsknota za nią wzrosła o starczy lęk przed pustką. A wreszcie wiedział, że teraz rozstaje się z nią na zawsze. Mimo to oddalił ją. I nawet kiedy Miriam dostała trądu i błagała go, by wyprosił dla niej u Jahwe uwolnienie od przerażającej choroby, nie powiedział

jej: „zrobię to, ty jednak przestań się sprzeciwiać powrotowi Sefory. Nigdy — myślał — ani u ludzi, ani u Wszechmocnego niczego nie wyprosiłem dla siebie...”

A czy nie mógł prosić? Czy Jahwe nie powiedział mu wtedy tam, na Horebie, gdy łkając na poły z żalu, a na poły z gniewu skarżył Mu się na zdradę ludu: „Opuść ich; inny lud ci dam, lepszy, wierniejszy...” Gdyby był powiedział „Tak”, stałoby się zgodnie z jego wolą. On przecież, zaledwie to usłyszał, przestał się skarżyć. Z żarliwym uporem zaczął błagać ó litość dla nich. Wołał nawet: „Zabij mnie — a ich ocal!” Bronił ich, bijąc z żalości czołem o skały. Aż wreszcie doprosił się słowa łaski. Dziwnym tonem było ono powiedziane... Póki życia — czuł — tego tonu nie zapomni. Jakby Ten, który jest wiecznym szczęściem, ucieszył się... Jakby był mu wdzięczny za to, że odrzucił tę zamianę...

Ten ton ośmielił go tak, że zuchwale poprosił, by mu On — Jahwe — ukazał Siebie... I stało się: śmiertelne oczy Mozisa ujrzaly to, czego człowiek nigdy nie potrafi ani odtworzyć, ani opisać: tajemniczą smugę ognia i chwały, których blask zostawił swój ślad na twarzy nabiego i na zawsze wypalił wspomnienie w jego oczach, uszach, nozdrzach... Niezapomniane widzenie dopaliło w Mozisie wszystkie jego żądania i bunty. Odkryło mu rzecz, wobec której był bezsilny...

— Ty tyle... Ja... nic... — w głosie Aarona tętniło przejmujące cierpienie.

Na usta pchały się słowa: „Nie skarż się... On jest... Ale jak — pytał siebie — odkryć tamto?” Przesunął ręką po włosach: opadały mu one na czoło i lepiły się od potu. Gdy szukał słów pociechy, a zarazem obrony, myśl jego poszybowała w przeszłość do chwili, w której po usłyszeniu Głosu z płonącego krzewu wrócił do Mikraim. Zanim to uczynił, opierał się długo wezwaniu Najwyższego; tak długo, aż w końcu Jahwe rzekł: „Więc podzielę moc Moją między ciebie i twego brata. On stanie się twoim głosem...” Brat? Za ledwie pamiętał wtedy, że ma brata. Nigdy nie zasiadł z nim do wspólnego posiłku. Nie łączyło ich nic. Mozis był wodzem, „synem” faraona — tamten uprawiał swój mały kawałek ziemi w nomosie Gessen. A przecież gdy odnalazłszy Aarona powiedział mu, czego od niego żąda, Aaron od razu, bez sprzeciwu, poszedł za nim. On, starszy, zaczął służyć jemu, młodszemu. To prawda — wiele razy w tej służbie ulegał buntom, zniechęceniom, lękom, pokusom zabiegania o przyszłość swoich synów. Lecz za każdym razem żałował tego i zawsze do służenia powracał. Cóż byłby robił bez jego mądrych, rozsądnych, takich przekonywających słów? Gdy stawali wobec wielkich

trudności, zda się nie do przezwyciężenia, Aaron nie potrafił wtedy wystąpić z żadną rozsądną radą. Jęczał tylko: módl się, błagaj, proś... Lecz, przychodziło Mozisowi czasami do głowy, czy tą swoją bezradnością nie zmusił go do największych wysiłków?

— Nie... nigdy... — mamrotał głos. — On tyle żąda... A gdy Go nie posłuchasz — karze... Strasznie... Dla Niego... nic... nic nie jest... czyste...

— Co też ty mówisz, Aaronie? — zawołał.

— Ty wiesz... — bełkotał umierający. — On... On nawet w nich... znalazł winę...

— W kim, Aaronie?

— W nich... — wypowiadał imiona, jakby je wydobywał z samego dna pamięci: — Azazel, Zamael...

Mozis przerwał mu niespokojnym gestem.

— Nie wołaj ich! — krzyknął.

— Nie... wołam... — głos leżącego szemrał wciąż boleśnie. — Lecz... także w nich... Nikt... nikt nie jest... dosyć... czysty... Nikt...

Czuł, jak z każdym słowem Aarona większy ciężar spada mu na serce. Pochylił nisko głowę. Czyż nie ta sama wątpliwość stawała przed nim tyle razy? Zagłuszał ją w sobie — ale nigdy nie próbował na nią odpowiedzieć. Lata kołowania po oazie Kadesz były latami oczekiwania na przemianę. Czy jednak ona dokonała się? Nie, nie! — zaprzeczył sobie gwałtownie. Aaron umiera, więc dlatego tak mówi. Ci, którzy odchodzą w mrok, widzą wszystko ciemno. Tak nie jest! Oni są inni. Są nowym pokoleniem, nowym ludem. Oni dojdą...

— Mozisie — doszedł go drżący głos brata — dlaczego... ktoś... ciągle... za tobą... stoi...?

Jeszcze raz obejrzał się. Ale i teraz na skraju skalnej półki nie było nikogo. Po starem niebo rozpięło się nad olbrzymią przestrzenią pustyni niby naciągnięte płótno żagla, bez jednej zmarszczki, tylko mocniej niż poprzednio nasycone mgłą. Bezszelestnie sypał się z niego pył zmroku. Wierzchołki skalne traciły swą gorącą barwę: ich purpura stawała się różowością, różowość fioletem. Lecz ponad kamieniejącą przestrzenią wzrok sięgał daleko. Gubił się w dali, którą cisza i spokój zdawały się kołysać do snu. Świat wydawał się roztopiony w spokoju. A przecież Mozis poczuł przebiegający po plecach dreszcz. Pochylił się nad bratem. Prawie prosząco powiedział:

— Nikogo nie ma, Aaronie... Naprawdę... Tylko On... Odwieczny, Jahwe...

Prawie chciał Go przywołać. Prawie chciał rzucić Jego imię przeciwko wszystkiemu, co czuł — co czuli obaj. Zwarł mocno dłonie i zacisnął je. Samotność podchodziła pod gardło dławiącym bólem. Samotność... Czy może mówić o samotności ten, kto nie poczuł nigdy bliskości Najwyższego? Od tamtego dnia na Horebie wiedział: nic już nie potrafi go ocalić... Nic — poza Nim...

Z ziemi wznosił się znowu skarżący się i przełamujący w łkaniu głos:

— Czy Mu nie służyłem? Czy nie poszedłem za tobą? Czy nie mówiłem za ciebie? Dlaczego...? Dlaczego On zabił moich synów? Skrzywdził mnie...

Dotknął ramienia brata.

— Nie, Aaronie — usiłował tchnąć w te słowa całą swą wolę ufania — nie, nie skrzywdził ciebie.

— Zabił ich... Zabije mnie... Nie zobaczę... nie dojdę...

— Lecz, Aaronie — prawie krzyknął — oni dojdą. Lud dojdzie. Dla nich spełnią się obietnice Pańskie. Starzy ludzie muszą umierać... Umarł Abraham, Izaak, Jakub, Józef... Lecz jeśli młodzi zdołają dojść...

— Dojść...? — głos leżącego zaskrzyphiał nagle innym zupełnie tonem. — Kto ci powiedział, że oni dojdą...?

— Dojdą! — rzucił z rozpaczliwą pewnością siebie. — Dojdą, Aaronie! — Za wszelką cenę chciał wydrzeć brata jego wątpliwościom. — Dojdą, dojdą! — powtarzał, jakby chciał zagłuszyć głos, który w nim samym wołał coś zgoła innego. — Tamci nie mogli dojść. Ci dojdą...

— Dlaczego...?

— Są inni, Aaronie!

Zobaczył na twarzy umierającego wyraz takiego zwątpienia, że począł szybko mówić dalej:

— Są inni! Ja ich znam. Poznałem ich. Prawda — są surowi, nieokrzesani, gwałtowni. Nie znają szacunku... Ale są inni...

— Sądzisz... że ich znasz...?

Zdawało mu się, że na ustach Aarona pojawił się ironiczny grymas.

— Znam ich! — zapewnił pośpiesznie. Och, jak bardzo chciał w to wierzyć!

Arcykapłan zamknął oczy. Chrypliwy oddech stał się cichszy. Palce Aarona skurczyły się i rozkurczyły kilka razy.

Wyszeptał:

— Łudzisz się...

— Nie, Aaronie! — zaprzeczył.

— Łudzisz się... — rzeźił umierający. — Jabłko pada niedaleko od drzewa... Ani się spostrzeżesz, kiedy... przeciwstawią się tobie... odepchną ciebie... stratuja... zbuntują się...

— Nie!

— Już ci się raz zbuntowali... Zapomniałeś?

— To była chwila słabości. Nie mieli wody...

— Takie chwile... przyjdą... znowu... Nienawidzą cię... Sprzeciwią ci się...

— Nie! — krzyknął. — Nie. Będą posłuszni...

Opierał się. Ale wymowa Aarona miała straszną siłę. Ta wymowa, która dotychczas służyła jemu... Coś stanęło między nimi i pchnęło ich przeciwko sobie; coś sprawiło, że zamiast siebie wspomagać, dręczyli się wzajemnie.

— Sprzeciwią się... Za dużo...

— Co za dużo, Aaronie?

— Za dużo... On żąda...

— Nie mów tego! — zawołał. Położył dłonie na uszach. Słowa brata miały moc wdzierania się w najskrytsze zakątki jego serca. A przecież nie chciał ich słyszeć.

— Tak jest... On... za dużo... Dla Niego... nic... czyste... Nawet... w tamtych...

Oderwał dłoń od ucha, wyciągnął ją, by położyć na ustach brata.

— Nie mów, Aaronie. Znowu wspominasz tamtych... To nieprawda.

— To... prawda... I... oni... i nikt...

— Nie mów.

— Za... wiele... Człowiek...

— Nie.

— Posłuszny... Jemu... nieposłuszny... życiu...

— Aaronie...!

Chciał wołać jeszcze raz: „Nie mów” — ale głos go zawiódł. Milczenie stało się niby knebel wepchnięty w usta. Nie miał siły opierać się dłużej wymowie brata. To dławiące zwątpienie, które niósł w sobie na pustyni, pod wpływem słów Aarona rozrastało się w nim, aż w końcu opanowało go. Na skalnej półce panowała cisza i tylko dwa starcze oddechy splatały się ze sobą.

Przez chwilę wydało się Mozisowi, że jakiś długi cień legł na skale tuż nad białą głową Aarona, tak właśnie, jakby ktoś stanął nad arcykapłanem. Ale to było tylko przywidzenie. Nie było tam nikogo; tylko słońce dogasało za stęzającym oparem mgieł, a jego ostatnie blaski drgały na skalnych płytach. Zwrócił głowę w stronę, gdzie skalny taras urywał się nad zanurzonym w cieniu wąwozem; zapatrzył się w przestrzeń. Daleko na horyzoncie ciemnoszmaragdowa dolina obejmowała miłośnie szerokim zakolem skrzącą się tafelę wody. Ta droga doprowadziła ich do wybrzeża Czerwonego Morza; potem mieli skręcić w głąb wąwozu Arabah.

Widok tego wrzynającego się głęboko w zatokę morza — prawie tak samo groźnego jak w tamtej zatoce po drugiej stronie półwyspu — stał się dla niego nieoczekiwanym wstrząsem. Wspomnienia buchnęły ogromną falą. Zaniósł go one w tamtą roztarganą wichrem noc przejścia. Zdawało mu się, że słyszy krzyki ludzkie coraz bardziej wzbierające, pełne lęku i gniewu. Znowu ożyły miotające nim wówczas uczucia: niechęć, pogarda, prawie nienawiść... Świstał wiatr i huczało morze. A potem rozległ się śpiew... Wraz z nim słyszał pośpieszne człapanie setek stóp na ścieżce między wzdętymi ścianami wody i kołatanie serc...

Porywczo schylił się nad bratem. Zapytał:

— Czy ty pamiętasz, Aaronie, jak przeszliśmy morze?

Oczy arcykapłana otworzyły się powoli. Była na nich mgiełka. Lecz Mozisowi wydało się, że po jego słowach błysnęły, jak błyska kaganek przed zagaśnięciem.

— Pamiętam... — szepnął.

— Zdawało się, że nie przejdziemy — mówił Mozis ze wzrastającym uczuciem. — Że morze się zamknie...

— Pamiętam... — powtórzył słaby głos.

— Lecz On pozwolił przejść... Ocalił...

— Pozwolił... — arcykapłan przytaknął głucho, jakby jego głos był echem.

— On zawsze może ocalić... I zawsze chce... Chce tego...

Patrzył niecierpliwie, jaki będzie skutek jego słów. Lecz iskierka w oczach brata zgasła. Wzrok powłókł na nowo cień. W zamierającym szepcie usłyszał:

— Jednych... chce... ocalić...

— Aaronie! — usiłował przerwać.

— ...drugich...

Słowa zamarły na ustach skarżącego się, jakby wypowiedziane ostatnim tchem. Z okrzykiem rozpaczony pochylił się nad bratem. Był przekonany, że Aaron już umarł, on zaś nie potrafił wypowiedzieć słowa, które zdolne jest spłoszyć rozpacz. Cóż z tego, że sam dojrzał nadzieję, a ta wizja uratowała go — przynajmniej na chwilę? Aaron nie zobaczył nic! I odszedł! On, który przez lata był jego głosem... Który umiał przekonywać. Który potrafił mówić.

— Aaronie! — krzyknął, jakby chciał brata przywołać z daleka. — Aaronie! On... On... — myśl tłukła się w pustce, szarpała się w szukaniu. — On, choćby zabił...

Ostatnie słowa zerwały mu się z ust niby owoc, który — nim dojrzał — został zerwany niecierpliwą ręką. Szary długi cień nad leżącym jakby się jeszcze wydłużył, ściemniał, omgłił czoło Aarona. Wydawał się czarnym obłokiem, który nagle zasmuca słoneczny dzień. Lecz on na przekór cieniowi powtarzał gorączkowo:

— Wierz mi: chociażby zabił...

Ociężałe powieki umierającego jeszcze raz rozchyliły się. Sztynniejące usta zapytały:

— Czy... ci... powiedział...?

Niełatwo było odważyć ściśle słowa usłyszane niegdyś tam, po drugiej stronie dzikiej grani, która zębiskami wierchów biegła ku niewidocznemu szczytowi. Ludzie patrzący z równiny widzieli tylko trójkątną niby pylon świątyni mikraimskiej, rozdartą na trzy człony skałę; nie mogli dostrzec, że za nią dopiero pnie się dwoma urwiskami wąska, przepaścista grań i wyprowadza na szczyt. Kazał Jozuemu zatrzymać się przed nią. Na wierzchołek wstał sam. Tam dopiero niby ulewa spadły na niego słowa, których

żaden człowiek nie słyszał nigdy. Słów tych nie potrafił ogarnąć. To raczej Boża mowa ogarnęła go — jak morze ogarnia rybę. Od tamtych dni żył w głębi usłyszanych słów. Przelewały mu się one w krew. One żyły w nim, a on żył nimi i w nich. Słyszał je odzywające się ciągle, nie jak wspomnienie czegoś, co było, ale jak coś, co się odradza wciąż nowym, ciągle bogatszym istnieniem. Bo choć jego rozmowy na szczycie były długim ciągiem pytań i odpowiedzi, w odpowiedziach Bożych zawarte zostało wszystko; wszystko, co się stało i co się miało stać... Tylko że ta nadludzka wiedza jakby nie pozostała w nim, jakby przepłynęła przez niego niby oliwa przez dziurawą czarkę. Miał poczucie, że nie potrafił jej utrzymać. Pozostał pusty — a przecież nie był pusty... Żył z przytłaczającą świadomością, że wszystko, co w nim będzie, może być już tylko echem i dojrzwaniem tamtego. Słów nie było, ale ich zawartość istniała — oszałamiająca, niewiarogodna prawie... Przerastająca jego, jego życie, jego dojrzałość. Cóż z tego, że były w nim pytania bez odpowiedzi: dlaczego ginie ten lub tamten człowiek? Dlaczego zginęły tamte dzieci? Dlaczego wymarło tamto pokolenie...? Dlaczego umiera Aaron? Dlaczego, dlaczego, dlaczego...? Jakieś słowa kołatały w nim: nawet ten, co ginie — ginie we Mnie... Skąd się one wzięły? Czyżby je wtedy usłyszał? Może... A może to tylko bolesna pustka, która będąc w nim rodziła głos? Słowa Jahwe — czy jego własne? Nie wiedział. Lecz nie było w nim wahania; jak tyle razy — usiłował ująć Boga w swoje słowa. Rzekł:

— Tak, Aaronie... On jeśli nawet zabija — ocala... Zabija, by ocalić... On zawsze...

Wydało się, że słońce buchnęło mocniejszym płomieniem, zanim zapadło za daleki masyw Synaju. Ten błysk pełen był ciepła niby łagodny uśmiech. Czepiające się skał cienie zapadły głęboko w szczeliny. Teżejąca twarz umierającego jeszcze na moment odtajała. I na nią spłynął pogodny blask wieczoru. On — pomyślał Mozis — czekał na to zapewnienie...

Był już szary zmierzch, gdy Eleazar posłyszał nad sobą na skale chrzęst piargu. Podniósł głowę. Z góry energicznym krokiem schodził Mozis. Sam.

— A gdzie ojciec, Mozisie? zapytał kapłan. — Czy mam iść do niego?

Zamiast odpowiedzi nabi potrząsnął głową. Eleazar zobaczył, że na ramieniu stryja leży przewieszony arcykapłański efod, naszywany klejnotami hoszen, turban ze złotą blachą. Pojął, że Aaron nie żyje. Pełen powagi i sta-

nowości Mozis szedł ku niemu. Eleazar upadł na kolana. Pochylił głowę. Bez słowa sprzeciwu pozwolił, aby brzemię ojca spoczęło na jego barkach.

Znajdowali się już blisko obozu — jeszcze tylko musieli obejść długie skalne żebro wparte w kamienistą równinę — gdy jakiś człowiek zziębnięty i zadyszany wyskoczył pomiędzy głazów i biegnąc jak oszalały naprzeciw, o mało nie zderzył się z nimi. Zatrzymał się, prawie padając na kolana. Podniósł obie ręce w górę. Wykrzyczał przez zadyszkę:

— Mozisie! Mozisie! Ratuj! Ratuj!

— Czego chcesz? Co się stało?

Eleazar chwycił tamtego za ramiona. Niespokojnie potrząsnął nim, powtarzając raz po raz swoje pytanie:

— Co się stało?

Człowiek był mokry od potu. Miał oczy wywalone na wierzch, a w nich wyraz dzikiego przerażenia. Z otwartych ust lała się ślina.

— Jacys... jakiś... obcy... lud... Napadli na obóz... Nasi walczą... Ale...

Obaj wyteżyli słuch. Rzeczywiście spoza skalistego żebra dochodziła rosnąca z każdą chwilą wrzawa walki. Krzyk ludzki wznosił się i opadał falami. Spojrzeli niespokojnie na siebie.

— Bitwa! — zawołał Mozis. — Spieszmy...

— Biegnijmy! — zawtórował Eleazar.

Gwałtownie popędzili naprzód. Krzyki za skalnym murem rosły, wzmacniały się, przechodziły w ryki triumfu i w skowyt bólu. Mozis biegł przyciskając mocno dłoń do piersi. „Jahwe, o Jahwe!” — modlitwa tłukła się w nim wraz z uderzeniami krwi do mózgu. — Co się tam stało? Tak niewiele czasu upłynęło od dnia, gdy wreszcie zdołał przywrócić porządek po tragicznej przeprawie przez pustynię Faran. A teraz znowu coś innego... Ale męczący bieg zagłuszał w nim dalsze myśli i pytania...

Dobiegając już prawie krańca żebra zobaczyli, jak ponad skałami unosi się żółtoczarny słup dymu, bije w niebo kolumną wspieraną wciąż nowymi kłębkami, a potem wyżej rozpościera się olbrzymią plamą, która zaciemnia słońce i nadaje jego światłu rudy ton. Człowiek, który przybiegł do nich, a teraz towarzyszył im kuśtykając niezgrabnie w biegu, zaczął nawoływać:

— Prędeż! Prędeż biegnijcie! Niech Mozis spieszy! Niech ratuje...! Prędeż...! Wszyscy zginą...

Nie mogli już biec dłużej, zabrakło im tchu; Mozis ślaniał się na nogach. Nie zatrzymywali się jednak — szli dalej pospiesznym krokiem. Eleazar wypytywał człowieka:

— Kto was napadł?

— Mówią, że melek Aradu...

— A kiedy napadli?

— Zaraz o świcie... Nikt się nie spodziewał... Pozabijali wielu... W obozie składano właśnie ofiarę...

— Jesteś lewitą?

— Tak... Rąbię drzewo... do ołtarza...

— Dlaczego nie przybiegłeś wcześniej?

Człowiek tylko rozrzucił ramiona w beznadziejnym geście.

— Oni niespodziewanie napadli... — bąknął. Nie wyjaśniał więcej. Na nowo zaczął nawoływać:

— Prędeż, prędeż! Śpieszcie się... Niech Mozis idzie ratować... Wszyscy zginą...

Znowu przeszli w bieg. Ich oddechy brzmiały boleśnie niby jęki. Krzyk bitewny stawał się bliski, jakby nie dzieliła ich od walczących ściana skalna, ale tkanina namiotu. Słyszeli wrzawę coraz wyraźniej, a jednocześnie ona także zdawała się rosnać. Między wznoszącymi się i opadającymi kaskadami głosów męskich, twardych i gardłowych, wybijał się miałki, świdrujący uszy krzyk kobiecy. Podmuch wiatru przewalił kolumnę dymu poprzez zapórę skalną. Przez chwilę byli nim spowici. Nie widzieli nic. Potem dym podniósł się, lecz polatując omraczał kamienistą równinę drgającą siatką cienia.

Kiedy strażę dały znać o zbliżaniu się od północy obcego wojska, zamykający pochód degel zatrzymał się, obrócił i stanął gotowy do walki. Tamci nadciągnęli, zbrojni i groźni, lecz ujrzawszy Izraelitów przygotowanych do odparcia uderzenia, stanęli w pewnej odległości i sypnęli tylko wyzwiskami oraz obelgami:

— Mikraimska zaraza!

— Trędowaci!

— Czyciele nie istniejącego Boga!

— Rabusie! Wszechwładny melek Aradu przyszedł was ukarać...

Bojownicy izraelscy nie byli dłużni napastnikom, toteż poprzez małą równinę rozpoczął się zawzięty pojedynek na słowa. Tymczasem nadszedł wieczór i zapadł zmierzch. Jozue, który sam towarzyszył straży tylnej, rozejrzawszy się w położeniu kazał gońcom sprowadzić do siebie przywódców wojowników trzech plemion — Efraima, Manassesa i Beniamina — tworzących degel. Za chwilę pod skałę, która była jakby bramą rozpoczynającego się w tym miejscu długiego wąwozu, przybyli wezwani.

Jozue usiadł na głazie i zażądał, by mu powiedzieli, co myślą o sytuacji. Pierwszy zaczął porywczo mówić Refna:

— Pytasz się, co należy robić? Nie ma się nad czym zastanawiać: trzeba natychmiast uderzyć na tę bandę.

Michas, wódz Beniaminitów, skinął potakująco głową:

— Refna ma słuszość. To wojsko meleka Aradu wydaje się wprawdzie liczniejsze od nas, ale my stoimy na skraju wąwozu i oni nie wiedzą, ilu jest nas naprawdę. Poza tym — kto uderza, ma zawsze przewagę. Natrzyjmy śmiało, a na pewno zaczną zaraz uciekać. Oni tylko w pyskach silni. Skoro pozwolimy im czekać do rana, nabiorą odwagi. Mogą także nocą wysłać górami ludzi, by nas zasłi od tyłu...

Młody Cis, Efraimczyk, bratanek Jozuego, dorzucił:

— Ja myślę także, stryju, że trzeba uderzyć...

Wszyscy trzej trzasnęli z zapalem po rękojeściach mieczów, jakby wzywając tym uderzeniem Jozuego do wydania rozkazu walki.

Ale Jozue siedział dalej nieruchomo na kamieniu, niewielki wzrostem, prawie kwadratowy, z szerokimi ramionami i wtłoczoną między nie głową. Nie patrzył na wodzów, w zamyśleniu gładził owiniętą miękką kozłową skórą rękojeść brązowego miecza.

— Ja myślę inaczej... — podjął wreszcie. — Nieprzyjaciół jest wielu. Nie wyglądają na takich, którzy się dadzą spłoszyć. Jeżeli uwikłamy się w walkę, a zostaniemy pobici, będziemy musieli cofać się wąwozem i wtedy nie zdołamy uciec od goniących. Dużo ludzi może poginać... Nie wiemy też,

gdzie się zatrzymał lud. Jeżeli niedaleko, Aradczycy goniąc za nami gotowi wpaść do nie przygotowanego i bezbronnego obozu...

— Więc chciałbyś, abyśmy uciekli przed nimi? — zapytał gwałtownie Refna.

Jozue podniósł głowę, obrzucił krótkim spojrzeniem młodego księcia i znowu patrzył gdzieś w bok, między kamienie.

— Pleciesz głupstwa — powiedział. — Nie ma mowy o ucieczce. Chcę tylko, abyśmy skorzystali z nocy i cofnęli się ku obozowi. Ściągnąwszy pozostałe degele będziemy mogli zmierzyć się z Aradczykami.

— Lecz oni — Refna wskazał ręką nieprzyjaciół — będą myśleli, że uciekamy!

— Niech myślą, co im się podoba!

— Nie słyszysz, jak drwią z nas? Tego nie można znieść. A będą jeszcze więcej...

— I na drwiny nie ma co zwracać uwagi, Refna. Śmieje się ten, kto się śmieje po zwycięstwie. Wojna to nie machanie mieczem czy włócznią, ale mądrość i podstęp.

Znowu skierował spojrzenie na młodego księcia. Refna zdawał się być zaskoczony usłyszanymi słowami. Ale trwało to niedługo. Nagle zaczął się wyzywająco śmiać:

— Ty, Jozue; nie opowiadaj, że to podstęp wojenny!

Jozue zmarszczył czoło.

— O co ci chodzi? — zapytał.

— O to, Jozue, że wcale nie myślisz o żadnym podstępie. — Rzucił gwałtownie: Chcesz, abyśmy się cofnęli, byś mógł zapytać Mozisa, czy wolno walczyć!

Po twarzy Jozuego przebiegł nagły błysk. Nie była to twarz starego człowieka, choć wysuwające się spod zawoju włosy przetykała siwizna. Wąskie i zaciśnięte usta, stercząca broda nadawały jej energiczny wyraz. Ale ten błysk zaraz zgasł. Jozue nie uniósł się. Nie odpowiedział gniewem na okrzyk Refny. Twardo i spokojnie rzekł:

— Oczywiście. Nie możemy podejmować walki bez zgody Mozisa.

Refna wybuchnęła znowu urągliwym śmiechem.

— Od razu wiedziałem, że ci o to chodzi! Tylko o to! Tak — szydził — Mozis ma zdecydować, czy będziemy uciekali, czy też wolno nam będzie odeprzeć bandę, która na nas napadła. Wszystko Mozis, ciągle Mozis! — Ze wściekłością zacisnął pięść i uniósł ją w górę. — A on zaraz powie, że to znowu nasi bracia...

— Uspokój się... — powiedział Jozue nie patrząc na miotającego się w gniewie księcia.

Ale Refnę podtrzymał Michas.

— Ja także nie wiem, dlaczego chcesz pytać Mozisa. Sprawa jest jasna: Aradczycy napadli na nas i musimy z nimi walczyć. Dlaczego nie mielibyśmy ich pobić? To zgniłki, które mieszkają za murami w glinianych miastach. Kiedy zwyciężymy — ściągniemy z nich łupy. A jeżeli wciągniemy do walki wszystkie degele, będziemy się musieli z tamtymi dzielić...

— Łupy...? — powtórzył pytająco Jozue, podnosząc głowę. Wydawało się, że nie rozumie, o co Michasowi chodzi.

— Pewno, że łupy! — zawołali obaj. — Cóż ty myślisz? Z łaski Mozisa jesteście teraz jak dziady żebrzące!

Jozue zmarszczył jeszcze mocniej brwi. Powiedział:

— Mozis wyprowadził nas z ziemi Mikraim i Mozis zaprowadzi nas do ziemi obiecanej przez Najwyższego, Co on każe uczynić...

— Och, naturalnie! Tylko Mozis, święty, wielki Mozis... — wybuchnął Refna. Oparł dłoń na biodrze, stanął wyzywająco przed Jozuem. — Lecz ten twój Mozis, Jozue, poszedł w góry z Aaronem i Eleazarem i nie ma ich od trzech dni. Co tam robi — tego nikt nie wie. Może znowu rozmawia z Jahwe, jak podobno rozmawiał wtedy, na górze Horeb? Słyszeliśmy, że odszedł wówczas na tak długo, iż wszyscy, nawet Aaron, zwątpili w jego powrót. Myśleli, że zginął, zabłąkał się wśród skał lub wrócił do swoich... Powinieneś o tym pamiętać...

Jozue powoli skinął głową. Wydawał się zamyślony. Słowa Refny, zamiast go rozgniewać, zdawały się w nim budzić jakieś myśli czy wspomnienia. Milcząc siedział na głazie, położywszy miecz na rozsuniętych kolanach. Zmarszczka wciąż przecinała mu czoło aż po brzeg zawoju.

Wreszcie wstrząsnął głową, jakby chciał się oderwać od tych wspomnień. Sucho zapytał:

— Więc czego chcecie?

— Chcemy się bić! — wykrzyknęli obaj jednocześnie.

— Bić się... — powtórzył spoglądając na nich spod nasuniętych brwi. Zaciął wargę, przesunął wierzchem dłoni po swej czarnej krótkiej brodzie. Twarz mu ściągnął nagły skurcz. Porywczo chwycił obu dłońmi za koniec miecza i uderzył nim płasko w kolana. Obaj młodzi wodzowie odruchowo cofnęli się o krok: wydało im się, że ten gest oznacza wybuch gniewu — tego gniewu, którego Jozue nigdy nie okazywał. Ale wódz nie powiedział nic. Bez słowa zdawał się zmagać sam. ze sobą. Jego dłonie z siłą przyciskały miecz do kolan.

Przestrzeń nasycona była mrokiem. Od kamienistej równiny, na której oba wojska stały naprzeciwko siebie, dochodziły ciągle wymysły, jakimi wojownicy obrzucali siebie wzajemnie. Wreszcie jedni i drudzy, porzuciwszy próżną utarczkę na języki, cofnęli się w miejsce zasłonięte, by tu rozniecić ogniska. Gorący blask pełgał między kamieniami i rzucał wyolbrzymione cienie na ścianę wąwozu. Żołnierze kręcili się między ogniskami, coś zawieszali nad ogniem.

Płaty blasku i cienie cętkowały twarz Jozuego nadając jej wyraz dziwnie groźny. Michas i Refna patrzyli z niechęcią na wodza. Czuli do niego złość. To był jeden z tych zaślepionych ludzi, dzięki którym Mozis mógł despotycznie rządzić ludem. Oni mieli już dość tych rządów. Przez nie utracili na pustyni Faran cały dobytek: trzody padły, pozbawieni sił rzucili bogactwa. Ci zaś, którzy potem wrócili na szlak po rzucone rzeczy, nic nie odnaleźli, bo inni, zręczniejsi, ich uprzedzili. Ci, co mieli — nic nie mają. A gdyby poszli przez ziemię Edomitów, dobraliby się na pewno do niejednego z tych otoczonych murem miast, zamieszkałych przez tchórzliwych bogaczy, i nie musieliby kupować teraz od pasterzy madianickich każdej garści daktyłów i każdej kozy czy owcy.

To patrzyli na niego, to spoglądali na siebie, porozumiewając się znacząco oczami. Gniew i niechęć podszeptowały im: Jozue boi się... Tchórz. Chce szukać pomocy w Mozisie...

Lecz Jozue zmagał się z całkiem innymi uczuciami. Bać się? O, nie. Nie lękał się tej bandy, która wyrwawszy się poza bramy Aradu — widać znęcona wieścią o posiadanych przez Izraelitów bogactwach — szła za nimi niby hiena za trzodą, a teraz, usiłowała uderzyć od tyłu. Nie przestraszył się jej bardziej niż oglądanych przed laty ludów Kanaan. Lęk nie leżał w naturze Jozuego. Miał usposobienie żołnierskie, tęskniące do walki.

A przecież tak bardzo wbrew tej naturze ułożyło się jego życie. Gdy wyruszał z ziemi Mikraim — młody mężczyzna w tłumie współbraci — wydawało mu się, że idzie na wielką wyprawę wojenną. To było ziszczenie marzeń. Jako chłopiec, z palcem wetkniętym z podziwu w usta, Jozue pożerał wzrokiem formujące się i uderzające na siebie w ćwiczebnym boju szeregi oszczepników nubijskich i łuczników libijskich. Chciał być wojownikiem. Ale rówieśnicy mikraimscy odpędzali go kamieniami: „Precz, niewolniku! — krzyczeli. — Idź lepić cegły.” Te krzyki, zamiast zniechęcić, umacniały go jeszcze bardziej w pragnieniu: śnił o bitwach, o zdobywanych twierdzeniach, o podstępach wojennych. Lud poszedł za Mozisem, ponieważ był on nabim i wielkim cudotwórcą. Jozue poszedł za nim, ponieważ był wielkim wodzem...

Jakże żałował, że wtedy, nad brzegiem Czerwonego Morza, nie uderzyli na wozy bojowe faraona! Jozue chciał wówczas walczyć. Nawoływał, by uderzyli. Lecz czy mógł, będąc jeszcze prawie chłopcem, porwać do walki drżących przed bojowym czynem niewolników? Coś przecież z tych pragnień musiało się malować na jego twarzy, skoro Mozis obchodząc szeregi po przejściu morza zwrócił na niego uwagę, przywołał go do siebie i zatrzymał już na zawsze. Potem, kiedy pod Rafidim napadli na nich Amalekici, jemu kazał stanąć na czele wojowników izraelskich. Młody Jozue uformował szyk według tego, co niegdyś widział, i ruszył na wroga. Z nadmierną gorączkowością odpierał uderzenia; sam rzucał się zajadle w największy wir walki. Dopiero w tym starciu pojął, że nie jest żadnym wodzem. Przeciwnicy górowali nad nimi. Mimo to zwyciężył — zwyciężył, ponieważ za nim na wzgórzu stał Mozis z rozpostartymi szeroko rękami, a z tych rąk zdawała się spływać na pole bitwy niewidzialna siła i to ona zdecydowała o zwycięstwie...

Od tamtego dnia życie Jozuego weszło w nowy krąg. Od spraw walki został odwołany do spraw innych. Mozis miał go stale przy sobie. Wyręczał się nim w kierowaniu ludem. Potem zabrał ze sobą na górę Horeb. Gdy nabi przeszedłszy grań zniknął w pokrywającym szczyt góry obłoku i przez wiele dni i wiele nocy nie wychodził z niego, Jozue siedział na skale, czekając na powrót swego nauczyciela. Myślał wtedy wiele... Przychodziło mu do głowy, że skoro Mozis, przez którego usta mówi Wszchemogący, wziął go na swego następcę, jego, który nie był kapłanem, ani lewitą, ani prorokiem, a jedynie wojownikiem, to widocznie ludowi zwycięski wódz potrzebny jest bardziej niż prorok i kapłan. Po czasie wędrówki nadejdą niewątpliwie

czasy wojny. Przedwieczny przestanie prowadzić ich za rękę, jak to czynił dotychczas, ale po prostu da im siłę, z którą zwyciężą swoich nieprzyjaciół... Zwyczajnie, jak lud zwykł zwyciężać swoich przeciwników.

Czyż nie tego samego chcieli w tej chwili ci dwaj? Gdy oni patrzyli na Jozuego ze złością i pogardą, on myślał o nich ze zrozumieniem. Nie był człowiekiem jak Mozis, który się dobija o uczucia drugih. Nie potrzebował ich. Wystarczało mu dowodzenie. Czuł zresztą, że niechęć, jaką tamci do niego żywią, zniknęłaby natychmiast, gdyby ich tylko poprowadził do walki.

Lecz czy nadszedł już czas, na który wciąż czekał? Na równi z wolą walki tkwiła w Jozuem nieustępliwa potrzeba posłuchu. Choć w głębi serca wołał zwycięstwa miecza od zwycięstw cudu, musiał być wierny temu, który go wodzem nie wojującego wojska zrobił.

Stanowczym ruchem podniósł głowę. Powiedział głosem, który choć dźwięczał metalicznie, nie zapowiadał walki:

— Słuchajcie: Mozis jest zwierzchnikiem ludu i tylko on może powiedzieć, czy mamy walczyć. Dlatego rozkazuję wam, abyście — gdy tylko zapadnie noc — cicho, bez jednego krzyku czy dźwięku wyprowadzili swoich ludzi. Aby się wróg nie spostrzegł, iż odchodzimy, niech dwie dziesiątki ludzi Michasa zostaną przy ogniskach i podtrzymują na nich ogień aż do trzeciej straży. Mają do nas dołączyć, zanim nadejdzie świt...

Spostrzegł, jak Michas i Refna spojrzeli szybko na siebie. Ale zaraz zwrócili się ku niemu i schylili posłusznie głowy. Pomyślał: „Nienawidzić mnie będą... Ja ich rozumiem...”

Pierwszy brzask, bezbarwny, poprzedzający pomarańczową plamę słońca na szczycie skalnej ściany, spłynął w wąwóz, którym ciągnęło wojsko Efraimczyków, kiedy Jozue posłyszał nagle daleko za sobą, tumult rozpoczynającej się bitwy. Natychmiast kazał Cisowi zatrzymać ludzi. Szybko przebiegł wzrokiem ich kolumnę. Za nimi kosmaty od cieni wąwóz był pusty, napełniony tylko echemi toczącej się daleko walki. Pojął, że stało się coś, czego się w duchu obawiał, ale czego nie oczekiwał: Michas i Refna nie dołączyli do niego w nocy. Wbrew poleceniu pozostali na miejscu. I teraz rozpoczęli walkę z Aradczykami.

Przez chwilę stał z palcami wczepionymi w brodę, zastanawiając się, co ma uczynić. Ale namysł wodza trwał krótko. Dał Cisowi rozkaz zawrócenia oddziału Efraimczyków. Choć dotyczyło go nieposłuszeństwo Michasa i Refny, czuł, że i teraz pojmuje ich postępek...

Wojownicy efraimscy wykonali rozkaz chętnie. Pomrukiwali z zadowolenia. Oni także chcieli się bić. Każdy z nich szybko sięgnął do siatki, w której zwisała mu z tyłu niewielka tarcza. Wsunął ją sobie na lewe ramię. Prawe dłonie sprężyście ujęły oszczepy. Kolumna zawróciła, uformowała się w bojowy szyk przez całą szerokość wąwozu. Ludzie szli szybko i sprawnie, gotowi w każdej chwili skoczyć na nieprzyjaciela. Krzyki i szczęk broni były teraz przed nimi. Jozue także wziął z rąk swego pacholka tarczę, a głowę nakrył hełmem ze skóry. Idąc na skraju szeregu poczuł, że jest radośnie podniecony. Za późno już było na rozważanie czy słusznie, czy niesłusznie postępują. Walka wciągała ich, wchłaniała. Wydawała się rozwiązaniem najprostszym, najwłaściwszym...

Zbliżyli się już do miejsca, gdzie wąwóz załamywał się, by za tym zakrętem rozszerzyć się i wyprowadzić na równinę, na której toczyła się bitwa. Krok idących stał się jeszcze bardziej czujny, dłonie mocniej zacisnęły się na drzewcach oszczepów. Już prawie dochodzili do zakrętu, gdy nagle spoza skał wyskoczyło kilku ludzi i poczęło biec ile sił w nogach w ich stronę. Biegący byli Izraelitami. Nie mieli tarcz, nie mieli broni. Jednemu krew płynęła strugami przez twarz, drugi dłonią podtrzymywał ramię, w którym tkwiła ułamana włócznia. Pędzili ślepo jak nieprzytomni. Prawie wpadli na ostrza oszczepów nadchodzącej kolumny. Teraz dopiero spostrzegli Efraimczyków. Uskoczyli w bok, usiłovali przebiec między oddziałem a ścianą wąwozu. Wymachiwali rękami, mieli twarze wykrzywione strachem.

— Gdzie biegniecie? — krzyknięto z szeregów efraimskich.

— Gonia! — odwrzasnęli.

— Stójcie! — zawołał rozkazująco Jozue.

Ale oni nie zatrzymali się. Już byli za szeregami efraimskimi, już gnali na łeb na szyję przez zasłany głazami wąwóz. Równocześnie spoza zakrętu wyskoczyła nowa gromada uciekających. Ci także byli bezbronni, pokrwawieni, zadyszani, ogarnięci przerażeniem. Na ich czele biegł człowiek wyjąć; wymachiwał krwawym kikutem odrąbanej ręki. Za nim pędził inny z oczami zaszłymi mgłą, zrobił kilka susów, a potem padł twarzą na ziemię — z jego pleców sterczał opierzony koniec bełtu. Uciekający skakali między kamie-

niami dziko niby stado małąp wystraszonych ogniem. Widząc zagradzających im drogę ludzi wrzeszczeli:

— Uciekajcie!

— Gonia!

— Zabijają!

— Uciekajcie! Uciekajcie!

Niektórzy wbili się między szeregi efraimskie. Ich strach począł udzielać się wojsku Jozuego. Szeregi zatrzymały się niepewnie. W ich środku niby w sieci miotali się przedzierający się do tyłu uciekinierzy. Poza skałami tuż blisko buchnął triumfalny wrzask. Zza zakrętu wywalila się cała masa uciekających. W ślepej panice runęli na szyk efraimski i rozdarli go na strzępy. Efraimczycy zaczęli także uciekać. Przy Jozuem została zaledwie gromadka wojowników. Ale ci byli odepchnięci pod skałę, nieomal tratowani przez tłum uciekających. Wąwóz napełnił się gnającą w panicznej ucieczce ciżbą. W tłumie wykrzywionych strachem twarzy Jozue zobaczył nagle Refnę. Młody wódz nie uciekał, nie utracił także swej broni; usiłował zatrzymać ogarniętych paniką, ale fala uciekających niosła go wbrew jego woli do tyłu. Na umazanej krwią twarzy malowała się wściekłość. Rozpaczliwym gestem uczeplił się skały tuż obok Jozuego.

— Przekleństwo...! — zawołał. — Nie przemożemy ich!

— Jak to się stało? — Jozue przytrzymał go za ramię i pytał, krzycząc prosto w ucho. — Dlaczego twoi uciekają?

— Nie wiem... — Refna skarżył się żałośnie jak mały, zbity chłopak. — Nie wiem... Tamci uderzyli i złamali nasze szeregi... Zabili Michasa... Potem wszyscy zaczęli uciekać... Nie chcieli się zatrzymać... Przekleństwo...!

Wrzask Aradczyków zabrzmiał przy zakręcie wąwozu. Ponad głowami uciekających Jozue zobaczył ich dwurożne hełmy. Nikt nie stawiał oporu natarciu, wszystko uciekało. Zwężająca się gardziel wąwozu była zatłoczona; ludzie cisnęli się, gnetli, tratowali. Na ten widok Jozue podniósł miecz w górę. Koło siebie miał Refnę, Cisa i gromadkę swoich. Była ona mała, lecz nie tknięta paniką. Nakazał im zbic się w zwarty szereg. I ten szereg wsunął się między uciekającą masę a następujących za nimi, upojonych zwycięstwem wrogów.

Gdy Mozis wbiegł do obozu, walka toczyła się między namiotami. Większość z nich płonęła. Gęsty, gryzący dym spowijał wszystko. W jego kłębach ludzie przemykali jak cienie. Jedni uciekali, drudzy gonili. Ciała pozabijanych wały się w kałużach krwi. Spotykało się także trupy dzieci i kobiet. Z ogarniętego pożarem obozu dochodził nieustanny krzyk walczących, szcęk broni, spazmatyczne zawodzenie kobiet, płacz dzieci, jęki i chrapanie umierających. Dym chwilami zagęszczał się, tworząc prawdziwą noc; potem wiatr go rozwiewał i szarpał. Czasami spośród czarnych kłębow buchały snopy iskiei.

Nie zważając na niebezpieczeństwo Mozis i Eleazar przedzierali się przez ogarnięty ogniem i walką obóz ku jego środkowi, tam, gdzie stał Przybytek. Gdzie powinien był stać... Nie wiedzieli, czy stoi jeszcze. „Ratować Arkę!” — to była pierwsza myśl Mozisa. Ktoś cisnął w nich oszczepem i ciężki drąg zakończony kamiennym grotem przeleciał furcząc nad ich głowami. Mozis nawet nie spojrział w stronę, z której pocisk rzucono. Biegł dalej: biegł tak szybko, że zostawił za sobą Eleazara. Ani się spostrzegł, kiedy znalazł się sam w tumanach dymu, wśród trzasku ognia. Mijał jakichś ludzi biegnących lub walczących ze sobą. Ktoś go chwycił za ramię. Targnął się, zostawił napastnikowi w rękę płaszcz, pobiegł dalej. Prawie wpadł na gromadę szarpiących się ludzi. Usiłował ją wyminąć. Przejmujący krzyk kobiecy zwrócił przeciw jego uwagę. Ogromny, okrwawiony wojownik kananejski trzymał za włosy dziewczynę i włókł ją za sobą. Próżno usiłowała mu się wydrzeć. Nie zastanawiając się nad tym, co czyni, Mozis zwrócił się przeciwko niemu. Nie pamiętał, że jest starcem — był znowu tym samym człowiekiem, który zabił niegdyś strażnika egipskiego. Nie miał broni. Uniósł nad głowę rękę; w jednej z nich trzymał laskę. Kananejczyk zamachnął się i ogromną pięścią uderzył Mozisa w pierś. Potężny cios zdławił oddech. Nabi potoczył się jak ciśnięty ze schodów kociak. Nie stracił przytomności. Padając widział, jak dziewczyna korzystając z chwili nieuwagi wyrwała się z rąk napastnika i rzuciła się w chmurę dymu. Olbrzym na chwilę zawahał się, co ma robić: dobijać leżącego czy biec za swoją ofiarą; potem zniknął w pogoni za dziewczyną. Mozis stanął na nogach. Nie mógł złapać oddechu; wzrok mu zachodził ciemnymi płatami. Teraz już nie biegł, ledwie szedł wsparty na kij. Przedzierał się z wysiłkiem przez dym wgrzających się w oczy.

Aż wreszcie znalazł się obok ogrodzenia Przybytku. Płot z tkaniny rozwieszony na słupach był poszarpany i częściowo obalony. Na jego ruinie walczone ze sobą z dziką zawziętością. Lewicy, widać zaskoczeni przez na-

pastników podczas pełnienia służby w świątyni, bronili się nożami, toporkami i widłami ofiarniczymi. Wokół wciąż dymiącego ołtarza zwarło się ze sobą kilkunastu ludzi; wpili sobie palce w gardła, wczepili paznokcie w oczy, usiłowali się wzajemnie gryźć. Okrwawieni tarzali się w kałużach krwi wylanej ze zwierząt ofiarnych i w ich nieczystościach.

Mozis przemknął się między nimi. Dopadł zasłony. Wisiała na swoim miejscu jakby nie tknięta świętokradczą ręką. Uniósł ją, zajrzał do wnętrza. Nie zobaczył w nim nikogo, tylko dym pożaru, który się wdarł do namiotu, wisiał w mroku błękitną mgiełką. Świecznik, ołtarz kadzenia, stół chlebów pokładnych — stały niewzruszone na swoich miejscach. Mozis uspokojony cofnął się. Stał przed progiem namiotu. Szeroko rozłożył ręce. Teraz — myślał — nikt tu nie wejdzie; chyba po jego trupie. Jedno było w nim — troska o Arkę spoczywającą w głębi świętego namiotu. „Jak to się stało — przelatywało mu przez głowę — że Najwyższy pozwolił, aby jej zagroziło niebezpieczeństwo? I to jedno po drugim? O mało nie padli ludzie, którzy ją nieśli przez pustynię. A teraz giną ci, którzy jej strzegą... Dlaczego tak jest?”

Walka nie ustawała, nie traciła nic ze swej gwałtowności i zawziętości. Parzący dym to przewalał się dołem, to spowijał wszystko przed oczami Mozisa, to znowu ukazywał mu fragmenty ogarniętego bojem obozu. Nieprzerwanie słychać było zgiełk, szczęk, jęki bólu, zawodzenia kobiece. Mozis poczuł, że mu ciało omdlewa. Wyczerpująca wyprawa w górę wraz z umierającym Aaronem, kilkudniowy post, męczący bieg, bolesne uderzenie — wszystko to przemagało podniecenie i łamało siły nabiego. Kolana drżały pod nim. Ale tym mocniej rozpostarł ręce. Nie było ich komu podtrzymywać jak wtedy, w dniu walki z Amalekitami. „Dlaczego ta walka? — kołatała w jego wyczerpanym umyśle. — Dlaczego ta nowa klęska...?”

Bojowy okrzyk rozległ się tuż obok niego. Szerzej otworzył oczy. Zobaczył gromadę wojowników izraelskich, którzy biegli na pomoc walczącym lewitom. Wśród nich rozpoznał znaną sobie barczystą sylwetkę.

— Jozue! — zawołał zamierającym głosem.

Syn Nuna przypadł do niego. Miał twarz szerniałą, pokrytą potem i oblepioną kurzem. Jego tarcza była porąbana, krótki miecz spływał krwią. Na skrzywionych ustach wodza malowała się zawziętość.

— To ty, Mozisie? Wróciłeś? Żyjesz?

Poczuł na ramionach ucisk jego dłoni mocnych i gorących.

— Czy nic ci się nie stało? — pytał dalej Jozue. — To napadł na nas melek Aradu. Jego żołnierze pobili ludzi Manassesa, Beniamina i Efraima... Zginął Michas i Cis... Teraz palą nasz obóz, zabijają nasze dzieci, porywają nasze dziewczęta. Lecz, na Imię Wszechmocnego — wódz porywczó podniósł obie ręce w górę — pomścimy się...

— Jozue... — powiedział, ale głos Mozisa był tak słaby, że utonął w krzyku i zamęcie.

— Pomścimy! — powtórzył Jozue. — Oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę! I więcej: życie za oko! To są obcy, wrogowie! Nie darujemy z nich nikomu: ani mężczyźnie, ani kobiecie, ani dziecku!

— Jozue... — Jeszcze raz próbował mu przerwać. W słowach ukochanego ucznia zabrzmiało coś niepojęcie obcego. Wydało mu się, że Jozue woła w jakimś niezrozumiałym języku. Ale głos znowu zgasł bez dźwięku. Tylko Jozue, uderzając się pięściami w piersi, krzyczał:

— Przekłęci mieszkańcy miast! Kłątwa na ich głowy! Kłątwa i pomsta! Kłątwa i pomsta!

I z tym okrzykiem runął do walki. Aradczycy byli już wyparci poza obręb dziedzińca. Szala walki przechyliła się na stronę izraelską. Ponad jęki i wrzaski kobiece wznosiły się coraz wyraźniej okrzyki bojowe: Sabaoth! Adonaj! Jahwe! „Biją się w Jego imię... — przebiegło Mozisowi przez myśl. — Gdy wzywam ich, aby Go czcili, napotykam niedbałość. Ale walka uczyniła ich od razu głosicielami Przedwiecznego...”

Był ogromnie wyczerpany. Pojął, że padnie, jeśli natychmiast nie siądzie. Świadomość, że niebezpieczeństwo już nie grozi Przybytkowi, spadła na niego słabością.

Odgarnął zasłonę i wsunął się do wnętrza namiotu. Chwiejnym krokiem przeszedł przez Hechal. W półmroku przed nim zamigotała bisiorowa zasłona. Wtedy upadł na kolana, a potem wyciągnął się całym ciałem na ziemi. O nic nie prosił, za nic nie dziękował. Leżał po prostu jak ktoś śmiertelnie rażony. Była w nim jakaś gorycz niby pamięć rzeczy, o której się zapomniało, lecz która zrodziła uczucie nie dające się zapomnieć. Na nowo powróciła do niego myśl, że jest sam, zupełnie sam. Sam ze swoją pamięcią czy też może ze zrozumieniem spraw, których inni nie pojmowali, a i on sam ich w pełni nie rozumiał. „Samotny — przyszło mu do głowy — jak ktoś, kto wyszedł z życia, a potem znów do niego wrócił. Może tak samotny — stanęło

nagle przed nim — był Abraham, gdy wrócił ze swej wyprawy na szczyt Moriah...?”

Nie wiedział, jak długo tak leży. Myśli przetaczały się przez niego niby woda przez zwalony do rzeki pień. Przez długi czas jego słuch był jak martwy. Mozis nie słyszał ucichającego gwaru bitwy. Lecz potem odżył — i Mozis uświadomił sobie, że słyszy blisko siebie, we wnętrzu namiotu, oddech ludzki.

Podniósł się szybko. Zapytał:

— Kto tu jest?

Nikt mu nie odpowiedział. Ale nie miał wątpliwości, że człowiek znajduje się tuż obok. Zaniepokojony zwrócił się w kierunku, w którym posłyszał oddech. Wysunięta ręka natrafiła na głowę człowieka, który siedział przycupnięty pod ścianą namiotu. Na chwałę Najwyższego — to była kobieta! Kobieta w Przybytku Pańskim.

Ogarnęło go przerażenie, gdyż pojął, że kobieta musi zginąć. Natychmiast! Zbrodnia wydała mu się przerażająca. Jak się to stało, że Najwyższy sam nie zabił jej swoim gromem? Jak się to mogło stać, że Jahwe zezwolił na taką rzecz...?

— Kto ty jesteś? — zapytał głosem stłumionym, pełnym przerażenia. — Jak śmiałaś? Jak odważyłaś się tu wejść? Czy nie wiesz, że poza kapłanami nikt tu wejść nie może?

Długi czas czekał na odpowiedź. Dziewczyna, którą ledwo widział w mroku, musiała być śmiertelnie wystraszona. Słyszał tylko jej szybki oddech, urywający się w szlochu. Klęczała z twarzą zasłoniętą rękami, ze skudloną chyłą włosów opadających jej na twarz. Dotknięcie tych włosów przypominało mu coś. Wydało mu się, że widzi wielką dłoń wczepioną w czarne włosy i wlokącą za nie dziewczynę. Powrócił do niego żalorny krzyk, który go zatrzymał, zmusił do rzucenia się na wielokrotnie silniejszego napastnika.

— Kto ty jesteś? — zapytał powtórnie, lecz inaczej niż poprzednio. W jego oczach zabrakło uczucia oburzenia. — Dlaczego tu weszłaś?

Posłyszał wypowiedziane szeptem słowa:

— U kogo... miałam szukać... ratunku...?

Zabrakło mu słów, by odpowiedzieć. „To prawda — pomyślał — u kogo miała się skryć?” Lecz... Zacisnął palce na kiju, pełen obudzonych nagle wątpliwości.

— Człowiek winien się lękać Najwyższego... — powiedział cicho, prawie łagodnie.

— Boję się Go... — doleciało z ziemi. — Boję się... I ufam Mu...

Wydało mu się, jakby zaczerpnął wody w dzbanek, ale ta woda zaczęła kipieć, rosnać, przelewać się za brzeg naczynia, zatapiać wszystko.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— Noa... — odpowiedziała.

— Czy może jesteś wnuczką Tamar? — przypomniał sobie. — Tamar z plemienia Judy?

— Tak...

Stał pochylony nad nią, zamyślony boleśnie nad tym, co będzie musiał uczynić, a czego uczynić nie był w stanie.

— Czy wiesz — zapytał — że kto tu wszedł, musi umrzeć? Tak mówi prawo...

— Wiem...

— I nie żal ci życia?

— Lepiej umrzeć z Jego rozkazu — powiedziała — anizeli...

Prawie z rozpaczą zawołał:

— Czy ty nie wiesz, że kazałem zabić Nadaba, Abihu, Korego, Datana, Abirona?

— Wiem... — szepnęła cicho. — Teraz każ zabić mnie... Każdy musi być posłuszny...

— Coś ty powiedziała? — zapytał, pochylając się nad nią nisko.

— Każdy musi być Mu posłuszny, Mozie... —

— Więc to On kazał ci się tu ukryć?

— Nie... Lecz On ocalił...

Milczał długo, bardzo długo. Za namiotem Przybytku zgiekł walki przycichł — Aradczycy zostali widać odparci. W namiotach panowała głęboka cisza. Choć dzieliła ich od życia tylko zasłona, stali oboje niby na dnie niezgłębionej studni, sięgającej samego serca ziemi. Obok nich była także druga zasłona — a za nią jeszcze bardziej przepaścista głębia. Głowa Mozisa chyliła się coraz niżej i niżej. Wyciągnął rękę. Jego dłoń dotknęła miękko

głowy dziewczyny. Innym zupełnie głosem — głosem, który nie był już ani groźny, ani bolesny, ani strwożony, ale stał się dziwnie pogodny — rzekł:

— Wracaj do swego namiotu... Ale nie trzeba, aby widziano, że tu się ukrywałaś... Są prawa, które winny być strzeżone. I lewici muszą ich strzec. Tak kazałem. Ale — zawahał się — skoro On ukazał się tobie taki, jaki jest, nie mogę Mu być przeciwny... Bo ja Go także takim widziałem...

Nad brzegiem zatoki w Asjongaber lud lizał rany otrzymane w drodze przez pustynię i w walce z Aradczykami. Siedząc przed swym namiotem w ciepłych promieniach słońca Mozis patrzył na rozciągający się przed nim obóz. Tak niewiele czasu upłynęło od opuszczenia Kadeszu, a tyle dokonało się zmian. Wielkie, młode, zahartowane w wieloletniej wędrówce plemię, bogate w trzody, nagle stopniało w nędzną i ubogą gromadę. Nad namiotami unosił się smutek. Nie było rodziny, w której by kogoś nie zabrakło: mężczyzny zabitego w boju, dziecka, które zdławił skwar, dziewczyny porwanej przez Aradczyków.

Patrząc na obóz Mozis czuł, jak w nim wzbierają troska i smutek. Cierpiał wszystkimi cierpieniami tego ludu, którego szczęścia tak bardzo pragnął. A tymczasem wciąż nowe niepokoje pojawiały się na horyzoncie...

Kiedy tu przyszedli, okazało się, że lud nie ma co jeść. Wprawdzie w pobliżu znajdował się obóz pasterzy madianickich i ci gotowi byli sprzedać Izraelczykom żywność oraz trzody na rozplód, ale tylko nieliczni mieli czym Madianitom zapłacić. Tłum płaczących kobiet otoczył namiot Mozisa. Gdy wyszedł do nich, wybuchnęły szlochaniem i jękiem. Podnosiły w górę swe również płaczące wychudzone dzieci i pokazywały je nabiemu. Mozisa ogarnął taki smutek, że sam zapłakał. Potem — na czele idącego za nim korowodu kobiet — udał się do Przybytku. Wszedł do środka, padł na ziemię przed zasłoną skrywającą Debir i długo, długo się modlił. Skończywszy wstał, wziął kilka złotych naczyń świątynnych, które znalazł pod ręką, wyniósł je do czekających cierpliwie na jego powrót kobiet. Powiedział: „Niech wam to mężowie stopią. Będziecie miały czym zapłacić Madianitom za żywność...”

W pełen przygnębienia obóz wróciła radość. Mozis słyszał krzyki, wesołe śpiewy, klaskanie. Potem buchnęły w górę dymy ognisk, a beczenie owczych stad zabrzmiało niby hymn odradzającego się życia. Ale zaraz w namiocie Mozisa zjawił się Eleazar. Miał na sobie wszystkie insygnia swej arcyka-

pląskiej władzy. Szedł poważnie, wspierając się na ramionach dwóch lewitów. Zasiadłszy w namiocie naprzeciwko Mozisa jał w słowach okrągłych i pełnych szacunku przeciwstawiać się dokonaniem postępkowi. Wszyscy lewici — mówił — są nim dotknięci. Im, opiekunom świętego Przybytku, trudno się zgodzić na to, aby złoto z naczyń ofiarnych szło między ludzi. To prawda: lud jest głodny i cierpi. Lecz nie może być rzeczą słuszną wspomaganie go tym, co zostało ofiarowane Jahwe. Wielkość Najwyższego domaga się, by wszystko, co jest z Nim związane, posiadało należytą wspaniałość. Bez złotych naczyń i sprzętów namiot Przybytku stanie się podobny do byle namiotu. Arka musi mieć należycie godne otoczenie. Czyż sam Mozis nie mówił o tym, gdy niegdyś kazał na miejsce dawnego skromnego namiotu modlitw zbudować wspaniały namiot Przybytku? I czy sam Mozis nie otoczył służby Przybytku surowymi prawami, które winny były strzec niezależności kapłańskiej? Złamanie tych praw spowodowało śmierć samego księcia domu lewitów, Korego... Za służbę świętą, za Przybytek, jest odpowiedzialny on, arcykapłan. Toteż prosi Mozisa — prosi — aby zechciał pozostawić sprawy świątyni jego wyłącznej opiece. A ponieważ czyn, którego dokonał Mozis, mógłby się powtórzyć, Eleazar prosi, by wielki, święty nabi zechciał ustalić na przyszłość, iż nikt z ludu, ani żaden z książąt czy tysięcy, ani sam wódz — którym, jak mówią między sobą ludzie, ma zostać Efraimczyk Jozue, choć przecież i w rodzie lewiego są ludzie pełni wojennego ducha, jak nie szukając daleko Finees... — nie miał prawa wtrącać się do rzeczy poddanych władzy arcykapłana.

Mozis milcząc słuchał wywodów Eleazara i nic na to nie odpowiedział. Dla niego samego było niespodzianką to, co się stało: On, twórca praw, złamał je... Gdyby Eleazar wiedział jeszcze o tej dziewczynie, która skryła się w Przybytku, a której on pozwolił odejść z życiem! A jednak i teraz czuł, że nie mógł wówczas postąpić inaczej. Dokonała się w nim jakby jakaś zmiana. Nie poznawał siebie. Gdzież się podział gniewny sędzia, który cisnąwszy o ziemię kamienne tablice nakazał zabijać winnych bałwochwalstwa? Gdzież podział się wódz, który chciał uderzyć na wojska faraona? „Co się ze mną stało?” — rozmyślał teraz, patrząc na obóz. Nie zapomniał, że był przed laty wodzem mikraimskich wojsk i prowadził je na zwycięskie wyprawy. Potem gdy zdarzało się, że na obóz teścia napadła jakaś banda rabusiów, on stawał na czele plemienia i rozpraszał napastników. „Dziś — odkrył — przestałem być człowiekiem wojny. Dlaczego nie mogę znieść nawet myśli o niej? Co się ze mną stało? Gdy widzę krew swoich czy obcych, po prostu czuję ból...”

Szeroki cień padł przed nim na rozgrzany nadmorski piasek. Powoli oderwał się od swych myśli i podniósł głowę. Zobaczył przed sobą Jozuego.

— O czym tak myślisz, Mozie? — zapytał wódz. Siadł obok nabiego na kamieniu. — Wydałeś mi się jakiś zmartwiony...

Zanim odpowiedział, patrzył czas jakiś na krępa, tryskającą energią postać Jozuego. Znaczenie wodza w obozie wzrosło od czasu, gdy odparłszy napad Aradczyków ruszył w trop za nimi, zdobył jedno z ich miast i wywarł na nim krwawą zemstę. Jeszcze raz pokazał, że potrafi być wodzem. Patrząc na niego Mozie czuł w sercu niby ukłucie zazdrości. W Jozuem nie było niechęci do wojny. Przeciwnie — on wierzył święcie, że zwycięstwo jego miecza jest zwycięstwem Najwyższego. To dlatego Mozie naznaczył go od dawna w duchu na swego następcę... Lecz dziś obudziło się w nim jakby wahanie. „Czy naprawdę tak trzeba myśleć?” — zapytywał siebie. On sam tak myślał — dawniej. Lecz teraz dokonana się w nim ta zmiana. Niezrozumiała zmiana.

— Żał mi ich... — powiedział wskazując ruchem głowy obóz. — Tylu zginęło, tyle się wycierpieli. I tyle ich jeszcze czeka...

— Tak — przyznał Jozue, przesuwając dłonią po swym muskularnym udzie. — Mamy jeszcze przed sobą szmat drogi. Ale nasi wojownicy biją się dobrze — powiedział z dumą. — Gdybyśmy tylko mieli broń... Z bronią jest źle — ciągnął. — Włóczykami z kamiennym grotem można odeprzeć Aradczyków, ale ludy Kanaan są lepiej zbrojne. Broń, broń! — westchnął. — Myśl o broni dla nas, Mozie. Broń — powiedział po chwili namysłu — można by kupić od Madianitów, gdyby znowu dało się uszczknąć trochę złota z Przybytku...

Drgnęło w nim coś — niby niepokój. A jednak, pomyślał, jest nieco prawdy w obawach Eleazara... Kochał Jozuego, kochał go jak syna. Jozue wydawał mu się wcieleniem wszystkich jego uczuć. Dawnych uczuć. Dziś to już nie były jego uczucia... Przestał ufać wojnie. A Jozue ufa jej dalej. On — gdyby trzeba było — użyłby Arki jako taranu... Oni znowu — nie mógł oprzeć się niechęci, jaką obudziły w nim wywody Eleazara — chcieliby się zamknąć w Przybytku, wokół Arki, jakby Arka nie była zesłana w pomoc ludowi... Czyją stroną mam wziąć? — stanęło przed nim pytanie. Komu mam zostawić władzę, którą mi dano??

— Przestań się troskać o broń, Jozue... — powiedział tonem nieco roz-targnionym.

— Jak to nie troskać się? — wódz rozłożył szeroko ręce. — A czym będziemy walczyć? Przecież teraz idziemy już wprost do Ziemi Obietnicy. Trzeba się będzie o nią bić... Nie obejdziemy jej, jak obeszlśmy kołem ziemię Edomitów. A ziemia Kanaan trudna jest do zdobycia. Widziałem ją... Teraz będzie jeszcze trudniej ją zdobyć...

— Dlaczego?

— Pytasz się? Wszak wiesz dobrze, Mozisie, że wprowadzie ludy Kanaan zostały zmiżdżone przez wojska mikraimskie, lecz za to spoczęła na nich ręka faraona. W każdym mieście kananejskim są żołnierze mikraimscy. Nie z Kananejczykami, ale z faraonem przyjdzie nam walczyć.

Znowu poprzez natrętnie pchające się myśli, pokiwał głową nad jego słowami.

— Po co się o to wszystko troszczysz? Może nie będziemy się musieli bić?

Wódz wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Co też ty mówisz? Jahwe wiedział dobrze — rzekł po chwili namysłu — że tamto tchórzliwe pokolenie nie zdobyłoby danej im ziemi. Pozwolił im wymrzeć, a dał dorosnąć temu, które jest silne i odważne. Wprowadzie są nieposłuszni... Ale już ja ich wezmę w garść — pokazał swą dużą, mocną pięść. — Tylko muszę mieć dla nich broń — wrócił do swego. — Myśl o tym, Mozisie.

Cicho westchnął. Ze skłębionej chmury trosk wyłoniło się wspomnienie. Kiedyś, przed laty, gdy żyło jeszcze tamto pokolenie, nadszedł taki ciężki dzień, że lud zaczął pluć na mannę i domagać się mięsa. Ich krzyki brzmiały tak uparcie, że Mozisowi wydało się nagle, iż nie zdoła już dźwignąć ciężaru ich lekkomyślności. „Tego nie uniesie nikt — myślał — żaden człowiek.” Z rozpaczą zaczął się modlić: „Nie utrzymam ich w ręku, Panie. Jeden człowiek nie podźwignie tyłu. Pomóż mi: spraw, niech ktoś przyjdzie mi z pomocą... Zabierz coś z tego, co mnie dałeś, a daj tamtym...” Wróciwszy z modlitwy wezwał lud i ogłosił, że powołuje do swego boku radę starych, doświadczonych mężów. I Najwyższy jakby zatwierdził to postanowienie, obdarzając odtąd natchnieniem czy proroczym snem tego lub tamtego z grona doradców. Mówił teraz nie tylko przez usta Mozisa, aż Jozue poczuł się tym dotknięty: „Każ im, niech milczą — mówił do Mozisa. — Przecież to tylko ty rozmawiałeś z Przedwiecznym, tylko ty wiesz, co należy zrobić...”

Spokojnie potrząsnął głową w odpowiedzi: „Wierz mi, Jozue, że lepiej, gdy jest tak...”

I nagle ze wspomnienia wywinęła się myśl: „Nie mogłem udźwignąć włożonego na mnie trudu, a chciałbym, aby on go udźwignął? Ani ja, ani on, ani oni... Nikt nie jest zdolny... Więc któż zdoła wszystko objąć? Kto potrafi nad wszystkim zapanować? Czy istnieje taki jeden człowiek? Kim by musiał być?”

Długo, boleśnie tarł czoło. Potem rzekł:

— Mówię ci, Jozue, przestań troszczyć się o broń, o to, jak będziesz walczył z Mikraimczykami... Słuchaj: chcę, aby lud tu, nad morzem, dobrze odpoczął. Niech odprawia żałobę po Aaronie i po swoich zabitych. Niech zakupią żywność i porobią zapasy. Stoimy przed nowymi trudnościami. Trzeba nam będzie przejść ten wąwóz. Jest bardzo długi i dziki. Byłem tam kiedyś... W jego głębi są w skałach otwory, z których mieszkańcy miasta Funon wydobywają miedź...

— Miedź?

— Tak. Za Funonem wejdziemy w krainę żyzną, w krainę miast i ziemi uprawnej. Spotkamy potok Zared, który stanowi granicę ziem meleków moabickich...

Przymrużył oczy, starał się wydobyć z pamięci wspomnienie kraju oglądanego przed wielu laty. Widział skalistą ścianę gór, spadającą urwiskiem w morze o powierzchni stężałej niby tafla. W jednym tylko miejscu łańcuch górski przecinała szczyrba obrosła zielenią. Tamtędy przewijał się potok Arnon i sływał ku morzu.

— Jeżeli melekowie zgodzą się na to, pójdziemy wprost na północ, pod nóżem gór... — ciągnął.

Dłoń Jozuego, leżąca na kolanie wodza, zrobiła nagły ruch. Mozis urwał, spojrzawszy na swego następcę. Zobaczył na jego twarzy wyraz niechęci.

— Czy zawsze i każdego — zapytał Jozue — chcesz prosić, Mozisie, by cię chciał przepuścić przez swoją ziemię?

— A jakiz byłby cel — odpowiedział pytaniem — zyskiwać sobie wroga?

— Mieliśmy walczyć — rzekł wódz. — A ty... ty jakbyś chciał unikać walki...

— Chcę — przyznał cicho — unikać walki...

— Lecz bez walki nie zdobędziemy ziemi danej nam przez Jahwe. A najtrudniejsza walka czeka nas na końcu: walka z Mikraimczykami. Musimy być do niej gotowi. Nasi wojownicy muszą poznać, jak się walczy. Musimy mieć broń...

Mozis oparł czoło na dłoni i milczał. Jozue po chwili oczekiwania mówił dalej:

— Powiedziałeś, że koło Funon wydobywają ze skał miedz. Więc na pewno jest w mieście wielu rzemieślników, którzy potrafią kuć miecze i groty do dzid. Słuchaj, Mozisie: a może byś jednak kazał Eleazarowi, by dał kilka złotych naczyń. Kupilibyśmy broni... Wiem, to są naczynia używane do służby w Przybytku Jahwe. Ale i ja chcę Jemu służyć. Pamiętasz: mówiłeś, że ludy zamieszkujące Kanaan są grzeszne, że spadło na nich przekleństwo Najwyższego. Dlatego muszą nam oddać ziemię, a same zginą. My mamy być na nie mieczem Jahwe. Czy nie mówiłeś tak?

Mozis przesunął kłopotliwie dłonią po odłamie skalnym, na którym siedział. Skierował wzrok na obóz powracający wolno do życia i jeszcze pełen smutku.

— Mówiłem... — przyznał. — Mówiłem nieraz... Lecz widzisz, Jozue, ja myślę, że istnieją dwa prawa Najwyższego... Dwa prawa... — powtórzył, jakby się zastanawiał. — Jedno to prawo wielkiej, mądrej sprawiedliwości, odważonej niby na wadze kupieckiej. Mówi ono: „Czego się domagasz od drugiego, tego będą żądali od ciebie; czego nie zapłacisz sam — będzie ci wzięte...” To jest surowe prawo, Jozue...

Urwał i milczał. Jozue zapytał:

— A to drugie prawo, Mozisie?

Nie odwracając ku niemu głowy, zdając się śledzić cienie palm między namiotami, odrzekł:

— To drugie nie wspomina o zapłacie... Mówi: „Daj i niczego nie żądaj...” Ja wiem — wtrącił pośpiesznie — takiego prawa nie spotykamy wśród ludzi. A jednak ono musi być. Kiedy słońce pali i spopiela, choć nie znajdujesz wody, wiesz, że ona jest... Gdzieś jest, Jozue... Może trzeba znowu dotknąć skały, aby wreszcie wytrysła...?

O świcie następnego dnia jakiś człowiek stanął przed namiotem nabiego.

— Mosisie! Mosisie! — wołał. — Wyjdź! Stara Tamar umiera i chce z tobą mówić...

Zerwał się z postania ze skór i podążył poprzez uspiońy, cichy obóz na jego wschodni skraj, gdzie rozstawione były namioty rodu Judy. Gromadka ludzi otaczała szałas. Na jego widok rozsunęli się, robiąc mu przejście. Zbliżył się do namiotu, schylając się wszedł do środka. Wczesny powiew od morza szeleścił gałązkami, z których zrobione były ściany szałas. We wnętrzu na pokrytej derą ziemi leżała umierająca. Trzymała głowę wspartą na kolanach wnuczek, Noi i Uty. Wargi Tamar były szerniałe i spękane, strawiona gorącą skórą zwisała z nich płatami.

Mozis zatrzymał się nad leżącą. Pochylił się, potem przyklęknął. Nie mówił nic. Cóż miał powiedzieć? Nigdy nie wiedział, jakim słowem ma pocieszać tych, którzy odchodzą w tajemniczy mrok. Czekał, aż błądzący wzrok kobiety, odnajdzie go i sama powie, po co go wezwała. Wreszcie tak się stało: głowa Tamar, odrzucona do tyłu, przekolebała się i opadła na pierś; gasnący wzrok spoczął na twarzy Mozisa, początkowo bezwiednie, potem ze wzrastającym zrozumieniem, na kogo patrzy. Lecz umierająca nie mogła już nic powiedzieć. Pierś jej wezbrała kilkakrotnie mocnym oddechem, ciało sprężyło się — usta jednak pozostały zmarłe. Więc tylko podniosła oczy, wskazała nimi wnuczki, a potem przeniosła spojrzenie na Mozisa. On pojął wymowę jej wzroku. Poważnie skinął głową. Rzekł:

— Bbbędę... mmmiał... o nie... sstaranie...

Wtedy na wynędzniałych, pociętych drobnymi zmarszczkami policzkach ukazał się lekki uśmiech. Jej wzrok jeszcze zdawał się o coś prosić. Tym razem nie mógł pojąć, co oznacza to spojrzenie. Schylił się niżej. Poczuł, jak sztywniejące palce kobiety chwytają jego dłoń. Z wysiłkiem przyciągnęła ją do ust. Znowu uśmiechnęła się. Miał ochotę wyszarpnąć jej rękę... Ale nie zrobił tego. Stała przed nim tamta chwila nad brzegiem morza. „Za co ona mi dziękuje? — pomyślał. — To ja powinienem jej podziękować. Gdyby nie ona i nie jej śpiew... A przecież umiera i nie zobaczy Ziemi Obietnicy. I umiera spokojnie...”

Starał się przypomnieć sobie jej życie. Gdy opuszczali ziemię Mikraim, była jedną z tych najędźniejszych, uratowanych od pracy przy glinie. Potem, już w czasie drogi, została żoną syna jednego z potężniejszych rodów. Lecz jej mąż został zabity, kiedy lewici karali tych, którzy w nieobecności Mozisa chcieli objąć władzę nad narodem i wzywali lud do kłaniania się

bogini Hator... „Czy i za to mi ona dziękuje?” — stanęło przed nim. Potem, przypomniał sobie dalej, miała córkę... Wydała ją za męż... Oboje zmarli w czasie krążenia po Kadeszu. Pozostały wnuczki, które wychowały się przy Tamar...

Podniósł wzrok i popatrzył na nie. Nie były do siebie podobne. Czarno-włosą Noę znał dobrze od czasu znalezienia jej w namiocie Przybytku. Uta była młodsza. Miała jaśniejsze włosy i duże, pełne usta. Obie teraz płakały. Ale Noa płakała spokojnie. Zapuchnięta twarz Uty zdawała się wyrażać rozpacz. Uderzyło go, że na tej dziecinniej prawie twarzy widnieje wyraz dziwnie dojrzałego, bo zamkniętego w sobie bólu.

„Takie było jej życie... — powrócił myślą do umierającej. I za co mi ona dziękowała?” — jeszcze raz zapytał sam siebie. To on powinien był jej dziękować. Gdyby nie ona, czy byłby zmusił lud do wejścia między pieniaące się ściany morza? On był bezsilny, Aaron stchórzył... Lecz ona śpiewając poprowadziła ich...

Wciąż o tym myśląc tkwił nieporuszony nad umierającą. Ona zaś gasła cicho i niedostrzegalnie jak ogień, któremu zabrakło paliwa. W pewnej chwili poczuł, że zaciśnięte na jego dłoni palce zeszytywniały i stały się chłodne. Uświadomił sobie: po Miriam, po Aaronie — Tamar... „Żadne z nich nie zobaczy Ziemi Obietnicy — przebiegło mu przez myśl. — A ja miałbym ją zobaczyć?”

Więc czy chcecie, abym was powierzył którejś z rodzin judejskich? Znajdziecie wtedy pomoc i opiekę. Będziecie miały kogoś, kto zatroszczy się o męża dla was...

Przemawiał do dziewczyny wolno i łagodnie, trzymając dłoń na jej głowie. Noa klęczała u jego kolan z pokornie schyloną głową, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Gdy mówił do niej — nie jąkał się, jak nie jąkał się wobec swoich najbliższych.

— Komu chcecie, bym was powierzył? — zapytał powtórnie.

— Pozwól, Mozisie — powiedziała cicho — abyśmy pozostały same w namiocie babki... Nie oddawaj nas nikomu...

— Chcecie być same? — zdziwił się. — Dwie dziewczyny, młode i same?

— Wolimy... — szepnęła.

— Dlaczego?

Czas jakiś zwlekała z odpowiedzią, jakby wahając się, czy ma powiedzieć wszystko. Wreszcie odezwała się:

— Trzeba, aby moja siostra opłakała wszystko...

— Czas żałoby minął — rzekł.

— Czas naszej żałoby po babce minął — przyznała. — Ale żałoba Uty trwa... — Znowu było wahanie w jej głosie. — Ona... ona, Mozie... nie uszła jak ja nietknięta z ręki wrogów...

Ze zrozumieniem skinął głową.

— Lecz tym bardziej trzeba, aby płakała przy jakiejś dojrzałej kobiecie, która stanie się dla niej matką... Dziewczyna dotknięta przemocą skłonna jest do rozpacz. Trzeba nad nią czuwać. A ty, Noo, jesteś młoda, i nie o zmartwieniu siostry, ale o własnej twojej przyszłości trzeba ci myśleć... Nieprawda?

Powiedział to schylając się łagodnie nad klęczącą u swoich kolan dziewczyną. Ona jednak zaprzeczyła.

— Nie, nie, Mozie... Uta jest dziewczyną, która będzie musiała dużo płakać, aż ją w końcu łzy pogodzą z jej słabością... Obcy nie potrafią jej zrozumieć... Ja ją znam. Byliśmy zawsze razem...

Zamyślił się. Nieznacznie spod krzaczastych brwi spoglądał na klęczącą dziewczynę. Była taka młoda — a tyle jakiejś dziwnej rozwagi przesączało się przez jej słowa. Nagle wydało mu się, gdy tak patrzył na nią, że widzi przed sobą Tamar — tamtą wyrosłą w nędzy dziewczynę, która swoim okrzykiem porwała lud. Pomyślał boleśnie: Niezbędnym towarzyszem każdej wielkiej sprawy jest kobieta.

Zapytał:

— Lecz podobno chce się z tobą żenić Salmon?

— Tak mi mówił — powiedziała.

— Kochasz go? — pytał dalej.

— O, tak... — szepnęła. Podniosła na chwilę oczy w górę, a jej wzrok powiedział więcej niż usta.

— Salmon — rzekł — wydaje mi się dzielnym mężczyzną. Jest wprawdzie, jak wszyscy synowie Judy gwałtowny i nieokiełznany... Jesteście rodem twardym...

— Lecz rodowi Judy pobłogosławił Jakub — przerwała mu cicho.

— Wiesz o tym? — zdziwił się. — To dobrze — powiedział. — Nie wszyscy młodzi chcą słuchać o tamtych dawnych dziejach. Uważają je za bajki. A przecież wtedy zaczęło się coś, co trwa... Jakub pobłogosławił Judę. Obiecał mu władzę nad braćmi. A czy wiesz dlaczego? Bo Juda, gdy Józef, jeszcze nie poznany przez braci, zażądał od nich, by mu zostawili Beniamina, ofiarował siebie w zamian za małego synka Rebeki... Żaden inny spośród nich nie odważył się dać życia za życie brata. Jeden Juda. I dlatego...

— I dlatego — powiedziała cicho i prędko, jakby lękała się, że ktoś ją uprzedzi i dokończy za nią tę myśl — dlatego czyn Judy żyje wciąż w jego dzieciach...

Urwała, a on zwrócił na nią jeszcze bardziej baczny niż poprzednio wzrok.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — zapytał. — Kto ci to powiedział?

Noa jeszcze niżej schyliła głowę.

— Nikt... — szepnęła. — Wydało mi się tylko, że... że... — w jej głosie było zaleknienie — że jak Abraham ofiarował Izaaka... tak Juda ofiarował siebie... Ale żadna z tych ofiar nie została przyjęta... To... to może... — Prawie dotknęła czołem ziemi. Zaledwie doszły go jej ostatnie słowa: — To może trzeba jeszcze raz...?

Znowu się zastanowił: skąd w tej dziewczynie takie myśli? Lecz jakąkolwiek drogą przyszły one do niej, rzecz domagała się uświęcenia. Powoli podniósł się: wyrósł nad nią niby krzew strzelający w górę z plamy wilgoci. Pełnym namaszczenia gestem wyciągnął ręce i zawiesił dłonie nad pokornie przywartym do ziemi ciałem.

— Pan rzekł przez twoje usta, almah... — powiedział głosem, który drżał od wzruszenia. Jego serce napełniły miłość i podziw dla tej dziewczyny. — „Skąd ona to wie — myślał — nie wiem. Ale to jest prawdą. Są gesty, które wydają się próżne — a przecież nie mogą pozostać próżne. Są czyny i słowa, które są zapowiedziami czynów i słów. Są sprawy, które uczą, przypominają, otwierają oczy. Nie łatwo jest Jego pojąć. Ale On chce, abyśmy Jego odkrywali wciąż i na nowo. Pochyla się nad ziemią, aby jej siebie ukazać. Lecz także pozwala ziemi, by szła ku Niemu...”

Posłyszał, jak dziewczyna mówi cicho: — Czego Pan zażąda — chcę Mu dać...

Milcząc śledzili, jak Uta odchodzi od źródła z dzbanem na ramieniu. Dziewczyna szła lekko przegięta w biodrach. Nie odwróciła głowy ani razu. Noa wyciągnęła rękę i położyła dłoń na dłoni Salmona.

— Żal mi jej — powiedziała ze smutkiem, wciąż prowadząc wzrokiem siostrę. — Ale w żaden sposób nie umiem jej pomóc...

— Zapomni — rzekł uspokajająco. On także patrzył długo za oddalającą się dziewczyną. — Mówię ci...

Noa milczała. Sama pocieszała się wiele razy tym słowem: „Zapomni”. Ale dni mijały, skończył się czas odpoczynku w Asjongaber, rozpoczęła się ciężka i żmudna wędrówka przez ponury wąwóz Arabah — a Uta wciąż zdawała się być pogrążona w rozpacz. Tylko przejawy tej rozpacz zmieniły się: przedtem był ciągły, żaloszny płacz niby skrzywdzonego dziecka, które co chwila przypomina sobie na nowo o zaznanym bólu; potem oczy Uty obeschły, stały się jak szklane. Nie skarżyła się teraz; miała usta zacięte. Głos jej stwardniał, brzmiał opryskliwie i jakby niechętnie. Gdy się ktoś do niej zwracał, robiła wrażenie zagniewanej. Nigdy na pytanie nie odpowiadała dobrym słowem.

Opryskliwość, z jaką odzywała się do drugich, była niczym w porównaniu z opryskliwością, którą obdarzała siostrę. Noa nie mogła pojąć, co się stało: Uta zachowywała wobec niej nieustępliwe milczenie, połączone z gniewnym i jakby pogardliwym błyskiem oczu. Gdy odezwała się, w jej słowach odczuwało się rozdrażnienie. Jeszcze przed chwilą, gdy Noa chciała iść za nią po wodę, Uta wyrwała jej dzbanek z ręki, rzucając: „Zostaw! To moja robota! Szkoda twoich rączek... — dodała, mrużąc złośliwie oczy. — Szkoda... A ja już nie mam nic do stracenia!”

— Na pewno zapomni... — powtórzył. — Kobieta zawsze wszystko zapomina... — poruszył lekceważąco ramionami. — Nie powinnaś się troskać. Za dużo się nią przejmujesz. Ciągłe tylko o niej. A ona nigdy nie odezwie się do ciebie serdecznie. — „I on to zauważył” — pomyślała.

— Czy myślisz — ciągnął dalej — że tego nie słyszę? Zwraca się do ciebie, jakby była panią, a ty — niewolnicą. Albo jakbyś wyrządziła jej krzywdę. Zawsze trzyma dumnie podniesioną głowę...

— Nie, nie — próbowała zaprzeczyć.

— Ależ tak! Naprawdę! Taka dumna! Patrz, jak spogląda na wszystkich z góry. Zambri śmieje się, że odkąd wpadła w ręce Aradczyków, jest zupełnie jak księżniczka.

— Zambri jest najwstrętniejszy z synów Saluego! Nie znoszę go. Czemu mój pan zawarł z nim taką przyjaźń?

— Nie lubisz żadnego z moich przyjaciół. Ani Refny, ani Bokkiego, ani Zambriego. Nie podoba mi się to! — Odwrócił ku niej głowę i wtedy zobaczyła w jego oczach — w których widywała nieraz chłopięcy, nietrwały upór — dziwną twardość. — Mężczyzna może kochać kobietę, ale przyjaciół wybiera sobie sam! — założył ręce na piersi. — Zambri jest najdzielniejszy z wojowników rodu Symeona. Pierwszy był w pościgu za Aradczykami, pierwszy wdarł się na mury ich miasta i najwięcej pobrał łupów.

— Mówili — powiedziała nie patrząc na niego, ale na wodę, która biła z ziemi i tworząc mały zbiornik wylewała się zeń od razu w dwie strony — mówili, że chciał zatrzymać dziewczynę, którą porwał...

— Słyszałaś o tym? Tak... Ale Finees nie pozwolił. Ci lewicy wtrącają się do każdej rzeczy... Ale wiesz — nagle zmienił temat — Jozue to jednak umie prowadzić walkę. Refna też tak powiada. Dobrze nas poprowadził...

Zmarszczywszy brwi patrzył w przestrzeń. Nieznacznie podniosła głowę i przyglądała mu się z boku. Od pewnego czasu, zauważyła, Salmon bardzo się zmienił. Jego rysy nabrały ostrości i dzikości, stawały się naprawdę rysami wojownika. Należał do tych, którzy po odparciu napadu Aradczyków pognali za cofającymi się nieprzyjaciółmi, a podszedłszy w tej pogoni pod jedno z miast meleka Aradu zdobyli je, wyrznęli i spalili. Ludzie w obozie opowiadali, że po zwycięstwie wśród zdobywców doszło do zatargu: Jozue pozwolił początkowo brać w zdobytym mieście łupy i branki; lecz Finees imieniem Mozisa kazał złoto oddać na Przybytek i surowo zabronił łączenia się z kananejskimi niewolnicami. Salmon nie opowiedział jej, jak to było naprawdę, gniewnie tylko wzruszył ramionami. Nie wypytywała go. Wiedziała jednak, że znowu w obozie rośnie fala niechęci do Mozisa. Wzbierała ona w miarę przedłużania się drogi przez wąwóz i wyczerpywania żywności.

Porywczo zwrócił ku niej głowę i wzrok ich spotkał się. Jeszcze wydawało się jej, że w głębi czarnych oczu Salmona odnajduje znany sobie ciepły blask. Uśmiechnął się. I ten uśmiech był jej znajomy. Rozweselona odpowiedziała mu uśmiechem. Ogarnął dłonią jej dłoń, którą wciąż trzymała opartą o jego kolano. Pochyliwszy się ku niej powiedział:

— Noo, czas, abyś wreszcie została moją żoną i przyszła do mego namiotu...

— Mój pan wie dobrze — rzekła — że niczego bardziej nie pragnę...

— Więc kiedy? — jeszcze niżej pochylił się nad nią: czuła na policzku jego gorący oddech; palce zacisnęły się mocno na jej dłoni. — No więc kiedy?

Rozłożyła ręce gestem pełnym zakłopotania.

— Sam widzisz — rzekła — nie mogę teraz opuścić Uty. Nie powinna zostać sama w namiocie. Może ją gniewa mój widok... Lecz byłaby bardziej nieszczęśliwa, gdyby znalazła się wśród obcych... Ona ciągle mówi tak, jakby wszystko dla niej było stracone...

— Ależ!

— Naprawdę, Salmonie. Boję się o nią. Musimy jeszcze trochę poczekać. Już niedługo, mój drogi...

Poczuła, że ściska jej palce mocno, aż do bólu. Z nagłą złością zawołał:

— Bardziej cię ona obchodzi niż ja!

— Mój pan — próbowała go ułagodzić wyrażającym poddanie tonem głosu — nie powinien tak mówić, gdy wie, że tak nie jest...

Ale on zaczął mówić porywczo i gniewnie.

— Właśnie że nie. Właśnie, że tak jest. Nie chcesz przyjść do mego namiotu, choć wiesz, że już wszystko do zaślubin gotowe. Ród zgodził się, bym był twoim baalem. Złożyłem za ciebie mohar Kalebowi. I dla ciebie przygotowałem piękne dary. A także, pamiętasz, przyrzekłem ci...

— Jesteś taki dobry, Salmonie. I wiesz, jak bardzo ciebie kocham...

— Tak myślałem. Ale teraz nie widzę tej twojej miłości. Zwlekasz z przyjściem do mego namiotu. Wszystko przygotowane, wszystko omówione. A ty odkładasz! Dla niej! Zostaw ją! Mówię ci: ona zapomni! Zresztą nie jest dzieckiem...

Wydało się jej, że jego głos, który jeszcze przed chwilą był głosem dawnego Salmona, znowu stał się jakiś obcy. Brzmiał twardo, nieomal groźnie. Mężczyzna gniótł jej palce, tak mocno, że ledwo zdołała się powstrzymać, by nie krzyknąć z bólu. Gdy mówił coraz gwałtowniej, milczała. Nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć, nie wiedziała, jak ma mu odpowiedzieć. Jego gorące słowa, może jeszcze bardziej przez swą obcość, były trudne do

odparcia. To było dziwaczne odkrycie: im więcej Salmon stawał się inny, tym bardziej miał na nią przemożny wpływ. To się uśmiechała, by go rozbroić tym uśmiechem, to znowu twarz jej tężała w pełną troski powagę. Och, jak trudno było stawiać opór jego słowom! I czy słusznie go stawiała? Przecież, była tego pewna, sam Jahwe chciał ich związku. A ona — przebiegało jej przez głowę — kiedy znajdzie się w namiocie Salmona, będzie miała na niego większy wpływ; oddali go może od towarzyszy, którzy na pewno nie byli dobrymi przyjaciółmi. On wciąż pamięta, że jej przyrzekł... Utrzymujące się w niej od lat marzenie o dziecku ubranym w lniany efod, poświęconym na służbę Przybytku, mogło się spełnić. Ofiara dobrowolna złożona Przedwiecznemu... Była tak bliska powiedzenia: „Przyjdę, kiedy zechcesz...”

Lecz Uta... Pamięć o niej powstrzymywała ją. Nie mogła odejść od siostry, gdy ona zapłakiwała się całymi dniami i nocami; nie mogła odejść od niej teraz, gdy dokonała się w niej ta jakaś dziwna odmiana. Biedna Uta. Noa nie potrafiła się na nią gniewać. Jej zachowanie napawało ją tylko smutkiem. To było odkrycie czegoś bardzo bolesnego: pojawienie się świadomości, że istnieją cierpienia, na które nie można nic poradzić. Zranione w Ucie uczucia były skryte zbyt głęboko, by mogła do nich dotrzeć. Nie pojmowała ich zresztą, choć tak bardzo kochała siostrę. Noa miała naturę prostą i bezpośrednią. Gdy widziała cierpienie, śpieszyła naprzeciwko niego: opiekowała się chorymi, pocieszała zapłakane dzieci. Postępując tak nie miała prawie czasu myśleć o swoich troskach. Bezradność, jaką odkryła w sobie wobec cierpienia Uty, zwróciła jej uwagę na samą siebie. Cierpiała nad nieumiejętnością pomożenia siostrze; lecz bardziej jeszcze, wydawało się jej, cierpiała nad istnieniem nie dającego się osiągnąć zła.

Wobec tego zła była zupełnie sama. Któż mógł jej pomóc? Gdyby żyła Tamar... Śmierć babki stała się dla Noi czymś więcej niż śmiercią jedynej opiekunki. Ród nie pozwoliłby im zginąć. Lecz ta żyjąca zda się tylko wspomnieniami i historiami rodowymi kobieta była dla Noi powiernicą i przyjacielem. Nieskończenie długie godziny gotowa była słuchać opowieści Tamar, a słuchając przejmowała od babki wraz z ich treścią jej skłonność do rozważania każdego wydarzenia. Dla Tamar przeszłość i przyszłość wiązały się ze sobą w sposób nie dający się rozwikłać. Rzeczy, które się dokonały kiedyś, powtarzały się na nowo i to wielokrotnie niby zapowiedź czegoś, co się dopiero zbliża, bo wciąż jeszcze nie wypowiedziało się w pełni. Duchy Jakuba, Izaaka i Abrahama, Racheli, Rebeki i Sary żyły nie poza widzialnym

światem, ale nadal w nim, w widzialnych ludziach. Dawni patriarchowie powtarzali w swoich potomkach wielkie gesty i błędy. „Słuchaj, Noo — mówiła nieraz Tamar, kładąc na głowie wnuczki dłoń małą, suchą, pokrytą połyskliwą skórą — pamiętaj: żadna z obietnic nie zostanie niespełniona, żadna z przepowiedni nie zgaśnie nie ziściwszy się, żadna z ofiar nie zostanie odrzucona. Trzeba tylko czekać, czekać...”

Im Tamar była starsza, tym częściej na jej ustach pojawiała się słowo: czekać. Noa z trzeźwością właściwą swemu wiekowi zapytywała siebie nieraz: „Na co ona jeszcze czeka?” Ale o to nie pytała nigdy głośno. Nastawiony na czekanie świat Tamar wchłaniał ją. I teraz nie szukała odpowiedzi na swe trudności, na wrogie zamknięcie się siostry, na ból, któremu nic nie można było zaradzić, na słowa Salmona...

— Poczekajmy jeszcze trochę, Salmonie — powiedziała łagodnie. — Kocham ciebie nad wszystko, ale w tej chwili naprawdę nie mogę jej opuścić. Może wreszcie otrząśnie się ze swej rozpacz. Niech mój pan będzie cierpliwy, proszę o to. Pamiętasz, ile to lat — uśmiechnęła się i drugą dłonią pogładziła pieszczotliwie jego dłoń, która wciąż ścisnęła jej palce — czekał Jakub, aż dostanie od Labana Rachelę...

Przerwał jej gwałtownie.

— Przestań wspominać te stare bzdury! Co mnie obchodzi tamta nieprawdopodobna historia?! Ja chcę cię mieć jak najszybciej w namiocie. Przestań się zajmować Utą! Na co mamy czekać? Aż ona się otrząśnie? Ależ ona wcale nie chce się z niczego otrząsać. Ją drażni, że ciebie kocham, i naumyślnie tak się zachowuje, by ci nie pozwolić iść za męż...

Kto wie, czy on nie ma słuszności? — pomyślała. Jej także kilka razy przychodziło do głowy, że postępowanie siostry nacechowane jest złośliwością.

— Być może — przyznała — że ją gniewa nasza miłość. Ale cóż chcesz? Ona by także chciała kochać i być kochana.

Wzruszył ramionami.

— Ona nigdy nikogo nie będzie kochała. Jest zbyt dumna...

— Nie, nie! — broniła siostry. — Tobie się tylko zdaje, że jest dumna.

— Jest dumna naprawdę — osądził z wykluczającą sprzeciw stanowczością. — Zambri powiada, że jest jak księżniczka... Gdyby tylko zechciała... Przecież jest piękna... A tamto... — lekceważąco machnął ręką. Z nową

gwałtownością począł napierać: — Noo, kocham cię i chcę, abyś jak najszybciej zamieszkała w moim namiocie. Nie zgadzam się na dłuższe czekanie. Dość! Czy słyszysz?

Puścił jej dłoń i ogarnął ją ramieniem. Miała uczucie, że w tym uścisku pogruchocze jej kości. Oddech jego stał się spieszny, sapiący. Poczowała dreszcz, lecz siedziała dalej nieporuszona. Wzrok jej był utkwiony w dwa rozbiegające się strumienie, którymi uciekała woda. Wiedziała — wystarczy jedno „tak”, a rozdławiający się rytm ich serc stanie się znowu jednym. On chciał jej, ona chciała jego. Jej zgoda stałaby się dopełnieniem losu.

— Nie zgadzam się na dłuższe czekanie! Nie będę czekał — powtarzał gorąco, nie przestając miażdżyć jej ramienia. — Dość tego odkładania, Noo! Przyjdź! Kocham cię...

Jego nozdrza drżały, rozdymane gwałtownym oddechem. Wargi wysuwały się do przodu. Noa drząc uświadomiła sobie: jest coraz bardziej daleki, a w tej odległości — coraz bliższy... Jego rozpalona twarz niepokoiła, lecz niepokojąc przyciągała... Teraz nie było w nim nic z chłopca, którego знаła od dziecka. Przeleciało jej przez głowę: „Nadchodzi dzień, kiedy w ludziach znanych sobie dobrze odkrywamy tyle rzeczy nieznanych...”

Nie przestawał mówić. Rozpalał się własnymi słowami. Słuchała go w coraz większym pomieszaniu uczuć. Gwałtowność, z jaką domagał się jej zgody, upajała. Czula, jak pod jej naporem i w niej podnosi się porywczą niecierpliwość. Nie słuchała, co mówi mężczyzna, wystarczał jej ton jego głosu. Nie pamiętała już całkiem o Ucie. A przecież był w niej ciągle jakiś upór.

Tamar mówiła kiedyś wnuczkom: „Mężczyźni będą wam mówili miłe słowa o miłości. Nieraz w tych słowach będzie kłamstwo, ale jeżeli dźwięk głosu mężczyzny stanie się dla was ważniejszy niż jego słowa, znaczy, że obudził w was serce... Wtedy pamiętajcie o Racheli...” Wśród historii kobiet tamtych pradawnych czasów najwięcej przejmowała Tamar historia ukochanej żony Jakuba. „Jak bardzo — zastanawiała się nieraz głośno — musiał ją kochać Jakub, skoro tyle lat przepracował dla niej. Lecz potem... Cóż z tego, że Józef i Beniamin byli najukochańsi? Żadnemu z nich umierający ojciec nie obwieścił tajemniczej przyszłości... Żaden z nich nie był jak Juda...”

— Nie chcę! Nie będę czekać! Odpowiedz teraz: kiedy będziesz moja?

Chciała powiedzieć: „Przecież już jestem twoja... Ale to nie zadowoliłoby ani jego, ani jej. Największa nawet troska o los drugiego nie zastąpi dotykał-

nej jedności. Takie prawo było wypisane w nich obojgu. Tylko że ona czuła w sobie jeszcze jakby głos innego prawa. Ono kazało jej mimo wszystko nie zapomnieć o Ucie. Żądało, by nie przełamywała swą wolą losu...

— Kiedy, Noo!?

— Mówię ci, Salmonie, że chciałabym tego jak najprędzej. Lecz, wierz mi, w tej chwili nie mogę jej jeszcze opuścić...

— Więc kiedy?!

Ale ten głos nie był już jego głosem. Zabrzmiał tak obco i groźnie jak ostrzeżenie. Dreszcz pożądania ustąpił dreszczowi niepokoju. Pośpiesznie powiedziała:

— Poczekajmy, póki jesteśmy w wąwozie. Za niedługi czas mamy wyjść z gór. Wtedy, Salmonie, zaprowadzisz mnie do namiotu twojej matki, jak każę obyczaj... I wtedy już nic nigdy nas nie rozłączy...

Z uśmiechem podniosła ku niemu twarz. Chciała tym uśmiechem przeprosić go za to ostatnie odwołanie, za tę powściągliwość wobec jego uczuć. Lecz na jej uśmiech twarz mężczyzny odpowiedziała gniewnym grymasem. Salmon miał usta zaciśnięte, oczy zmrużone, zapatrzone gdzieś w przestrzeń. Poczowała, że nie potrafi spłoszyć tej chmury. Przeszył ją ból niby złe przecucie.

Rada książąt zebrała się po raz pierwszy w nowym składzie. Była to trzecia zmiana od czasu, gdy opuścili Mikraim. Książęta, którzy prowadzili swoje rody poprzez rozdmuchnięte wichrem fale Czerwonego Morza, od dawna już nie żyli: jedni pozabijani przez lewitów u stóp Horebu, inni pomarli w wędrówce wokół oazy Kadesz. Po nich przyszło pokolenie ich synów — ludzi, którzy dziećmi znaleźli się na pustyni. Było to pokolenie wystraszone śmiercią pokolenia ojców, przymuszone do posłuszeństwa i szanowania prawa. Oni to kierowali życiem ludu podczas wędrówki wokół Kadeszu. Zaledwie jednak opuścili oazę, powstały rozdzwigi między radą książąt a nagle dojrzałym najmłodszym pokoleniem. Ci młodzi, którzy nie widzieli nigdy Mikraim, którzy nie oglądali miast, ale wszystkiego doświadczyli w wędrówce wśród skał i piasku, byli bardzo różni od pokolenia swych ojców i dziadów. Wojna była sprawą, która ich pociągała najwięcej. Nie lękali się jej, przeciwnie — pragnęli. Nieomal zdawać się mogło, że bardziej chcieli zdobywania Ziemi Obietnicy niż jej posiadania. Młodzi ludzie obrzucali

książąt swoich rodów pogardliwymi wyrazami: nazywali ich tchórzami i ostrożniami. Z Refną, który po śmierci swego ojca wszedł do rady książąt, dokonany został w jej składzie pierwszy wyłom. Ale po zwycięskim odparciu napadu Aradczyków, po zdobyciu i zniszczeniu ich miasta, wpływ młodego pokolenia stał się tak przemożny, a ciągle sarkania i drwiny z pokolenia starszych tak częste, że książęta rodów poczęli zwolna, jeden za drugim, ustępować z udziału w radzie, przekazując władzę swoim synom. Aż w końcu cała rada znalazła się w rękach młodzieży. Z pokolenia starszych pozostał w niej tylko Kaleb i Jozue.

Stosunek młodych do Kaleba był pogardliwy i niechętny: drwiono z niego przy lada okazji. Natomiast dawna niechęć do Jozuego w dużym stopniu wygasła. Młodzi wyczuwali w tym starym człowieku — jednym z najstarszych ludzi w obozie — kogoś bliskiego sobie; poza tym byli pełni uznania dla jego wodzowskich talentów.

Obrady książąt otworzył Kaleb, ale zaraz zażądał głosu Refna. Młody książę rodu Manassesu był lubiany wśród młodzieży, toteż zaledwie zaczął mówić, jego słowom poczęły wtórować okrzyki zapału.

— Kim my jesteśmy? — zwrócił się z tym pytaniem do zebranych — radą książąt rodów czy gromadą ludzi, którzy tu się zebrali na gawędę? Mamy radzić czy mamy biadać?

— Radzić! — wrzaśnięto.

— Więc radźmy, bo jest nad czym. Droga między tymi skałami ciągnie się i jakoś nie widać jej końca. Jesteśmy już zmęczeni. Ale co gorzej — zaczyna braknąć żywności. Stada, któreśmy pokupowali w Asjongaber, zostały zjedzone i jesteśmy nie wędrującym plemieniem, ale karawaną żebraków. Wlecemy się krok za krokiem. Ludzie zaczną znowu rzucać swoje rzeczy. A dlaczego tak się dzieje? Bo Mozis, zamiast przez ziemię Edomitów, poprowadził nas okólną drogą. Czy nie dlatego?

— Pewno, że dlatego! — przytwierdziły liczne głosy młodych książąt.

— Małośmy nie pomarli z pragnienia na pustyni — ciągnął dalej Refna. — Wygląda na to, że za dzień czy dwa zaczniemy umierać z głodu...

— Nie! Nie pomrzemy z głodu! — zawołał wysoki głos. Finees, który zastępował na naradzie Eleazara, poderwał się. — Jahwe nie opuści nas. Przez lata całe zsyłał naszym ojcom mannę. I teraz, gdy będzie trzeba, da ją znowu...

Refna wybuchnął śmiechem. Jego śmiech był zaraźliwy: zaczęli się także śmiać inni książęta.

— Ty, Fineesie, chcesz jeść mannę? Smacznego! Ale my nie mamy na nią ochoty. To nie jest męskie jedzenie. Od tej mанны nasi ojcowie stali się tchórzami i baranami, które kto chciał i gdzie chciał pędził!

— Pewno! — podtrzymały go głosy innych książąt. — Nie ma różnicy, czy zdychać z głodu, czy żreć tę żółtą mąkę!

— Chcemy mięsa, nie mанны!

— Chcemy jedzenia jak inni!

— Ach, wy! — zapiał gniewnie kapłan. — Niewdzięczni! Wyzywacie Najwyższego! On w swej łaskawości dawał pokarm...

— Dlaczego nie dał mięsa?

— Dawał i mięso! Zsyłał przepiórki!

— Od nich także ludzie umierali! Zawsze zsyła coś takiego, co wychodzi człowiekowi na szkodę!

— Milczcie! Bluźnicie! Zobaczycie, że was ukarze!

— Sam milcz!

Zerwały się krzyki, pogróżki i wymysły. Finees wymachiwał rękami, powiewał zaciśniętą pięścią.

— Ukarze was! Spali was! Zobaczycie! — wrzeszczał.

Odpowiadali mu z taką samą gwałtownością:

— Milcz! Przestań szczekać! Zamknij gębę!

Kaleb wstał i począł ich uciszać. W końcu osiągnął, że uspokojono się. Ale choć nie krzyczano, w oczach książąt palił się ogień i czuć było, że przy lada okazji poderwą się znowu do krzykliwego sporu.

Syn Jefony stojąc poruszał dłońmi nad głowami zebranych, jakby posypywał je jakimś uspokajającym ziele. Potem powoli, z namysłem, począł przeczesać swą długą białą brodę. Ostatnie trzydzieści siedem lat uczyniły go starcem: gdy Jozue zachował męski wigor, Kaleb wydawał się kimś steranym latami. Nie przypominał człowieka, który wrócił z wyprawy do Ziemi Obietnicy z nie utraconą odwagą, przekonany, że lud potrafi ją sobie zdobyć.

— Refna powiedział — zaczął wreszcie — że tu jest rada książąt, a nie koło paplających ludzi. Ale wy sami o tym zapominacie i rozkrzyczeliście się jak stado szakali nad ścierwem. Rada książąt musiała nieraz powziąć trudną decyzję, lecz nie pamiętam, aby się kiedykolwiek tak zachowywała. Popytajcie się waszych ojców...

— Dobrze, dobrze! — ktoś mu przerwał. — Co dalej?

Kaleb znowu pogładził brodę.

— To niepięknie, że nie umiecie się znaleźć... — podjął.

— Już o tym mówiłeś! — znowu zawołało parę głosów. — Czy nic więcej nie masz do powiedzenia?

Kaleb chrząknął i popatrzył po zebranych. Na jego twarzy odbił się wyraz nie tyle gniewu, ile zdziwienia, że mu przerywają.

— Naprawdę niepięknie... — mruknął na poły do książąt, na poły do siebie. — I nie macie powodu robić tyle zamętu. Naprawdę nie macie. Lud przeszedł wielką drogę i nic nigdy...

— Kalebie, masz jeszcze trzody? — zapytano go.

— Mam...

— To idź spać! Są tacy, co ostatnią owcę wzięli pod nóż.

— Może myślisz, że z nieba zaczną spadać jagnięta?

— Bardzo niepięknie... — zamamrotał Kaleb. Mocno przelknął ślinę. — Nie jestem ślepy — podjął. — Wiem że lud jest zmęczony. Ale już jesteśmy u krańca drogi. Za parę dni będzie po wszystkich kłopotach. Kiedy wąż się skończy, napotkamy wielkie jezioro, a za nim leży ziemia, którą Wieczysty dał potomstwu Jakuba... Mówię wam: już niedługo tam będziemy...

— Jeżeli Mozis nie każe znowu obchodzić czyjejs ziemi! — rzucił Refna.

— Och, on to lubi! — zawołał inny z książąt. — Dla niego może jeszcze dziesięć pokoleń wymrzeć!

— Niedługo tam będziemy... — powtórzył Kaleb, któremu okrzyki zebranych mąciły jasność myśli i tylko z trudem nawiązywał do przerwanych zdań. — A wy nie powinniście mówić przeciwko Najwyższemu, gdyż On jest potężny i łaskawy...

— Nie mówimy przeciwko Najwyższemu — odezwał się Refna — lecz przeciwko Mozisowi. Skoro Najwyższy dał nam ziemię wielkich bogactw,

trzeba było do niej jak najspieszniej iść. Lecz zamiast tego Mozis wodzi nas po skałach, jak przedtem wodził naszych ojców po pustyni...

— Mozis czyni to, co mu każe czynić Jahwe! — krzyknął Finees.

— Wy, lewici, zawsze tak będziecie mówili — odparł Refna. — Za wiele macie korzyści z rządów Mozisa...

— Jak śmiesz! — zawołał Finees. — Lewici są strażą Przybytku!

— Powiedz raczej: złota Przybytku! — odwrzasnął Refna. — Dla was inne pokolenia są tylko po to, by się starały o wasze brzuchy. I jeszcze chcecie, aby się to nazywało rządami Jahwe. Lepiej milcz, żebyśmy się nie wzięli do was...

— Co?! — twarz Fineesa przeciągnęła się: nos wygiął się w łuk, mięśnie policzków napięły się i zaczęły drgać. — Coś powiedział?

— Usłyszałeś, nie pytaj! — Refna odpowiadał z równą furią. — Jak nie będziecie siedzieli cicho, weźmiemy się do was. Chcielibyście znowu zabijać jak wtedy... Ale skończyło się wasze wszech władztwo! I dlatego mówię ci: milcz!

— Wy głupcy...! Wy bezbożnicy...! — pieniał się Finees. — Przeklęci...! Jahwe ześle na was piorun!

Teraz wszyscy skoczyli na nogi. Namiot napelnił się wrzaskiem i tupaniem. Książęta krzycząc gestykulowali zawzięcie. W zapędzie rzucili się na kapłana. Ale Jozue wysunął się naprzód i zasłonił go swą szeroką postacią. Mimo podniecenia, gdy zobaczyli przed sobą wodza, zatrzymali się.

— Nie broń go, Jozue! — zawołał ktoś.

— Nie broń go! To pies Mozisa!

— Wróćcie na miejsca. Uciszcie się! — odpowiedział na te okrzyki wódz i począł delikatnie, lecz stanowczo, odpychać najbardziej napierających. — Wróćcie na wasze miejsca. Chcę wam coś powiedzieć...

W końcu cofnęli się i utworzyli szeroki krąg. Ale nie siedli. Stali na szeroko rozstawionych nogach, z gniewem palącym się na twarzach, lekko przygarbieni, jakby gotowi do skoku. Jozue widząc, że nic więcej nie osiągnie, zrobił jeszcze raz uspokajający ruch ręką i zaczął:

— Kłóćcie się, jakbyście byli nie książętami, ale niewolnikami, którzy pobili się nad miską soczewicy. Skoro jesteście zwierchnikami ludu...

Nie przerwali mu jak Kalebowi, ale z ich wydętych ust zrozumiał, że nie mają ochoty na słuchanie pouczeń. Spoza pleców doszło go westchnienie Kaleba: „Nie będą ciebie słuchać, to stado dzikich osłów”. Pojął, że dawne, pełne tradycyjnego namaszczenia narady książąt należą już do przeszłości. Czasy zmieniły się. Lecz on wciąż nie mógł pozbyć się życzliwości dla tych młodych. Nie jest przyjemnie jeździć na łagodnym i leniwym wielbłądzie. Coraz częściej zdarzało się myśleć Jozuemu: oni lubią wierzgać, ale tylko z nimi będzie można zwyciężyć ludy Kanaan i Mikraimczyków. Pochlebiali mu, że go szanują jako wodza. Czuł, że może się coś między nimi nawiązać.

— Nie będę wam o tym mówić — uciał sam sobie. — Mówmy o tym, co najważniejsze. Powiadacie: ludowi grozi głód. To prawda. Zapasy, jakie porobiliśmy nad brzegiem morza, skończyły się, a wciąż jesteśmy wśród gór. Refna mówi, że to wina Mozisa, ponieważ nie poprowadził ludu przez ziemię Edomitów... Lecz po cóż mamy wciąż gadać o tym, co już się stało? Posłaliśmy przez wążów i nie chcesz chyba, Refna, abymy nim wracali?

— Pewno że nie — mruknął książę.

— Więc widzisz. Trzeba iść naprzód do końca i to jak najszybciej...

Refna rzucił gniewnie ramionami:

— Lecz wiesz, że nie ma co jeść. Ludzie z głodu ledwo powłóczą nogami... Bydło zachowali tylko najbogatsi. I lewici...

— To jest bydło ofiarne! — zawołał Finees. — Ten bezbożnik...

— Przestańcie! — krzyknął Jozue. Upewniwszy się, że nie zaczną się na nowo klócić, podjął: — Wiem o tym, co mówi Refna. To jest prawda, że grozi głód. Ale posłuchajcie: tu niedaleko, przy wylocie wążowu, leży miasto Funon. Idąc nawet najwolniej, dojdziemy do niego jutro wieczór. To bogate miasto. Ludzie tamtejsi sprzedadzą nam żywność...

Refna przerwał mu:

— Sprzedadzą? Dla wszystkich? Co też ty pleciesz, Jozue? A skąd weźmiemy złota, aby im za jedzenie zapłacić? Chyba z Przybytku...

— Kto sięgnie do Przybytku — zapiał Finees — ten zginie! Naczynia ofiarne należą do Najwyższego!

— Jak będziemy złota potrzebowali, weźmiemy je, a was się nikt pytać nie będzie! — odkrzyknął Refna. Zwrócił się znowu do Jozuego. — Ale czy nawet wówczas oni nam jedzenie sprzedadzą? Poznaliśmy już ludzi miast: są nieuczciwi, skąpi. Zamkną się za murami i tylko będą patrzyli, jak zacznie-

my zdychać i głodu. Chyba gdybyśmy się wzięli do nich jak do tego miasta meleka Aradu...

Powiedziawszy to — urwał. W namiocie zapanowała cisza, wszystkie oczy utkwione były w Jozuego. Wódz zmarszczył brwi. Milczał.

— To są potomkowie Ezawa — powiedział swym starczym głosem Kaleb.

— Jahwe nie pozwolił napadać, gdy nie zostaliśmy zaczepieni — rzucił Finess. — Mozis mówi...

Twarz Refny skurczyła się od gniewu.

— Znowu Mozis! — krzyknął z obudzoną furią. — Ciągłe Mozis! Czy Mozisa obchodzą nasze sprawy? Idzie jak nieprzytomny, a gdy stajemy, zamyka się w namiocie i nikomu nie daje do siebie przystąpić. Tymczasem ludzie umierają z głodu...

— Nie, Refna — mocny głos Jozuego zapanował nad wzburzeniem księcia rodu Manassesa — nikt jeszcze w obozie z głodu nie umarł... I do jutra wieczór nie umrze...

— Dobrze: nikt nie umarł i nie umrze — Refna zgodził się ze słowami Jozuego. — Lecz co będzie, jeżeli przyszedłszy pod mury Funonu poprosimy tamtych, aby nam sprzedali żywność, a oni żywności nam nie sprzedadzą i jeszcze wyjdą przeciwko nam? Słyszeliśmy, że tam są kopalnie miedzi i ludzie Funonu kują broń. To i mają się czym bić. A my? Wiesz dobrze, jak jest u nas: na wielu wojowników trafi się czasami jeden stary, sklepany do cna miecz. Dzidy z kamiennymi ostrzami, proce i stare, popróchniałe łuki — to cała nasza broń! Kiedy oni uderzą, nie damy im rady. Możemy ich zwyciężyć tylko wtedy, gdy napadniemy pierwsi, znienacka... Wtedy zdobędziemy i żywność, i broń...!

— Dobrze mówi, dobrze mówi. Refna ma słuszność! — podniosły się głosy książąt.

— Lecz to są potomkowie Ezawa... — powtórzył tym samym jęklwym głosem Kaleb.

— Nie ma się co przejmować takimi głupstwami! — wołał Refna coraz bardziej podniecony. — Musimy mieć żywność, by iść dalej, i musimy mieć broń. Przecież za wąwozem wchodzimy w kraj Moabitów. Odpowiedz mi; Jozue, czym się będziemy z nimi bili? A potem z ludami Kanaan? Z Mikramczykami?

Wódz powolnym ruchem przesunął dłonią po brodzie. Wciąż nic nie mówił. Starał się jedynie powstrzymać gwałtowność Refny. Lecz to, z czym wystąpił młody wódz, to były jego własne myśli. Sam wiele razy pytał Mozisa: „Czym będziemy się bili?” Ale nabi spoglądał na niego oczami, w których zda się płonęło zdumienie. „Bili”? — odpowiadał pytaniem, jakby nie wiedział, o co chodzi. Potem mówił: „Jeżeli Jahwe każe się bić, powie także; jak zwyciężyć wroga...” Wreszcie Jozue przestał do tej sprawy powracać. Pojął, że nie zrozumie nigdy tej spokojnej pewności siebie u Mozisa. Rozsądek walczył coraz boleśniej z poczuciem wierności. Gdyby o niego samego chodziło, bez wahania oddałby życie dla Mozisa. Ale jak służyć sprawie ukochanego nauczyciela, nie służąc jej dobrze? W Jozuem zrodziło się przekonanie, że Mozis zestarzał się i utracił poczucie rzeczywistości. Wyobrażał sobie, że lud potrafi się wkraść nieznacznie do Ziemi Obietnicy unikając starcia. On wiedział, iż to się nie da zrobić. Oglądał niegdyś ziemię Kanaan i widział, jak jest gęsto zamieszkała. Ani w górach wśród Amorejczyków, ani w dolinie wśród Kananejczyków nie ma miejsca dla przybyszów. A jeszcze nad wszystkim czuwa wojsko faraona. Aby zająć tę ziemię, trzeba pobić Mikraimczyków, zdobyć i rozwalić każde besurah, a na miejscu zburzonego zbudować własne.

— Odpowiedz mi, Jozue — naciskał Refna — skąd weźmiemy broń, by walczyć z nieprzyjaciółmi? Może myślisz, że ludzie Funonu nie tylko żywność, ale i broń nam sprzedadzą?

— Nie — powiedział wolno — odważając każde słowo — nie. Masz słuszość: trzeba nam i żywność i broń zdobyć.

Odpowiedział mu radosny okrzyk Refny. Młody książę począł się śmiać gwałtownie, głośno i dziko. Inni książęta także pełni radości i zapału cisnęli się ze wszystkich stron ku Jozuemu.

— Więc co? Przyznajesz, że mam słuszość? — pytał Refna. Nie czekał na nowe potwierdzenie. Wybuchnął triumfalnym okrzykiem: — Dobry chłop z Jozuego. Poprowadzisz nas na Funon, prawda? Uderzymy na miasto. Zdobędziemy żywność i broń. Wtedy będziemy mieli czym zdobywać Ziemię Obietnicy.

— Powiadasz, że jutro na wieczór zajdziemy pod mury miasta? — pytał Jozuego Bokki.

— Tak — potwierdził. — Ale jeżeli mamy zaskoczyć ludzi Funonu, trzeba nam wyruszyć na noc z najlepszymi żołnierzami, dotrzeć tam przed świtem i uderzyć, gdy będą jeszcze spali.

Młodszy książęta wydali pełen zapału okrzyk:

— Tak! Tak! Na Funon! Na Funon!

W tej chwili dwie dłonie spoczęły z obu stron na ramionach Jozuego.

— Co ty chcesz uczynić, Jozue? — posłyszał rozdygotany przerażeniem głos Kaleba. — Co ty im powiedziałaś? Czy ja śnię?

Równocześnie wpiły mu się w ramię długie palce Fineesa i doszedł go wysoki, nieco piskliwy głos kapłana.

— Jozue, zdradziłeś Mozisa. Wiesz, że on...

Opanowanym gestem położył palce na ustach. Dał im obu znak, by odeszli wraz z nim w kąt namiotu, z dala od szalejącej z zapału młodzieży.

— Słuchajcie — powiedział — oni mają rację: bez zdobycia Funonu nie będziemy mieli ani żywności, ani broni.

— Lecz co powie Mozis? — jęknął Kaleb biorąc się żałośnie za włosy.

— Zdradziłeś Mozisa! — powtórzył Finees, a jego oczy błysnęły groźnie.

— Posłuchajcie, zanim będziecie mówili — rzekł nagle chłodno. — Co robi Mozis? Od paru dni z nikim nie rozmawia. Modli się. A tymczasem wśród ludzi rośnie szemranie. Jeśli tego szemrania nie uciszymy — wybuchnie bunt. Trzeba nam działać. Ty, Fineesie, powiadasz, że zdradziłem Mozisa. Puszczam te słowa mimo uszu. Ja chcę ratować sprawę Mozisa... Chcę zrobić za niego to, co by na pewno kazał robić, gdyby był młodszy i miał więcej sił... Ja go zdradzam?

Kaleb potrząsnął głową:

— Nie. Ty jesteś wierny, Jozue. Ja wiem... Ale...

— Posłuchaj — Jozue przerwał mu. — Gdy rano zdobędziemy Funon, a lud nadszedłszy wieczorem znajdzie żywność i broń, Mozis przekona się, że Jahwe był z nami i nie powie nic przeciwko temu, co się stało.

Popatrzyli na siebie wahająco.

— Skąd wiesz, że Jahwe będzie z tobą? — zapytał podejrzliwie Finees.

— Czy Jahwe nie jest zawsze tam, gdzie zwycięstwo? — zapytał.

— Tak... — przyznał Finees.

— Jahwe to Wszechmocny, a któż się Jemu potrafi oprzeć? — dodał Kaleb.

— Widzicie więc...

Poczuli się nieco zachwiani w swej postawie.

— Ale jeżeli... — podjął kapłan.

— Chcesz powiedzieć: jeżeli nie zdobędę miasta? — zapytał Jozue. — Wtedy będzie to dowodem, że zbłądziłem. Ale ja je zdobędę. Ci — zrobił gest głową za siebie — są jak młode lwy... Potrafią być niezdolni i nie szanują starszych. Ale w boju są niezwycięzeni. Bądź spokojny. Natomiast pamiętaj: jeżeli nie zdobędziemy broni — pochylił się ku Finesowi — trzeba będzie sięgnąć do skarbcza Przybytku...

— Nie. Nie sięgniecie do niego! — rzucił gniewnie młody kapłan. — Złoto Przybytku należy do Jahwe.

— Lecz lud należy także do Jahwe. I nie wystarczy czcić Jahwe dymem i ofiarami. Trzeba dla Jego chwały walczyć. Trzeba Jego cześć rozszerzać. Czy ty wiesz, kogo czczą mieszkańcy Funonu? Boginię Allat pod postacią węża z kobiecymi piersiami i z kobiecym łonem...

— Obrzydliwość... — wstrząsnął się Fines.

— Jeżeli zdobędziemy Funon, tej obrzydliwości zrobimy koniec. Zniszczymy plugawy kult...

— Więc zniszczcie go! — wykrzyknął kapłan z nagłym przekonaniem. — Zniszczcie go w imię Jahwe! Rozwalcie ołtarze tego bałwana, rozbijcie jego posąg, wytnijcie jego kapłanów. Rozsypcie popioły na cztery strony świata. Niech zginą obcy bogowie tam, gdzie przychodzi Jahwe! To będzie dzieło dla Jego chwały. — W porywie podniósł w górę ręce. — Niech On was wspomaga i da wam zwycięstwo! A oni, gdy to zrobią, staną się godni wejścia do Ziemi Obietnicy. Wszelkie zło opadnie z nich. Krew i ruiny oczyszczą ich. Idźcie zwyciężyć! Idźcie zwyciężyć!

Mozis rzeczywiście modlił się i ani nie widział rosnącego niezadowolenia ludu, ani nie słyszał gniewnych jego narzekań. Gdy obóz spał — on leżał w swoim namiocie twarzą do ziemi, z rozrzuconymi szeroko ramionami i modlił się. Gdy nadchodził dzień, szedł jak zawsze samotny na czele pochodu, z oczami utkwionymi gdzieś daleko w przestrzeń rozedrganą od

kłębiącego się w wąwozie upału. Jego usta poruszały się. Powtarzał cicho, nieustannie: Jahwe, Jahwe...

Od paru dni czuł się jakby w pustce, w dręczącej pustce, w której brak jest oddechu. Ciężko i boleśnie przebijał się przez nią. Lecz bardziej niż ten tłoczący ból dokuczał mu niepokój: oczekiwanie na to, co miała przynieść przyszłość. Bo wiedział, że ona coś musi przynieść. Gdy Jahwe chciał do niego przemówić, gdy miał mu wydać rozkaz wielki i groźny, dotykał go zawsze wpierw takim bólem.

Co On powie? — myślał teraz leżąc w głuchej ciszy pustego namiotu otoczonego uśpionym obozem. Noc wznosiła nad nim swe czarne ściany, równie twarde i nieustępliwie jak skalne mury po obu bokach wąwozu. Dławiące milczenie trwało. Nie rozlegał się żaden głos. Przyłożywszy czoło do ziemi modlił się: O Jahwe, bądź dla nich miłosierny. Nie zatrzymaj ich na drodze. Daj im to, co obiecałeś. Daj im tę ziemię odpoczynku. Pozwól, abym ich do niej wprowadził. Bądź ze mną, abym umiał ich prowadzić...

Od paru dni nie przestawał powtarzać tej modlitwy. Słowa umierającego Aarona utkwily w jego sercu niby opatrzony zaczepem grot. Czyżby oni naprawdę — budziło się w nim raz po raz lękliwe pytanie — nie byli lepsi niż tamci, co wymarli? A jeżeli nie są lepsi — czyż Jahwe pozwoli im dojść? Czy nie postawi jakiejś nieoczekiwanej zapory przed nimi? Jak wtedy zdoła ich ocalić?

Pustynia, wiedział, kończyła się. Gdy wyjdą z wąwozu, staną na skraju uprawnych pól i pastwisk. Oto koniec drogi pomiędzy skałami i piaskiem, pomiędzy głodem, pragnieniem, dzikimi zwierzętami... Teraz trzeba będzie wejść między ludzi.

Od dawna się tego bał. Po czterdziestoletniej wędrówce wiedział, jak trudno jest kierować drugim człowiekiem. Tamtymi — pokoleniem, które wyprowadził z ziemi Mikraim — rządził rozkazem jak wódz swoim wojskiem. Gdyby byli chcieli go słuchać! Gdyby go byli słuchali — ocaliłby ich. Doprowadziłby ich do Ziemi Obietnicy. Lecz gdy tych tak bardzo chciał ocalić — czuł, że powstaje w nim niepewność: jak kierować nimi — nie rozkazując?

Zdawał sobie sprawę z tego, że czas bezwzględного rozkazywania skończył się. „Wobec tamtych — myślał leżąc w ciemnościach ze zbolałym sercem i ciałem — czułem się niby głos samego Boga. Każde moje słowo było znakiem, sygnałem. Byłem ja — i byli oni. Wiedziałem, czego im trzeba.

Teraz — inaczej... Gdy mam im coś rozkazać, budzą się we mnie zaraz lęk i niepewność. Tak często nie wiem, jak mam postąpić. „To, co było dawniej prawdą jasną i oczywistą, stało się nagle ciemnością pełną zagmatwań, najeżoną wątpliwościami. Dawniej powtarzał: „lud” — i wszystko było proste. Dziś myślał trudniej: „człowiek” — i otaczały go tysiące niespodzianek.

Człowiek... Zwarty obraz masy ludzkiej rozprysnął się w tysiące twarzy. Każda była inna, żadna nie była odbiciem drugiej. Twarze wyglądały jedno spoza drugich nieznane, nieprzeniknione, niedocieczone. Za twarzami swoich wydawało mu się, że widzi twarze obcych: ludzi Mikraim, Edomu, Seiru, Moabu... Człowiek... Gdy raz pojawiło się w nim to słowo, myśl musiała biec nieugięcie aż ku tamtemu, pierwszemu...

Jak to było? W blasku, który wbrew otaczającym go ciemnościom zapalił się pod powiekami, zdawało mu się, że zobaczył znowu Moc Najwyższego, taką, jaka mu się ukazała na Horebie. Ognista, potężna, zdolna spalić człowieka, pochylała się łagodnie nad stworzonym. Jej straszliwa dłoń delikatnie rzeźbiła ziemski pył. Potem zobaczył — niby na przelatującym przed nim obrazie — człowieka wśród drzew, wody, ptactwa i zwierząt. Mężczyzna stał, ogarniając ramieniem biodra kobiety. Słońce zlewało swój blask na ich smukłe, gładkie ciała. Każdy gest człowieka, każdy ryk zwierzęcia były pełne niezrównanej harmonii. Ale coś tę harmonię zakłóciło. Zwierz o długim, obłym cielsku, stąpający na ciężkich łapach, wynurzył się zza potężnego, obrosłego guzłami kory pnia. Z jego pyska płynął wabiący śpiew. Żadne ze zwierząt w ogrodzie nie umiało śpiewać równie pięknie. Póллеżąc w wysokiej, pachnącej trawie kobieta słuchała. Lekkim kołysaniem głowy towarzyszyła śpiewowi. A potem Mozis zobaczył, jak ponad rozchwianą powierzchnią traw wyciąga się w górę jej ręka.

Najwyższy powiedział: „Będziecie razem, jednym”. Lecz kobieta uczyniła gest sama. Jej lśniące, białe zęby zagłębiły się w zerwanym owocu. Zwierz siedzący na gałęzi już nie śpiewał. Zdawał się śmiać. Niepokojący smak jabłka przestraszył kobietę. Teraz podała je szybko mężczyźnie: „I ty jedz...” Jej słowa zabrzmiały także jak śpiew. I mężczyzna począł jeść. Na jego twarzy pojawił się wyraz zuchwałości.

A potem Mozis widział, jak para ludzka odbiegła zgarbiona, skulona, jakby smagana wichrem. Potężny poryw łamał gałęzie, obalał drzewa, wyrwał trawy. Spod zieleni, jak nagość spod rozerwanej kuttony, występowały skała i piasek. Człowiek szedł z dłońmi wciśniętymi w twarz. Za nogami

kobiety sunęło zwierzę o obłym cielsku. Nie miało już swoich ciężkich, opatrzonych drapieżnymi pazurami łap. Pełzło na własnej piersi.

Ciąg obrazów urwał się. Mozisa ogarnęła na nowo ciemność. Znowu noc stała nad nim pionową, nieustępliwą ścianą. Nie przestawał się modlić, nie przestawał się bić z myślami.

Gdyby wystarczyło rozkazać... Lecz właśnie pod dotknięciem rozkazu dokonuje się niby wytrysk oporu. Kiedyś wśród niepojętego trudu wyrąbywał ze skały ciężkie płyty. Ręce mu drżały z pośpiechu. Nie mógł się doczekać chwili, gdy wreszcie wyryje na nich Boże słowo. Zdawało mu się, że wtedy już wszystko będzie zrobione; gdy raz kamienne tablice staną między ludem, zło będzie osądzone i zwyciężone. Bił młotem w dłuto, a skalne łuski skakały i kaleczyły mu palce. Potem spiesznie niósł tablice w dół. Ich ciężar miazdżył mu ramię... Lecz gdy na koniec tablice spoczęły w świętej skrzyni z drzewa sittim — przekonał się, że to wydarzenie nie odmieniło wcale serc ludu. Kamienne płyty nie przemawiały same. Musiał przemawiać on: tłumaczyć, wyjaśniać, rozszerzać. A im więcej mówił, tym bardziej wydawało mu się, że zaciemnia, zamiast wyjaśniać, Boże nakazy. Im więcej mówił, tym bardziej czuł rozbieżność między twardością kamienia — na którym do wtóru Bożemu głosowi wyrzył prawo — a łagodną miękkością głosu...

I nagle wydało mu się, że kamiennymi płytami wyciosanymi ze skalnego bloku, na których wykuł przykazania Pańskie — są oni. Pisał na twardych, kamiennych sercach ludu nieugięte żądania. Pierwsze płyty, te, które w porywie gniewu cisnął na ziemię i porozbijał, to było tamto, dziś już wymarłe pokolenie. Gdy przyszło mu ryć na nowych płytach, ręka zadrżała. Jak wyrąbywać w kamieniu to, co szemrze niby powiew wiatru w trawach, niby rozkrawany źdźbłem trawy nurt potoku?

— O Jahwe, pozwól... O Jahwe, naucz... — modlił się. Jak uczynić — znowu przewiercała go myśl — jak sprawić, żeby zrozumieli dobroć Boga, a jednocześnie pozostali wierni Jego nakazom? Jak ich prowadzić, by nie wierznęli buntem? Tamci byli tchórzliwym pokoleniem niewolników i słuściących w dobrobycie bogaczy. Ci są jak Nil, gdy staje się bury i gwałtownie podnosi swoje wody... Tamtych trzeba było popychać. Tych trzeba powstrzymać. Tamci chcieli, aby wszystko było zrobione za nich. Ci Chcą wszystko zrobić sami. Lecz przez to nie są wcale łatwiejsi. O, nie. O nie. Więc jak ich odmienić? Znowu wraca na usta przerwana modlitwa: — O Jahwe, pozwól doprowadzić ich... — Lecz słowa są jak kamienie, które spadają w głąb pustej studni: cisza, głuchy stuk o dno, znowu cisza...

Nagle Mozis podnosi głowę. Ktoś mówi. Czyżby to był Jego głos? Nie, usłyszane słowa zabrzmiały jak szyderstwo: „Dopraszasz się, byś mógł ich doprowadzić do Ziemi Obietnicy? Ty? Ty, coś nie mógł wywieść wody ze skały? Ty, który zwątpiłeś i wciąż nie wiesz, czy naprawdę skończył się czas pokuty — i czy w ogóle miał się skończyć? I ty, ty, taki, jaki jesteś, chciałbyś ich prowadzić? I sądzisz, że doprowadzisz ich?!”

Zimny pot wystąpił na czoło grubymi kroplami. To prawda — myślał — zwątpiłem... Lecz jakkolwiek było — muszę ich doprowadzić! Bo jeśli nie ja, to któż ich doprowadzi? Jozue? Jozue potrafi być wodzem. Lecz tylko wodzem w walce... Wszystko poświęci sprawie zwycięstwa... Eleazar? Zbyt układowy, a zarazem zanadto przywiązany do korzyści płynących ze stanowiska arcykapłana. Zdolny jest czuwać nad służbą w Przybytku — nic więcej. Finees? Pełen zapału... Lecz czy to wystarczy, by doprowadzić lud do Ziemi Obietnicy...?

— O Jahwe wiem, jaki jestem... Zwątpiłem... Lecz pozwól doprowadzić ich... — modlitwa na nowo wypływa na usta. Głowa jednak zaczyna bezwładnie ciężać. Krzyk w pustce powraca w gardło i dławi. W ciszy, która go otacza, Mozisowi zdaje się, że słyszy przytłumiony chrzęst wielu idących stóp. Ale to na pewno jest złudzenie. Jest noc. Wszyscy śpią.

Coś nagle obudziło Noę. Porywczo zerwała się, usiadła na swym posłaniu. Uchylona zasłona namiotu pozwoliła jej zobaczyć zębaty górski mur obrysowany srebrną lamówką poświaty i skrawek rozpinającego się nad nim roziskrzonego gwiazdami nieba.

Czy to sen ją obudził? Żadnego snu nie pamiętała. Była w niej jedynie dokuczliwa świadomość, że coś niemiłego stało się i trwa. Przez chwilę przetrząsała myśli, jak się potrząsa sakwy podróżne szukając w nich zapomnianego kawałka placka. Szukała przyczyny, która mogła zrodzić tę świadomość. Nie znalazła nic. Zamknęła oczy; próbowała na nowo zasnąć. Sen jednak odszedł i nie chciał powrócić. Próżno go przywoływała.

Leżała więc wpatrzona w płat zielonkawosrebrnego blasku, leżącego tuż nad jej posłaniem. Nagle wydało się jej, że słyszy gdzieś daleko — chyba na samym końcu obozu — ostrożny, a mimo to dość głośny dźwięk niby chrzęst wielu stąpających stóp. Było to dziwne. Nadstawiła czujniej uszu. Chrzęst nie był złudzeniem. Równocześnie jakiś cień przemknął przed za-

snutym poświatą otworem namiotu. Ktoś przeszedł tuż obok. Słyszała ciche kroki idącego. Dalej patrzyła na oprószoną blaskiem ścianę namiotu. Lecz kiedy nowy cień drgnął na niej — nagle zaniepokojona usiadła na posłaniu. Zdołała, pochyliwszy się ku otworowi, zobaczyć, że obok namiotu przeszedł spieszenie mężczyzna z dzidą na ramieniu.

Teraz już nie miała wątpliwości, że w obozie zapanował niezrozumiały nocny ruch. Co się mogło stać? Nie odezwały się trąby lewickie, których granie stawiało zawsze obóz na nogi. Nocami włóczyły się tylko pary zakochanych, lecz one starały się robić jak najmniej hałasu. Nocami także wychodzili przed namioty starcy cierpiący na bezsenność, by się żegnać z gwiazdami i myśleć o oczekującej ich drodze. Ale starców w obozie nie było — wymarli wszyscy. Czuwające wokół obozu stráže chodziły po jego obwodzie i nigdy nie zakłócały spokoju śpiących. A tymczasem Noa zobaczyła znowu człowieka, który przemknął obok namiotu bodąc niebo swą dzidą o szerokim niby pióro wiosła grocie.

— Uto! — zawołała w stronę posłania, na którym spała siostra. — Uto!

Ale Uta nie poruszyła się ani nie odezwała. Jej posłanie w głębi namiotu tonęło w mroku. Noa wyskoczyła spod ciężkiej dery, którą była nakryta. Gdy szła w stronę posłania siostry, jej smukłe ciało ogarnął na moment blask poświaty. Prędko narzuciła na siebie lnianą kuttone, chłodną jak spływająca po ramionach woda. Podeszła do posłania Uty.

— Uto! — powtórzyła wezwanie. — Słuchaj...

Ale i teraz nikt się na posłaniu nie poruszył. Opuszczona dłoń Noi dotknęła dery zwiniętej w rulon. Natrafiła na otwór. Wsunęła się weń. W głębi posłania nie było nikogo.

Jakby nie mogąc w to uwierzyć, powiedziała raz jeszcze.

— Uto...

Odpowiedziała jej cisza. Na nowo wsunęła dłoń w posłanie. Było chłodne, ciepło ciała musiało się już dawno ulotnić.

Chwilę stała niepewnie, ogarnięta zdziwieniem i lękiem. Nie wiedziała, co ma sądzić o swoim odkryciu. Potem wolno podeszła do otworu namiotu. Rozsunęła go szerzej. Obrzeżony srebrem wał górski stał przed nią ponurą zaporą niby więzienna ściana. Na chwilę odezwało się w niej uczucie, że wawóz zamknął się i już na zawsze ją zatrzymał. Lecz zaraz myśli stały się na nowo trzeźwe i jasne. Rozważała: co się mogło stać z Utą? Gdyby to była

inna dziewczyna, sądziłaby, że wybiegła z namiotu, by się spotkać z ukochanym. Ale Uta nie miała swego chłopca. O miłości mówiła z niechęcią i z pogardą. Gdzież więc pobiegła?

Noc stała dopiero u swego początku — leżała na wawozie ciężką masą mroku niby wieko na skrzyni. Niebo wydawało się kamienne. I ono także więziło. Poświata skrzyła się na piasku i łamała dziurami cienia na każdym głazie. Otoczenie pełne było migotań i niby czającego się ruchu.

Rozglądała się na wszystkie strony, jakby sądziła, że dostrzeże siostrę. Przyłożyła dłonie do ust i zawołała w przestrzeń mocnym, długim szeptem:

— Uto!

Nadstawiła uszu. Nikt jej nie odpowiedział. Usłyszała jedynie znowu — choć inaczej niż w głębi namiotu — chrzęst stąpających nóg. Lecz był on teraz jakby cichszy. Zdawał się rozptywać w dali.

Postąpiła przed siebie parę kroków, zbliżyła się do sąsiedniego namiotu. Ludzie, którzy go zamieszkiwali, usnęli: słyszała głośny oddech dziecka, które widać przycisnęło rozchylone usta do posłania. Nie śmiała tamtych budzić. Cofnęła się. Gestem wyrażającym coraz większą niepewność przesunęła dłoń po włosach. Niespokojna myśl targnęła jej sercem: a może jednak Uta miała chłopca? Może miała — a ona tego nie spostrzegła? Czyżby została oszukana tą pogardą, jaka była ze słów Uty? Noa była pewna, że tamto na długo zraniło i zbrudziło wszystko w siostrze. A jednak — może ją oszukiwała? Niepokój począł rosnąć. Noa myślała, że przecież wzięła za Utę odpowiedzialność. Pozostając z nią w namiocie miała jej zastąpić matkę. Winna była strzec. A tymczasem dziewczyna pobiegła za kochankiem...

Opuściwszy głowę rozmyślała nad tym gorzko. Nagle zmarszczyła brwi. Kamieniste na ogół dno wawozu pokryte było tutaj małą wydumą stwardniałego i zeskorpiałego piasku. Wiatry pokarbowwały ją, ludzie poznaczyli śladami nóg. W każdym śladzie stała kałuża cienia, jeszcze bardziej go pogłębiając. Jeden ze śladów biegi łańcuszkiem czarnych otworów przez środek wydmy. Ten ślad zaczynał się przed ich namiotem. To musiał być ślad Uty.

Szybko pobiegła za znakami nóg siostry. Bose stopy wyczuwały delikatną skorupkę rozpiętą nad wydumą, a pod nią chłodną, miłąką głębię. Po śladach szła przez wydumą. Po drugiej jej stronie stały rozpięte namioty. Znała je dobrze; to były namioty ich rodu. Wiedziała, do kogo należy każdy

z nich. Ślady szły wprost ku namiotowi na skraju. Urywały się przed jego otworem...

Zatrzymała się gwałtownie. Przycisnęła mocno dłoń do serca, rozbujanego niby grzbiet biegnącego wielbłąda.

W pierwszej chwili chciała pobiec, dopaść namiotu, szarpnąć za zasłonę, dowiedzieć się, przekonać, lecz równocześnie inny odruch osadził ją w miejscu. Jakiś zaulek jej serca pragnął nie wiedzieć... Lecz czy wiedziała, czy też nie — jej spokój przysł.

Wzrok Noi wznosił się w bolesnej skardze ponad urwiska gór Seiru. „Czyżby to mogło być prawdą? — zapytała. — Czyżby się to mogło stać? Nie! Nie! Nie! — zaprzeczała sama sobie pośpiesznie. Zdawało mi się...” A jednak, a przecież... Ślady prowadziły tak wyraźnie i niedwuznacznie prosto do otworu namiotu. Lecz w takim razie jak się to mogło być zdarzyć? Jak się to mogło być stać, że On na to zezwolił?

Stanoło przed nią od dawna żywione pragnienie, którego dotąd nie śmiała głośno wypowiedzieć, czekając chwili, aż dni pożycia pod tym samym namiotem uczynią ją bardziej zasługującą na wysłuchanie. Choć Salmon ślubował, że spełni jej pragnienie — wołała czekać. Czyż nie była to rzecz dla Niego? Tak właśnie ukształtował się w jej myślach wyraz niezmiernego uczucia wdzięczności i potrzeby służenia, jakie żyły w niej od najmłodszych lat. Czy mogła się Mu lepiej za wszystko — aż do ostatniego ocalenia — wypłacić, jak mając dla Niego i dając Jemu syna? Lecz gdy ona tego pragnęła, On — zezwolił...

Zezwolił... Dlaczego w takim razie nie została żoną Salmona? Gdyby to zrobiła, nie byłoby się tak stało. Na pewno. On ją kocha. Mówiły starsze, doświadczone kobiety: „Nie zwlekaj, chłopak nie powinien zbyt długo czekać... Lecz ona ufała. Jakub, pamiętała, służył Labanowi za Rachelę wiele lat... Nie stało się jednak jak w pięknej opowieści babki Tamar. Stało się, jak się dzieje zwyczajnie w życiu. Gdy ona biegała po gwiazdach, Uta...

Lecz przecież to właśnie dla niej odwlekała dzień pójścia do namiotu Salmona. Gdyby nie współczucie dla siostry, byłaby już jego żoną. Przecież kocha go. I on ją kocha. Tyle razy o tym mówił. Ślubował jej, nie czekając, aż wyrazi swoje życzenie.

„Kocham go, kocham go” — myślała. A Uta go nie kocha. Na pewno go nie kocha. Nigdy nie odezwała się o ich miłości inaczej jak z drwiną. On także nie kocha jej. Jeszcze przed kilkoma dniami mówił o niej, że jest dumna.

Oburzał się, że patrzy na wszystkich z góry. Jakby jaka księżniczka. Tymczasem... Przecież nie przyszlaby do jego namiotu, gdyby jej nie zawołał. Więc chciał jej. Jej, dotkniętej przez Aradczyków...

Zawsze myślała o tamtym ze współczuciem. Czowała wdzięczność dla Najwyższego, że ocalała, a jednocześnie szczerze żałowała Uty. Ale w tej chwili, zaciskając mocno brwi, powtarzała z nienawiścią: — Chciał takiej... takiej, z tyłu rąk...

Powoli zawróciła. Szła krok za krokiem, deptając po śladach swoich i Uty. Gdy zbliżyła się do namiotu, który dzieliła razem z siostrą, nagle obudziła się w niej myśl: „A może to wszystko tylko mi się zdawało? Może Uta zwinęła się na posłaniu, a ja myślałam, że jej nie ma? Może ona śpi spokojnie, gdy ja...?” Poderwała się do biegu. Zadyszana dopadła namiotu. Wbiegła do środka. Obu dłońmi chwyciła za dery pokrywające posłanie siostry; od jednego szarpnięcia zrzuciła je na ziemię. Uty nie było naprawdę.

Wydała okrzyk podobny do skowytu. Gorący poryw niby płomień ogarnął ją całą. Wzbierał w niej gniew i rósł w nienawiść. Palce odruchowo szukały czegoś, na czym by się mogły zawrzeć i zacisnąć aż do omdlenia. Wczepiła je we włosy. Lecz ból nie zagłuszył cierpienia, jakie w niej było. Odwiecznym zwyczajem kobiet swego pokolenia obnażyła pierś i zaczęła ją orać paznokciami. Wspomnienia doznawanych pieszczot wzmogły tylko jej zawziętość. Ale to także nie przyniosło ulgi. Ze szlochaniem rzuciła się na ziemię. Zaraz jednak wtłoczyła dłoń w usta i stłumiła krzyk: nie mogła znieść myśli, że ktoś mógłby ją usłyszeć i przyjść pocieszać...

Ból, który ją ogarnął, był nie do zniesienia. Podźwignęła się i wyszła znowu przed namiot. Noc ciążyła nadal brzemieniem czerni; tylko może poświata stała się bardziej mleczna. Noa szła błędnie wprost przed siebie, nie myśląc wcale, gdzie idzie. Na chwilę zatrzymała się i nadstawiła uszu. Strzęp myśli wpadł w płataninę jej bólu: przypomniała sobie poprzednio usłyszany dźwięk, który przypominał stąpanie wielu nóg. Zaczęła nasłuchiwać. Ale nad uśpionym obozem było cicho, tylko gdzieś z bardzo daleka dochodził łomot spadającego ze skał potoku. Znowu ból pokrył wszystko jak niesiona przez wicher płachta pustynnego pyłu przysypująca wątlą roślinkę. Szła dalej. Mijała namioty, zwierzęta juczne poprzywiązywane do pali, gromadki owiec pozbijane w ciasne kłębowiska wełny. Kilka razy potknęła się o naciągnięty sznur od namiotu i o mało nie upadła. Nie czuła, jak rozbija sobie stopy na kamieniach i jak je kaleczy na twardych, kolczastych

opuncjach. Szła ciągle wprost przed siebie. Aż wreszcie jakaś ściana zagroziła jej drogę. Poznała: to był parkan Przybytku.

Poszła teraz wzdłuż rozpiętej na palach materii. W ten sposób dotarła do bramy. Zatrzymała się przed nią. Widziała żarzący się na ołtarzu ogień i zasłonę zamykającą wejście do budynku. Powróciło do niej wspomnienie chwili, gdy ośmieliła się wejść za tę zasłonę. Ona — kobieta. Weszła tam, a On jej nie zabił. Przeciwnie, ocalił ją. Lecz po co ocalił, gdy teraz tak boleśnie dotyka?

Pamiętała spokój — dziwny, tajemniczy spokój, jaki ją ogarnął, gdy znalazła się w półmroku między świętymi sprzętami, przed drugą — jeszcze groźniejszą — zasłoną. Wśród myśli, jakie wtedy snuła, była przede wszystkim jedna: jakież On jest miłosierny. Wybrała śmierć z Jego ręki, On zaś, zwykle taki straszliwy, śmierci jej nie zadał. Okazał się łaskawy i miłosierny... Lecz czy to było miłosierdzie? — stanęło teraz przed nią. — I co oznacza takie miłosierdzie?

Co ono oznacza? Nagle myśl jak błyskawica zapaliła się w niej: ten brak miłosierdzia jest może znakiem największego miłosierdzia...? On zabrał, by dać... Dać...? Co...? Komu...? Wstrząsające odkrycia migotały w niej niby rozwiany płaszcz w wichrze i nocy. Miała uczucie, że stoi na progu jakiegoś ogromnego dopełnienia. Tak może czuje matka, gdy urodzi wreszcie długo oczekiwanego syna... „Mój syn — przypomniała sobie — miał być dla Niego”. Cóż mogła Mu większego dać? Cóż większego mógł Mu dać praojciec Abraham? Żaden gest — znowu stanęły przed nią słowa babki — nie jest gestem ostatecznym... Juda ofiarował się za Beniamina... Czy nie trzeba, aby ostateczna ofiara dojrzewała poprzez niezliczony ciąg ofiar?

Poczuła ostry, przejmujący ból. To było tak, jakby syn, na którego narodzenie tak bardzo się cieszyła, umarł. Syn, którego nie widziała i nigdy, nigdy nie miała zobaczyć... Ten ból przywalił ją i prawie zmiażdżył. Bezsilna osunęła się na kamienie.

W tej samej chwili jakiś człowiek wyłonił się z mroku. On także zdążył w stronę bramy Przybytku ciężkim, starczym, kołyszącym się biegiem. W ciemnościach powiała rozpostarła simlah i biała uniesiona w górę broda. Biegający rzeził z wysiłku, rżenie to brzmiało jak jęk. Głos mu bulgotał w gardle. Ręce poruszały się bezradnie. Zdawało się Noi, że słyszy żalosne wołanie: „Jahwe, o Jahwe!” Przebiegł obok niej, wpadł w bramę. Widziała

jego białą sylwetkę koło ołtarza ofiarnego, a potem w drzwiach Przybytku. Jakże mu zazdrościła tego, że wszedł tam, za zasłonę.

Zwycięzcy spali jak zabici, gdy rozległ się przeraźliwy, pełen bólu i rozpaczny krzyk. Od tego okrzyku cały obóz zerwał się na nogi. Wojownicy tarli zaspane oczy; poprzez zasłonę snu przypominali sobie wczorajszą walkę i triumf, pożar miasta, a potem radosne świętowanie zwycięstwa, ciągnące się długo w noc.

Krzyk wybuchnął znowu dziki niby wrzask zwierzęcia dotkniętego ogniem. A potem rozległy się inne. Coraz więcej odzywało się głosów. Nad obozem uniósł się cały chór jęków, skomleń, zawodzeń. Krzyki wzmagaly się, rosły w ilość. Z wrzaskiem ludzi połączył się ryk zdobycznego bydła, które stało w sporządzonej naprędce zagrodzie.

— Ratunku! Ratunku! — darł się jakiś młody, prawie chłopięcy głos.

Ci, których te okrzyki obudziły, rozglądali się przerażeni wokoło siebie, szukając, skąd nadchodzi niebezpieczeństwo. Noc już odstała, dzień ściekał przez szczelinę, jaka otworzyła się nad strzępiastym grzebieniem górskim. Szary brzask gasił purpurę ognia, dopalającego ruiny Funonu. Nisko ścielący się dym rzucał na kamienistą równinę fiołkowe drgające plamy. Pierwsze spojrzenie obudzonych mężczyzn biegło do leżących u ich boku branek. Ojcowie ich jeszcze z Mikraim wynieśli opowieść o córkach Danaosa, które przymuszone do dzielenia łoża z niekochanymi mężczyznami pomordowały ich w mrokach nocy. Ale dziewczęta leżały pokorne, zmęczone gwałtem i lamentem. Wydawały się pogodzone ze swym losem. To nie one winne były cierpieniu, które spadło na obóz i zmuszało ludzi do bolesnego krzyku. Wczorajsi zwycięzcy tarzali się w boleściach między stosami łupów. Inni biegali, kręcili się, wymachiwali rozpaczliwie mieczami i dzidami, próbując nimi ugodzić nieoczekiwanych napastników. Ale było ich tysiące tysięcy. Ze skalnych załomów, spośród kamieni, spod krzewów wypełzły węże — czarne z pomarańczową pręgą na grzbiecie. Były małe, lecz wydawały się niezliczone. Gniewnie sycząc rzucały się na ludzi. Na miejsce jednego zabitego pojawiała się sto nowych, równie zawziętych i nieustępliwych. Kogo ugryzły, ten padał na ziemię wijąc się z bólu, jakby był palony żywym ogniem.

Cały obóz zerwał się na nogi. Ci i owi walczyli z węzami. Siekali je, przygważdżali dzidami do ziemi, rozgniatali im głowy kamieniami. Nie na wiele to pomagało. Coraz więcej znaczonych płomienistym piętnem gadów wydobywało się spomiędzy kamieni. Ludzi ogarnął strach. Wielu z tych, których węże nie pogryzły, rzuciło się do panicznej ucieczki. Biegli jak nieprzytomni, na ślepo, potykając się i wpadając wzajemnie na siebie. Razem z nimi biegły ich niewolnice. Wystraszone bydło, również napastowane przez węże, obaliło zagrodę i popędziło w głąb wąwozu.

— Jozue! Jozue! — Refna stracił głowę. Nagi przybiegł przed namiot wodza. — Jozue!

Syn Nuna stał z mieczem w ręku, ze zmarszczonymi brwiami, nad stosem zdobyczej broni.

— Jozue! Węże! — Refna dopadł do niego.

— Widzę... — wódz odpowiedział sucho. — Zamiast biegać z krzykiem i przyczyniać się do powiększania paniki, zbierz trochę przytomnych ludzi i weźcie się do walki z gadami. Palcie je ogniem...

Pochylił się i szybkim uderzeniem miecza przeciął na pół węza, który sunął ku jego nodze. Przecięte cielsko wiło się dalej. Dopiero po chwili ruch jego ustał.

— To zaczarowane węże — rzekł Refna. — Ogień im nic nie zrobi. One wychodzą z płomieni...

— Głupis! — rzucił gniewnie Jozue. — Zwyczajne węże skalne, które pożar wygnał ze skał i rozwścieklił. Lecz jeżeli są jadowite...

— To co?

— To wszyscy, którzy zostali pogryzieni, będą musieli umierać.

Przysiadł i błyskawicznym ciosem odwalił łeb podsuwającemu się węzowi.

— Lecz... lecz jeżeli to są węże bogini Allat? — podjął Refna, wciąż spłoszony, niepewnym głosem. — Jeżeli to ona zesłała je, by pomścić się na nas za swą zburzoną świątynię? Takich węży nigdy nie widziałem. Ludzie, których pogryzły, krzyczą, że ich ugryzienie pali jak ogień. Jeden ukąsił dziewczynę, którą zdobyłem i z którą spałem. Ona wrzeszczy: „To bogini, to bogini karze...!” Zostawiłem ją i przybiegłem tutaj...

Jozue przetarł czoło wierzchem dłoni.

— Może to rzeczywiście ona zesłała je... Lecz jeśli to ona — Jahwe musi pomóc. Jahwe silniejszy. Kiedyś — zastanowił się — laska Mozisa zamieniła się w węże i pożarła węże wróżów mikraimskich... Tak, to prawda. Ale... — Na jego twarzy ukazał się wyraz gniewu i twardej determinacji. Zaciśnął dłoń w pięść. — Słuchaj — zwrócił się porywczo do Refny — idź, znajdź jedną z dziewczyn, które zdobyliście, każ jej powiedzieć, skąd się wzięły te węże i jak się bronić przed ich ukąszeniem...

Refna oddalił się. Obóz był ciągle jednym krzykiem i zgiełkiem, jedną płataniną ludzi biegających w tę i w tamtą stronę czy wijących się w konwulsjach. Czoło wodza coraz głębiej ryla zmarszczka. Powoli podniósł wzrok w niebo, na którym zaczynały drzeć nitki słońca. Pomyślał, że po raz pierwszy w życiu uczynił coś przeciwko woli Mozisa. Bo — choć wyruszyli na Funon nie pytając się go o zgodę — Jozue czuł, że nabi byłby przeciwny tej wyprawie... Dobrze znał swego mistrza. Znał — a jednak postąpił wbrew niemu...

Znowu szybkimi uderzeniami zarażał dwa czające się węże. „To prawda — przyznał samemu sobie — postąpiłem wbrew woli Mozisa. Ale postąpiłem tak, ponieważ go kocham. On chyba nie widzi zmiany, jaka się w nim dokonała. Człowiek, który dzięki swej energii wyprowadził lud z ziemi Mikraim, nie ma już siły, by go doprowadzić do Ziemi Obietnicy. Mozis osłabł, zmieknął. „To nie był już wódz, który żelazną wolą łamał opór krnąbrnego narodu; który kazał zabijać winnych. Mozis skończył się... Lecz on, Jozue, nie mógł się z tym pogodzić. Póki żyję — myślał — ukochany nauczyciel powinien nadal piastować godność wodza. Młode pokolenie winno go słuchać. Ono chce walki i zwycięstw. I, na imię Przedwiecznego, trzeba, aby walczyło i zwyciężało! Mozis stroni od walki. Dawny wódz wojsk mikraimskich przestał być wodzem wojowników. Trzeba więc było działać za niego. Trzeba było spalić Funon i posiadać broń, bez której nie zdobędzie się Kanaan. Zwycięstwo stało się triumfem Jahwe i Jego ludu. Triumfem Mozisa... A tymczasem te węże... W umyśle Jozuego rzeczy proste stały się nagle dziwnie zawikłane i trudne do pojęcia...

Refna wrócił, prowadząc ze sobą dziewczynę. Miała twarz opuchniętą, policzki brudne od rozmazanych łez, nabrzmiałe wargi. Włosy w strąkach spadały jej na czoło i na czarne, błyskające strachem oczy. W przegródce nosa tkwiło kółko z kości. Nagie, posiniaczone ciało okrywała strzępem podartej kuttony.

— Ona mówi — powiedział młody książę — że te węże nigdy się na nich nie rzucały. Mieszkańcy Funonu czcili je, stawiali dla nich w podziemnych korytarzach miód, mleko i mięso. Rzucali im niewolników. A ci, którzy znosili dla węży jedzenie w podziemia, byli przez kapłanów nacierani jakąś maścią i okadzani. Ona mówi, że nie wie, jak się ratować przed jadem...

Wódz utkwiał na chwilę wzrok w twarzy branki, która przerażona tym spojrzeniem wstrzymała oddech. Gwałtowny szloch szarpnął jej drobnymi piersiami. Refna dał jej znak, że może sobie iść. Niespokojnie pochylił się ku Jozuemu:

— Ona także mówi, że to Allat zesłała węże. Jest ich boginią... Zresztą pamiętasz jej posąg? Sam go strąciłeś mieczem z ołtarza.

Skinął głową. Mocno zacisnął palce na rękojeści miecza. Jeszcze raz powiódł wzrokiem po rozdartym przez panikę obozie. Twardo, przez zęby, powiedział:

— Wyślij człowieka do Mozisa... Niech mu powie, co się stało. Niech mówi, że go wzywam...

To Salmon wydał ten pierwszy okrzyk. Ale ból był okropny: miał uczucie, że rozpalony do białości pręt wciska mu się w ciało i przenika aż do wnętrzości. Mięśnie sprężyły się i zesztyniały. Dłonie zwarły się w pięści, oczy wyszły na wierzch. Wyjąc otwartymi, lejącymi śliną ustami stoczył się z posłania. Okropny skurcz wygiął jego ciało w łuk.

Uta zerwała się przerażona. Pochyliła się nad nim. Nie wiedziała, co ma sądzić o zachowaniu się mężczyzny — nie zobaczyła małego węża wijącego się między fałdami nakrycia. Jednocześnie doświadczyła nieoczekiwanych uczuć: otwarte usta, z których spływała piana, wydały jej się nagle ohydne.

— Co ci się stało? Czego krzyczysz? — zapytała.

Salmon nie odpowiedział; dalej wył. Oczy stanęły mu w ślup. Nie było w nim teraz nic ze wspaniałego wojownika, który wrócił wczoraj z walki — z ciałem pokrytym potem, krwią i sadzami, z dziką namiętnością zwycięzcy. Wydawało się jej, że poszła za nim dla niego, a nie w poczuciu, iż nie ma dla niej ucieczki przed żądaniem okrutnie rozbudzonego ciała. Lecz teraz wijący się w bólu mężczyzna nie budził w niej żadnych uczuć poza wstrętem. Ogłuszona jego krzykami nie słyszała, że krzyczy również cały obóz.

— Co ci się stało? — zapytała jeszcze raz.

Nie odpowiedział i teraz. Zanosił się wyciem. Z jego wytrzeszczonych oczu sypały się łzy. Wydał się jej chłopcem, którego zbił dorosły. Nie potrafił obudzić w niej współczucia. Tamci zarazili ją swą przemocą. Gdzie nie natrafiła na przemoc, tam odczuwała pogardę. Krzyk mężczyzny brzmiał dla niej jak dźwięk zawodu.

— Odpowiadaj, co ci się stało! Wrzeszczysz jak kobieta w położu. Ty, co się chwaliłeś tylu zabitymi... Może cię jaki sen przestraszył? No, mów! Może przyśniła ci się Noa i jej wstydlive kochanie?

Błędnie toczące się oczy mężczyzny spoczęły na niej. Zdawały się zebrać pomocy. Ale spojrzawszy w twarz Uty zmieniły swój wyraz. Zniknęła z nich niema prośba. Wśród grymasów bólu pojawił się wyraz wściekłości. Przemagając skurcz ciała Salmon usiłował na nią plunąć.

O Jozue, dlaczego to zrobiłeś? — zapytał boleśnie. Syn Nuna stał z pochyloną głową jak skarcony chłopiec. Wylaamywał swe duże, twarde palce.

— Wiem — powiedział w końcu — zawiniłem... Wiem... Nie zdołam pojąć... Lecz wobec ciebie postąpiłem źle... Ukarz mnie. Poddaję się twojej woli. Oto odkładam przepaskę wodza którą kazałeś mi nosić. Odkładam berło rodu Efraima. Każ mnie zabić. Lub uczyni mnie niewolnikiem. Nie zasługuję na twoją łaskę, Mozisie...

Czarne oczy nabiego, wynurzone z ciężkich worków powiek, patrzyły smutnie na Jozuego.

— Weź z powrotem swoją przepaskę, Jozue — powiedział po krótkiej chwili milczenia. — I berło rodu...

— Jestem winny! — sprzeciwił się wódz. — Ja... ja wiedziałem... ja czułem, że ty na to nie zezwolisz. A jednak poszedłem... Poprowadziłem ich... Trzeba, abym był ukarany...

Mozis pochylił się, zjrzał w utkwione w ziemi oczy wodza.

— Czy nie czujesz się już ukarany? — zapytał.

— Tak... — potwierdził Jozue głucho. — Ale także — wybuchnął nową żalością — został ukarany cały lud! Tylu zginęło. Prawie wszyscy zdolni do boju leżą... Także dzieci, kobiety...

Poruszył ręką, jakby chciał tym gestem nakazać Jozuemu, by nie kończył rozpoczętych słów.

— Wiem...

On jednak ciągnął:

— I wszyscy umrą. Na ten jad nie ma ratunku... Te węże zesłała bogini Allat...

Znowu uczynił ten sam gest, przerywający mowę wodza.

— Nie ma żadnej bogini Allat, Jozue! — powiedział. — Pamiętaj: istnieje tylko człowiek i Najwyższy. On daje, lecz człowiek rozmaicie postępuje z jego darami. Bierze gorsze, odrzuca lepsze... On stworzył dla człowieka cały ogród radości. Człowiek z tego ogrodu wybrał to, co mu nie było potrzebne. Człowiek chce wciąż inaczej niż On; po swojemu...

Jozue podniósł głowę. Patrząc uważnie w twarz nauczyciela usiłował pochwycić jego myśl.

— Mówiłeś — powiedział powoli — że tak było z pierwszym człowiekiem...

— Tak jest z nami wszystkimi — przytwierdził. — My także wybieramy z darów Pańskich nie to, co było dla nas przeznaczone...

— Nie dla nas? O czym ty myślisz, Mozie? Sam nauczałeś, że jesteśmy ludem Jahwe, że zostaliśmy wybrani. Najwyższy związał się z nami przymierzem. Czuwał nad naszymi praojcami. Przez wiele lat zdawać się mogło, że odwrócił od nas swoje Oblicze. Ale On pamiętał o nas i gdy przyszła chwila, przemówił do ciebie. Wtedy wyprowadziłeś nas z Mikraim. On osuszył przed nami morze. Wiódł nas wśród znaków i cudów...

— To wszystko prawda — Mozis skinął głową. — Ale synom Jakuba wydało się, że już znaki i cuda nie są potrzebne... Zapragnęli inaczej... Czyż nie tak? — uśmiechnął się smutno.

Jozue znowu spuścił głowę.

— Tak... — przyznał po chwili wahania. — Lecz dlaczego...? — Zaczął i umilkł, jakby nie śmiał dokończyć.

— Chcesz zapytać: dlaczego On postępuje z nami inaczej niż z całym światem, choć cały świat należy do Niego, wszystkie ziemie, wszyscy ludzie i stada? Chcesz znać prawdę, Jozue? Nie wiem... Nie powiedział mi tego. Ja tylko czuję, że On przez to chce coś pokazać... On jest taki nieodgadnio-

ny! Wydaje ci się, że Go znasz, a nie znasz Go wcale. Przez czterdzieści lat, Jozue, usiłowałem wypowiedzieć Jego. Nic nie powiedziałem! Chciałem opłatać człowieka setką nakazów i zakazów, by nie mógł się wobec Jego woli zbuntować. Dziś, widzę, jest coś zgoła innego...

— Co, Mozie? —

— Zamiast odkryć, przysłoniłem Jego twarz! Uczyniłem lud niewolnikiem Boga. On tego nie chce. I człowiek tego nie może znieść. To dlatego pokolenie, którego siłom i energii zaufałem, błądzi...

Zaprzeczyl:

— Ależ nie! Ono chce iść zdobyć Ziemię Obietnicy! To jest — ton głosu zmienił mu się, poryw zapału przeszedł w żal — ono chciało pójść... I byłoby poszło. Lecz teraz pomrą ludzie zatruci jadem wężów. Z garstką, która zostanie, nie ma co próbować zajęcia Ziemi Obietnicy. Trzeba wrócić do Kadeszu i tam znowu w wieloletniej wędrówce czekać, aż wyrosnie nowe pokolenie. I wtedy już nie my je poprowadzimy! — Ogarnęły go na nowo żal i rozpacz. Potężnymi pięściami wojownika ścisnął skronie. Począł powtarzać: — Jestem winny, jestem winny. Przez tamtych: Igała, Faltego, Stura i pozostałych lud zatrzymał się w wędrówce. Teraz zatrzymuje się po raz drugi. Przeze mnie... Jestem winny. Ukarz mnie! Nie byłem ci posłuszny! Każ Fineesowi i lewitom, by mnie zabili.

— Nie, Jozue, nie każę cię zabić. Ty będziesz prowadził lud do Ziemi Obietnicy.

— Kogo ja tam poprowadzę? — wybuchnął. — I jak? To, co zostanie, nie będzie ludem. Małe plemię. A w Kanaan żyją mocne i drapieżne ludy... Wszystko przepadło.

— Nie — rzekł. — Poprowadzisz ich i wprowadzisz.

— Jak? Jak, Mozie?

— Nie pytaj wciąż, jak... W tobie jest zbyt wiele troski. Zanadto chcesz żyć jutrem.

Jozue znowu zwarł swe wielkie dłonie.

— Nie potrafię inaczej... Dwa dni temu miałem ludzi, a nie miałem broni. Dziś mam broń, a nie mam ludzi.

— Pierwsi rodzice mieli raj i szczęście. Potem utracili raj, lecz otrzymali dzieci. Cokolwiek człowiek zmarnował i stracił, Najwyższy oddał mu z nową wiązką...

— Nie pojmują twoich słów...

— Pamiętajsz, co ci mówiłem, że są dwie drogi, które prowadzą przez pustynię? Zaraz za morzeni czekała na nas pierwsza. Ale myśmy poszli drugą, daleką, okrężną...

— Bo każesz okrążyć! Polecieś obchodzić ziemie Edomitów!

— Och, Jozue, Jozue! Mówimy o czymś zgoła innym! — w głosie Mozisa dźwięczała gorycz. — Gdy żądałem — podjął bardziej opanowanym głosem — byście nie szli przez Edom, chciałem was nawrócić na drogę pierwszą... Gdy pragnąłem, byście nie uderzali na Funon — o tej pierwszej myślałem...

— Dla ciebie droga okrężna jest bliższa?

— Nie ta droga, Jozue, która się wydaje bliższa, jest naprawdę bliska. Przyjdzie chwila, że to zrozumiesz... Wierz mi, jeszcze nie dźwignąłeś brzemienia... — Pokiwał głową. — Jeszcze nie nauczyłeś się stawiania nóg w ślady Przedwiecznego.

— Nie nauczę się tego nigdy! — Jozue rzucił twardo. — Jestem zwyczajnym człowiekiem, Mozisie. Nic nie widziałem na Horebie. Nie słyszałem głosu Jahwe. Gdy ty z nim rozmawiałeś, ja rozważałem, jak uformować zwycięski szyk na wypadek, gdyby ktoś znowu na nas napadł...

Zacisnął dłonie, postąpił ku nabiemu. Wyrzucił z siebie:

— Nie potrafię ich nigdy prowadzić twoją drogą...!

Mozis nie odpowiedział. Opuścił nisko głowę. Jozuemu wydało się, że ten niespożyty człowiek został nagle przywalony starością i beziłą. To był dla niego niewypowiedzianie bolesny widok. Lecz choć cierpiał widząc nauczyciela w takim stanie, czuł, że musi mu powiedzieć prawdę do końca.

Mozisie — ciągnął — ja nie widzę innej drogi jak ta, po której stąpam. Gdy mam przed sobą nieprzyjaciół, wiem, że muszę z nimi walczyć. Gdy chcę ich zwyciężyć, muszę mieć czym zwyciężyć... Gdy wymrą ci, których pokąsały węże, próżne byłoby złudzenie, że z resztą zdołamy zdobyć Ziemię Obietnicy. Wiem, co uczyniłem. Lecz taki jestem... — powiedział i urwał. Dopiero po chwili dodał: — i na to nie ma rady...

Milczał i tylko z chrzęstem wylaamywał palce. Mozis nie odzywał się także; siedział z nisko opuszczoną głową, z brodą rozpostartą szeroko na piersi. Jozue zaczął mówić na nowo:

— Jesteś mi drogi jak ojciec, Mozisie, dlatego właśnie chcę ci wyznać wszystko. Poszedłem z nimi na Funon, bo mi się wydało, że się zestarzałeś i już nie potrafisz kierować ludem. Wierz mi — nie chodziło mi o moją chwałę! Wierz mi... To zwycięstwo miało być zwycięstwem Jahwe. I twoim... Jahwe dał triumf. Pozwolił nam zaskoczyć ich, wtargnąć w obronne mury; odebrał tamtym odwagę. Zniszczyłem świątynię bogini Allat, Pozabijałem jej kapłanów. Mój miecz stał się mieczem Jahwe! A moi wojownicy uwierzyli we własne siły, poczuli się mocni i pewni. Ludzie z Funonu, którym udało się zbiec, rozniosą na wszystkie strony, do ziemi Moabitów, Amorejczyków, Basanitów, wieść, jak niezwyciężonymi jesteście. I o tym także, że Jahwe zwycięża innych bogów... Dzień spalenia Funonu był dniem triumfu Jahwe! Nasi uczcili Go — a tamci runęli przed Nim... — Chwilę prędko oddychał. — Potem pojawiły się te węże... — westchnął.

— Wąż był wcześniej... — Mozis powiedział to cicho, nie podnosząc głowy. — Węże są ciągle... Och, Jozue, Jozue! — Uniósł obie ręce w górę bolesnym gestem. — Jak mały jest Jahwe w oczach waszych! Węże... Powiedz mi: kto je stworzył? — powoli, w miarę słów, dźwigał głowę. — Czy nie On sam? Czy nie wydaje ci się, że gdyby zechciał, pozwoliliby wam zerwać i Funon, i węże? Ale On nie wydał takiego rozkazu. Mówi co innego: „Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie pożądam...” Nie pożądam... Każę, byśmy byli świętym ludem, królewskim, kapłańskim... Tak mówi. Wyście zniszczyli Funon, a węże przyszły do was. Gdybyście zostawili Funon...

— Mozisie — Jozue przerwał nabitemu — byłeś kiedyś wodzem, więc wiesz: nie zostawia się obronnego miasta za sobą, z tyłu...

Na twarzy Mozisa pojawił się znowu wyraz goryczy.

— Ciągłe mówimy o czym innym, Jozue — powiedział. — Może trzeba będzie ludowi wejść między obronne miasta...?

— Kto chce zająć jakąś ziemię — nieustępliwie upierał się wódz — musi zdobyć kolejno wszystkie jej warownie. W przeciwnym razie w dniu, w którym nie będziemy się niczego spodziewali, obrońcy ich wyjdą spoza murów i zadadzą nam klęskę. Ziemia Obietnicy obfituje w miasta strzeżone murami. Widziałem je. Niektóre mury zdają się sięgać nieba. Zdobywając Funon wojownicy nasi nauczyli się kruszyć mury...

— A jeżeli tamtych pożar Funonu nauczył zamykania przed wami bramy? O Jozue, uderzając na to miasto wybraliście drogę... Nie winię cię. Nie...

Wybraliście drogę, która wydaje się krótka, ale jest bardzo długa. Za długa dla wielu. Pogodziliście się... To nie jest twoja wina... To moja. To ja...

— Mosisiel!

— Tak, to ja jestem winny. Jeszcze po Kadeszu mogło się być dużo zupełnie inaczej. Mogły się powtórzyć dawne czasy. Widzisz, ja także, Jozue, pragnąłem po swojemu. Chciałem się bić o miłość dla siebie... Ja także wybrałem to, co nie było przeznaczone dla mnie. A teraz On zamknął tamtą drogę. Pozostała tylko — ta pierwsza...

— Prawdą jest to, co ci mówię. Zrozumiesz to kiedyś, zrozumiesz... A teraz zostaw mnie samego. Idź, Jozue, synu mój, wodzu ludu...

— Mosisie... ja... ja naprawdę... Odtrąć mnie!

— Ciebie odtrącić? Jesteś moim synem i następcą. On nie rezygnuje ze swego wyboru dla słabości ludzkiej. Czy człowiek ma postępować inaczej? Czy miłość umiera? Nie utraciłeś ani mego synostwa, ani wybrania. Tylko — biorąc władzę z moich rąk, weźmiesz także brzemień... Niedługo już...

Głos Mozisa zamarł i utonął w ciszy.

— Co? — w pytaniu Jozuego zabrzmiał strach. — Co to znaczy: niedługo? O czym ty mówiłeś? Mosisie...

— O niczym... Potem, potem ci powiem... Teraz idź, zostaw mnie...

Zakrył twarz dłonią, a gestem drugiej dał znak Jozuemu, by odszedł. Wódz ociągał się jeszcze chwilę. Ale w końcu opuścił namiot. Zachrząściły jego ciężkie kroki na kamieniach. Potem pochłoneła je pełna rozpaczy noc.

Pozostał sam. Długo siedział bez ruchu. Potem powoli przesunął dłonią po twarzy jak człowiek, który chce się upewnić, że to, co się stało, nie było snem.

Jeszcze i teraz niełatwo mu było pogodzić się z odkryciem, że to Jozue, najwierniejszy, najukochańszy uczeń, towarzysz, przyjaciel, syn, wyznaczony następca, postąpił w ten sposób. Odkrywszy wtedy w nocy, że wojownicy wyruszyli na Funon, wpadł w jeden z tych strasznych gniewów, jakie miały nim dawniej. Ale kiedy dowiedział się, że na czele tamtych odszedł Jozue — gniew przemienił się w rozpacz. Bolesnie jęcząc szedł przez uśpiony obóz. Wszedł do Świętego, padł przed zasłoną skrywającą Debir. Nie wszedł za nią. Nagle poczuł, że nie ma odwagi dotknąć Arki. Ogarnęła go świadomość,

że jest stary, bezsilny, niezdolny przemóc zła, które spiętrzyło się ze wszystkich stron.

Rano Eleazar, prowadzący lewitów z rodu Kaata, którzy mieli rozebrać namiot do marszu, znalazł go tak leżącego. Pomógł mu powstać.

— Modlisz się, stryju? — zapytał. — Dobrze, że się modliłeś. Oby Jahwe poszczęścił ich mieczom i dzidom... Poszli uczynić rzecz godną...

Mozis nie powiedział nic. Odsunął się w kąt, pozwolił ludziom przystąpić do rozbiórki. Szklanymi oczami patrzył, jak wyciągają słupy, zwijają materię, jak potem ludzie Kaata biorą na ramiona Arkę, a inni niosą za nimi sprzęty i święte naczynia. Wśród dźwięku srebrnych trąb lewickich ustawiał się pochód. Czekano, aby stanął na czele karawany. Ale on dał znak ręką Fineesowi, by prowadził pochód. Sam wmieszał się w tłum kapłanów. Eleazar spostrzegł to i chciał mu ustąpić osła, na którym zwykł był jechać za Arką. Mozis jednak potrzasał głową.

— Pójdę pieszo... — rzekł.

— Lecz, stryju... — próbował oponować Eleazar.

— Pójdę pieszo — powtórzył cicho, ale stanowczo. — Ty jedź, ty jesteś arcykapłanem. Ja...

Nie dokończył, ale wiedział, co ma na myśli. Odkrycie to stanęło przed nim w nocy z całą jasnością: był nikim. Nie posiadał żadnej roli. Eleazar był arcykapłanem; po nim tę władzę przejmie Finees. Jozue był wodzem, zwierzchnikiem organizacji tysięcy i setników. On sam uważał się aż dotąd za stojącego nad jednym i drugim. Czuł się kimś ponad prawami, które sam spisał, i ponad ludźmi, których wybrał i nazaczył. Ale ci ludzie przeszli nagle ponad nim. Lud także nie czekał na jego rozkazy. Bez jego wezwania ruszył ku Ziemi Obietnicy. Mozis pojął, że odtąd może iść tylko w tłumie — on, jedyny i ostatni starzec w narodzie...

Gdy wieczorem rozbito obóz — nie udał się do Przybytku. Pozostał w namiocie. Położył się na ziemi, rozciągnąwszy ręce szeroko na dwie strony. I tak leżał całą noc, chwilami modląc się, a chwilami zapadając w ciężki, mroczny sen.

Rano usłyszał nad sobą wysoki, podobny do piania krzyk:

— Mozisie! Dziadku!

Poznał od razu, że to krzyczy Finees.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Mozisie — kapłan upadł na kolana przy leżącym. — Obudź się. Przybiegł goniec od Jozuego. Ważne wieści...

Powoli dźwignął głowę.

— Cóż? Czy zdobyli Funon?

— Tak. Ale... Ja jednak ostrzegałem Jozuego... Wysłuchaj gońca. Stała się rzecz straszna...

Usiłował wstać. Fines chwycił go pod ramiona i szarpnął. Powtarzał:

— Wysłuchaj gońca. Stała się rzecz straszna. Ja jednak mówiłem... Trzeba radzić. Musisz pomóc... Musisz wołać do Jahwe...

Poruszył się żywiej. Czyżby naprawdę — pomyślał — był jeszcze potrzebny?

— Niech mówi — nakazał siadając na pęku skór. — Niech opowiada, co się straszego stało...

To miało miejsce o świcie. Teraz jasność dnia stłumiła płachta mroku. Mozis podszedł do otworu namiotu i uchylił zasłonę. Noc zstępowała w wąwóz czarna i mglista, a w jej oparach rozplywały się kształty namiotów, skał, głazów, kolczastych krzewów. Daleko przed nimi niby tajemniczy nocny kwiat czerwieniła się i zdawała pulsować kula ognia. To wciąż żarzyły się ruiny Funonu.

W ciągu dnia uciekali od nich. Pośpiesznie opuścili wąski, omoczony zielenią parów, gdzie pod każdym krzakiem czyhały na nich znaczone płomienistą pręgą węże. Byliby się cofali aż do leży z poprzedniej nocy, gdyby w końcu, znalazłszy się na kamienistym wybrzuszeniu, nie spostrzegli, że nie są już ścigani przez węże. Nareszcie poczuli się bezpieczni. Oprzytomnieli z szalonego biegu.

Lecz dalsza droga była zamknięta przez rozjuszony gady w wąwozie.

Obóz wokoło niego dygotał jękiem. Pokąsani konali, lecz mimo nadludzkiej cierpienia nie mogli wciąż skonać. Zdrowi patrzyli na nich z przerażeniem. Nikt tego wieczoru nie skarżył się na zmęczenie, na przedłużającą się w nieskończoność drogę, na brak żywności. Tamte sprawy utonęły w największej nędzy. Wydawały się niczym.

Gdzieś daleko w skalnym murze zaszumiał wiatr. Mozis westchnął ciężko. W podobnie mglistą noc siedział na skale nad przepaścią, czekając niecier-

pliwie rozwidnienia się, by zstąpić z góry i zanieść ludowi tablice przykazań. Był pewien, że tamci na dole czekają na niego, posłuszni, wierni. Czyż mógł przypuścić, że oni tymczasem wyśpiewują na cześć bogini ludu, który ich przez tyle lat więził i prześladował? Oburzenie kazało mu cisnąć tablice o skały. Gdy drugi raz schodził w dół, nie było już w nim pewności. Bał się tego, co znajdzie. Lecz cokolwiek by znalazł, czuł, że już nie rozbiłby niesionych tablic. Powoli, boleśnie narastała w nim znajomość człowieka.

„Dobrze powiedziałaś, że to była twoja wina...” — wydało mu się, że ktoś tuż za nim w namiocie wypowiedział te słowa. Ale nie odwrócił się, by zobaczyć mówiącego. Spuścił głowę. Tak, na pewno — myślał — to moja wina, że oni są tacy. Tamtych otrzymałem już gotowych. Tych wychowałem. A mimo to są krnąbrni, jak krnąbrni byli ich ojcowie, nieposłuszni, uparci, samowolni. Chcieliby przygiąć obraz Jahwe do swego wyobrażenia o Nim. Aaron mówił prawdę, że nie są lepsi, niż byli tamci. Wydawało mi się tylko, że są inni...

Lecz czy człowiek zdoła zmienić człowieka? Cóż z tego, że ich kocham? Nie doczekałem się miłości od nich. I zwątpiłem... Zwątpiliśmy razem z Aaronem. Tylko że Aaron nie słyszał Jego... A ja słyszałem Jego słowa. Słuchałem i nie zaufałem im... Czekałem na cud. Jak dawniej... Tamtych Jahwe oślepiął swą wszechmocą. Wobec tych zasunął się w mrok. Lecz działa — działa skrycie... Nie łatwo dostrzec, czego się domaga...

Wiatr zaniósł się długim poświstem, zaś w jego skowycie zdawało się Mozisowi, że słyszy słowa: „Chce posłuszeństwa... posłuszeństwa... ślepego posłuszeństwa...”!

To prawda — zgodził się z wołaniami wiatru. On chce posłuszeństwa. Ale chce jeszcze czegoś więcej. Tak... Ojciec żąda od syna posłuchu. Ale gdy przyjdzie dzień, że syn sam pokieruje swoim losem, ojciec dumny jest z tego... Nie pragnie bez końca ciążyć nad wolą syna. I nawet... nawet gdy syn pójdzie drogą, z której będzie musiał zawrócić... na każdej drodze serce ojca towarzyszy synowi...

„Lecz jeśli tak, po co ty jesteś? — zaświstał wiatr. — Komu jesteś potrzebny? Po co? Na co, Mozisie, wodzu ludu...?!”

Cofnął się do wnętrza namiotu, pozwolił opaść zasłonie. Przestrzeń zamknęła się wokół niego, skrząca się, lecz nie rozproszona blaskiem małego oliwnego kaganka. Wokół płomienia latały bijąc bezgłośnie skrzydełkami

szare ćmy. W ciasnej przestrzeni namiotu ciężka myśl przygniałała jak brzemie.

„Wybrali drogę — myślał — i teraz już pójdą po niej do Ziemi Obietnicy. Ale jak pójdą — zastanowił się — gdy umierają w bólach?”

Nadstawił uszu. Czy to wiatr powiał mocniej, czy głośniej i szerzej rozlały się skargi, ale wydało się Mozisowi, że namiot nappełnił się ludzkim jękiem i zawodzeniem. Aż położył dłonie na uszach, by tego nie słyszeć. Lecz chude, starcze palce niezdolne były powstrzymać dźwięku. Docierał do uszu, wgryzał się w serce, miażdżył. Mozis nie mógł go znieść.

Nagle wróciła mu świadomość, że przecież może wiele uczynić. Rzucił się porywczo na kolana, aż poczuł ból w całym ciele. Ale nie zastanawiał się nad tym. Wyciągnął dłonie w mrok. Począł mówić:

— Ratuj ich! Ratuj! Wybrałeś ich! Wybrałeś takich, jakimi są. Nie opuszczaj ich! Uzdrów i zaprowadź do Ziemi Obietnicy! Jahwe! Jahwe...!

Modlił się tak bardzo długo. Lecz w końcu przyszło zmęczenie, a z nim refleksja: Cóż ja Jemu obiecuję w zamian? Dawniej, za każdym razem gdy przeproszał za winy ludu i bronił go przed karą, przyrzekał: „Oni postąpili źle, ale ja ich będę pilnował i już się to nie powtórzy.” Lecz w tej chwili czuł, że już nie może dać takiej obietnicy. Nie był zdolny jej wykrztusić. Byłaby — myślał — kłamstwem... Lud wybrał drogę i będzie nią szedł. Nie zawróci go z niej. Przeciwnie — on sam będzie musiał za nim iść... Jest bezsilny, stary, niedołężny. Może tylko błagać. Tylko ofiarowywać siebie. Nie może nic obiecać...

Duża ćma rzuciła się na płomień i przywalała go swym zwęglonym ciałem. Ogień zasyczał i zgasł. Mozisa ogarnęły ciemności. I w tych ciemnościach zabrzmiał nagle głos, potężny, lecz spokojny, podobny do tamtego, który rozlegał się kiedyś na szczycie Horebu. Wypowiedział kilka słów.

Usłyszawszy je, nabi zerwał się gwałtownie z ziemi. Uniósł ręce w górę, powiał nimi, chcąc odpedzić niewidzialnego przybysza.

— Odejdź! Idź precz! — zawołał.

Zapanowała chwila głuchej ciszy, a potem głos odezwał się znowu. Powtórzył swój rozkaz. Mozis sprzeciwił mu się i teraz, ale już bez porywu oburzenia, niepewnie.

— Nie, to nie jesteś Ty, Jahwe... — mówił. To nie możesz być Ty... Przecież zakazałeś... Jak mógłbyś teraz nakazywać...?

— Uczyń, co ci mówię — głos powtarzał się z nieustępliwą stanowczością. — Ulej z miedzi podobiznę płomienistego węża i podnieś ją na palu...

— Nie oddam czci wężowi! Nie! — bronił się Mozis. — Najwyższy go przeklął. Kazał mu czołgać się po ziemi. Wąż to przeciwnik i kłamca, który oszukał człowieka i wciąga go oszukuje. Nie wolno czynić podobizn... Tak On powiedział... Kim jesteś Ty, który do mnie mówisz?

— Czy nie znasz Mnie, Mozisie? — usłyszał.

— To Twój głos, o Jahwe. Ale to nie jest Twój rozkaz! To nie może być Twój rozkaz!

— To Ja mówię do ciebie, Ja, który jestem i który wszystko uczyniłem. Znasz Mnie. Ja ci rozkazuję: ulej węża z miedzi i powieś na palu, jak się wiesz ciała ukaranych śmiercią. Ukaż ludowi zło zwyciężone na drzewie... Kto z nich spojrzy z ufnością na ten znak, zostanie uzdrowiony...

— O Panie, oni zobaczą węża, lecz nie będą widzieli zwycięstwa. Gotowi sądzić, że im pozwalam czcić bożka Funonu. Że pozwalam oddawać hołd przekleństwu i rzeczy uczynionej ręką ludzką. Nie! Nie! To nie może być Twój rozkaz, Jahwe! To ten, który się Tobie wiecznie sprzeciwia, oszukuje mnie. Zakaż mu to robić! Ty mów...

A przecież głos brzmiał tak samo, zupełnie tak samo jak tamten wśród chmur. Był niby grzmot, który jednak ścisza swą potęgę, by mówić przyjacielskim szeptem. Była w nim moc, a jednocześnie oddanie i serdeczność. Mozis nie mógł pojąć rozkazu. Jednak nie śmiał go już zagłuszyć protestem. Nisko, coraz niżej chylił głowę. A im bliżej było jego czoło ziemi, tym słowa nad nim rozbrzmiewały cieplej i łagodniej:

— Nie bój się. Czy nie mówiłeś sam, że nie sposób wypowiedzieć Mnie całego? Nie bój się ani o Mój rozkaz, ani o nich... Ja znam drogę, która prowadzi naprzeciw każdej ludzkiej drodze. Ja wiem, co kiedy ma się pojawić, a co kiedy zniknąć... Trzeba, abyś poznał Moją moc. Nadejdzie czas, gdy i oni zobaczą zwycięstwo nad przeklętym zwierzęciem. Znak ten daję na dzień tamten. Lecz on jest także znakiem dla ciebie na dziś. Jesteś Moim przyjacielem, Mozisie. Jesteś Mi bardzo drogi. I dlatego odkrywam tobie tajemnicę: ofiarowuję ci to, co jest Moim darem dla tych, których sobie nad wszystko upodobałem...

Salmonie — powiedziała cichym, nabrzmiałym łzami szeptem — Salmonie...

Nie odpowiedział nic, nie otworzył oczu. Leżał na wznak, wciąż pojękując. W słabym blasku kopcałego kaganka widziała jego ciało opuchłe, czerwonosine. Spocone włosy lepiły się do mokrego czoła.

— Może się napijesz? — zapytała.

Nie otwierając oczu poruszył głową. Nawet ten mały ruch musiał mu sprawić straszny ból. Usta rozchyliły się ukazując zaciśnięte kurczowo zęby, spoza których wydobyło się wycie. Zakończył je stęknieniem:

— Umrzeć...

— Salmonie... — szepnęła z bólem.

— Umrzeć... — wycharczał.

Ciało sprężyło się, a potem opadło. Rozchylone wargi nie przestawały dygotać jękiem.

Cofnęła się, usiadła na ziemi tuż obok posłania, gotowa natychmiast popisać z pomocą, gdyby o coś wołał. Oparła głowę na rękach. Kaganek dogasał; noc dobiegała końca. Czuli się bardzo zmęczeni czuwaniem, ale jeszcze bardziej swą bezsilnością. Nie miała już żadnych złudzeń; wiedziała, że Salmon musi umrzeć. Ale nie mogła patrzeć na jego cierpienie. Gdy jęk odzywał się głośniejsze i zdawał się zapowiadać spazm bólu, miała ochotę krzyknąć sama: „Dosyć! Dosyć! Już nie mogę...”

Tak kochała Salmona, a przecież gotowa była modlić się o jego śmierć. To nie jej własny ból, ale jego cierpienia przyprawiały ją o utratę oddechu. Nagle odkryła, jak wielkim niczym jest miłość człowieka do człowieka. Z całą swoją miłością cóż mogła dać Salmonowi? Czy mogła mu w czymkolwiek pomóc? Mogła mu przebaczyć, że od niej odszedł. Ale to nie było żadnym darem. Za tamto nie pozostało w niej ani żdźbła urazy. Wiedziała nawet, że gdyby Uta ożyła, a on ozdrowiał i jeszcze raz od niej odszedł — przebaczyłaby mu znowu. Byłaby szczęśliwa mogąc mu przebaczyć. Nie znała granic w tym, co gotowa była oddać. Byleby nie cierpieć...

Noc zbieła. Kaganek zgasł. W trójkątnym otworze, który odcinał się coraz wyraźniej od zwartej czerni ścian namiotów, ukazał się jakiś cień. Kobieta stąpała wolno i ciężko na palcach. Zatrzymała się tuż przy posłaniu. Noa poznała ją po niekształtnej sylwetce: to była Resa, matka Salmona. Przybyła pochylała się nad posłaniem, z uwagą wpatrywała się w twarz syna;

przysłuchiwała się jego oddechowi dygoczącemu jękiem. Potem skuliła się, przykucnęła koło Noi. Zapytała cicho:

— Śpi?

— Nie spał przed chwilą.

— Dawałaś mu pić?

— Nie chce...

— Och, nieszczęście! Ach, jakie nieszczęście! — westchnęła. Usiadła obok Noi. Chwilę kiwała się żałośnie. — Po co on chodził z nimi? — zapytała nagle — No, powiedz, po co?

— Wielu poszło... — Noa odpowiedziała głosem zgaszonym. Myślała z niechęcią, że Resa lubi zadawać niepotrzebne pytania. Powtórzyła: — Wielu poszło.. I Jozue...

— Tak, tak, ja to wiem... Resa nie przestawała się kiwać całym ciałem. — Ja wiem... Oni chcieli zdobyć broń i żywność... Oni musieli iść na ten Funon... Ale dlaczego Najwyższy im nie pomógł?

Tym razem milczała. „Czy oni naprawdę musieli iść?” — stało przed nią. Ale nie szukała odpowiedzi na pytanie. Po co pytać? Po co odpowiadać? Gdy Salmon umiera, wszystko staje się błahe i niepotrzebne.

Lecz Resa wciąż powracała do swego:

— Dlaczego On im nie pomógł? Dlaczego? Czy nie jesteśmy Jego ludem? Czy nie obiecał, że zaprowadzi nas do ziemi, w której oczekiwać nas będą same radości? Ziemia będzie rodziła bez pracy. Każdy zasiew da plon stokrotny. Trzody będą się mnożyły dwa razy do roku... Czy nie tak? Ale co z tego szczęścia, gdy mój Salmon ma umrzeć? — zakończyła westchnieniem.

Noa milczała dalej. Jakimi słowami miała pocieszać matkę Salmona, gdy w niej samej serce zdawało się pękać i rozpadać jak ciało zżerane trądem? W namiocie było coraz widniej: dzień wciskał się przez trójkątny otwór i wydobywał z czerni leżące stosem dery, sznury, rzemienie, bukłaki na wodę. Znowu mogła widzieć opuchłą twarz Salmona. Z jego rozchylonych warg dobywał się nieustanny jęk. Wtórowało mu poszłochiwanie Resy. Kobieta siedziała na ziemi niezgrabnie; pociągała nosem i ocierała oczy przegubem dłoni. Miała twarz małą, o skórze ciemnej, pociętej przez wiatr w drobną siatkę. Czarne włosy opadały na oczy. Była w ciąży; ogromny brzuch czynił jej ruchy podobne do ruchów słonia. Wiotkie piersi zwisały ciężko w dół. Salmon był jej najstarszym i jedynym żyjącym synem. Poza nim było tylko

sześć córek. Teraz po kilkuletnim okresie przerwy Resa miała urodzić, niewątpliwie po raz ostatni. Gdyby choć mogła mieć nadzieję, że będzie to, syn...

— Nieszczęście, ach, nieszczęście! — podjęła na nowo swe biadania. — Ach, jakie nieszczęście. Pomyśl, Noo, jednego tylko syna pozwolił mi zachować Najwyższy. I on ma umrzeć... Mój Salmon... Jego bracia pomarli: Odaja porwał lew, Zachura zabiła zła gorączka... Tylko te krowy zostały mi w namiocie... I dziecko, które mam w sobie... Marzyłam, że was położę tu, w moim szałasie jak każe stary obyczaj, a ty poczniesz i porodzisz mi wnuka... Stara się już czuję, Noo, nie dzieci, ale wnuków mi potrzeba... Nie mam już sił do dzieci... Chciałabym mieć radość, a nie trud i niepokój. Ale cóż z moich marzeń, skoro Salmon umiera...? Cóż z tego, że go uratowałam? Że go tu przywlokłam? O Jahwe, po co go porodziłam, jeśli ma teraz tak marnie umrzeć? Ciężko go rodziłam... Całą noc i potem znowu cały dzień... Myślałam, że umrę... Ciało mi rozpękało. Nie miałam już siły krzyczeć. On był taki duży... Poczęłam go zaraz, bo miałam dudaimy... Ale urodzić nie mogłam... Kiedy się jednak wreszcie urodził — byłam taka szczęśliwa. Zapomniałam o bólu. Wiedziałam, że mój baal będzie mnie teraz kochał... A teraz Salmon umiera! O Jahwe, O Jahwe! Lecz nie będę do niego wołała. Eleazar powiada, że On taki straszny... Jeszcze rozgniewa się i zamiast pomóc — ukarze. Lecz do kogo wołać, gdy na człowieka przyszło nieszczęście? Gdyby tak można było — odruchowo rozejrzała się niespokojnie po namiocie i ściszyła głos — poprosić boginię Aserah... Ona matka...

— Co ty mówisz, Reso!? — Noa przerwała jej ze zgrozą. — Boginię Aserah? Co ty...?

— Cicho! — Resa położyła jej prędko dłoń na usta. Chcesz, żeby to usłyszał który z Bnaj Lewi? Nie mów... — oddychała prędko, zanosząc się szlochem — Cicho... — przysunęła się bliżej Noi. Mówili mi pasterze madianicy — zaczęła tajemniczo — że bogowie tutejszej ziemi są dobrzy. Wielki Il opiekuje się wszystkim. Pomaga mu w tym jego żona, łagodna Aserah. Na górskich szczytach panują Baalowie, synowie zyciodajnego Dagona. Bóg Szamasz wschodzi o świcie, poprzedzany przez swego syna Szarema, a gdy wieczorem kryje się za góry, idzie za nim syn Szam. Opiekunką młodych kobiet jest Astoreth: ona daje im urodę i radość poczynania. A gdy są już matkami, czuwa nad nimi bogini Katrat... Tylu bogów, tyle bogiń. A my mamy tylko jednego Jahwe. I jeszcze człowiek boi się Go wezwać... Taki jest

groźny i nieprzystępny... Ale do kogo mam wołać, gdy umiera mój jedyny syn...?

— Nie wzywaj obcych bogów, Reso — powiedziała Noa. — On nie pozwala...

— Wiem, wiem... Słyszałam, jak o tym mówił Mozis i Aaron, i Eleazar... Wiem... Ja ich nie wzywam... Nie... Ale kogo mam wezwać? Ja tylko pytam... Ach, co za nieszczęście! — wybuchnęła mocniejszym łkaniem. Zsunęła z ramion kuttone, obnażyła swe obwisłe piersi o rozlanych sutkach, jaśniejsze od twarzy, ramion i szyi. Wydawały się dwoma bukłakami, na dnie których bełtała się resztką wody. Poczęła szarpać paznokciami zwioteczałą skórę. — Och! Och! — wzdychała. — Co będzie, Noo, jak on umrze? No powiedz...

W odpowiedzi Noa wybuchnęła łkaniem. Już nie mogła znieść dłużej narzekań i pytań Resy. Po co ona — mówiła do siebie z rozpaczą — wciąż pyta, czy on umrze, kiedy wiadomo, że musi umrzeć? Czuła z całą pewnością, że tak się stanie. Nie mogło być inaczej. On musi umrzeć i trzeba chcieć, aby umarł i nie cierpiał...

Kiedy zanosila się płaczem, powróciły do niej myśli z tamtej nocy, gdy odkryła odejście Salmona i Uty. Znowu wydawało się jej, że widzi swego syna, który nigdy nie istniał, a miał być ofiarowany Jahwe... Tak było — przecież Salmon zgodził się na jej. życzenie. Uszyłaby dla dziecka malutki efod i zaprowadziłaby go do arcykapłana. Wyrzekłaby się patrzenia na to, jak zaczyna mówić, jak rośnie... Lecz gdy Salmon umiera, syn już umarł... Zanim miała go — stało się...

Spoza przetkanej łzami czerwonej mgły rozpaczy wydawało się jej, że widzi jakieś kształty. Co to było? Nieznana góra, rozparta szeroko między trzema innymi. Czarna zieleń omechiwała jej zbocza, ale wierzchołek wznosił się łysy i nagi niby wpółwynurzona z ziemi krąglizna czaszki. Jedno ze zboczy spadało stromym urwiskiem w parów. Wzdłuż tego urwiska aż do miejsca, gdzie zniżało się ono rozkruszone w olbrzymi żleb, szła ścieżka, którą podążało dwóch wędrowców: mężczyzna i chłopiec. Mała karawana, od której odeszli, biwakowała w parowie, obok leniwie sączącego się potoku.

Wciąż płakała. Czas płynął. Mimo łez i szlochań widziała dalej. Tamci wstępowali coraz wyżej. Chłopiec ugiął się pod brzemieniem niesionych drew. Stary człowiek także dźwigał pod pachą wiązkę chrustu. W jakiejś chwili chłopiec potknął się i upadł. Zanim pochylił się, by pomóc mu po-

wstać, mężczyzna wzniosł oczy w górę. Ujrzała twarz w desperackim postanowieniu. Obojętne widokowi słońce zniżyło się za falistą linię wzgórz, pograżając wąwóz w cieniu. Ale gdy wstąpili na grzbiet, spotkali się z jego długimi promieniami. Wierzchołek tworzył małą płasienkę. W jej środku stał głaz o wydłużonym kształcie. Ostry koniec głazu niby grot dzidy mierzył w niebo. Obok stało kilka stosików płaskich kamieni okopconych po wierzchu. Jakieś krzewy pozbawione prawie liści i tylko wijące się skrętami kolczastych łodyg rosły w załomach spękanej skały.

Wędrowcy zatrzymali się. Chłopiec rzucił na ziemię narzędzie drev. Rozejrzał się, jakby się spodziewał, że coś zobaczy. Wyciągnawszy rękę, wskazał ojcu małą budowlę na sąsiednim szczycie. Był to zamek o murach wzniesionych z głazów. Jakby potwierdzając te słowa, stary, mężczyzna skinął głową. Obaj chwilę patrzyli w tamtym kierunku. Potem mężczyzna opuścił głowę i połą płaszczą zakrył twarz. Szerokie jego ramiona zaczęły drżeć. Płakał. Chłopiec patrzył na niego zdziwiony. Łagodnym ruchem starał się odkryć twarz ojca. Ale gdy wreszcie to uczynił — cofnął się nagle przestraszony. Upadł na kolana, złożył dłonie błagalnym gestem. Stary mężczyzna szedł ku niemu z głową włożoną w ramiona, z dłonią zaciśniętą na czymś, co miał ukryte za pasem.

Lzy Noi płynęły dalej, ale szlochły ścichły. Myśl zatrzymała się na tej pradawnej historii, którą tyle razy słyszała i która jej na chwilę przesłoniła sprawy najbliższe. W niej zamknęło się to wieczne niebezpieczeństwo, czyhające na pierwotnych czy też może raczej na najukochańszych synów... Tamten na górze został ofiarowany, aby jego następcy mogli żyć. Lecz Tamar mówiła, że są gesty, które trzeba powtarzać, powtarzać tak długo, aż się wypełni ich treść... Nie pojmowała tego. Ale czuła, że babka miała słuszność. Na świecie, w którym przyszło jej żyć, wszystko było przecuciem...

Złotoróżowy blask wschodzącego słońca padł płamą w głąb namiotu. Niespodziewanie uświadomiła sobie, że od pewnego czasu nie słyszy monotonnego jęku Salmona. Gwałtownie zerwała się na nogi, pochyliła się nad posłaniem. Oddech leżącego był cichy, rwany i świszczący. Jego policzki nabrały, fiołkowopurpurowej barwy, natomiast napięty nos stał się biały jak u trupa. Pojęła, że Salmon umiera.

Chciała zawołać Resę, ale spostrzegła, że kobieta zasnęła i śpi mocno, skulona, z głową opartą o posłanie syna. Nie budziła jej. Cóż jej mogła Resa pomóc? Któż z ludzi mógł jej pomóc? Salmon umierał. Dotychczas pragnęła, aby skończyły się jego cierpienia. Teraz jednak obudziła się w niej gwałtowna

wola ratowania go. Rzuciła się na kolana. Poczęła błagać: — Jahwe, ratuj! — Nie lękała się wzywać Jahwe. Kapłani mówili, że On jest straszny, groźny, daleki. Noa jednak czuła Go zawsze bliskim, gotowym przybyć natychmiast z pomocą. Od tamtego zwłaszcza dnia, gdy zuchwale schroniła się w Jego Przybytku, a On ją ocalił, myślała o Nim z serdecznością, jak się myśli o ukochanym człowieku. — Jahwe, ratuj! — powtarzała, nie odrywając wzroku od twarzy Salmona. — Ratuj go! On jest także najukochańszym synem w namiocie ojca! On jest z pokolenia Judy, które Ty pobłogosławiłeś... Nie daj mu zginąć...! Nie daj mu zginąć...!

Ludzie gnali tłumem do stóp skalistego wzgórza tuż za obozem, które otaczali lewici w swych białych szatach. Ich trąby nie przestawały nawoływać do spiesznego zebrania się.

Na szczycie wzgórza, w miejscu dobrze widzianym nawet z daleka, kilku lewitów osadziło w szczelinie skalnej pionowy drąg. Potem u góry przybili do niego poprzeczkę. Harim syn Jeriawa, znany ze zręczności swych rąk, stał obok pala trzymając w ramionach długi połyskliwy kształt. Kiedy go podniósł w górę, ludzie wydali okrzyk zdumienia: był to wąż, wspaniale odrobiony, skrzący się łuskami, zupełnie podobny do węży, które na nich napadły. Harim podał miedzianego węża ludziom stojącym na drabince, ci zaś zaczęli go przybijać do poprzeczki. W pełnej oczekiwania i trwożnego napięcia ciszy słychać było początkowo dźwięczne, a potem głuche uderzenia młotów. Wreszcie zapadła cisza. W pożodze rozślającego się słońca zawieszony na palu kształt zdawał się ociekać blaskiem.

Trąby zabrzmiały znowu. Z tłumy lewitów wystąpił Mozis. Wolnym, ociężałym krokiem szedł w górę ku szczytowi. On, który do niedawna wydawał się jeszcze pełnym sił człowiekiem, teraz wyglądał naprawdę jak starzec złamany latami. Stanąwszy obok pala, wsparł się na nim. Czas jakiś oddychał z trudem. Potem unióśł dłoń, dał znak, że chce mówić. Lewici odjęli usta od swoich trąb. Otaczająca wzgórze ciżba zamarła w oczekiwaniu. Nabi, zanim odezwał się, wodził wzrokiem po twarzach, które miał przed sobą. Widział na nich smutek i rozpacz. Na jego zrytym zmarszczkami obliczu odmalowało się pragnienie zgaszenia tego bólu pociechą. Ale wewnętrzna żarliwość próżno przez tyle lat usiłowała się wypowiedzieć słowami. Niegdyś Mozis chciał krzyczeć, ale ten krzyk łamał mu się w ustach. Dziś nie

miał zaufania do słów, które — w końcu — pojawiły się na jego wargach. Wypowiedział je cicho, tak cicho, że byle szmer mógł je zagłuszyć:

— Otrzyjcie oczy, synowie Izraela. Przestańcie płakać. Najwyższy przyszedł wam z pomocą. Zobaczył wasze cierpienia i choć jesteście winni, zesłał wam ratunek. Jak przedtem, w czasie drogi przez pustynię, nigdy was nie opuścił, tak i teraz okazuje wam miłosierdzie. Patrzenie na tego węża! Oto niby jeden z tych, które pokąsały waszych mężów, braci i synów. Lecz jego siła została zwyciężona. Jego ciało jest przybite do pala. To nie wyście go zwyciężyli. Przeciwnie, sprzeciwianiem się woli Przedwiecznego wywabiliście węże z ich skalnych kryjówek, one zaś pogryzły wielu spośród was, a reszcie zagrodziły drogę. Lecz czyż istnieją granice Bożego miłosierdzia? Jahwe przebaczył wam i aby wam to przebaczenie okazać, zsyła znak: podniesionego na palu węża. Słuchajcie: każdego z pogryzionych, który spojrzy z ufnością na węża na palu, Jahwe uzdrowi... Przynieście chorych...

Długi szmer przeleciał wśród milczącego dotąd tłumu, rósł, stawał się coraz głośniejszy, zamienił się w krzyk. Nagle ci i tamci porwali się i poczęli biec ku namiotom. Spieszono do tych, którzy tam umierali wśród cierpień. A Mozis wciąż powtarzał:

— Każdy ukąszony, gdy spojrzy z ufnością na węża na palu, ozdrowieje. Lecz trzeba, żeby zaufał Najwyższemu... Aby zaufał Jego słowu... Każdy, kto spojrzy pełen ufności, będzie zdrowy... Jahwe go uzdrowi... Przynieście waszych chorych... Niech zaznają miłosierdzia.

Od obozu śpieszono już z chorymi. Dźwigano ich na derach, rozjęczanych, rozgorączkowanych, z ciałami zeszywniałymi. Najczęściej kobiety niosły mężczyzn. Rozdzierający krzyk niesionych, których ból powiększał się na skutek wstrząsów, mieszał się z uspokajającymi nawoływaniami otoczenia. Pierwsza gromadka kilkorga ludzi, niosąca jakiegoś młodego wojownika o szkarłatnej od gorączki twarzy, dopadła zadyszana wzgórze. Lewicy rozstąpili się — ludzie pędem wbiegli na górę, przypadli do pala. Opuścili na ziemię płachtę z leżącym na niej chorym. On jednak już nie krzyczał. Jego wzrok pełen rozpaczliwej nadziei utkwiony był w iskrzącym się cielsku węża. Usta miał rozchyłone niemą prośbą. Nagle zawołał przejmująco. Ale ten głos był głosem szczęścia. Równocześnie zaczęli wołać wszyscy, którzy go otaczali. Powstał zgiełk i hałas. Zaczęto się popychać, cisnąć, gnieść. Wszyscy chcieli zobaczyć uzdrowionego. W zamęcie o mało go nie stratomano. Wokół pala kłębiła się dziko, jakby w walce ze sobą, masa ludzka. Od tyłu napierali ci, którzy nieśli pokąsanych. Wrzeszczeli ile sił, by ich do-

puszczono także do cudownego znaku. Próżno lewici usiłowali zaprowadzić w tym zamieszaniu porządek. Hałas rósł pochłaniając głos Mozisa, który mówił dalej, przez nikogo już nie słuchany:

— Patrzcie, synowie Izraela, jak dobry i łaskawy jest Jahwe! To On, to wasza ufność w Jego słowo uzdrawia was — a nie wąż uczyniony rękami Harima. Pamiętajcie o tym. Nie czcijcie węża — czcijcie Najwyższego! Nie kalajcie waszych dusz składaniem hołdu martwym przedmiotom. Wasz Bóg nie ma postaci ziemskiej. Nie myślcie o tym, jak wygląda. Choć Go nie widzicie, oddawajcie Mu cześć. A On jest zawsze z wami, zawsze wami opiekować się będzie. Otrzymaliście znak, z którym będziecie mogli iść dalej, w kraj nawiedzony przez węże, i nic się żadnemu z was nie stanie, choćby nawet został pogryziony. Jahwe jest z wami, gdy was dotyka ból i zło. Nie opuszcza was nigdy. Jego dobroć nie jest jak dobroć człowieka. On, nawet gdy karze, nie przestaje kochać. Słuchajcie, synowie Izraela: choćby się wam zdarzyło kiedyś, gdy mnie już nie będzie, odejść od wiary w Jedyne do wiary w bożków z drzewa lub z kamienia, które nie widzą, nie czują, nie jedzą, pamiętajcie, wróćcie zaraz do Najwyższego! Bo zawsze, ilekroć zwrócicie się do Niego skruszonym sercem, przebaczy wam i uratuje was. Świat, w którym żyjecie, pełen jest węzów i smoków; lecz każdą istotę On stworzył. I każdą burzę, każdy grom, każdą falę morską. Nie bójcie się niczego, gdy On jest z wami. On zawsze pamięta o Swych obietnicach. O, synowie Izraela, czy znacie lud, który by więcej dobroci zaznał od Swego Stwórcy? Dlatego czcijcie Go, czcijcie Go! I kochajcie, jak On was kocha...

Ale cichy, coraz cichszy głos Mozisa tonął bez echa w radosnym rozgwazrze, jak tonie głos człowieka nawołującego na pustyni.

I cóż ty na to, Jozue? — zapytał wodza stojący obok niego Refna.

Syn Nuna nie odwrócił głowy ku młodemu księciu. Wciąż śledził ludzi, którzy nieśli chorych, cisnęli się z nimi przy użyciu pięści i łokci do pala, a potem spływali ze wzgórza, wykrzykując radośnie i śpiewając. Nad ich głowami, w pożarze słońca, rozbłyskiwał rozpostarty na palu miedziany wąż.

— I cóż ty na to? — Refna powtórzył swoje pytanie.

Nadal nie odwracając ku niemu głowy, Jozue odpowiedział powoli, w zamyśleniu:

— Jahwe lud ocalił.. I Mozis...

Młody potomek Manassesesa skinął głową.

— To prawda — przyznał niechętnie. — Lecz powiedz: dlaczego tak? Dlaczego Jahwe jest z nim, a nie z naszymi mieczami?

Jozue przesunął dłonią po swej falującej brodzie.

— Nie wiem... — przyznał spokojnie. — Widać — jest czas pokoju i jest czas wojny... I tylko On sam wie, kiedy Mu są potrzebni ludzie jak my...

— Więc mamy być wiecznie i we wszystkim posłuszni temu staruchowi? — rzucił z wściekłością w głosie Refna. — Mamy obchodzić kołem królestwa, które napotkamy na swej drodze, lub prosić byle meleka z opasane go murem miasta, by się łaskawie zgodził przepuścić lud przez swój kraj i sprzedawał mu za drogie pieniądze każdy bukłak wody? A kiedy wreszcie dojdziemy do Ziemi Obietnicy, wtedy...

Jozue położył mu dłoń na ramieniu i tym gestem powstrzymał porywcze słowa.

— Gdy dojdziemy — powiedział głosem opanowanym — będzie, jak On rozkaże... Pojąłem: On żąda gotowości... Lecz trzeba Mu być posłusznym, jak posłuszny jest wodzowi w boju jego wojownik. Zaś Mozis... — Uśmiechnął się nieco figlarnie. Zartobliwie poklepał Refnę po ramieniu. — Kazał dziś w nocy Harimowi stopić zdobyczne miecze, by z nich ułać tego węża...

Czy nie jest jednak napisane na kamiennej tablicy, która leży zamknięta w Arce: „Nie będziesz miał bogów obok Mnie; nie uczynisz sobie bóstwa w rzeźbie ani podobieństwa rzeczy, która jest na niebie w górze lub na ziemi w dole...”? Dlaczego on, ojczec, kazał ułać tego węża? — głos Fineesa porbrzmiewał kogucimi tonami mówiącymi o podnieceniu. — Mozis jest człowiekiem Bożym, mądrym, świętym. Ten cud jest cudem Jahwe. Ale dlaczego?

Eleazar stał obok syna przed gromadą kapłanów. Był ubrany we wszystkie oznaki swej władzy. Gruby zawój ze złotą blachą ciążył mu na czole i sprawiał, że szyja arcykapłana zdrętwiała, a jego ruchy były powolne, przez co wydawały się jeszcze bardziej majestatyczne. Dłonie oparł na naszywającym klejnotami hoszenie. Prawie nie poruszając wargami i nie skłaniając głowy do Fineesa odpowiedział:

— Bardzo słusznie to uczynił. Bardzo mądrze... Przynajmniej na koniec... Twardy jest tamten nakaz, Fineesie, a ludzie słabi. Niełatwo jest czcić niewidzialnego Boga. Można było ludziom o Nim mówić, gdyśmy byli na pustyni. Ale teraz wchodzimy między ludy i ich bogów. Nasi mogliby pobiec za łatwiejszym.

Finees porywczo zacisnął dłonie w pięści.

— Tak się nie stanie! — syknął. — Niechby się który ośmielił...! Znasz mnie, ojcze. Nie pobłażałbym własnemu bratu!

— Nie gorączkuj się. — Na wybuch syna arcykapłan odpowiedział tym samym szemrzącym głosem, który nieznacznie ściekał z jego ukrytych w brodzie warg. — Musisz zachować więcej powagi. Znam ciebie — podjął po chwili tonem uznania. — Jesteś twardy i nie pobłażasz nikomu. To dobrze... Ale tak nie zawsze można... Z ludźmi trzeba ostrożnie... Ci młodzi to szaleńcy. Ścisniesz ich za mocno, a prysną spod ręki... Mozis już nie potrafi z nimi. On skończył się... Zestarzał, osłabł, robi głupstwa... Z tymi naczyniami, które oddał kobietom...

— Lecz po nim — rzekł Finees — weźmie władzę Jozue...

— Niech bierze. Martwiłem się tym. Ale już się nie martwię. On ma na tych młodych wpływ, bo oni w nim widzą wodza. Ich i jego łączy pragnienie zdobywania ziemi Kanaan. Niech idą, niech zdobywają. My, Fineesie, musimy być mądrzy. Musimy daleko patrzeć... Niech ten Efraimczyk rządzi teraz ludem. Kiedy już ziemia Kanaan będzie zdobyta, każdy książe zechce być wodzem nad swoimi... Rozpadnie się jedność.

— I co wtedy, ojcze?

— Wtedy będziemy my. Jahwe powiedział, że nie dostaniemy ziemi, ale mamy być jedynymi łącznikami między ludem a Nim. Nad ludem będzie nie jakiś tam wódz, ale sam Jahwe. Jahwe i Jego Przybytek... I ci, którzy Przybytku strzegą... Dlatego też potrzebne są nam znaki naszej władzy. Jak ten wąż...

— Lecz to znak zwyciężonego zła...

— Oczywiście... Ale także cudowny znak, który leczy. Dany nam... Komu go pokażemy, tego nagrodzimy; kogo zechcemy ukarać...

— Kogo chcesz karać, ojcze?

— Ach, jakiś ty młody, Fineesie! Zapalasz się i za krótko myślisz. Zawsze znaleźć się może ktoś, kogo trzeba będzie nauczyć posłuszeństwa. Dobrze,

że Mozis kazał ułać tego węża. Przez niego dał nam znak władzy. Przynajmniej na koniec coś mądrego zrobił. Bo on już niedługo pójdzie za Aaronem. Patrz, jak źle wygląda. Czas na niego, żeby już umarł... Robi głupstwa... Łamie prawa, które sam ustanowił... Lepiej, żeby umarł jak najprędzej... Jeszcze coś nowego gotów uczynić...

Człowiek siedział tuż nad wodą, ze stopami w chłodnym mule; zamyślony patrzył na szeroką powierzchnię wody migocącą od skaczących po niej niezliczonych iskierek. Czoło chmurzyła myśl niby zmaganie; zryły je zmarszczki; jasne, prawie białe oczy tkwiły nieruchomo wbite w przestrzeń.

Nie dosłyszał stapań ludzi, którzy szli ku niemu ścieżką; nie zauważył ich czołobitnego ukłonu. Tamci ujrawszy go tak zamyślonego zatrzymali się w odległości kilku kroków. Nie wiedząc, co mają dalej robić, porozumiewali się wzajemnie wzrokiem. Ten samotnik o szerokich, spalonych na brąz ramionach i mocnych szczękach, zaciśniętych niby cęgi, budził w nich lęk. Spoglądali na niego z niepokojem. Był nagi, tylko na biodrach miał przepaskę z wielbłądziej skóry. Mocna, lecz sucha dłoń spoczywała na powęzłonym sękami kosturze. Na gładkiej piersi wisiały niezliczone sznury tajemniczych amuletów: kamieni, kawałków kości i skóry, glinianych figurek, wśród których rzucała się w oczy mała czaszka, widać ledwo narodzonego dziecka, z agatami wprawionymi w oczodoły niby groźnie wybałuszone ślepie.

Wysłańców było trzech. Drogę odbyli w pośpiechu. Przybywszy tutaj zostawili przy chacie osły i juki, w których spoczywał ciężki ładunek darów, oraz służbę. Chata była pusta, więc nie mogąc się doczekać powrotu wieszczka ruszyli go szukać. Minęli palmowy zagajnik, stanęli na wysokim brzegu rzeki. Z daleka spostrzegli, jak siedzi nad samą wodą. Poczęli zstępować w dół ku niemu. Brzeg był zarośnięty ukwieconą łąką. Brnęli przez bujną trawę, uniósłszy w palcach swe długie, delikatne szaty, aby się nie podarły o twarde źdźbła. Ten chód taneczny nie był właściwy ludziom ich godności. Mimo długiej i znoјnej podróży włosy i brody posłów były utrefione i ukarbowane; nosili na czołach i na biodrach złote przepaski, ciężkie łańcuchy na szyjach; ich tłuste dłonie nie mogły się po prostu zamknąć od licznych pierścieni zdobiących ich palce. Wykwintność, bogactwo i godność zdawały się bić od nich razem z blaskiem słońca skrzącego się w klejnotach.

Siedzący nad wodą wieszczek wyglądał zgoła inaczej. Nie miał utrefionych włosów; siwawe i spłowiałe od słońca kudły spadały mu nieporządnym kłębem na kark i na szyję. Ciało miał suche i muskularne, wypieczone na słońcu, skórę opinającą biodra — wyliniała. Wparte w czerwony muł rzeki stopy wydawały się stopami przewoźnika, który nawykł swą barękę ciągnąć na linie pod prąd.

Wreszcie jeden z przybyłych, robiący wrażenie najpoważniejszego, zdecydował się znacząco chrząknąć. Dźwięk ludzkiego głosu spłoszył na koniec zadumę wieszczka. Odwrócił głowę i natychmiast zmarszczył groźnie brwi. Oni zgięli się w niskim ukłonie. Nie podnieśli głów, aż usłyszeli jego głos:

— Znowu przybyliście? Czego chcecie?

— Wróciliśmy, Balaamie — rzekł ten, który chrząknął, wyprostowując nie bez sapania swą grubą postać. — Na nowo przynosimy poselstwo od pana naszego, meleka Aru. Czy pozwolisz, abym ci wyłożył, jak ono brzmi? — zapytał i zatrzymał się, jakby niepewny, czy wieszczek zechce go słuchać.

Balaam milczał także. Znowu patrzył na wodę. Zmarszczki jeszcze mocniej wżarły się w jego czoło. Usta rozchyliły się. Oddech stał się cięższy. Kłopotliwa cisza przeciągała się, przerywana tylko cichym chlupotem wody o brzeg.

— Wiem, z czym przyjechaliście... — rzekł wreszcie. — Widziałem was, gdyście dążyli przez pustynię. Lecz ja już raz powiedziałem. Czy chcesz mnie próbować?

— Zechciej posłuchać — powiedział poseł. Znowu chrząknął i szybkim spojrzeniem obrzucił towarzyszy trzymających się nieco za nim, jakby chciał sobie dodać odwagi. Podjął: — Pan nasz, Balak syn Sefora, melek Aru, gdy powróciłem do niego od ciebie i powiedziałem mu o twojej odmowie, rzekł: Balaam syn Bereora jest wielkim wieszczkiem i wypada go prosić długo. Weź więc ze sobą, Ewi, dwóch dostojnych książąt z miasta Settim, Sura i Rebę — gestem wskazał na stojących za sobą, przygiętych w ukłonie mężczyzn — jedź z nimi jeszcze raz nad wielką rzekę Eufrat do Balaama i na nowo proś go, by przybył tu do mnie. Aby zaś trud wieszczka był godnie uczczony, zabierz ze sobą, ile tylko zdołasz, kosztowności: naczyń srebrnych i złotych, łańcuchów oraz pięknie kowanych mieczy... Nie chcę mu płacić mało za rzecz, która mi się wydaje wielka, a czcząc go nie będę się spierał o cenę jego przybycia... i dlatego...

— Czy powiedziałeś Balakowi wszystko, co ci rzekłem za pierwszym twoim u mnie pobytom? — przerwał Balaam mowę Ewiego.

— Powiedziałem — poseł nisko schylił głowę.

— Po cóż więc znowu przyjechałeś? Srebro, złoto, kosztowności... Cóż mi po nich? Choćbyście nałożyli skarbów pod sam dach mojej chaty, nie zdołam się sprzeciwić rozkazowi Przedwiecznego Il. Nie ma mi co dać Balak ani ja jemu. Wracajcie, skąd przyjechaliście.

Zrobił mocny gest całym ramieniem; odwrócił głowę. Lecz na policzkach widać było drganie zaciskających się szczęk. Nie uszło to uwagi Ewiego. Nie odszedł, przeciwnie — postąpił jeszcze krok ku wieszczkowi. Powiedział:

— Balaamie...

— Czego chcesz? — rzucił tamten przez ramię.

— Balak syn Sefora prosi cię: nie odmawiaj zbyt pośpiesznie. Rozważ rzecz. Zechciej wpierv wysłuchać o wszystkim, co się stało. Wydarzyły się bowiem rzeczy wielkiej wagi...

Powoli odwrócił ku niemu głowę.

— Chcesz kusić... — rzekł przez zaciśnięte zęby.

— Chcę ci tylko powiedzieć. Czy pozwolisz?

— Mów.

— Lud synów Izraela stanął nad potokiem Zared i wysłał stamtąd posłów do meleka, by pozwolił przejść przez ziemię Moabu, jedną jedyną drogą, bez zbaczania na boki. Chcieli płacić za chleb i za wodę. Ale pan nasz, melek, nie zgodził się na to. Wtedy oni zwrócili się pod blask słońca i poszli drogą okrężną, skrajem pustyni. Nie wszyscy jednak. Część złożona z najlepszych ich wojowników wtargnęła, wbrew pozwoleniu meleka, na ziemię moabską. Reszta z kapłanami, z dziećmi, z kobietami, z wielką liczbą bagażu wlokła się bezludnym stepem, na którym żyją tylko lwy i szakale. Spodziewaliśmy się, że rozproszą się i zginą. Lecz oni dotarli do źródeł potoku Arnon — który, jak wiesz, oddziela dziedzinę meleka Balaka i meleka Hesebonu, Sehona — potem poszli wzdłuż niego, aż zbliżyli się do gór Abarim. Wtedy wysłali posłów do Sehona prosząc go, by im pozwolił przejść przez ziemię amorejską. Znowu mówili, że będą się trzymali jednej drogi i będą płacili za wszystko. Ale Sehon zamiast odpowiedzieć uderzył na nich ze swoim wojskiem. Sądził niewątpliwie, że — skoro najlepsi ich wojownicy oddzie-

lili się i wędrują przez ziemie moabskie — będzie mógł tamtych bez trudu rozgromić. Stało się jednak inaczej, Balaamie. Lud, który nadciągnął z pustyni, rozniósł i pozabijał wojowników Sehona, zabił samego meleka i zalał ziemię amorejską. Wszystkie miasta Sehona wpadły w jego ręce. I choć tak mały — stał się nagle silny i groźny. Czy słyszałeś, co ci opowiedziałem, Balaamie?

— Słyszałem. Czy to wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

— Nie, jeszcze nie wszystko. Gdy zostało zwyciężone królestwo Sehona, Og, melek Basanu, widząc, że groźni przybysze zbliżyli się do granic jego królestwa, zebrał swoich wojowników i uderzył z nimi na synów Izraela...

— I cóż? — Balaam przerwał Ewiemu porywczym pytaniem.

— Znowu przybysze odnieśli zwycięstwo. Mały lud zwyciężył wielkie, silne i bogate królestwo. Og zginął, zginęli jego wojownicy. Jego miasta stały się łupem tamtych.

Otarł wargi wierzchem swej tłustej dłoni. Spod oka patrzył na wieszczka. Ten zaś zapytał tonem, w którym tętniła drwina:

— Więc ktokolwiek uderzył na nich, tego oni, choć są tak małym ludem, zwyciężyli?

— Tak, Balaamie — przyznał Ewi.

— Czegóż w takim razie oczekuje ode mnie Balak?

— Pan mój, melek Balak, widzi wielkie niebezpieczeństwo, jakie przyszło wraz z tym ludem, który wychynął z pustyni podobny do stada krwiożerczych lwów. Są oni jak wiatr pustynny, który zasypuje piaskiem zasiewy i niesie choroby oczu. Królestwo moabickie jest królestwem bogactw, pięknych budowli, mądrości i wszelkich rozkoszy. To dlatego my, książęta madianicy, opuściliśmy nasze plemiona żyjące dziko na pustyni i przyszlismy służyć melekowi Aru. Miasta meleka Balaka są najbogatszymi z miast świata, bogatsze nawet niż miasta mikraimskie. I te miasta są zagrożone przez ciemne plemiona pustynne, które tylko dyszą pragnieniem rabunku. Melek Balak...

— Co zamyślił Balak? — Balaam znowu porywczco przerwał Ewiemu.

— Pan mój powiedział: aby ocalić piękno, mądrość i bogactwo naszych miast, muszę zwyciężyć tych barbarzyńców; muszę rozgromić tych, którzy rozgromili Sehona i Oga, i muszę rozgromić tych, którzy plądrują mój kraj. Lecz ten lud, choć taki mały, jest przecież groźny. Dlatego wzywam Bala-

ama syna Bereora, by przybył przekląć tamtych i pomóc mi ich zwyciężyć. Nie ma od wschodu słońca do jego zachodu większego wieszczka jak Balaam, który widzi rzeczy zakryte, przeszłe, przyszłe...

— Dość — powiedział Balaam.

Ale nie zgasił wymowy Ewiego, który ciągnął:

— Tylko Balaam może ocalić zagrożone przez najeźdźców nasze miasta pełne bogactw, mądrości i rozkoszy. Dlatego melek Balak prosi, byś przybył... Srebro, złoto, drogie kamienie, szkło z wyspy Keftiu...

— Dość — powtórzył Balaam.

— I chwała tego, który ocala świat mądrości i piękna przed ciemnotą... — I chwała... — mówił dalej niezmordowany poseł.

— Dość! — teraz Balaam krzyknął tak ostro, że Ewi przerwał. Po twarzy wieszczka przemykały dziwne połyski. Odwrócił głowę od posłów i na nowo zdawał się śledzić błyskanie srebrnych skier na powierzchni rzeki. Stali niepewni, co mają robić. Znowu czuli przed nim lęk.

Nagle Balaam odwrócił ku nim głowę i swe jasne niby nocnego ptaka oczy wpił w jednego z towarzyszy Ewiego. Patrzył na niego długo i nieustępliwie. Szeroka twarz mężczyzny, obramowana poskręcaną w pierścienie brodą, zrobiła się szarobiała. Grube wargi zaczęły dygotać.

— Kim jesteś? — zapytał olbrzym.

Gruby książę odpowiedział zająkując się:

— Ja... Nazywam się książę Sur... Przybyłem do ciebie wysłany przez pana mego, meleka... Wierz mi... Mieszkam w mieście Settim... Mam pałac i wiele służby... I córkę... Piękną... Ja...

— Gdzie jest twój ojciec? — wieszczek przerwał mu nowym pytaniem.

Sur zalekniony opuścił głowę.

— Ty wiesz... — bąkał. — Ty sam wiesz...

Balaam nie spuszczał z niego wzroku, który jak spojrzenie węża zdawał się przykuwać Sura do miejsca.

— Dlaczego nie jesteś z nim?

— Ja... on... on wyrzekł się mnie, Balaamie — tłumaczył się drżący dostojnik. — Wrócił... wrócił do swoich... poszedł... wyprowadził ich... został ich władcą... wodzem... Ale ja... ja... po ojcu matki otrzymałem wielkie stada... wiele bogactw... tak... ja...

Oczy wieszczka spłynęły z grubego posła i powędrowały w dal, ku drugiemu brzegowi rzeki, mającącemu szarą rozchwiewą palmowych gąszczy. Kościste szczęki Balaama zacisnęły się, jakby tłumiąc głos. Jedna ze stóp poruszyła się w wodzie z chlupotem, ale potem człowiek zastygł bez ruchu.

Posłowie nie wiedzieli, co mają uczynić. Na nowo spoglądali po sobie wzajem. Wreszcie gdy długi czas upłynął, a Balaam nadal tkwił nieporuszony, zdecydowali się odejść. Postanowili, że będą czekali na wieszczka przed jego chatą. „Tyle bogactw. Kiedy on to zobaczy, może ustąpi...” — szeptał Ewi. Kiwaniem głów przyznawali mu rację. Czyż człowiek — nawet obdarzony nadludzką mocą jak Balaam — nie skusi się i nie odda wszystkiego za takie skarby?

Zawrócili i znowu ująwszy w palce — niby tancerki — swe długie szaty gotowali się iść poprzez łąkę. W tej samej chwili jednak spadł na nich jak grom głos wieszczka:

— Czy jesteście tu jeszcze?

— Jesteśmy! — odkrzyknęli i natychmiast pośpieszyli do niego z powrotem.

— Słuchajcie — nie patrząc na nich śledził sterczące z wody trzciny zakończone białozółtym pióropuszem. — Wstrzymajcie się z odjazdem do rana... Jeszcze raz zapytam w nocy Przedwiecznego, czy będę mógł z wami pojechać... I jeśli zdołam, uczynię to, o co mnie prosi Balak.

Jechał o kilka kroków przed nimi na swej białej oślicy. Nogi zwisały mu nisko po obu bokach zwierzęcia, prawie włókł stopy w pyle. Głowę miał opuszczoną na piersi.

Nie popędzili swoich wierzchowców, by się z nim zrównać; wyczuwali, że chce pozostać sam ze swymi myślami. Był w nich pograżony bardziej niż poprzedniego dnia. Ale musiały to być myśli niespokojne, gdyż po smagłej twarzy wieszczka chodziły błyski i cienie, nadając jej wyraz to dziki i zawzięty, to znowu pełen żalostnej bezradności.

Gdy o świcie wyszedł ze swej chaty i krzykiem wezwał posłów, by im powiedzieć, że pojedzie z nimi do Balaka, byli przekonani, że o jego postanowieniu zadecydowała góra zwiezionych kosztowności. Ale Balaam obojętnie popchnął nogą zwalone na stos ładunki i tylko gestem dał znak, aby je pownoszono do chaty. Potem zawiązał drzwi na rzemień, wyprowadził

ze stajni swoją oślicę i — nie biorąc ze sobą nic poza płaszczem z kolorowych piór, który narzucił na ramiona — ruszył w drogę.

Jechali spiesznie, początkowo depcząc po swych cieniach, a gdy one skróciły się, poczęły je mijać po lewej stronie. Balaam nie oglądał się na posłów ani też nie odzywał się do nich. Widzieli tylko, jak poganina oślicę niecierpliwymi uderzeniami łydek. Nie śmieli go o nic pytać. Jechali za nim.

W południe, gdy skwar stał się nieznośny, Balaam zatrzymał oślicę w kręgu cienia rzucanego przez rozłożysty terebint. Posłowie zatrzymali również swoje wierzchowce. Wszyscy spływali potem, chociaż nad każdym idący obok niewolnik niósł parasol, inny zaś nieustannie powiewał wachlarzem z piór. Sapiąc usiedli na rozestanych derach. Służba podała im wino, owoce, placki, mięso. Ewi polecił zanieść jedzenie wieszczkowi, ale Balaam wziął tylko kawał placka i kazał przynieść sobie wody. Księżęta wyciągnęli się, zapadli w drzemkę poleciwszy niewolnikom, by odpędzali od nich muchy. Balaam siedział nieruchomo ze skrzyżowanymi nogami i patrzył w drgającą od żaru dal. Po pewnym czasie podniósł się, dosiadł swej oślicy, krótkim okrzykiem wezwał posłów, by wstawali. Ruszył pod ziejące ogniem niebo. Pomrukując z niezadowolenia, lecz nie śmiejąc mu się sprzeciwić, pojechali za nim.

Cienie leżały teraz za nimi, długie i mechate, gdy zobaczyli, jak wciąż posuwający się przed nimi na kilka kroków Balaam zjechał gwałtownie z drogi w miękką rolę. A raczej to nie on — tylko oślica jakby czymś przestraszona, uskoczyła w bok. Wieszczek wyrwany nagle ze swych rozmyślań wpadł w gniew. Widzieli, jak ze złością, nielitościwie, okładał zwierzę kijem. Stęskając boleśnie, oślica opornie i niechętnie wróciła na pustą drogę.

Ale zaledwie wjechali do mijanej osady, kiedy oślica zapierając się czterema nogami gwałtownie się zatrzymała, a potem rzuciła w bok, przyciskając nogę jeźdźca do ciągnącego się wzdłuż drogi muru. Balaam wydał okrzyk bólu, a jednocześnie wściekłości. Z pasją zaczął bić zwierzę kijem, ono zaś brało pod siebie zad, drżało, lecz nie chciało postąpić naprzód ani kroku. Bił je dalej, to po zadzie, to po łbie, jakby chciał oślicę zabić. W końcu przymuszona bólem ruszyła naprzód, sunęła jednak bokiem drogi i dopiero później wróciła na jej środek. Księżęta dojechawszy do miejsca, w którym oślica się wściekła, rozejrzeli się ciekawie, ale nie zobaczyli nic. Ich wierzchowce szły spokojnie, nie zastrzygłszy nawet uszami.

Droga za osadą wchodziła w wąski parów między dwiema dość wysokimi skałami. Na tle zalanego czerwienią nieba widzieli przed sobą sylwetkę jadącego wieszczka. Nagle usłyszeli jego pełen wściekłości okrzyk i zobaczyli, jak oślica pada na kolana. Stojąc nad nią rozkraczony Balaam tłukł ją kijem z niepohamowaną furią. Zwierzę stękało, ale nie podnosiło się. W spokojnym uporze oślicy i w pasji wieszczka było coś tak dziwnego, że zatrzymali swoje wierzchowce i tylko z daleka patrzyli, co się stanie. Słyszeli głuche uderzenia kija i okrzyki człowieka: „Zabiję cię. Zabiję cię. Ty podłe bydło! Wstawaj! Wezmę miecz i zabiję cię. Wstawaj natychmiast!”

Lecz nagle stała się rzecz zdumiewająca: Balaam wypuścił kij z ręki i cofnął się na skraj drogi. Stał nieruchomo, jakby rażony piorunem, oparty o gliniastą ścianę wąwozu, z twarzą obróconą ku czerwonemu słońcu zamykającemu drogę niby gład wejście do grobowca. Mówił coś, czego nie mogli dosłyszeć. Trzech dostojników madianickich ogarnął strach. Ich wierzchowce także zaczęły lękliwie trzeć o siebie bokami. Posłowie nie mieli teraz wątpliwości, że jakaś tajemnicza siła stanęła na drodze wieszczka i nie pozwalała mu jechać, na wezwanie Balaka. Uderzeniami pięt usiłovali zmusić zwierzęta, by wykręciły na wąskiej drodze. Ale że żaden nie chciał zostać w tyle, utknęli w ciasnocie i nie mogli się wywikłać z kłębowiska. Ręce i nogi im drżały. Wydawali ciche piski, niby wystraszone szczury.

Tymczasem oślepiający blask słońca w wąwozie przygasł, kula słoneczna zapadła za jakąś wyniosłość. Zobaczyli, jak Balaam podchodzi do oślicy, bierze — już bez gniewu i gwałtowności — za sznur, a ona — bez oporu — dzwiga się na nogi. Nie odwracając się ku nim, nie tłumacząc im ani słowem tego, co się stało, wieszczek dosiadł swego wierzchowca. Ruszył naprzód. Widzieli znowu jego sylwetkę na czerwonym tle nieba. Choć pełni lęku, ruszyli za nim.

W parę dni później Balaam, ubrany w swój płaszcz z piór, ze wszystkimi swymi amuletami na szyi, wstępował w towarzystwie Balaka ścieżką na górę. Rozłożysty masyw górski wznosił się obrosłymi zielenią zboczami, by wystrzelić wreszcie nad miękką gąszcz akacjowych liści i nad majestatyczne płaty gałęzi cedrowych łysymi kopcami dwóch oddzielonych od siebie rozpadliną wierzchołków. Gdy wynurzyli się z lasu, otworzył się przed nimi rozległy widok. W dole, tuż pod skalnymi nawisami, mieli owal jeziora. Długa misa ciemnej, połyskującej metalicznie i dziwnie nieruchomej wody

obramowana była koronką skał. Ku jezioru spływała rzeka, a jej wody wchodziły w jezioro i znaczyły na jego mrocznej powierzchni srebrną smugę. Ziemia za rzeką była zielona i puszysta od skłębionych krzewów i liści, między którymi białą plamy osiedli ludzkich.

Za Balakiem i Balaamem w należytej odległości szli książęta moabicy i madianicy, kapłani i żołnierze. Dalej ciągnęła gromada służby pędząc przed sobą całe stado cielców i baranów oraz dźwigając naręcza drew. Balak prowadził wieszczka ku najbliższemu z wierchołków, na którym już z daleka widać było zwrócone ostrymi końcami w niebo maseboty — święte kamienie Baala. Przeszli obok nich, zatrzymali się na zboczu. Melek wyciągnął przed siebie swe białe, tłuste, zdobne ciężkimi bransoletami ramię. Powiedział:

— Patrz. Oto oni.

W dole, u podnóża górskiego masywu, na skraju doliny, przez którą biegła biała cięciwa potoku, widać było obóz: namioty, kręcących się ludzi, pasące się stada, dymy wznoszące się słupami znad ognisk.

— To oni — powtórzył Balak. — Podły lud, który przyszedł z pustyni i pożera wszystko, co napotka na swej drodze, jak szarańcza. Przeklnij ich, przeklnij ich, Balaamie. Twoje przekleństwo zapewni mi zwycięstwo nad nimi. Bez tego przekleństwa nie mogę na nich uderzyć, a uderzyć trzeba...

— Dlaczego trzeba? — zapytał wieszczek, nie patrząc na króla, ale w dół, na namioty izraelskie. — Przecież oni przechodzą tylko koło twego królestwa...

Melek parsknął szyderczym śmiechem.

— Żartujesz, wrózu. Oni wprawdzie tak twierdzą. Ale któż by im wierzył? Ten mały lud, który umknął z niewoli mikraimskiej, miałby zapanować nad całą ziemią Kanaan, która ma stu meleków i jest oczkiem w głowie faraona? Oni tak powiadają, ale tylko zerkają na prawo i lewo, by wpaść do czyjegoes kraju, zalać go i zdobyć. To rozbójnicy pustynni, chciwi na łupy, na bogactwa zebrane przez skrzętnych i pracowitych mieszkańców miast. To barbarzyńcy. Przeklnij ich! Jesteś wielkim wieszczkiem, największym, jaki istnieje. Szanuję cię i chcę cię uczcić. Nie jestem skąpy. Moi książęta także nie poskapia niczego. Ile tylko srebra czy złota zapragniesz...

Balaam przerwał melekowi:

— Powiedziałem już twoim, a teraz mówię tobie: mogę mówić to tylko, co mi pozwoli rzec Przedwieczny Il... Nic więcej, nic mniej... Tak mi tylko wolno postąpić. Cherubin Boży powiedział mi, że zginę, jeśli uczynię coś wbrew woli Ila.

— Czyżby wszechmocny Il nie chciał ich zguby?

— Nie wiem, czego chce dla nich. Wiem tylko, że nie pozwolił mi jechać do ciebie, gdyś wzywał mnie po raz pierwszy. Kiedy napałeś się i przysłałeś drugi raz posłów, skłoniony przez ciebie pytałem go znowu. Wtedy pozwolił mi pojechać, lecz nakazał głosić tylko swoje słowa. Jeszcze upominał mnie w czasie drogi. A teraz. — jeśli chcesz — odkryję ci jego słowa...

— I to będzie przekleństwo?

— Oby nim było.

Białe oczy wieszczka spotkały się z czarnymi, połyskującymi niepokojem oczami meleka.

— Przeklnij więc! — zawołał Balak. — Przeklnij ich! Nadeszli jak groza. Mówili u nas ludzie od dawna, że na pustyni tężeje i urasta w siłę lud, który — gdy przyjdzie — przyniesie nowe obyczaje, a wraz z nimi niepokój... Nie potrzeba nam niepokoju. Nie potrzeba nam nowych obyczajów. Przeklnij ich!

— Każ, aby twoi kapłani nałożyli dREW na siedem ołtarzy, a na każdym położyli cielca i barana. Niech zapalą kadzielnice, niech rozpoczną śpiewy do Baala, władcy szczytu...

— Stanie się, jak pragniesz.

Począł śpiesznie wydawać rozkazy. Tymczasem Balaam przyłożywszy dłoń do czoła patrzył dalej na pstrokaciejące w dole obozowisko. Ze szczytu widział zresztą tylko jego część, resztę zakrywał wchodzący w łękę grzebień skalny. Oczy wieszczka były utkwione czujnie w skupisku namiotów na dole, niby wzrok myśliwca, który wypatruje, gdzie ma ugodzić swoją ofiarę. Po jego twarzy snuły się cienie niepokoju. Balaam oddychał coraz prędzej. Ekstaza, której miał za chwilę zaznać, zbliżała się. Twarz wieszczka zszarzała.

Porywczo odwrócił się i podbiegł do ołtarza w środku. Dwaj kapłani podali mu spętane zwierzę. Dłoń wieszczka omackiem szukała harpy — ofiarnego miecza w kształcie sierpa, lecz o zaostrzonej zewnętrznej krawędzi. Jednym ciosem Balaam otworzył brzuch barana. Pochylił się nad krwawą dziurą. Zdawał się czegoś niespokojnie szukać.

— Kadzidel! — zawołał chrapliwie.

Natychmiast ofiarnicy sypnęli na rozżarzone węgielki sieczkę odorzących ziół. Gęsty dym buchnął i spowił wszystko. Wśród jego błękitnych kłębow widać było wielkiego wróża, jak stoi wyprostowany, trzymając w podniesionych wysoko dłoniach krwawy ochłap. Balak, książęta i kapłani czekali niecierpliwie na nadejście chwili natchnienia. Aż wreszcie usłyszeli dziki, przerażający, niepodobny do ludzkiego głosu krzyk. Zaczął się niskim pomrukiem, a potem rósł coraz wyższymi nutami, coraz bardziej bolesny. Uniesione ramiona poczęły się skręcać niby węże. Głowa poleciała w tył i zwisała nad plecami, straszna, z wybałuszonymi oczyma, z otwartymi ustami, z których ściekała piana. Na koniec krzyk urwał się. Jakieś głosy zdawały się w głębi rozdartych ust zanosić szaleńczym chichotem. A potem usłyszeli niby śpiew czy zawodzenie:

Jakże mam przeklinać, kogo Najwyższy nie przeklął?

Patrzę na nich i widzę ich...

Ich namioty nie stoją przy namiotach innych plemion.

Samotny lud urośnie w tysiące, których nikt policzyć nie zdoła...

Ramiona opadły, odrzucona w tył głowa pociągnęła całe ciało, a ono nagle bezsilne runęło w ramiona czuwających kapłanów. Wydawało się sztywne niby pień drzewa. Pod sznurami amuletów zaledwie można było dostrzec powolne falowanie piersi. Kapłani położyli olbrzyma na ziemi. Delikatnie zaczęli mu skrapiać twarz i piersi wodą. Po chwili zaczął dyszeć. Otwarte oczy zamknęły się, rozcapierzone i zeszywniałe palce zwiotczały.

Balak stanął nad leżącym. Niecierpliwie czekał, aż oczy wieszczka otworzą się na nowo przytomnym spojrzeniem. Wtedy zawołał:

— Cóżes ty mówił? — Aż klasnął z przejęcia w swe grube dłonie. — Przyzwałem cię, byś ich przeklinał! A ty? Ty błogosławiłeś im. Błogosławiłeś ludowi rozbójników pustynnych. Co ty zrobiłeś, Balaamie?

Wieszczek zwrócił oczy na meleka; spojrzał na niego wzrokiem zmęczonym i przyćmionym. Także głos Balaama był cichy, jakby przytłumiony.

— Czy ci nie mówiłem, że powiem to tylko, co mi pozwoli powiedzieć władający światem II? Cokolwiek bym chciał przeciwko jego woli...

— Ależ słuchaj... — Balak przerwał mu. Pochylił się nad Balaamem tak nisko, że jego czarne, układane w pukle włosy prawie dotykały szarej, niby posypanej popiołem chyry kudłów wieszczka. — Słuchaj, Balaamie... Czy

ty nie wiesz, że oni przynieśli ze sobą swego Boga? Boga, którego chcą uczynić jedynym Bogiem? W Funonie rozwalili ołtarz bogini Allat. W miastach Basanu i Hesebonu poniszczyli świątynie Astarte, wycięli gaje Baala i Anaty, splugawili wieże Yariha i Nikkal. Ich Bóg nie znosi innych bogów obok siebie. To krwawy, okrutny Bóg. Zawzięty i zazdrosny. U nas książęta madianicy czczą Baala Fegora, książęta moabicy — Kamosa. Inni oddają cześć Aserze, bogu morza Im i bogu podziemi Mot...

— Nad wszystkim jest wszechwładny Il... — powiedział cicho Balaam.

— Ależ zgoda — pospieszył zapewnić Balak. — Nikt się temu nie sprzeciwia. Lecz wielki Il jest daleko. A na każdym szczycie panuje jego Baal, każda pieczara ma swego Mota, każde miasto — swój dom miłości Astarte... Nie mamy zamiaru mordować się dla okazania, który bóg jest potężniejszy. Jesteśmy ludźmi rozsądnymi, spokojnymi... A oni? Oni czczą swego Boga wywracając ołtarze innych bogów. Mordują obcych kapłanów. Zabijają wieszczków. Czy wiesz o tym, Balaamie?

— Wiem...

— Więc musisz ich przekląć. Słyszysz: musisz ich przekląć!

Tłusty władca aż podskoczył w górę na swych grubych nogach, zapominając o przynależnej stanowisku powadze. Ciężki łańcuch, zdobny figurką nagiej bogini o grubych pośladkach, podrygiwał mu na piersiach,.. Wykrzykiwał dalej:

— Musisz ich przekląć! Musisz ich przekląć! Oni nas zgubią... Oni zniszczą nasze miasta. Oni spalą nasze świątynie. Oni zwałą naszych bogów. Oni nam zabiorą nasz spokój!

Jakaś nowa myśl przeszła przez głowę melekowi. Chwycił wieszczka za rękę, zmusił do powstania z ziemi i ciągnąc za sobą wołał:

— Chodź. Chodź ze mną. Zaprowadzę cię na szczyt Fasga i stamtąd pokażę ci inną część obozu synów Izraela. Spojrzysz na nich stamtąd i zobaczysz, że ich przeklniesz. Ja ci mówię, że ich przeklniesz. Chodź.

Biegiem przebyli małe siodełko skalne i znaleźli się na szczycie. Wynurzał się również łysą piramidą z czarnego gąszczu krzewów. U stóp tej piramidy, w małej kotlinie, stało siedem masebotów, a przed każdym z nich kamienny ołtarz. Podczas kiedy kapłani przystąpili do spieszego rozpalaenia ognia, zadyszany, lecz opanowany pasją Balak zaprowadził Balaama na sam wierzchołek góry. Patetycznym gestem wyciągnął rękę:

— Patrz.

W dole widać było inną część izraelskiego obozu. Płaskie namioty robiły z góry wrażenie mrówczych kopców. Między namiotami kręcili się biało ubrani ludzie. Na łące, niby rozpryski skalne, pasły się stada owiec. Pośrodku obozu, w obrębie szerokiej zagrody, stał namiot większy niż inne, czarny i tajemniczy. Z paleniska przed wejściem wstępowała w niebo prosta i jasna kolumna dymu.

— Widzisz? — krótki i pulchny palec Balaka, przelewający się przez pierścień, zawisnął w powietrzu. — Widzisz? Tam mieszka ten ich Bóg, dla którego oni chcą zniszczyć wszystkich innych bogów. Przeklnij! Przeklnij ich i Jego! Pamiętaj: Jego zwycięstwo będzie twoją zagładą. Naszą, ale i twoją. Pamiętaj!

Olbrzymi wieszczek nie powiedział nic. Stojąc bez ruchu na skale patrzył długo, jak urzeczony, w dół. Jego muskularne ramiona zwiślały bezsilnie, po ciele zaś musiały przebiegać dreszcze, bo sznury amuletów chrzęściły i podzwaniały niby uprząż na gryzionym przez muchy koniu.

W końcu potrząsnął głową jak ktoś, kto się chce otrząsnąć z napastującego snu. Zmrużył oczy, ściągnął brwi. Zdawał się przywoływać swą tajemniczą siłę. Pasował się z nią. Ujął w garść amulety i zacisnął na nich palce. Balak patrzył na niego z szacunkiem i z uśmiechem oczekiwania.

Potem wieszczek podszedł do ołtarza. Kapłan podał mu harpę, a on szybkim uderzeniem otworzył brzuch ofiarnego zwierzęcia. Wzrok wszystkich: meleka, książąt, kapłanów, był utkwiony w Balaamie. On zaś wpatrywał się długo w dymiącą wątrobę barana. Znowu zakrzyczał przeraźliwie i dziko. A potem począł zawodzić głosem płaczki:

*Nie jest Bóg człowiekiem, który kłamie lub zmienia swą wolę.
I dlatego nie przeklinać, ale błogosławić muszę...
To nie bożek ręką ludzką uczyniony mieszka między namiotami
Izraela,
Lecz Pan mocny niby bohemot i groźny niby labi,
Bóg, który wyprowadził synów Jakuba z niewoli mikraimskiej,
Który nie zna wieszczków, bowiem oznajmia rzeczy mające
nadejść...*

Dosyć — mówił Balak wczepiając palce w swą kunsztownie ułożoną fryzurę, rwąc ją i targając. — Dosyć. Skoro nie chcesz czy nie możesz przeklinać, przynajmniej nie błogosław.

Balaam leżał ciężko na ziemi zmiądzony wróżbą. Twarz mu zapadła, stała się mała jak pięść, w zmęczonych oczach nie było żadnego blasku. Mówił wolno, dysząc między każdym słowem:

— Powiedziałem ci i mówię: mogę uczynić to tylko, co jest mi dane...
— Opuścił głowę, kłopotliwie zanurzył palce w sypkiej masie drobnego piargu. — Puść mnie... — rzekł cicho, nie patrząc na meleka. — Nie zatrzymuj mnie. Wróć nad rzekę, do siebie... Miałaś słuszność... mój czas skończył się... Nie zdołam... Jestem pobity...

— Przestań! — melek tupnął nogą. Słuchając słów wieszczka coraz pogardliwiej wydymał wargi. Teraz patrzył na niego z gniewną drwiną. — Chcesz ustąpić z pola? — zapytał.

— Co mam robić? — Balaam patrzył nadal w piarg. — Moc, która jest we mnie, pożera mnie...

— Zmuś ją do posłuchu.

— Nie zdołam... Coś się stało, że nie potrafię tego uczynić... Wolę odejść. Puść mnie...

— Oszalałeś. Mówię ci: jeśli On i oni zwyciężą — zginiesz.

— Już zginąłem...

— Nie. — Ogarnięty nową falą podniecenia melek schwycił wieszczka za ramię — Nie. Jeśli ich tylko nienawidzisz... Jeśli jesteś tylko naszym wieszczkiem!.. Jeszcze raz spróbuj... Chodź, zaprowadzę cię na szczyt Fegoru. — Wskazał na jeszcze jeden wierzchołek sterczący ponad drzewa. — Tam mieszka Baal, którego czczą książęta moabicy. Złożymy mu ofiarę, jakiej dotąd nie składaliśmy... On, zobaczysz, pozwoli ci przekląć. Chodź.

— Idę — powiedział Balaam i jakby z nową energią powstał na nogi.

Ołtarze przed masebotami Baala Fegoru dymiły i rozsiewały odurzającą woń, gdyż służba polalała drzewo olejkami i posypała kadzidłę. Rozłożysty szczyt wydawał się jedną wielką kadzielnicą. Lekki powiew wiatru skręcał

dym i zamiast nieść go w niebo roztargiwał na wierchach, iglicach skalnych i gałęziach cedrów.

Kapłani unieśli swe noże nad cielcami i baranami. Ostrza błysnęły w słońcu, rżenie bydła mieszało się z chłupotem wylewanej krwi. Lecz wszystko zagłuszył na chwilę przeraźliwy krzyk ludzki — krzyk dziecka.

Dwaj ofiarnicy rzucili na ołtarz przed Balaamem miotającego się rozpaczliwie chłopca. Wieszczek, który dzierżył już niesioną w górę harpę, zatrzymał się. Lecz w tej samej chwili rozległ się tuż za nim głos meleka:

— Oto ofiara godna bóstwa. I godna przekleństwa, które wygłosisz...

— Co to za dziecko?

— Ach, czy to ważne? Kazałem go porwać straży z najbliższego domu. Ofiaruj go. Ofiaruj — i przeklnij ich!

Balaam nie pytał więcej. Gwałtownie opuścił miecz. Ofiara została złożona. Wieszczek pochylił się nad rozprutym ciałkiem. Lecz pochyliwszy — cofnął się zaraz, jakby odepchnięty niewidzialną ręką. Moc, która nań spadła, odgięła go całego w tył tak mocno, że zdawało się, iż wieszczek sięgnie głową pięć. Uniósł w górę ręce, a zakrzywione niby szpony palce otwierały się i zamykały. Potem obu dłońmi schwycił się za gardło. Wył, jak wyje szakal w księżycową noc. Na koniec wycie przeszło w słowa:

Jak piękne są twoje namioty, Izraelu!

Wyjdzie z nich pokolenie zwycięskie i wielkie.

Choć przyjdą narody niezliczone, by z tobą walczyć,

Nie osiągną nic...

Same ze sobą walczyć będą, wznosić się i ginąć.

A potem, potem, wznijdzie On, Syn Jakuba,

Niby gwiazda...

Z charkotem padł na ziemię, wił się, skręcał, wyginał ciało w łuk, bryzgał lejącą się z ust pianą. W końcu zamarł bez ruchu; wydawało się, że nie żyje.

Nikt nie pochylił się nad nim. Książęta, kapłani, służba nie śmieli tego uczynić, drżąc przed Balakiem, którego ostatnia wróżba wprowadziła w prawdziwy szal. Do reszty roztargał włosy, obsypał je pyłem, poszarpał na sobie kuttone. Cisnął w ogień złotą przepaskę, którą miał na czole. Podbiegł do leżącego wieszczka, podniósł nogę, aby go kopnąć. Ale nie uczynił tego. Zatrzymał się tylko i począł wołać:

— Precz! Precz z nim! Precz z tym ścierwem! Głupim, kłamliwym wieszczkiem. Niech wraca do siebie! Precz! Odbierzcie mu dary, które otrzymał. Chciałem go uczcić, ale sam Il pozbawił go czci. Precz z nim!

Odwrócił się gwałtownie i podbiegł nad urwisko. Zacisnąwszy w pięści obie dłonie, patrzył w dół na obóz. Jakżeż był mały. Niełatwo było uwierzyć, że lud ten pobili wojska władców Basanu i Hesebonu. I to wtedy, gdy był pozbawiony swoich najlepszych wojowników. Wojsko Balaka, które stało gotowe do walki po drugiej stronie góry, było na pewno liczniejsze.

A przecież Balak czuł, że po tym, co usłyszał, nie ośmieli się stanąć na jego czele i nie ruszy na przybyszów z pustyni, choć byli śmiertelnym niebezpieczeństwem dla jego królestwa. Jeszcze wyżej w górę podniósł pięści. Gdyby słowa, które miał na ustach, mogły zabijać! Lecz, niestety, trzeba się będzie tego wyrzec. Trzeba będzie wrócić do glinianych miast i żyć za ich murami w wiecznym niepokoju, że wróg jest, rozwija się, rośnie, potężnieje i pewnego dnia przyjdzie...

Wciąż pełen gniewu, odstąpił od skraju urwiska. Wieszczek tymczasem oprzytomniał. Powoli, wspierając się na swym kosturze, stawał na nogi. Nikt mu nie pomagał, nikt mu nie podał ręki. Książęta i kapłani odwracali twarze, podkreślając tym gestem niełaskę, jaka spadła na Balaama. Olbrzym wyprostował się wreszcie. Wbrew temu, co się stało, twarz jego nie była twarzą zwycięzonego człowieka. Malowała się na niej nie walka wewnętrzna, ale zimna zawziętość. Jeżeli dostojnicy moabicy i madianicy patrzyli na niego z lekceważeniem, we wzroku, jakim prześliznął się po ich twarzach, była pogarda. Odrzucił kij, skrzyżował ręce na piersiach. Jakby nagle zapomniawszy o swych słabościach — pewnym krokiem podszedł do Balaka.

— Słuchaj, co ci powiem — zaczął stanowczo.

— Cóż mi jeszcze możesz powiedzieć? — drwiąco przerwał mu melek. Ale było coś w postawie Balaama, że natychmiast zmienił ton. — Dobrze — zapewnił — słucham twoich słów. Czy znalazłeś sposób, żeby ich przekląć?

— Znalazłem sposób, by ich zwyciężyć — rzekł wieszczek, powoli odważając słowa.

— Więc mów! Mów prędko!

— Możesz wyrwać jadowite zęby tej żmii...

— Jak? Jak chcesz, żebym im je wyrwał? Czyż nie wieścieś, że zginie, kto z nimi walczyć będzie?

— Nie tylko mieczem można zwyciężyć... Mówię ci: wyrwij im zęby. Czy nie ma u twego ludu dziewcząt o okrągłych piersiach, których falowanie budzi dreszcz? Czy nie mają one szerokich bioder i ud połyskujących łąkomiem w tańcu? Czy nie mają zręcznych dłoni, których dotknięcie rodzi zapomnienie?

— Myślisz...? — zapytał melek otwierając szeroko oczy.

— Tak — skinął głową. Na usta Balaama wypełził zły uśmiech. — On — rzekł — kazał mi mówić to, czego mówić nie chciałem... Każę służyć... Ale ja ich także nienawidzę. I dlatego mówię ci — pochylił się władczo nad Balakiem — zrób, jak ci radzę.

Liczna gromada młodzieży, która pod wodzą Refny przekroczyła potok Zared i weszła w kraj moabicki, leżała teraz obozem pod murami miasta Settim.

Lud, wędrujący wolno i okrążający źródła Arnonu, jeszcze tutaj nie nadciągnął. Wybierając drogę krótszą, Refna nie miał przecież zamiaru zrywać łączności ze swoimi; chciał ich tylko ubiec i pokazać, że nie mają najmniejszego sensu ustępstwa Mozisa. Moabici zabronili mu przejścia przez swój kraj — on szedł przez jego środek, drwiąc sobie z ich zakazu, śmiejąc się wesoło, gdy widział, jak ludność uciekała przed nimi w popłochu i zamykała się w obronnych zamkach. „Tak samo było z Edomitami — mówił wesoło, klepiąc się butnie po udach. — Nie trzeba tylko być tchórzem”.

Jedzenia mieli w bród — przerażona bowiem ludność odbiegła swych stad i pól — droga więc upływała wygodnie i wesoło. Jadącym przez kraj moabicki wojownikom izraelskim otwierały się szeroko oczy. Urodzeni i wychowani na pustyni nie widzieli jeszcze kraju pokrytego winnicami, sadami, gajami oliwnymi, polami uprawnymi, soczystymi pastwiskami, osadami i miastami. Nie mogli się dość nazdumiewać oglądanyim bogactwem...

Refna, który przekraczając Zared sądził, że jego droga Moab będzie drogą zdobywania miast i rabunków, w miarę posuwania się na północ zmienił zamiar. Miasta były przygotowane do obrony i żadnego z nich nie dałoby się zaskoczyć jak Funon. Trzeba by je było oblegać, a to by się ciągnęło długo. W rezultacie, gdy oni męczyliby się pod murami któregoś z miast,

lud mógłby — mimo swej dłuższej drogi — wyprzedzić ich i pierwszy stanąć u wrót Ziemi Obietnicy. Tego ani Refna, ani pozostali wojownicy nie chcieli. Postanowiono więc przejść przez ziemię moabicką bez walki, śpiesznie, zatrzymując się jedynie przy ostatnim z miast, pod Settim. Leżało ono blisko Jordanu, przy wielkim szlaku łączącym Kanaan z królestwami Babilonii i Mitanii. Tym to szlakiem powinien był nadejść prowadzony przez Mozisa lud i pod Settim spodziewali się połączyć z nim na nowo. Poza tym Settim miało sławę najbogatszego z miast Balaka. Dzięki swemu położeniu blisko brodu na rzece odwiedzane było często przez wędrujących kupców, prowadziło z nimi zyskowny handel, zaś jego mieszkańcy — bogacze madianicy, moabicy i amorejscy — opływali w srebro i złoto. Zdobyte Settim byłoby wielkim zwycięstwem i triumfalnym przypieczętowaniem przejścia przez ziemie moabickie.

Z myślą więc o Settim ciągnęła obarczona tylko nielicznym taborem armia Refny przez wciąż zdumiewający ją swymi bogactwami kraj. Nie napotykała żadnego oporu, mogła bezkarnie rznąć schwyte bydło i rwać owoce z drzew. Nie śpieszono się. Ucztowano; wylegiwano się w opustoszałych domach, które oszołamiały nawykłych do życia pod namiotami wojowników swymi służącymi wygodzie urządzeniami; ubierano się — chichocząc — w znalezione w skrzyniach cienkie szaty mieszkańców; pito wino, którego całe stągwie stały w pustych sieniach. Potem ruszono dalej. Przeciągano pod bramami miast, potrząsając dzidami, wygrażając stojącym na murach obrońcom — ale właściwie z coraz mniejszą nienawiścią. Dawna zawziętość do mieszkańców glinianych miast topniała w miarę, jak poznawali, czym jest ich życie; ustępowała miejsca dobrodusznemu podziwowi: ci się umieli urządzać!

Ciągle podczas wieczornych pogwarek mówiło się o bogactwach, jakie czekały na nich w Settim. Lecz choć upajali się tym gadaniem — nie śpieszyli się zbytnio. „Będzie czas na wszystko” — mówili.

W końcu jednak zobaczyli na tle zielonych, łagodnie wzdętych wzgórz płonące w blasku zniżającego się za łańcuch gór słońca — mury miasta. Settim leżało przed nimi długą linią zębatego muru. Z najwyższym zdumieniem spostrzegli, że brama miasta nie jest zawarta jak bramy innych miast. Drogą, która słała się ku nim, przeskakując mostkiem ponad strugą wody i wijąc się między palmowymi zagajnikami, zdążył w ich stronę jakiś liczny poczet. Ale nie byli to wojownicy, wychodzący naprzeciw nadciągającego nieprzyjaciela. Widzieli grubych kupców z ufryzowanymi brodami, w kosztownych

szatach, którzy już z daleka powiewali ku nim gałązkami oliwnymi i machali im przyjaźnie rękami.

Za tamtymi od bramy miasta wyciągnął się sznur zwierząt jucznych, dźwigających ładunki. Na czele zbliżających się jechał grubas we wspaniałym zawoju, ozdobionym nabijaną klejnotami srebrną blachą. Musiał to być zarządca miasta, otaczała go bowiem liczna służba nie przestająca poruszać mu nad głową wachlarzami z piór. On także uśmiechał się do nich. Jakiś człowiek biegł przy osle zarządcy i z daleka wykrzykiwał powitania w ich własnym języku. Naprawdę nie wiedzieli, jak się mają zachować. Tamci podejżdżali coraz bliżej. Wyciągali ręce. Tłumacz wołał teraz, że księżę Racena, pan miasta Settim, a sługa wierny wielkiego meleka Balaka, pragnie powitać braterskim uściskiem wodza wojowników izraelskich, których męstwo znane jest całemu światu. I znowu nie wiedzieli, jak mają postąpić. Inni księżęta wypchnęli przed siebie Refnę. Młody księżę rodu Manassesa niepewnie podszedł do woniejącego olejkami zarządcy. Ten z zapalem zarzucił mu ręce na szyję i przycisnął swe grube wargi do jego warg. Trzymając Refnę w pół, obrócił go w stronę miasta i uprzejmym gestem pokazał mu nadciągającą karawanę jucznych zwierząt. Gnąc się w ukłonie tłumacz przekładał słowa swego pana: „Aby uczcić bohaterstwo wojowników izraelskich, miasto Settim ofiarowuje im niezmierne bogactwa. Oto one...”

Sznur wielbłądów i osłów przedefilował przed zdumionymi oczami Refny i jego ludzi. Lecz to nie było wszystko. Za ledwie zdołali przejąć ofiarowane im dary, tłumacz zawiadomił ich, że miasto zaprasza wodzów i znaczniejszych wojowników izraelskich na wielką ucztę, zgotowaną dla nich na placu miejskim, pod murami miasta. Nie było czasu zastanowić się, jak należy postąpić: już szły ku nim setki niewolników z dzbanami wody i flakonami olejków do obmycia rąk i nóg oraz namaszczenia włosów.

Nawet nie spostrzegli, kiedy odłożyli dzidy i miecze i dali się zaprowadzić do stołów. Z miasta wychodziły coraz liczniejsze rzesze ubranych świątecznie i wesoło uśmiechniętych mieszkańców. Wszyscy śpieszyli do Refny i innych księżąt, kładli dłonie na ich dłoniach, podawali im wino w cudownych kielichach z cienkiego szkła. A potem nadbiegły rojem dziewczęta. Wszystkie miały włosy rozpuszczone, klejnoty w uszach, na rękach i na nogach, zaś kuttony tak przezrocyste, że nie skrywały prawie ich kształtów. Znosiły wieńce z kwiatów i wśród radosnych śmiechów kładły je na głowy wojowników izraelskich. Inne przyniosły instrumenty muzyczne: podwójne fletnie, kinnory, harfy, bębny, grzechotki, cymbały. Za chwilę przejmująca

muzyka zapanowała nad placem miejskim. Wtedy pojawiły się tancerki o ciałach połyskujących od olejków. Małe ich stopy o pomalowanych na purpurowo paznokciach zawirowały szybko w miejscu. Dzwoniły bransolety, migały kółka wpięte w przegrodę nosową, różowiły się twarde piersi, łyskały wabiąco złociste przepaski. Z muzyką mieszał się gwar zachwyconych głosów, porywcze śmiechy, namiętne klaskanie dłoni.

Lecz kiedy zabawa — zdawało się — przejdzie w orgię, wybuchnęły nagle hałaśliwe krzyki i odwróciły uwagę uczujących od tancerek. Na plac wjeżdżał właśnie ukwiecony zaprząg, ciągniony przez dwanaście białych oślic. Na nim — wśród kwiatów — jechało kilka ubranych jedynie w siateczkę z klejnotów przepięknych dziewcząt. To córki ksiąząt Settim przyjechały witać wojowników izraelskich.

Pomiędzy obozem a miastem leżała przestrzeń pól uprawnych, winnic, ogrodów oliwnych i gajów palmowych. W dzień wydawała się przestrzenia niewielką, bo spoza drzew i krzewów widać było doskonale mury miasta i okoliczne wzgórza. Ale w nocy, gdy się zgubiło ścieżkę, droga przez spletaną masę czarnych krzewów, poprzegradzanych tu i tam niskimi płótkami z kamienia, wydawała się nieskończenie długa. Zwłaszcza dla kogoś, kto śpieszył się jak Noa.

Jedyną rzeczą, którą miała przed sobą niby kierunkowskaz, były ognie, jakimi pałało jedno z bliskich murom miejskim wzgórz oraz dochodzące z niego śpiewy chóralne, okrzyki, dźwięki muzyki. Szczególnie przejmująco nawoływały piskliwe podwójne flety i dzwoniły sistrumy. Szła wprost na tę muzykę i na te blaski. Lecz mimo tych okrzyków i odgłosów niełatwo jej było znaleźć drogę. Przeciwnie — od tych ogni jej oczy były jak porażone i szkliły się łzami. Także serce biło mocno, nieznośnie. Mimo to szła naprzód. Przedzierała się przez krzewy, uderzała o pnie, potykała się o murki, utykała w chaszczach o liściach posrebrzonych i poróżwiałych blaskiem bijącej od wzgórza łuny. Kilka razy upadła. Gałęzie zdarły jej chustkę z głowy, zburzyły włosy, potargały simlah, którą była okryta. Nic jej jednak nie mogło zatrzymać. Wiedziała, że musi zdążyć, musi przybyć na czas przed tamtymi.

Znowu było tak jak wtedy w nocy, gdy odkryła nieobecność Uty. Ale gorzej, znacznie gorzej. Wówczas było w niej tyle złudzeń. Jeszcze się pocieszała tym lub tamtym. A kiedy w końcu prawda stanęła przed nią w całej swej grozie — wszystko utonęło w tej dramatycznej historii z węzami. Wal-

cząc o życie Salmona, zapomniała o swych żalach; gotowa była wszystko oddać, wszystkiego się wyrzec.

I Salmon ocalał. Zaniósł go we dwie z Resą do miedzianego węża. Krzyczały nieprzytomnie w prawdziwym szale radości, gdy czerwień pokrywająca ciało mężczyzny zbladła, gdy puchlina zaczęła ustępować, on zaś sam zerwał się na nogi. Od jednego razu wszystko zostało naprawione.

Najwyższy nie przyjął jej wyrzeczeń. Kiedy lud zatrzymał się nad potokiem Zared, pewnej gwiazdzistej i wonnej od kwitnących traw nocy korowód młodzieży zaprowadził Noę do namiotu Resy, gdzie czekał na nią Salmon. Leżąc obok niego w mroku namiotu, powiedziała mu wreszcie o swym pragnieniu ofiarowania syna. „Niech będzie — szeptała — jak ten, którego niestrzyżone włosy zdają się być promienistą grzywą Najwyższego...” I Salmon potwierdził raz jeszcze, że nie będzie się sprzeciwiał jej życzeniu.

Ale zaledwie kilka dni dzieliła namiot z mężem. Nad potokiem zjawili się posłowie Balaka i oznajmili Mozisowi, że melek odmawia zgody na przejście ludu przez ziemie moabickie. Mozis zamknął się w namiocie i modlił się przez cały dzień. Potem ogłosił rozkaz: mają obejść kołem ziemie meleka. Ale pachnący step po drugiej stronie potoku wabił. Decyzja nabiego wywołała sprzeciwy, krzyki i bunt. „Co? — wrzeszczeli młodzi. — Mamy znowu odchodzić na pustynię? Mamy wlec się bezdrożami? Kimże jesteśmy, że schodzimy z placu każdemu? Nie! Nie! Dosyć obchodzenia. Dosyć pustyni. Dosyć życia w wiecznym niebezpieczeństwie, w braku wody czy żywności. Dosyć! Dosyć! Ze zgodą czy bez niej idziemy przez kraj Moabu. Niech nas ich melek spróbuje zatrzymać. Pokażemy mu.”

Oczywiście najgłośniejsz krzyczeli Refna i jego przyjaciele. Cała rada książąt — z wyjątkiem Jozuego i Kaleba — sprzeciwiła się rozkazowi Mozisa. Refna próbował przeciągnąć wodza na swoją stronę. Ale Jozue milcząco trząsł głową. Widać było, że nic go tym razem nie skusi do niewierności. Także lewicy stanęli przy Mozisie.

Po dwóch dniach gwałtownych sporów i krzykliwych dyskusji lud rozdzielił się, by powędrować w dwie różne strony: Refna z młodymi książętami rodów, z gromadą najdzielniejszych wojowników, przepawił się na drugi brzeg potoku; Mozis z Przybytkiem i kapłanami oraz resztą ludu, obciążonego kobietami i dziećmi, pod wodzą Jozuego ruszyli pochodem w górę potoku, ku jego źródłom.

Była to chwila bolesnej rozterki dla wielu. Ludzie żegnali się krzykami i płaczem. Przez potok wyciągali do siebie ręce. Dzieci łkały spazmatycznie.

Poczet Refny wchodził w kraj Moabitów prawie zupełnie wolny od balastu kobiet i dzieci. Większość młodych wojowników nie miała jeszcze żon; inni beztrząsco pozostawili rodziny, traktując swoje odejście jak wyprawę wojenną. Ale były kobiety, które towarzyszyły swoim mężom. Do nich należała Noa.

Było dla niej rzeczą oczywistą, że Salmon wybierze się wraz z Refną, Bokkim i Zambrim na wyprawę za rzekę. Sama była przekonana, że droga nieposłuszeństwa, jaką wybrał jej mąż, nie była drogą dobrą. Jahwe był z Mozisem i jeżeli Mozis kazał unikać walki i narażał lud na nową ciężką wędrówkę przez pustynię — widocznie taka była wola Najwyższego.

Powiedziała to Salmonowi. Próbowwała go przekonać. Zamknęła jej usta gniewnym okrzykiem: „Milcz!” Wprawdzie zaraz, jakby chcąc ją przeprosić za tę brutalność, pochylił się nad nią z gorącą pieśczołą. Ale kiedy na nowo zaczęła mówić swoje, ujrzała na twarzy męża grymas złości. Umilkła. Pojęła, że Salmon nie odejście od towarzyszy, że niepamiętny tego, co się stało pod Funonem, pójdzie z nimi na zakazaną przez Mozisa wyprawę. Nie pozostawało jej nic innego, jak pokornie schylić głowę przed wolą swego baala i być mu posłuszną.

Ale kiedy nadeszła chwila rozstania, Salmon niespodziewanie powiedział jej, że jeśli chce, może iść z całym obozem. Nie zachęcał jej, by mu towarzyszyła w wyprawie. Ona jednak pochyłając pokornie głowę zapytała: „Czy mój pan nie chce, bym szła z nim?” Patrzył na nią zaskoczony. „Myślałem, że może nie chcesz — powiedział. — Że się lękasz. To wojenna, pełna trudów wyprawa... Poza tym wiem, że dla ciebie ten staruch...” Przerwała mu łagodnie: „Niech mój pan pozwoli mi iść ze sobą. Jestem przecież jego żoną. Nie boję się niczego, gdy jestem z nim”. „Ależ w takim razie chodź — zgodził się od razu. — Chodź — powtarzał radośnie. Ujął ją za ramiona, pochylił się ku niej czule. — Jesteś mi bardzo droga, Noo — szeptał. — Żadnej innej kobiety nie kochałem tak i nie będę kochał...” Pochyliła nisko głowę, powiedziała również szeptem: „Ty wiesz, jak ja cię kocham... Nad życie...”

I to było prawdą: czuła, że kocha go rzeczywiście bardziej niż własne życie. To dlatego zdecydowała się iść z nim na grzeszną wyprawę. Noa w ciągu tych paru dni szczęścia nie zapomniała o swoich obietnicach. Nie za-

pomniła również żadnej z nauk babki. Ofiarny gest — myślała — mógł być nie przyjęty; a przecież trzeba go powtarzać, powtarzać... Zawsze wydawało się jej, że miłość do Salmona połączyła ich nierozzerwalnie. Gdyby był wybrał Utę zamiast niej, nie byłoby dla niej życia. Gdyby oddalił ją od siebie — wydałby na nią wyrok śmierci. Jeszcze na pustyni Mozis, zadrażniony przez mężów pragnących się uwolnić od złych, nieplodnych, kłótliwych żon, pozwolił im je oddalać pod warunkiem, że będą dawali odprawionym kobietom listy rozwodowe. Będąc własnością mężczyzny, kobieta sama nie mogła odejść. Ale Noa wiedziała, że choćby Salmon okazał się złym mężem i choćby istniała możliwość dania jemu przez nią listu rozwodowego — nie uczyniłaby tego nigdy. I to nie dlatego, że kochała go tak bardzo. Nie zdołałaby odejść od Salmona, ponieważ czuła się z nim związana czymś mocniejszym niż uczucie. To były znowu nauki Tamar. Mówiła ona: „Gdy ludzie łączą się ze sobą w małżeństwie, sprowadzają między siebie na ziemię Boga. Najwyższy staje się ich współnikiem; jest z nimi, daje im lub odbiera płodność, błogosławi potomstwem — lub karze zabierając je. Każde dziecko — to znak przymierza z Najwyższym... Rodząc kobieta cierpi; potem staje się na długi czas nieczysta dla męża: traci jego bliskość, jest pozbawiona jego pieczy. Ale za to może mu dać syna — tego, który przenosi jedność rodu. Mąż broni rodu, lecz kobieta ród ocala. Mąż idzie naprzód, lecz żona umacnia jego ślady...

Jakąkolwiek by drogę wybrał Salmon, ona musiała iść za nim tą drogą. Nie bez jakiegoś dławienia w gardle patrzyła z drugiego brzegu potoku na ciągnącą powoli karawanę, na ludzi niosących Arkę, namiot Przybytku, święte naczynia. Zdawało się jej, że odchodzą i nigdy już ich nie zobaczy. Rozstawała się z nimi, jak człowiek rozstaje się z ostatnią nadzieją. A przecież inaczej postąpić nie mogła. Musiała być razem z mężem. I z synem, nie urodzonym, wcale jeszcze nie poczętym... Myślała: może znowu spod kamieni i spod krzewów wypelzną węże? Może rzucą się, a oni umierać będą od ich jadu, gdy wąż miedziany powędrował na pustynię razem z lewitami? Czuła dreszcze na całym ciele. Ale nawet lęk przed węzami nie mógł zmienić jej decyzji...

Nie spotykali węży. Ale stało się coś straszniejszego. Tu, pod murami Settim. Miała wciąż jeszcze przed oczami pierwszą noc po ich przybyciu, noc ciągnącej się bez końca uczty, zabawy, hałaśliwych krzyków, muzyki. Rozbiła namiot — Salmon i inni wciąż byli na uczcie — i siedziała w nim samotna. Powiew zachodniego wiatru przynosił jej wraz z dźwiękiem gło-

sów męskich, hałaśliwe chichoty kobiece. Słuchała tego przerażona. Nic podobnego nie działo się u nich nigdy.

A potem to samo miało miejsce noc w noc. Z uczt tych i zabaw Salmon wracał pachnący dziwnymi zapachami, ze spojrzeniem błędnym, zmęczony, senny, obojętny dla niej. Rzucił się na posłanie i spał jak zabity. Gdy wstawał — wydawał się pełen gniewu. Szukał, na kim mógłby wyładować swoją złość. Tymczasem do obozu już wkraczali posłowie książąt z Settim z zaprosinami na nową ucztę. Zostawiając w obozie swój zły humor wojownicy odchodzili. Noa znowu zostawała sama i tylko z daleka dobiegały do niej dźwięki muzyki, krzyki i śpiewy.

Z przelotnie rzucanych przez męża słów pojęła, że oczarowały go kobiety madianickie, a zwłaszcza córki książąt Settim. Usłyszała kiedyś, jak Salmon pytał Zambriego: „Czy ona powiedziała ci, że jest kapłanką Astarte?” „Ależ tak — odpowiedział śmiejąc się Zambri (nie znosiła tego człowieka za to, że swoim zachowaniem sprawiał wrażenie, jakby był pewny uczuć każdej dziewczyny, na którą spojrzał) — jeszcze pierwszego wieczoru. I mówiła, że ten tylko mógłby ją mieć...” Nie dosłyszała reszty słów, doszedł tylko jej uszu chichot Zambriego i zobaczyła na twarzy Salmona wyraz jakby zaleźnienia i niepewności. Nagle ogarnęło ją przerażenie. Nie pojęła w pełni tamtej rozmowy, lecz zrozumiała z niej jasno, że na zabawach urządzanych noc w noc przez mieszkańców Settim grozi śmiertelne niebezpieczeństwo ich miłości — jej i Salmona. A może także czemuś więcej jeszcze...

Te kobiety madianickie nie tylko opętały jej męża swoim urokiem. One chyba również go urzekły. Ich tajemniczy wdzięk sprawiał, że zdolne były z nim zrobić wszystko, czego tylko zapragnęły. Była pewna, że gdy która z nich zażąda od niego, by odprawił Noę, a ją wziął do swego namiotu, on to natychmiast zrobi. Z żalością zaciskała palce na swym wciąż po dziewięć-cemu smukłym brzuchu. Syn, syn pierworodny nie był nadal poczęty. Znowu miała poczucie, że Jahwe opuścił ją, a jej gest pozostał nie dopełniony jak ruch ramion, które szukają w mroku innych ramion i nie znajdują nic...

Aż wreszcie nadciągnął pod mury Settim lud z Mozisem. Tłum stęsknionych kobiet wpadł między namioty wojowników izraelskich. Przybyłe wykrzykiwały imiona mężów, synów i braci. Odpowiedziała im cisza. Wojownicy byli w mieście na uczcie... Ze wzgórza w pobliżu murów miasta, którego nagi szczyt wznosił się ponad porosłe ciemną zielenią zbocza niby łyśa czaszka nad wieniec pozostałych na skroni włosów, biły w niebo kolumny błękitnego dymu. Noa wiedziała już, co one oznaczają: skuszeni przez

madianickie kobiety wojownicy izraelscy szli jeden za drugim składać ofiary Astarte. Większość dziewcząt z Settim była kapłankami bogini. Ten tylko miał prawo do ich ciała, kto wpiery zapalił kadzidło przed posągami bogini o ciężkich piersiach i sterczącym brzuchu.

Plącząc opowiadała o tym kobietom, one zaś słuchając jej słów wybuchnęły strasznym lamentem. Wieść obiegła błyskawicznie cały obóz. Mężczyźni i kobiety rozprawiali, żywo gestykulując, nad tym, co się stało. Aż wreszcie rozwrzeszczany tłum potoczył się pod namiot Mozisa.

On już wiedział o wszystkim. Wcześniej, niż nadciągnęli ludzie, przybiegł do niego z tą wiadomością Finees. Młodemu kapłanowi aż drżały ręce z podniecenia, a duże nozdrza rozdymały się niby u podnieconego biegiem konia.

— Ukarać ich. Ukarać ich — powtarzał gorączkowo zaciskając dłonie wokół cienkiej dzidy zakończonej długim kościanym szpikulcem. — Jak Korego. Jak tych, co czcili boginię Hator. Wypalić zło z ludu! Ukarać ich!

Mozis nie odpowiadał na te okrzyki. Wsparł czoło na rękach, ukrył za zasłoną palców twarz i siedział tak bez ruchu. Długo. Dopiero gdy tłum począł krzyczeć przed namiotem, wstał i powoli wyszedł do niego. Miał twarz nabrzmiałą cierpieniem, oczy pełne łez, usta rozchylone i drgające. Bez słowa przysłuchiwał się żalom i skargom. Potem podniósł wzrok i ponad głowami ludzi patrzył na niedalekie wzgórze. Wieczór omroczył już wszystko, przemienił gąszcz zieleni w czarną ścianę. Nad nią strzelały w górę czerwone słupy dymu; zdawały się być kolumnami podtrzymującymi sklepienie nieba. Ciężko westchnął. Kobiety płakały i wciąż skarżyły się na zdradę mężczyzn. Lewicy ze stojącym na ich czele Fineesem pokrzykiwali groźnie. Wzniesiona nad inne twarz nabiego robiła się coraz bardziej szara, jakby ją ktoś nagle posypał popiołem.

Noa stojąc w gromadzie kobiet patrzyła na Mozisa ogarnięta dziwną płataniną uczuć. Zdało się jej nagle, że pojęła to, co przeżywał w tej chwili nabi. Tak — na pewno tak było: Mozis nie chciał wydać wyroku. On, który w szale gniewu kazał zabijać czcicieli złotej krowy, który polecił krwią zalać bunt Korego, teraz zdawał się pragnąć dla tamtych miłosierdzia. Ale takie uczucia żywił tylko on jeden. Bo nawet rozżalone kobiety krzyczały o karę dla niewiernych mężów. Ich dłonie zamykały się w pięści. Nie myślały o wybaczeniu. Jedna Noa pojmowała Mozisa. W niej tylko miłość do Salmona przerastała ból sprawionego zawodu.

Tłum lewitów huczał coraz głośniejsze. Widziała Fineesa, jak potrząsa dzidą, jak wskazuje nią niedalekie czerwone w mroku wzgórze. Słyszała okrzyki: Wypalić ten wrzód! Zniszczyć zdrajców! Pozabijać! Zwyciężyliśmy Sehona i Oga bez nich, damy sobie i w przyszłości bez nich radę. Ukarać ich! Wykląć ich z ludu! Wyciąć bałwochwalców, którzy cudzołożą z kamiennymi bożkami! Śmierć im! Śmierć! Śmierć im! — powtarzały podniecone, rozszalałe w swej krzywdzie kobiety. — Nie ma boga nad Jahwe! — wołał Finees. — Nie ma litości dla tego, kto odstępował od Jahwe. — Śmierć! Śmierć! — wtórował mu krzyk niby pomruk morza.

Śmierć... Zimny dreszcz przebiegał ją całą. Z przerażeniem patrzyła w twarz nabiego. Widziała, jak zasnuwa ją coraz boleśniejsza szarość. Tragicznymi oczami patrzył na krzyczących. Oddychał prędko. Uniósł w górę ręce, przycisnął dłonie do wykrzywionych cierpieniem ust. Jeszcze miała odrobinę nadziei, że się sprzeciwi wołaniom tłumu. Ale ta nadzieja bladła z każdą chwilą. Aż wreszcie pojęła, że wyrok śmierci musi zostać wydany. Ani ona, ani Mozis nie mogli mu się sprzeciwić. Tutaj w obozie nikt nie podzielał ich dziwacznych uczuć — uczuć, które kazały tamtych więcej kochać...

Lecz kiedy Mozis opuścił boleśnie głowę, a lewicy wybuchnęły wielkim bojowym krzykiem, Noa wybiegła z tłumu. Przed nią była noc i ciemność, a dalej — spowite krwawymi dymami wzgórze, na którym może właśnie w tej chwili jej Salmon zaznawał pieśczęt obcej kobiety. Ale lęk, ból i gorycz zawodu były niczym w zestawieniu z wyrokiem, który nieśli na swych dziedach lewicy. Nie zastanawiając się nawet nad tym, jak chce ocalić Salmona, rzuciła się w mrok. Wiedziała jedno, że musi uprzedzić nadejście mścicieli. Opuściła obóz, na ślepo biegła ścieżką między winnicami. Potem zgubiła ścieżkę, więc parła na przełaj przez murki i gąszcz zieleni. Padała, rozdzierała płaszcz i ręce na gałęziach, uderzała się głową o pnie, kaleczyła stopy. A przecież posuwała się naprzód.

Wreszcie skończyły się ogrody i kobieta wybiegła na wolną przestrzeń. Wzgórze było tuż przed nią, porośnięte u swego podnóża lasem, wśród którego jednak bieleły liczne dróżki i ścieżki wiodące w górę. Czerwony blask ogni gorejących na szczycie przelewał się przez gałęzie i kolumnadę pni. Jakieś postacie przemykały się niby w tańcu po różowych polankach i znikły w plamach cienia rzucanego przez drzewa. Słychać było ze wszystkich stron nawołujące się głosy męskie i kobiece. Ktoś kogoś gonił, ktoś przed kimś uciekał. Tu i tam wybuchał drażniącą kaskadą chichot kobiecy.

Zatrzymała się przerażona. Tamci przebiegali koło niej w zaciętej gonitwie jedni za drugimi. Ze szczytu wznoszącego się ponad las dochodziły śpiewy i namiętne nawoływania fletów. Wonny dym rozwił się wśród gałęzi; ciała młodych kapłanek wydzielaly odurzający zapach. Mężczyźni biegający po lesie musieli być bliscy szaleństwa. Sama Noa czuła, że spada na nią niby jakieś omroczenie. Powoli dążyła w górę, półprzytomnie, potykając się. Ktoś raz i drugi potracił ją. Na chwilę spowily ją i zacisnęły się mocno na niej ramiona męskie — ale zaraz odwinęły się. Mężczyzna odepchnął ją z takim gniewem, że aż upadła. Płaszcz nakrył jej głowę. Leżąc pod nim uświadomiła sobie, że jej odzież nie wydziela równie podniecającego zapachu jak olejki, od których lśniły ciała kapłanek: pachniała ogniskiem, namiotem, sierścią zwierząt. Na chwilę ogarnęło ją coś niby żal. Poczula zazdrość, że te kobiety są piękne, kuszące, zdolne zabrać drugiej kobiecie najbardziej ukochanego mężczyznę, ona zaś nic na to nie jest w stanie poradzić. Rozplakała się. Łkając podniosła się z ziemi. Przed jej zaszłym łzami wzrokiem skakały plamy: białe, czarne, czerwone. Odrzuciła płaszcz, który pętał jej ruchy i czynił ją mniej śmigłą od biegających kobiet. Poczęła iść dalej w górę. Znowu jacyś ludzie przebiegali koło niej.

Nagle usłyszała znajomy głos. Oblana czerwienią łuny męska sylwetka wyrosła obok. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, chwyciła Salmona obu rękami za ramię. Przywarła do męża całym ciałem. Wydał okrzyk gniewu. Poczula, że ją od siebie odpycha, że chce biec dalej za kobietą, której przyzywający okrzyk wabił go spośród krzewów. Ale nie puściła go. Wczepiła się w jego ramię z całej siły. Zawołała:

— Salmonie! Salmonie! To ja, Noa.

Zatrzymał się na poły tylko przytomny. Patrzył na nią błyszczącymi w mroku oczami.

— To ty, Noo? — zapytał.

— To ja... Salmonie.

— Czego chcesz? Puść mnie!

— Nie, nie...

— Puść!

— Nie! Nie idź za nią. Mój panie, mój baalu... Nie idź za nią...

Głos kobiety zabrzmiał znowu w mroku. Zdawał się drwić.

— Puść mnie! — krzyknął Salmon ze wściekłością w głosie. Pojęła, że uderzy ją, jeśli go nie puści. A jednak jeszcze mocniej uczepliła się palcami jego ramienia.

— Salmonie — błagała — nie biegnij za nią. Ona cię wabi. Ale to obca kobieta. Ona chce, abyś szedł za nią i złożył ofiarę jej bogini. Nie czyn tego. Nie idź za nią. Pozostań wierny...

— Puść! — krzyknął i zamierzył się.

— Nie puszczę. Choćbyś mnie zabił...

— Puść! Ja muszę...

— Nie musisz... Słuchaj: lewici idą zabijać tych, którzy zdradzili Jahwe... Finess...

— Puść! Nic mnie nie obchodzą lewici. Ona...

— Nie puszczę.

Głos kryjącej się w mroku kobiety zabrzmiał z dala. Zaciśnięta w pięść dłoń Salmona spadła z całych sił na ramię Noi. Ból zamroczył ją. Ale jeszcze trzymała go.

— Puść!

— Nie, nie...

Drugi cios był mocniejszy. Palce rozgięły się same. Noa z jękiem upadła na ziemię. Nie patrząc na nią Salmon rzucił się; w stronę, z której niedawno słyszał wabiący głos: Ale po kilku krokach zatrzymał się. Nie wiedział, w jakim kierunku biec dalej. Stojąc na plamie blasku rozglądał się na wszystkie strony.

W tej samej chwili całe wzgórze zadrżało od bojowego okrzyku lewitów. Śpiewy i dźwięki instrumentów muzycznych urwały się. Zamiast nich wybuchnął wrzask zabijanych. Noa leżąc widziała, jak Salmon przykładła dłonie do skroni, jak ścisła czoło i potrząsa głową. Potem, jakby nagle obudzony ze snu, biegnie w dół między krzewy. Poczula, jak oddech, wraca jej do zbolałej od uderzenia piersi. Ocalała go — zadźwięczało jej w uszach. Czy jest rzecz, której nie warto by było dać za to ocalenie?

Znowu koło niej biegli ludzie, lecz teraz były to wyjące z trwogi kobiety i nie mniej wystraszeni mężczyźni. W pogoni za nimi spośród drzew wyskoczyło kilka biało ubranych postaci. To byli lewici. Biegli wymachując mieczami i dzidami. Ich kuttony znaczone były plamami krwi. Krzyczeli:

— Jahwe Pan wszystkiego! Nikt prócz Jahwe!

Przebiegli. Powoli wstawała. „Nikt prócz Jahwe...” — powtórzyła cicho. To prawda... Całe jej życie było pełne tej wiary. Lecz posiadając ją miała równocześnie ufność — mocną jak skała — że ten Jahwe jest inny niż wszyscy bogowie. Oni wydają się bliscy — a są tak dalecy. On wydaje się taki daleki i straszny, a przecież jakże łatwo zniża się do niegodności człowieka. Tylko że tego — myślała — człowiek nigdy nie pozna i nigdy nie zdoła wyrazić. Trzeba, aby On sam, Stwórca gwiazd, nieba i ziemi zszedł do życia ludzkiego. Aby On sam wybrał człowieka... Wtedy dopiero, gdy się Go życiem ogarnia, można Go będzie pokochać, zwyczajnie i prosto, jak się kocha syna...

Szła wolno w dół, zamyślona. Nagle tuż przed nią wyrosła postać lewity. Zanim zdążyła krzyknąć, zobaczyła uniesioną do ciosu dzidę. Potem błysnął grot i Noa poczuła ból rozdzieranej piersi. Zamiast słów buchnęła jej z ust krew. Głowa opadła w tył, wzrok potoczył się po zróznowiałym niebie. Ciało osunęło się na ziemię.

— Nikt prócz Jahwe! — powtórzył lewita i pobiegł dalej.

Pośpieszyli do namiotu nabiego, zaskoczeni jego nagłym wezwaniem. Weszli. Zdumiała ich pustka, jaką odkryli we wnętrzu: nawet wiązka skór, która stanowiła posłanie Mozisa, została usunięta. W namiocie nie było nic, najłżejsza nawet mata nie zaścielała ziemi.

— Wezwałeś nas — powiedział za wszystkich Eleazar — więc jesteśmy.

Mozis siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Kiwnięciem głowy odpowiedział na słowa bratanka.

— Siądźcie — rzekł. — Chciałem z wami mówić...

Rozejrzeli się raz jeszcze szukając czegoś, na czyni by mogli usiąść. Jozue i Finees zdecydowali się i usiedli jak Mozis wprost na ziemi. Eleazar ościagał się czas jakiś, postępując gniewnie. Wreszcie usiadł, starannie odwinąwszy swą długą szatę arcykapłana.

Mozis zdawał się tego nie widzieć. Choć patrzył w ich stronę, jego wzrok jakby ich nie dostrzegał. Biegł dalej w przestrzeń. W blasku dnia wlewającym się przez podniesioną ścianę namiotu mogli widzieć dobrze twarz nabiego i uświadomić sobie musieli, że pierwszy raz widzą go takim starym.

Cienka skóra opinała się mocno na skroniach i na łukach brwi, uwidaczniając zarysy czaszki. Twarz Mozisa zrobiła się mała jak twarz dziecka, ale rysy jej złagodniały. Trudno było po prostu uwierzyć, że kiedyś przed gniewem tego człowieka uginał się cały lud. Na rozchylnych wargach osiadł półuśmiech wyrozumiałości. Natomiast w zblakłych nieco oczach paliła się dziwna tęsknota.

Siedzieli bez słowa, czekając, aż się odezwie. Od kilku dni nie widzieli go. Nie opuszczał swego namiotu. Modlił się, rozmyślał, czy może opłakiwał śmierć zabitych? Popelniona wobec Jahwe zdrada została krwawo pomszczona: ośmiu książąt rodów poniosło śmierć, a ich ciała zawieszono na palach na wzgórzu poza obozem rozdzierało ptactwo. Zostało także zabitych kilkudziesięciu wojowników, których schwytano przy ołtarzu Astarte lub w ramionach jej kapłanek. Ci, których nie przychwycono na winie, ocalili, ale została na nich nałożona surowa pokuta.

Wszystko to było dziełem Fineesa. To on, z energią, która zadziwiła wszystkich, przeprowadził wykonanie surowego wyroku. Wbrew Mozisowi, który wyraźnie gotów był przebaczyć winnym; wbrew Jozuemu, który wolałby, aby byli zachowani najlepsi wojownicy. Nie wyglądało przy tym wcale na to, aby rozlana krew zaspokoila zawziętość kapłana. Jego gniew szukał sobie dalej ujścia. Jozue wiedział o zamierzeniach Fineesa i nie bez niepokoju śledził jego drgającą podnieceniem twarz. Po raz pierwszy pojawiło się w nim przeświadczenie, że obok niego wyrosła niespodziewanie potężna wola, z której żądaniami będzie musiał się liczyć.

Wciąż czekali na odezwanie się Mozisa. Nabi jednak milczał. Zbierał myśli, czy może po prostu zapomniał o ich obecności i zatonął w swych niepojętych dumaniach? Jego twarz odbijała swą dziwną łagodnością od stanowczej twarzy Fineesa. Gdy zdawać się mogło, że z ust kapłana padnie za chwilę bojowy okrzyk, usta nabiego drżały słowami tkliwości.

— Posłuchajcie, co wam powiem — zaczął wreszcie. — Dość czekania. Czas, aby lud ruszył dalej, przeszedł rzekę i wkroczył do Ziemi Obietnicy...

Poważnie skinęli głowami w poczuciu, że rzeczywiście nadeszła decydująca chwila. Nabi utkwiał Wzrok w twarzy Jozuego.

— Słyszałeś, co powiedziałem? — zapytał. — Kiedy więc każesz lewitom, by zatrąbili na dalszą drogę?

— Przecież to ty zawsze decydowałeś, kiedy mamy ruszać i kiedy zatrzymać się na postój — powiedział wódz.

Mozis potrząsnął głową.

— Tak było — rzekł — ale tak już nie będzie. Teraz ty masz prowadzić lud...

— Lecz... — Jozue próbował się sprzeciwić.

Mozis przerwał mu stanowczym głosem:

— Powiedziałem. — Dopiero po chwili dodał łagodniej: — Tak teraz będzie, Jozue, i temu się nie sprzeciwiaj. Powiedz, kiedy ruszycie?

Wódz zmarszczył brwi i zastanawiał się chwilę.

— Skoro żądasz, Mozisie, bym decydował... Wydaje mi się, że nie możemy ruszyć ani dziś, ani jutro. Sprawa pierwsza: rzeka jest wezbrana i nie zdołamy przejść przez nią z Arką, z Przybytkiem, kobietami i dziećmi...

Głosem miękkiem, a jednocześnie stanowczym zapewnił:

— Przejdziecie. Czy zapomniałeś, jakieście przeszli przez morze?

— Lecz... — rozłożył ręce zaskoczony tą pewnością. Chwilę milczał, potem podjął: — Poza tym, Mozisie, po ostatnich wydarzeniach mamy nieład w szeregach. Trzeba ludzi zestawić w nowe degele, trzeba wyznaczyć nowych wodzów...

— Czy potrzebowałeś tego wszystkiego, aby zwyciężyć Sehona i Oga? — znowu przerwał Jozuemu Mozis.

— Rzeczywiście — przyznał — zwyciężyliśmy tamtych, choć nie było wśród nas naszych najlepszych wojowników. Ale nie zapominaj, Mozisie, że za rzeką spotkamy wrogów groźniejszych niż ci, z którymi dotychczas przychodziło nam walczyć. Ty wiesz o tym i ja o tym wiem. Ludy Kanaan są mocne i krwawe. Faraonowie musieli walczyć z nimi przez długie lata, zanim je wreszcie ujarzmili. Dziś Mikraim uważa tę ziemię za swoją. W każdym mieście stoją wojownicy mikraimscy. Gdy znajdziemy się za rzeką, trzeba nam będzie walczyć przede wszystkim z potęgą faraona...

— Znowu niepokoisz się? — Na wyschniętej twarzy Mozisa pojawił się błysk niecierpliwości. — Czy ziemia Kanaan nie jest Ziemią Obietnicy Pańskiej? Skoro Pan ją dał Izraelowi, ona musi do niego należeć. Trzeba tylko pójść i zająć ją. Długą do niej odbyliśmy drogę. Lecz teraz czas nagli. Macie wejść do niej szybko, jak najszybciej... Wiele razy zatrzymywałem was. Dziś wam mówię: trzeba, byście się śpieszyli...

— Dlaczego, Mozisie? — zapytali wszyscy trzej.

Pokiwał głową.

— Po cóż pytacie? Mniej pytajcie. Czyż jeszcze nie poznaliście działania Najwyższego? Nie wiecie, że postępuje wolno — tak wolno, iż człowiek znieść tej powolności nie potrafi, buntuje się i cierpi — a nagle strzela piorunem? Skazał lud na długoletnią wędrówkę wokół Kadeszu. A teraz mówi: „Macie nie zwlekając iść do ziemi, którą wam dałem.”

W głosie Mozisa zabrzmiało coś, co zwróciło uwagę słuchaczy. Zaskoczeni podnieśli głowy. Jozue zapytał pierwszy:

— A ty? A ty, Mozisie?

Powoli potrząsnął głową. Na jego twarzy leżał uśmiech, ale był on niby blask słońca na drgającej powierzchni morza. Głos również brzmiał spokojnie, choć był jak pajęczyna rozpięta nad przepaścią.

— Macie iść do Ziemi Obietnicy. Ja nie pójdę z wami...

— Dlaczego? Dlaczego? — wybuchnęli pytaniami.

Niczego nie tłumaczył. Gdy nie przestawali pytać, przeciął ich słowa powolnym, lecz mocnym gestem dłoni.

— Odchodzę... Odchodzę — dodał po chwili — jak Aaron... Wy musicie iść...

Zamilkli nagle, zgaszeni. Wydało im się, że dzień świeci mniej jasno. W milczeniu spoglądali kłopotliwie po sobie. Nawykli ostatnio traktować go jak kogoś niepotrzebnego, kogoś, kto powinien być już umrzeć. Lecz za ledwie powiedział im, że odtąd mają iść sami, stanęła przed nimi w całej oczywistości świadomość, że bez niego czują się jak zbłąkani.

— Jak chcesz, abyśmy szli? — zapytał Jozue.

— Jakżeż potrafimy iść bez ciebie? — dodał Eleazar. Tylko Finees nie zapytał o nic.

Mozis uśmiechnął się znowu.

— O co się kłopoteczcie? Czyście nie wybrali drogi? Lecz wiercie mi: jeśli człowiek nie straci z oczu Najwyższego, na najdłuższej nawet drodze potrafi do Niego dojść... Idźcie. Rzeka w pobliżu, a zaraz za nią leży ziemia dana wam przez Jahwe...

— Lecz zaraz za rzeką — powiedział Jozue — leży warowne miasto, Jerycho. Ma grube, wysokie mury. Jego mieszkańcy są liczni. A także stoi w nim wojsko mikraimskie...

— Poślij ludzi, jak ja was kiedyś posyłałem, by się przyjrzeni miastu i powiedzieli ci, czy naprawdę jest takie groźne. I Mikraimczyków się nie bój. O Jozue, kiedy wreszcie przestaniesz się troskać o to, o co troszczy się Wszechmocny? — W głosie nabiego dźwięczał żal. — Pozbądź się niepokoju i przewidywań. Złóż wszystko na Jahwe. Zaufaj Mu... — Wyciągnął rękę, położył dłoń na dłoni Jozuego. Patrzył długo, serdecznie w oczy wodzowi. — Złóż wszystko na Jahwe... — powtórzył jeszcze raz. — On tego chce...

Zamilkł, lecz nie przestawał wpatrywać się w oczy wodza. W namiocie osiadła cisza niby ciężki dym.

— Lecz zanim przejdziecie rzekę — podjął Mozis — nie zapomnijcie postem i modlitwą uczcić Najwyższego. Słuchaj, Jozue: zanim wkroczyście do ziemi Kanaan, każ całemu ludowi na nowo się poświęcić. Byliśmy na pustyni nieczystymi. Zapomnieliśmy o znaku, którym On kazał napiętnować nasze ciała, by żyła w nas pamięć o układzie między Nim a nami. Rozmyślnie tak postąpiłem: chciałem, byśmy wpieryw stali się ludem chodzącym Pańskimi drogami. Wydawało mi się, że człowiek może zasłużyć sobie na znak Bożego wybrania. Zbłądziłem... On sam wybiera i On sam daje, zanim my potrafimy cokolwiek Jemu dać. Moja wina. Wymarzyłem sobie, że uczynię lud godnym Bożych obietnic. Że odmienię go — i to będzie mój lud... Tak się nie stało. Lud pozostał twardy niby kamienie na pustyni. Pozostał krwawy... Moja wina... Dlatego zostaję... Nie pójdę z wami... Ale wy idźcie, idźcie...

Głos nabiego przycichł, ostatnie słowa wypowiedział prawie szeptem.

— Lecz my nie potrafimy iść bez ciebie! — zawołał Eleazar.

— Nie potrafimy — powtórzył jak echo Jozue.

Popatrzył na nich, jednak jego wzrok nie zatrzymywał się na ich twarzach, ale leciał gdzieś w dal, niby przywołany czymś, co tam było.

— Potraficie — powiedział. — Poprowadzą was wielkie znaki. Ręka Pańska wygładzi przed wami drogę. Znowu będziecie żyli wśród cudów...

— A potem? — zapytał Jozue. W jego głosie zabrzmiał niepokój.

— Potem Najwyższy da wam zwyczajne życie. Czyż nie wdychaliście do niego? Czy nie pragnęliście być narodem, który zwycięża siłą własnego ramienia? Który ma władców przez siebie wybranych?

Wódz schylił głowę. Splótł dłonie i mocno napiął je na kolanie. Opornie wyznał:

— To prawda... Wzdychaliśmy... Buntowałem się... Ale w końcu zrozumiałem: jeśli Pan odejmie swoją pomoc, nie posiadziemy nigdy Ziemi Obietnicy.

Znowu wyciągnął ku niemu rękę i dotknął pieśczośliwie dłonią jego ramienia.

— Jak to dobrze, że zrozumiałeś, Jozue. Tak. Masz słuszość, znaki muszą być, abyście nie zginęli... I one będą. Ale skryte jak żar pod popiołem. Zobaczysz je ten, kto zechce zobaczyć...

— A także — wtrącił Eleazar — pozostanie Przybytek, Arka, wąż miedziany. To są znaki chwały Najwyższego. Będziemy nad nimi czuwać. Póki one będą między nami otoczone czią należną...

Z nagłą porywczością Mozis zwrócił się do arcykapłana.

— Tak, musicie nad nimi czuwać. Musicie bardzo nad nimi czuwać. Musicie je czić i szanować. Lecz trzeba wam pamiętać: nie da się Najwyższy zamknąć w Przybytku czy w Arce.

Obaj kapłani zmarszczyli brwi.

— Co to znaczy, coś powiedział, Mozisie? Odpowiedział z równą jak poprzednio żywością:

— Czy nie czujecie tego, że On, Stwórca całego świata, nie może pozostać zamknięty w cedrowej skrzyni? Bogowie innych ludów są martwi. Można ich zamykać w świątyniach. Ale On żyje. Żyje. Jego chwała nie mieszka w znakach. Każdy znak rozsypie się kiedyś, spłonie czy zginie. On żyć będzie dalej. Nie potrzeba Mu znaków. Gdy będzie trzeba, zobaczycie Go w płonącym krzewie, jak ja Go widziałem. Albo w ludzkiej krwi...

— W ludzkiej krwi? — zapytał Eleazar. — Czyż nie uczyłeś zawsze, że On nie chce ofiar z ludzkiego życia?

— On ich nie chce. Lecz w krwi ludzkiej zawiąże się kiedyś dusza Tego, który was wyprowadzi...

— Wyprowadzi? — wybuchnęli słowami zdumienia.

— Skąd wyprowadzi? Dokąd? — Czyżby chciał powiedzieć, że kiedyś przyjdzie nam opuścić ziemię daną nam przez Najwyższego?

Nie odpowiedział. Podniecenie, z jakim wypowiadał ostatnie słowa, skończyło się, ustąpiło miejsca wielkiej słabości. Głowa opadła mu nisko na piersi. Siedział teraz przed nimi jak wędrowiec zmęczony marszem i olbrzymią drogę mający wciąż przed sobą. Bez słowa uniósł rękę i dał im znak, by opuścili namiot. Ale oni zamiast odejść spoglądali na siebie wzajem z niepokojem.

— Co on powiedział? — zapytał półgłosem Eleazar.

— Mielibyśmy kiedyś tę ziemię opuścić? I iść znowu? Na pustynię?

Nie umieli mu odpowiedzieć. Mozis zaś zakrył twarz i nie odezwał się już więcej ani słowem.

Dął wiatr. Targał wściekle płachtami namiotów, niósł tumany kurzu.

Wśród takiej zawieruchy nie było trudno przekraść się poprzez linię straży i wśliznąć się między namioty obozowiska. Okryty ciemnym płaszczem człowiek, który to zrobił, zbliżał się teraz spieszenie, oglądając się raz po raz na wszystkie strony, ku namiotowi Mozisa. W jednej ręce trzymał łaskę, drugą opierał się na ramieniu towarzyszącego mu chłopca. Stanąwszy przed namiotem rozejrzał się jeszcze raz, a potem szybko wsunął się w otwór wejściowy. W progu zatrzymał się. Wnętrze namiotu było puste, pozbawione jakiegokolwiek sprzętu. Na ziemi stał kaganek, a jego żółty płomień drgał od podmuchu wiatru uderzającego w ściany namiotu. Blask ślizgał się po ziemi, oświetlając czarną bryłę leżącego ciała. Rozciągnięty na ziemi człowiek miał ręce rozrzucone na dwie strony. Suche, starcze dłonie wydawały się dłońmi nieżyjącego człowieka. Wysokie czoło tkwiło w pyle.

Przybyły, wciąż obejmując ramieniem chłopca, stał bez słowa i patrzył na leżącego nabięgo. Zdawał się czekać, aż Mozis ocknie się ze swej modlitwy. Ale czas biegł, a nabi nie ruszał się, rozkrzyżowany na ziemi. Ściana namiotu klaskała szarpana wiatrem, płomień kiwał się, a chwilami furkocząc przygasał. Mężczyzna zakaszał, Mozis jednak nie poruszył się. Wtedy chłopiec targnął się niespokojnie. Był zalękniony. W jego czarnych oczach połyskiwał przestрах. Ta wietrzna noc, to przekradanie się, ten nieznan obóz, pusty namiot, nieruchoma postać, przywiewana wiatrem groza — wszystko to musiało go trwożyć; Pociągnął ojca za rękę.

— Uciekajmy — szepnął.

— Nie bój się, Jonatanie — próbował go uspokoić mężczyzna.

— Nie, nie. Uciekajmy! — trzepotał się chłopiec. — Boję się. Boję się.

— Ależ...

— Nie, nie. Uciekajmy!

Zajęci sobą nie spostrzegli, że Mozis poruszył się, dźwignął głową i patrzył na nich. Chłopiec szarpnął się, chciał wybiec z namiotu, mężczyzna trzymał go i uspokajał. Gdy odwrócili się, ujrzeli utkwione w nich czarne oczy w ciężkich workach powiek. Poczawszy na sobie ten wzrok — zniechęceni.

Mozis tymczasem dźwignął się na kolana.

— Kim jesteście? — zapytał.

Nie odpowiedzieli. Chłopiec płakał bezgłośnie. Mężczyzna wydawał się także spłoszony.

Mocno wspierając się na kijku Mozis stanął na nogi. Padający z ziemi blask kładł dziwne cienie na jego twarz: cienki haczykowany nos, zawieszony nad brodą, wyciągał się w czarną smugę, która przecinała czoło niby groźna zmarszczka. To sprawiało, że twarz wydawała się gniewna. Ale jego głos, cichy i łagodny, przeczył temu. Zapytał znowu:

— Kim jesteście?

— Ojciec... — powiedział mężczyzna.

Mozis drgnął. Zrobił krok do przodu, pochylił się nad stojącym przed nim mężczyzną.

— Kim jesteś, że mnie tak nazywasz? — głos nabiego drżał.

— Jestem Gersam, syn twój i Sefory — powiedział mężczyzna. — Widziałeś mnie ostatni raz tam, w oazie...

— To prawda — przyznał. — Oczy moje źle widzą, nie potrafiłbym cię poznać. Ale serce mówi mi, że to naprawdę jesteś ty, Gersamie...

Mężczyzna padł na kolana, popychając chłopca, aby zrobił to samo. Wyciągnął ręce do Mozisa.

— To ja, ojciec... To ja...

Starzec zbliżył się jeszcze bardziej ku klęczącym. Położył dłonie na twarzy syna. Przesuwał po niej palcami i zdawał się ją rozpoznawać, jak rozpoznaje ślepiec rysy ukochanej twarzy.

— Gersam... — powiedział cicho. Pochylił się niżej, dotknął swym szorstkim, pociętym zmarszczkami policzkiem policzka syna. — A to — przeniósł dłoń na twarz chłopca — to niewątpliwie twój syn. Czy tak?

— Tak, ojcze, to mój syn. Nazywa się Jonatan. Najmłodszy z synów...

— Najmłodszy, więc najukochańszy... — Jedną dłoń trzymał dalej na twarzy Jonatana, drugą położył z powrotem na twarzy Gersama. — Skąd się tu wzięłeś, Gersamie? Z czym do mnie przyszedłeś?

— Abyś mnie ratował — jęknął Gersam. Porywczo ogarnął nogi ojca i przycisnął się do jego kolan całym ciałem. Szturchnął syna: — I ty proś — syknął. Sam błagał: — Ratuj nas, ojcze. Ratuj nas. Przecież jestem twoim synem. Należę do twego ludu. Ratuj mnie.

— Przed kim mam cię ratować? — zapytał nabi.

— Przed twoimi. Ratuj nas... Zginiemy, jeśli nas nie ocalisz...

— Zginiecie? Któż dybie na wasze życie...?

— Twój lud, ojcze. Och, ratuj nas — zaskomlił. Mocniej przytulił się do kolan Mozisa.

— Ratuj nas, ojcze mego ojca... — szepnął Jonatan, znowu szturchnięty przez Gersama.

— Lecz któż chce was zabić? I dlaczego?

— Kto chce was zabić? Oni, twój lud... Lud izraelski... Ten Finees... Lewici... Och, dowiedziałem się wszystkiego... Widziałem... Oni przygotowali się, by uderzyć w nocy na Settim... Otoczyli miasto... Nad ranem uderzą i wymordują wszystkich... Za to, że wojownicy z kapłankami Astarte... Ja wiem...

— Kto ci to powiedział? Skąd to wiesz?

— Ja wiem, ja widziałem. Lewici leżą pod murami miasta, a każdy ma pod łokciem miecz gotowy do zabijania. Przekradłem się między nimi razem z Jonatanem... Do ciebie, żebyś nas ratował... Ratuj nas, ojcze. Ratuj. Jestem twoim synem, a to jest twój wnuk. Twoja krew. Ratuj nas. Nie daj nas zabić. Czy zresztą nie należę do was? Czy nie obrzeżała mnie moja matka? Weź nóż, obrzeż Jonatana i pozwól nam zostać z ludem Izraela. Jak Hobbowi... Wszak brat mojej matki jest uznany przez waszych za brata...

— To prawda...

— Więc przyjmij i nas. Przyjmij nas obu. Nie daj, aby nas zabili.

Położył dłoń na ramieniu Gersama i potrząsnął nim niecierpliwie.

— Lecz skąd ci przyszło do głowy, że oni chcą cię zabić?

— Ja wiem... Mówię ci, ojcze, że widziałem, jak lewicy otoczyli miasto. Czekają tylko, by wpaść i zabijać. Oni wymordują wszystkich. Ten Finees to straszny człowiek... On nienawidzi ludzi, którzy czczą innych bogów... Gdyby mi się nie udało uciec z miasta...

Przerwał synowi:

— Więc ty mieszkasz w Settim?

— Tak, mieszkam w domu brata. Księżę Sur to Eliezer, twój syn... On jest wielkim dostojnikiem u meleka Balaka. I taki bogaty... Lecz to właśnie jego córkę zabił Finees, gdy złączyła się przed ołtarzem bogini z Zambrim, synem...

— Jego córkę! — krzyknął podnosząc odruchowo ręce w górę.

— Jego córkę — potwierdził spieszenie Gersam. — Przebił ją sam swoją dzidą. A teraz chce zabić Sura i wszystkich księząt, i całą ludność Settim. I mnie, i Jonatana... Ten Finees to krwawy człowiek... Przez niego wszyscy nienawidzić będą synów Izraela. Ratuj nas przed nim, ojcze. Powiedz jemu, że ja należę do twojego ludu. Jestem przeciw twoim synem... Mógłbym być u was kapłanem... Jako twój syn mógłbym służyć twojemu Bogu... I Jonatan także... Lepiej będziemy służyli niż ten Finees... On jest tylko wnukiem Aarona, a Jonatan jest twoim wnukiem...

Gersam mówił prędko, nie przestając obejmować i ścisnąć kolan ojca. W jego słowach wyrzucanych szybko z ust dyszał strach, lecz także wiele innych uczuć. Mozis stał z dłońmi podniesionymi w górę. Nie patrzył na syna i wnuka, ale gdzieś w strop namiotu. Drgający blask kaganka pokrywał mu twarz raz po raz plamą cienia.

Myślał: ten człowiek u moich kolan to syn Sefory. Sefora... Jedyna istota, która w jego długim i niespokojnym życiu dała mu chwilę ciszy i radości. Nieraz zdarzało mu się wyrzucać sobie, że za mało ją kochał, że za mało radośnie korzystał z tamtych chwil oddania. A na końcu brutalnie oddalił ją od siebie. Dwa razy... A może to wcale nie było potrzebne? Może powinien był wymusić na swoich, by uznali tę, którą nazywali Etiopką, za jedną z córek Izraela? Dlaczego zgodzili się tak łatwo na Hobaba, a dlaczego opierali się przyjęciu Sefory? Bo on tego nie żądał... Nawet nie próbował tego żądać. Gdy tylko posłyszał pomruk Aarona i Miriam — kazał jej odejść. Wydawa-

ło mu się wtedy, że on, wódz, musi być samotny, wolny od jakiegokolwiek słabości. Tak łatwo skazujemy się na samotność. Lecz tak trudno ją potem znosimy. Tyle razy kładł na swoje barki nadludzkie brzemie. Tyle chciał tą ofiarą kupić. I co kupił?

Znowu opuścił dłonie, położył je na twarzach klęczących przed nim ludzi. Jego syn i jego wnuk? Lecz w tejże samej chwili poczuł w sercu niby mocne ukłucie. A tamten? Tamten i ta zabita byli także jego dziećmi...

— Wstańcie — rzekł. Gdy podnieśli się z klęczek, objął jednym ramieniem ramię syna, drugim ramię wnuka. — Prowadźcie mnie — powiedział rozkazująco.

Opuścili namiot. Wiatr uderzył w nich, zasypał im oczy tumanem pyłu. Oslaniając sobie twarz połami kutton, szli w stronę bielejącego w mroku parkanu Przybytku. Potem skierowali się ku namiotom kapłańskim. Namiot Fineesa wyrósł przed nimi swym czarnym niskim zarysem. Z wnętrza wydobywał się dźwięk żywo rozprawiających głosów ludzkich.

W namiocie siedziała kręgiem gromada zbrojnych. Pośrodku zobaczyli Fineesa z mieczem położonym na płask na kolanach. Mówił coś porywczo, gestykulując dłonią, którą podnosił, a potem znowu opuszczał na rękojeść miecza; jego wysoki głos wybijał się swą ostrością ponad wszystkie inne. Otaczali go zwierzchnicy rodu Lewiego.

Gdy Mozis wsparty na ramionach Gersama i Jonatana wkroczył do środka, rozmawiający zamilkli tak nagle, że pozostali nieruchomi z otwartymi ustami...

Nabi stanął w środku kręgu siedzących i powiódł po ich twarzach długim spojrzeniem. Zapytał:

— Dlaczego nie śpicie? Już noc...

Nie odpowiedzieli. Wiedział teraz, że Gersam rzekł prawdę: gotowali się do uderzenia na Settim.

— Do jakiej walki przygotowaliście się? — pytał dalej.

Tym razem z koła siedzących powstał Finees. Kapłan odłożył miecz, zbliżył się do Mozisa. Powiedział głosem cichym, lecz stanowczym:

— Idziemy na miasto Settim, by ukarać jego mieszkańców za to, że namówili do nieprawości i bałwochwalstwa naszych braci...

Mozis utkwiał w bratanku spojrzenie swych zmatowiałych oczu.

— Nie zwróciliście się z tym do mnie — powiedział powoli głosem, który lekko drżał. — Nie zapytaliście...

Lecz Finees odpowiedział ze spokojną pewnością siebie:

— Po cóż mieliśmy ciebie trudzić? Wiemy, że nie lubisz walki. Stałeś się nadto łaskawy dla łamiących prawo, dla bałwochwalców. A zresztą czy nie powiedziałeś, że już nie będziesz nas prowadził?

Skinąwszy głową przyznał:

— Powiedziałem to... I to także prawda, że nie lubię walki...

— Więc widzisz — podjął Finees: — Postanowiliśmy sami postąpić, jak należy. Nawet nie wzywaliśmy Jozuego. Sprawy Jahwe są naszymi sprawami. Miasto Settim popełniło zbrodnię. Jego mieszkańcy podstępem zdobyli sobie zaufanie naszych braci, a kobiety skusiły ich. Ukaraliśmy winnych śmiercią. Lecz czy byłoby to rzeczą sprawiedliwą, aby kara dotyczyła tylko naszych braci, a kłamliwi mieszkańcy Settim kryli się bezkarnie wśród swoich bogactw? Mówiłeś, że Jahwe chce, abyśmy uderzali na tych, którzy nas zaczepili. Settim jednak popełniło zbrodnię. Obraziło Najwyższego. Musi być ukarane. Ohydny kult ich bogini będzie zniszczony. Nikt prócz Jahwe!

Ostatni krzyk zabrzmiał niby pianie. Kapłan uniósł w górę zaciśnięte obie pięści. Ale zaledwie przebrzmiał jego krzyk, rozległ się cichy głos Mozisa:

— Jahwe powiedział: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną...” To prawda: nasi bracia popełnili zbrodnię. Ale ludzie z Settim nie stawiają bogów przed jednym Bogiem, ponieważ oni Go nie znają... Jak chcesz Go im, Fineesie, ukazać?

— Pokażę — odpowiedział żywo kapłan — że Jahwe jest potężniejszy od innych Baalów. Gdy kłamliwi bogowie padną w proch przed Nim, a ich obrońcy legną od naszych mieczów — zrozumieją...

Mozis chwilę smutno kiwał głową.

— Ty wiesz — rzekł wreszcie — że ich bogowie są niczym... Lecz ludzie, którzy będą ginąć, nie pojmą tego...

— Czy chcesz zaprzeczyć, że wolą Jahwe jest zniszczyć bałwany z drzewa, z gliny i z kamienia?

— Wolą Jahwe jest nie zabijać, nie kłamać, nie cudzołożyć, nie pożądać, nie krzywdzić wdowy, sieroty i obcego... To usłyszałem od Niego i to wam mówiłem. Żyłem długo, by was tego nauczyć... To, co jest niczym, nie zagrazi Jahwe...

— Wszystko, coś powiedział, dziadku, jest zapisane, a te pisma my, kapłani, przechowujemy ze czcią...

— Słowami Jahwe trzeba, Fineesie, żyć... Kamienne tablice, które otrzymałem od Jahwe, skruszyły mi się w rękach. Lecz Jego słowo żyje... Ono zwycięża...

— Ono zwycięży, Mozie, i będzie panować. Lecz wpieryw trzeba zniszczyć bałwany. Nie czas na słowa litości, gdy zło czyha na lud, a młodzi są kuszeni przez plugawe kobiety. Aby wszystkie ludy wiedziały, że nie wolno odwozić od Jahwe, Settim musi być spalone. Wszyscy jego mieszkańcy muszą zginąć. Ja wiem, że wśród mieszkańców Settim są twoi bliscy, dziadku... Człowiek, na którym się wspierasz, jest jednym z nich... Lecz oni zawinili najwięcej. Oni winni zginąć najpierwsi! — zapiał.

Gersam zadrzał i przerażony przytulił się do ojca. Jonatan patrzył rozszereżonymi oczami na groźnego kapłana. Lecz ręce Mozisa spoczywały dalej na ich ramionach. Głos nabiego brzmiał jak poprzednio: cicho, ale nieugięście:

— Ci ludzie to mój syn i mój wnuk, Fineesie...

Twarz kapłana skrzywił grymas. Spoza wygiętych warg błysnęły zaciśnięte zęby. Nagle pochylił się, postąpił bliżej Mozisa. Rzucił:

— Chciałbyś ich dlatego ukryć przed karaniem? Zanadto zrobiłeś się litościwy, dziadku. Dla bałwochwalców nie ma przebaczenia. Tych, którzy obrażają Jahwe, trzeba zabijać. Muszą zginąć. Całe Settim musi zginąć.

Po jego słowach zapadła cisza. Wychudła, żółta twarz Mozisa wydawała się jeszcze bardziej wynędzniała. Usta opadły martwo, oczy przygasły.

— Nie zapytaliście mnie, co myślę o tej wyprawie... — rzekł głucho. Zamilkł na czas długi i tylko oddychał ciężko, jakby opanowując w sobie ból, który mu nie pozwala mówić. — Postępujecie, jak uznaliście za słuszne... — wyrzucił z siebie. — Wybraliście drogę... Musicie już po niej iść... Może... może trzeba... Może ja zobaczyłem, czego wy dojrzeć nie możecie. Ale On was potrafi nawet na waszej drodze doprowadzić... Dla Niego nic nie jest niepodobne... Idźcie... Ja jednak — głos Mozisa zadrzał jak płomień, w który uderzy wiatr — zostaję... Tak trzeba... Nie będę wam przeszkadzał... Tylko... tylko na końcu... chcę was prosić... Jedyne prosić... Za tych dwóch... — wskazał ruchem głowy Gersama i Jonatana. — Przyjmijcie ich... do ludu... To mój syn i mój wnuk...

— Prosisz? — zapytał Finees, jakby nie wierzył usłyszanym słowom.
— Prosisz? Za nimi?

— Proszę... — Mozis westchnął, — Nie każe... Proszę... — Znowu słowa rwały mu się ciężko z ust, jak owoce strącone podmuchem wichury. — Nigdy o nic nie prosiłem... Ocal ich... Przyłącz do ludu.. Niech zbliżą się do Jahwe...

— Nie — kapłan wstrząsnął się. Opadło z niego zdumienie, pełen był znowu bojowego zapału. — Nie proś, dziadku. To są bałwochwalcy. Przez nich nasi bracia popełnili zbrodnię. Nie proś... Jahwe żąda ich śmierci... Jahwe żąda zagłady Settim. — Obrócił się do stojących wokół lewitów, podniósł w górę miecz. Krzyknął: — Bracia! Na Settim! Nikt jak Jahwe!

— Na Settim! — odwrzasnęli. — Nikt jak Jahwe! Prowadź nas, Fineesie! Na Settim!

Poczęli się ku niemu cisnąć, potracając przy tym Mozisa i tulących się do niego obu Madianitów. Także potrząsali bronią, krzyczeli, nawoływali się, uderzali po ramionach.

Lecz choć był potrącony i odepchnięty, Mozis nie odstąpił: wyciągnął rękę i schwycił kapłana za rękaw:

— Fineesie... — powiedział ostatkiem tchu.

— Czego chcesz jeszcze, dziadku? — Finees niechętnie zwrócił się ku nabiemu. — Nie zatrzymuj nas. Idziemy karać bluźnierców.

— Będę cię prosił, aż mnie wysłuchasz... — powiedział nie wypuszczając z palców rękawa kuttony Fineesa. — Proszę cię. Przez pamięć na to, że ty i twoi synowie będziecie arcykapłanami Pańskimi, ocal tych... To mój syn...

— W obliczu Jahwe nie ma synów — wykrzyknął groźnie. — Zło musi być wypalone. Ty sam kiedyś...

— Tak — pośpieszył mu naprzeciw — tak, ja sarn. Lecz właśnie dlatego proszę cię...

— Nie wolno ustępować złu.

— Człowiek, Fineesie, nie jest złem. On go stworzył. On tyle razy wybacał...

— Ale nie bałwochwalcy.

— Skąd wiesz, kto jest nim naprawdę... I dlaczego... Lepiej nie pytaj... Fineesie, twoja gorliwość stanie się gorliwością twoich... Błogosławieństwo na twój ród... Lecz nie zapominaj o człowieku...

— Mozie, przestań prosić...

— Nie przestanę... Tak mało Go znacie... Tak wielu rzeczy o Nim nie nauczyłem was... Lecz On przyśle wam innych, lepszych... Wtedy zrozumiecie...

— Fineesie! Prowadź! Noc upływa. Dość tych słów! Na Settim! — zaczęli wołać lewici.

Kapłan wyjął wargi. Chwilę namyślał się. W końcu rzekł:

— Skoro prosisz, dziadku, niech się tak stanie. Ci dwaj — wskazała na Gersama i Jonatana — mogą zostać wśród ludu. Lecz niech nie marzą o żadnych godnościach. Będą pomagali lewitom. Niech rąbią drzewo, noszą wodę... — Zwrócił się do swoich. Wydawał im rozkazy. Jeszcze coś sobie przypomniał. — Słuchaj, dziadku... — zaczął.

Ale Mozisa nie było już w namiocie.

Powoli, krok za krokiem, wspinał się krętą ścieżką w górę. Ostatnie drzewa i krzewy pozostały za nim. Teraz miał przed sobą nagi wierzchołek, spiczasty niby wzniesiony w górę przód łodzi.

Nadludzkim wysiłkiem wdarł się na niego. Lecz kiedy tu stanął, otoczony bezmiarem przestrzeni, poczuł, że siły go odchodzą; czarna przesłona zasnuła mu wzrok. Oparł się ciężko na głazie pokrytym ostrym, twardym mchem. Położył dłoń na piersi. Serce targało się w nim gwałtownie, a zarazem dziwnie słabo. Niemiły chłód ogarnął mu stopy i dłonie. Wbrew wysiłkowi woli — mięśnie rozluźniły się. Tylko myśl pozostała nadal żywa i jasna; boleśnie jasna.

Czy spodziewał się w ciągu tych czterdziestu lat wędrówki, że tak się to skończy? Czy mógł oczekiwać, że pokolenie przez niego wychowane pójdzie swoją drogą, a jego zostawi? Pogodził się z tym... I znowu czuł to jak ranę. Jeszcze raz objął spojrzeniem lata złudzeń. Chciał ich wychować w posłuszeństwie. I chciał, żeby go kochali. Bo on ich kochał. Ta miłość czyniła go niemocnym. Oni, korzystając z tej jego słabości, wymknęli mu się z rąk. Tamci — zatracone pokolenie — nie chcieli iść. Ci poszli naprzód nie

ogłądając się na niego. Tamci znosili wolę Jahwe jak niewolę. Ci nazwali swoją wolę — wolą Jahwe...

Nic już nie mógł na to poradzić. Pojmował, że gdyby mu nawet Najwyższy pozwolił iść dalej, za Jordan, byłby już tylko kimś, kto wbrew sobie pokrywa swoim imieniem decyzję drugich. Twardy był kamień, na którym przyszło mu ryć rozkazy Pańskie. A one... Wydawało mu się wciąż, że to, co z nich zdołał wykuć, było tylko słabym ich odbiciem. Może nawet zaprzeczeniem? Między tym, co on usłyszał, a tym, co leżało wypisane w Arce — rozciągała się przepaść.

Czyż mógł mieć żal do nich — do tych najbliższych: do Aarona, Jozuego, Fineesa, Eleazara — że byli tacy? Żaden z nich nie słyszał przecież słów Przedwiecznego; oni znali je jedynie z jego ust. Jeżeli nauczał ich źle — to była jego, tylko jego wina. Żaden z nich nie doświadczył tego co on; nie usłyszał rzeczy, jakich nie widują oczy ludzkie, nie usłyszał tajemnic niepojętych dla ludzkiego ucha. Ich działanie było zwykłym ludzkim błędzeniem. On natomiast, wbrew całej swej ludzkiej nędzy, musiał być posłusznym narzędziem woli Jahwe. Nie można ich winić, że wchodzą do Ziemi Obietnicy przez ruiny Settim, zabijając dla Jahwe tych, których powinni byli dla Jahwe zdobyć. Cała wina jest jego, tylko jego. On, który otrzymał to, czego żaden inny człowiek nie dostał, nie potrafił tego daru użyć, by odmienić jeden nieliczny lud...

Zdawało mu się, że ktoś obok niego zaśmiał się szyderczo. Obejrzał się. Ale na szczycie nie było nikogo poza nim. Niżej nieco, pod szczytem, na małej płaszczyźnie, stały rzędem maseboty Baalowe, a przed każdym z nich mały ołtarz. Ale i tam nikogo nie zobaczył.

Wrócił do swych myśli. Wydawało mu się teraz, że była w jego życiu — w ich życiu — jakaś chwila decydująca. Może przelatywała ona wtedy, gdy zmożeni skwarem stali pod skałą, a on próżno uderzał w nią laską? Coś mogło się być zdarzyć, a nie zdarzywszy się, odeszło daleko... Może była chwila, w której należało złożyć ofiarę równie straszną jak ofiara Abrahama? Lecz czegoś nie starczyło, by się to stało...

I znowu wydało mu się, że ktoś zachichotał złośliwie za jego plecami.

Kamienny chłód ogarniał ciało. Mozis wiedział, że to nadchodzi śmierć. Myśl pracowała, ale zmysły tężały. Czuł, że za chwilę upadnie. Rozpaczym wysiłkiem zebrał resztkę sił i szeroko otworzył oczy. Wpatrzył się w przestrzeń — w dal rozciągającą się przed nim.

Srebrna, kręta taśma rzeki kryła się chwilami w głębi parowu, którego dnem biegł jej nurt. Dalej leżała ziemia, ku której przez długie lata prowadził swój lud. Pokryte bujną zielenią zbocza stopniowo wznosiły się ku czerwonym, tworzącym niezliczoną masę grzebieni gór. Daleko, bardzo daleko w siennej mgłę skrzył się niezmierny przestwór wodny.

Ich ziemia... A jednak do niej doszli. Wydało mu się teraz, że ktoś mówi do niego łagodnie, głosem podobnym do tchnienia wiatru. Dokonało się, co się miało dokonać. Krok został postawiony. To prawda — to nie był ten wielki krok, jaki chciałoby się zrobić, gdy usłyszało się mówiącego Boga. Ale kiedy Najwyższy pozwala, by Jego słowa, wykute ludzką dłonią na twardym kamieniu, odkrywały tylko nieskończenie małą część Jego istoty — każdy, maleńki nawet krok jest ważny. Bo zbliża...

Wiatr powiał mocniej. W jego świście zasyczał jakby głos oskarżający: „Nie nauczył ich... Zmarnował...” A potem zrobiła się cisza i w niej, zdawało się Mozisowi, ktoś drugi mówił łagodniej: „Dość uczynił: tyle, ile mógł uczynić człowiek...” „Przeklęte pokolenie grzeszników — warczał znowu głos pierwszy. — Wiecznie obrażać będą...”

Życie wyciekało z Mozisa niby woda z rozbitego dzbana. Te dwa głosy, które zdawały się toczyć nad nim ze sobą walkę, musiały być majakami zamierającej świadomości. Potem wydało mu się, że obok nich słyszy głos trzeci, głos Aarona. Umierający brat mówił: „On tyle żąda. Nawet tamci nie potrafili sprostać...” — jeszcze raz zebrał ostatek sił. Chciał krzyknąć: „To nieprawda!” Przecież wiedział, jaki On jest. Przecież znał prawdziwe; jeszcze nie wypowiedziane, skryte, lecz wciąż odsłaniające się Imię Jahwe...

Lecz już nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Tylko jego spojrzenie niby błyskawica przeleciało przestrzeń, sięgnęło za rzekę, do miasta na skalistym progu, otoczonego przez zieloną kipieli palmowych gałęzi. I wtedy płomienna radość zapaliła twarz konającego nabiego. Wszystko stało się nagle jasne, proste, zrozumiałe. Niezmiernie długi łańcuch dni, lat i stuleci przewinał się z piorunującą szybkością. Wymierali ludzie i pokolenia, droga, która, zdawało się, dobiegała końca, wydłużała się dalej w przestrzeń; były na niej krew, zgłiszcza, nędza. Lecz coś płonęło jak kaganek puszczonej na małej łódce na powierzchnię pędzącej szybko rzeki.

I zanim skonał, wyszeptał: — Dzięki Ci, że uwalniasz swego sługę w pokój, ujrzały bowiem oczy moje, coś przygotował...

Izba gospody wypełniona była ludźmi i gwarem. Mężczyźni pochylali się nad niskimi stolikami i wśród ożywionej rozmowy sięgali raz po raz do znaczonych kolorowym szlakiem pucharów, w które lała wino przeciskająca się między stolikami niewolnica. Gośćmi byli przeważnie eleganci miejscy, ukazujący swe białe, pełne ciała poprzez cienką kuttoneę. Mieli włosy i brody kunsztownie ułożone, skropione wonnymi olejkami. Rozwalali się wygodnie na miękko zasłanych ławach, leniwie wyciągali przed siebie ręce obciążone pierścieniami. Inna niewolnica, Murzynka, poruszała z wysiłkiem olbrzymim wachlarzem zawieszonym pod sklepieniem. W ten sposób odświeżało się nieco powietrze w zatłoczonej izbie.

Gospoda zwana „Na Murze” należała do Rahab. Sama właścicielka siedziała w kącie izby na małym wzniesieniu, z którego mogła ogarnąć wzrokiem wszystkie stoliki. Śledziła uważnie, co się przy nich dzieje, i pilnowała, by goście byli należycie obsłużeni. Była to kobieta w wieku dojrzałym, piękna i pełna wdzięku podkreślonego zręcznym podbarwieniem ust i policzków. W uszach miała kolczyki z ciężkimi srebrnymi wisiorami, sięgającymi aż do ramion. Na wysokiej odkrytej piersi kołysał się brązowy dysk z wytłoczonym na nim rysunkiem ptaka siedzącego na rybie i wydziobującego jej oko.

Czasami przytknąwszy lekko w palce, by zwrócić uwagę niewolnic, dawała w ich stronę nad głowami gości jakiś rozkazujący znak. Wciąż kierowała niewolnicę z winem do stolików, przy których leżeli bogaciej ubrani mężczyźni. W pewnej chwili niewolnica zbliżywszy się do niej wskazała, że amfora jest pusta. Rahab podniosła się ze swego miejsca; kiwnęła głową służącej, by szła za nią. Obie nieznacznie wysunęły się z izby.

Gospoda Rahab, jak o tym mówił szyld, stała, a raczej wisiała okraciem na miejskim murze. Od ulicy wchodziło się do niej po schodkach, a potem wzdłuż krużganku. Z drugiej strony dom miał pod sobą wysoki mur miejski, pod nim zaś jeszcze wyższą, potężną i spęczniałą skarpe skalną. Patrząc w dół miało się wrażenie, że spogląda się z wysokiej wieży w przepaść. Niezmiernie nisko rozciągała się trawiasta równina opadająca terasami i przecięta wstęgą potoku.

Między ulicą a murem miejskim było jeszcze małe podwórce niby studnia, do którego schodziło się po stromych schodkach. Tymi schodkami zstępowały teraz, w dół obie kobiety. Na dole były drzwi prowadzące do loszku. Rahab wyjęła zza paska wygięty egipski klucz i otworzyła nim za-

mek. Znowu spuściły się kilka stopni, aż wreszcie stanęły na dnie. Loch znajdował się w skale wrastającej w mur miejski. Przez wąskie, wybite w ścianie szczeliny drzwi wdzierał się podmuch powietrza i smugi blasku przebijające mrok. Tam gdzie blask ten padał widać było pod ścianą oparte, częściowo zakopane w piasku wysokie amfory. Rahab wskazała niewolnicy, którą z nich ma wziąć, ona zaś postawiła sobie amforę na głowie i zrećźnie zaczęła się z nią wspinać z powrotem po schodach. Kobieta nie poszła za nią. Zatrzymała się na dole zamyślona, a gdy niewolnica zniknęła za drzwiami, Rahab zagłębiła się w mroczny loch.

Było tu cicho, stąpania kobiety rozbrzmiewały jedynym dźwiękiem. Lecz Rahab powiedziała w mrok:

— To ja. Bądźcie spokojni, cudzoziemcy.

Teraz dopiero coś poruszyło się w głębi. Rozsypane na ziemi ziarno zachręściło pod stopami zbliżających się ludzi. Dwie biało ubrane postacie wynurzyły się z ciemności i zbliżyły do Rahab.

— Czy uczyniłaś, co miałaś uczynić? — zapytał jeden ze zbliżających się mężczyzn.

— Spełniłam waszą wolę — zapewniła go. — Dziś jeszcze przed nocą zobaczycie się z wodzem mikraimskim. Lecz póki się to nie stanie, musicie tu pozostać. Wasze przybycie do miasta nie uszło oczu ludzkich. Szukają was...

— Lecz ty... — zaczął niepewnie mężczyzna..

— Bądźcie spokojni — przerwała mu. U mnie jesteście bezpieczni.

Jej wzrok wgrzyzał się w półmrok i starał się dotrzeć do twarzy drugiego mężczyzny; ten milczał i trzymał się w tyle za pierwszym. Zapytała:

— Czy twój towarzysz, cudzoziemiec, jest wciąż smutny? Czy nie pocieszyło go wino, które mu przyniosłam?

— Oczywiście... — zaczął pierwszy.

Ale w tej samej chwili rozległ się głos tamtego.

— Dziękuję ci, Rahab — słowa zabrzmiały żałośnie i głucho. — Jesteś dobra. Ale ja twego wina nie piłem... Mego żalu nie ukoji wino...

— Cóż więc chcesz, abym dla ciebie uczyniła? — zapytała. — Mój dom — ciągnęła — jest domem radości. Nie lubię, gdy ludzie u mnie nie śmieją się...

— Mnie nic pocieszyć nie może... — rzekł mężczyzna.

Jego towarzysz chrząknął niecierpliwie. Widać było, że go drażnią te płaczliwe skargi.

— Rahab — powiedział do towarzysza — chce cię pocieszyć... To dzielna kobieta. Ukryła nas... I patrz, jaka piękna... — Spojrzał na tamtego wyczekującego. Ale młody mężczyzna stał z pochyloną głową, jakby nie pojmował zachęty. Chcąc wytłumaczyć jego zachowanie powiedział do kobiety: — On utracił kogoś bardzo drogiego...

— Kobietę? — zapytała. — Kochankę?

— Żonę — sprostował. — My, potomkowie Izraela, mamy żony, które dzięki błogosławieństwu Najwyższego rodzą nam synów...

— Wiem — przerwała mu — słyszałam. Jesteście dziwnym ludem, któremu jego Bóg kazał być innym niż wszystkie ludy. Macie stać się liczni jak ziarenka piasku na morskim wybrzeżu. I on ją stracił? — znowu zaczęła pytać. — Umarła? Może rodząc? Wiele kobiet umiera, jeśli bogini Aserah nie udzieli im swojej pomocy. Czy wy także — nie mogła powstrzymać się przed dalszymi pytaniami — macie boginię, która opiekuje się kobietami, gdy na nie przyjdzie słabość?

— Hm... Nie. My mamy tylko jednego Boga...

— I o tym mi mówili. Ludzie w gospodzie ciągle o was rozprawiają. Śmieją się z was. Wiesz dlaczego... Ale naprawdę to boją się was. Jesteście podobno ludem krwawym, okrutnym, który wyrzyna inne ludy. Czy tak jest? Powiedz.

— Zabijamy, gdy jesteśmy napadnięci lub gdy inni nie chcą nam ustąpić tego, co jest nasze... Tę ziemię, Rahab, całą ziemię od morza tam daleko na zachodzie do białej góry, którą widać na północy, Najwyższy dał nam, synom Izraela... Ona jest nasza. A my zawsze zwyciężamy...

— Lecz co mają robić ludzie, którzy na tej ziemi mieszkają? — zapytała. — Chcecie nas wszystkich pozabijać?

— Nie, nie... — zaprzeczył. Ale urwał, jakby nie wiedział, co ma jej odpowiedzieć. — Jesteście — rzekł po chwili — ludem, który służy ohydnyim bałwanom. Składacie im ofiary z ludzi. Nasz Bóg brzydzi się wylewaniem ludzkiej krwi...

— Brzydzi się krwawych ofiar — powiedziała zamyśliwszy się — lecz nie brzydzi się, gdy wy nas zabijacie... — Ale to nie było pytanie. Znowu

zbliżyła się do drugiego, wciąż milczącego mężczyzny. — Więc tobie umarła kobieta, którą kochałeś? — spytała.

— Tak... — Miał ochotę na tym skończyć. Ale ból, który był w nim, ból domagający się wciąż mówienia o sobie, kazał mu powiedzieć jeszcze: — Zginęła... Zabili ją...

— Aha... — przytaknęła cicho, ze zrozumieniem. — To bardzo boli — przyznała. — Była pewno dobra, cicha, posłuszna?

— Była taka, jak mówisz...

— Czy dała ci syna?

— Nie... Umarła nie urodziwszy dziecka... Umarła przeze mnie... — zakłął nagle i krótko.

— Mówią — powiedziała — że wy, synowie Izraela, traktujecie żony jak niewolnice. A inni powiadają znowu, że kochacie je mocniej i trwalej niż nasi mężczyźni. Jak to jest? Co jest prawdą?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem... Nasze żony są posłuszne swym mężom. Lecz my, kiedy kochamy kobietę, to kochamy ją nade wszystko...

— By taką miłość dostać, może warto być posłuszną... — uśmiechnęła się. — Nasi mężczyźni pozwalają nam na wiele. Kobieta nie jest niewolnicą. Ale nie umieją kochać... — Chwilę stała zamyślona, jakby ważąc jakieś sprawy. Nagle zwróciła się do mężczyzny. — Nie bądź smutny, cudzoziemcze — powiedziała ciepło. Ale zaraz powróciła do swego zwykłego energicznego tonu: — Teraz muszę iść. Lecz gdy goście rozejdą się, a on przyjdzie — zaprowadzę was na górę.

Jeszcze raz rzuciła długie spojrzenie na smutnego mężczyznę, a potem szybko wyszła z lochu. Starannie zamknęła za sobą drzwi. Lekko i prędko wbiegła po schodach. Znowu pilnowała pracy niewolnic i uśmiechała się zalotnie do gości, gdy który z nich spojrzał w jej stronę. Ale myśl jej zajęta była czym innym: wciąż miała przed sobą boleśnie skrzywioną twarz młodego mężczyzny...

Ci dwaj ludzie weszli poprzedniego dnia do jej gospody. Od pierwszego spojrzenia wiedziała, kim są. Nie zmyliły jej ich płaszcze ani ułożone w pukle włosy. Lecz coś powstrzymało ją przed wysłaniem niezwłocznie jednej z niewolnic do dowódcy straży miejskiej. Wydało się jej — i to od razu — że z tymi ludźmi, a zwłaszcza z tym człowiekiem o zbolałym wzroku przy-

szło do niej coś niepojętego... Jakby coś, na co od dawna czekała... Rahab miała naturę dobrą: lubiła ludzi pocieszać, sprawiać im radość. Sprzedawała swoje pieszczoty, ale umiała je także dawać. Czuła, że dla tego nieznanego cudzoziemca zrobiłaby wszystko. On jednak — zauważyła to od razu — nie przyszedł do jej gospody szukać pociechy. Siedział smutny, nie pijąc, nie odpowiadając na jej zaczepne spojrzenia. I nagle Rahab ogarnęła niechęć do całego jej dotychczasowego życia. Tylu przecież jej tego życia zazdrościło. Ludzie mówili: „Ta Rahab urodziła się pod opieką boga Yariha. Przy jej urodzie i doświadczeniu miłosnym nie ma mężczyzny, który by jej czegoś pożałował. A jej gospoda pierwsza w mieście...” To było prawdą. A jednak Rahab wydawało się nieraz, że pragnie czegoś innego, czegoś, co by nie było w niczym podobne do jej obecnego życia. Widok tej smutnej chłopięcej twarzy postawił przed nią jej tęsknotę w całej mocy. Pojęła, że przybyli są jej niepojęcie bliscy. Zrozumiała, że nie zdoła ich wydać w ręce straży.

Nie zmieniła postanowienia nawet wówczas, gdy doszło do niej, że strażnicy w całym mieście poszukują dwóch szpiegów izraelskich. Ukryła mężczyzn w lochu, nosiła im jedzenie i picie. Tego ranka starszy z dwóch szpiegów — nie ten o twarzy smutnego chłopca — dał jej jakąś chustkę pokrytą tajemniczymi znakami i powiedział, by zaniósła ją do dowódcy egipskich wojowników. Zrobiła to — gdyż nie umiała im niczego odmówić — i ze zdumieniem przekonała się, że Egipcjanin zobaczywszy znak był bardzo przejęty; nakazał jej, by strzegła tajemnicy i bezpieczeństwa obu szpiegów, on zaś przyjdzie do niej o zmierzchu, aby się z nimi zobaczyć. Rahab nie mogła pojąć tych spraw. W gruncie rzeczy były jej jednak obojętne. To tylko wiedziała, że wciąż gotowa jest zrobić wszystko dla człowieka o obolałej, chłopięcej twarzy.

Goście zaczęli wreszcie wychodzić. Niektórzy przed opuszczeniem gospody podchodzili do Rahab. Proponowali jej, że zostaną. Uśmiechała się do nich tym samym co zawsze uśmiechem, ale odpowiadała: „Nie dziś.” „Masz kogoś?” — pytali zawiedzeni. — „Może...” — skłaniała głowę na ramię i patrzyła na nich przez zmrużone powieki. Próbowali przynajmniej przesunąć dłonią po jej ciele. Ze śmiechem uchylała się od tych karesów.

Aż wreszcie izba opróżniła się. Niewolnice szybko uprzątnęły ją, wyrzucając bezwzględnie człowieka, który upił się i spał w kącie na ziemi. Jedna z niewolnic zapaliła oliwny kaganek o kształcie głowy ludzkiej. Rahab przesunęła dłonią po czole, dając niewolnicom do zrozumienia, że jest zmęczona. Kazała im iść spać. Sama usiadła przy jednym ze stolików. Położyła przed

sobą kościane gałki na sznurku, z pomocą których obliczała zwykle dzienny zarobek, tacę z otrzymanymi monetami i kawałkami srebra oraz małą wagę. Ale liczenie jej nie szło. Zamiast obliczać, wsparła głowę na rękach i zamyśliła się głęboko. Znowu widziała w osiadającym w izbie mroku twarz smutnego mężczyzny i doświadczała dziwnego uczucia, że musi go pocieszyć — za wszelką cenę...

Było już zupełnie ciemno, gdy zapukano w umówiony sposób do drzwi. Wstała, wpuściła przybysza do środka. Był nakryty z głową ciemnym płaszczem. Ale w izbie zdjął go. To był Hemset — dowódca egipskiego garnizonu. Na jego nagiej piersi kołysała się metalowa tabliczka z wyrytym na niej skarabeuszem i znakami Neb—Maat—Ra. Ogoloną głowę miał przykrytą peruką z błękitnych układanych w pukle włosów. Wszedłszy rozejrzał się ciekawie po izbie. Zapytał:

Na Am... Na Atona! Gdzie ich ukryłaś?

— Zaraz ci ich przyprowadzę.

Opuściła izbę pozostawiając Hemseta samego. Gdy po chwili wróciła, szli za nią obaj szpiedzy. Pierwszy ten, z którym zwykle rozmawiała. Był w zachowaniu jakby trochę niepewny, a zarazem podniecony. Robił wrażenie kogoś, kto nie wie, jak ma się znaleźć, a jednocześnie czuje, że powinien okazać pewność siebie. Podparł się w bok; mrugał oczami. Drugi stał za nim milczący, ze schyloną głową.

— Pokój wam — powiedział Hemset.

— Pokój tobie — odpowiedzieli.

Egipcjanin patrzył na nich czas dłuższy wyczekująco, jakby badając wzrokiem, kim są ludzie, których miał przed sobą. Niski, woniejący olejkami, ze sztuczną bródką zawieszoną na wąskiej taśmie, odbijał elegancją od tych dwóch wielkich, ciężkich ludzi, stojących niezgrabnie z szeroko rozstawionymi nogami. Choć umiał lepiej niż oni skrywać swe uczucia, i on także — zauważyła to — wydawał się zaniepokojony.

— Przysłaliście mi znak — powiedział nie spuszczać z nich oczu. — Skąd go macie?

— Ten znak — zaczął Izraelczyk — dał nam Jozue syn Nuna, nasz wódz, wyprawiając nas tutaj. Kazał go tobie pokazać. Jozue powiedział, że gdy go zobaczysz, będziesz wiedział...

Egipcjanin skinął głową.

— Oczywiście — przytaknął. Wyjął zza pasa chustkę z wyhaftowanymi na niej tajemniczymi znakami, tę samą chustkę, którą Rahab przyniosła mu dziś rano. Położył ją na stole. Chwilę patrzył na nią, jakby jeszcze czegoś chciał się z niej dowiedzieć. Potem podniósł wzrok na szpiegów. — Oczywiście... — powtórzył. — To wielkie zaklęcie boga Atona. Człowiek, z którego rąk przeszła do was ta chustka, wiedział dużo. Musiał znać wiele tajemnic. Kiedyś były one wiedzą ukrytą tylko w świątyni... Dziś kto ten znak posiada, jest naszym sojusznikiem. Czego chcecie? Czego żąda wasz wódz?

W miarę słów Egipcjanina wyraz niepewności ustępował z twarzy Izrality. Prostował się. Głos jego zabrzmiał teraz twardziej i mocniej.

— Jozue kazał ci powiedzieć — rzekł — że lud nasz otrzymał w darze od Najwyższego ziemię Kanaan. Idzie, aby ją zająć. Będzie walczył z każdym, kto by mu nie chciał ustąpić. Nie chcemy jednak walczyć z wami, Mikraimczy. „Wojny między nami — kazał powiedzieć Jozue — skończyły się. Opuściliśmy waszą ziemię i nie żywimy do was gniewu. Żyliśmy u was długo. Lecz Kanaan jest naszą ziemią. Ustąpcie z niej, abyśmy mogli ją zająć.” Tak powiedział Jozue, nasz wódz... — zakończył.

Egipcjanin zamyślony stukał palcami po stole. Spoglądał to na leżącą chustkę, to znowu na stojących przed nim ludzi.

— A czy wy wiecie — zapytał nagle — o zmianach, jakie się dokonały u nas, w Kemet?

— O jakich zmianach mówisz?

— O tym, że świątobliwy i wielki faraon Amenofis IV zechciał zmienić swe imię? Nic o tym nie wiecie? Tak, nazywa się teraz Akh-en-Aton... — Umilkł na chwilę i przyglądał się izraelskim szpiegom, jakby chciał się przekonać, jakie wrażenie wywarła na nich ta nowina. — Nie w No, jak jego poprzednicy, ale w On — w świątyni Atona — włożył na głowę dwubarwną koronę Górnego i Dolnego Kemet... — Znowu czekał czas jakiś na efekt swoich słów. Ale Izraelczycy zdawali się go nie rozumieć: żadna zmiana nie ukazała się na ich twarzach. Grymas lekceważenia przemknął po ustach egipskiego eleganta. Położył rękę na chustce, jeszcze chwilę przyglądał się jej, potem starannie ją zwinął i podał Izraelczykowi. — My jednak — rzekł z naciskiem — wiemy, co to znaczy. Powiedzcie waszemu wodzowi: gdy staniecie pod murami Jerycha, nas już tutaj w mieście nie będzie.

— Odejdziecie? — Mimo pewności, jaką chciał okazać, niedowierzanie zabrzmiało w pytaniu Izraelczyka. — Nie będziecie z nami walczyć? Pozwolicie nam zająć ziemię Kanaan?

Hemset stukał dalej palcami po stole.

— Aton — powiedział — nie chce wojen... Aton... — zawahał się, jakby nie wiedział, czy warto tę sprawę odkrywać tym dwom prostakom — chce być jeden, jak wasz Bóg... Pojmujecie?

Skinęli głowami, ale on widział, że nie zrozumieli go.

— Zmieniły się czasy — mówił dalej jakby do siebie, nie do nich. — Kiedyś byliście w Kemet niewolnikami; dziś stalibyście się najdroższymi synami faraona... On także pogardza wiarą tutejszych ludów... Pojmujecie? — zapytał, ale z lekceważącego spojrzenia przymrużonych oczu widać było, że wie, iż ciągle nic a nic nie rozumieją. Krótko zakończył: — Powiedzcie swemu wodzowi: dokąd przyjdziecie tu, w Kanaan, my stamtąd odejdziemy... Wielki Tutmozis ujarzmił niegdyś tę ziemię. Dużo krwi popłynęło, zanim został złamany opór tutejszych ludów. Dziś, gdy są osłabieni, gdy zmiękli po stu złamanych buntach, oddajemy wam ziemię... — Położył dłoń na tabliczce, którą miał na piersiach. — Święte skarabeusze jak szerszenie, oczyściły przed wami drogę, by wam łatwiej było zwyciężać... Uff! — Ziewnął. Przeciągnął się. — Daj wina — powiedział do stojącej obok Rahab. Napił się kilka łyków z podanego pucharu, językiem oblizał wargi. Przesunął dłonią po puklach włosów, poprawił sterczącą bródkę. — Może tak i lepiej? — rzucił nieoczekiwanie. — Pilnować tutejszej hołoty — żadna uciecha. No, bądźcie zdrowi. Wracajcie do swego wodza i zwyciężajcie. Niszczcie ołtarze Kamosów, Baalów, Isztar w imię Atona czy też waszego Boga... Ale teraz z miasta — podniósł ostrzegawczo palec — uciekajcie szybko. Najlepiej zaraz, jeszcze tej nocy. I strzeżcie się, by was nie odkryto. Bo jeśli was złapią, obedrą ze skóry i wpakują w mrowisko...

Jeszcze raz potrząsnął palcem. Potem owinał się swym płaszczem i odprowadzony do drzwi przez Rahab opuścił gospodę...

Obaj szpiedzy siedzieli dalej nad stolikiem. Byli jak oszołomieni słowami Hemseta. Zwłaszcza starszy wydawał się śmiertelnie przerażony usłyszanym ostrzeżeniem. Gdy Rahab wróciła do nich, podniósł na nią niespokojny wzrok.

— Słyszałaś, co mówił Mikraimczyk? Musimy uciekać. Ale jak uciec?

— Nie bójcie się — uspokoiła go. — Spuszczę was na, sznurze z muru.

Od razu rozjaśnił się. Z zadowoleniem poklepał ją po ramieniu.

— Znakomicie. Jesteś mądrą i dzielną kobietą, Rahab. Zrób tak. Spuść nas. Uciekajmy jak najprędzej... Lecz — zastanowił się — co chcesz, abyśmy ci dali za pomoc, jakiej nam udzieliłaś?

Nie patrząc na niego, ale na jego towarzysza, który wciąż siedział milcząc, jakby nie słyszał tego, co przy nim mówiono, powiedziała:

— Idź ty sam. Jego zostaw. Będę go strzegła. Odpędzę od niego smutek... Przecież macie tu przyjść całym ludem, nieprawdaż? — dodała, gdy zobaczyła, że patrzy na nią pełen zdumienia. — Przyjdziecie i zdobędziecie miasto, skoro Mikraimczycy są z wami. A wtedy on wróci do was...

Izraelczyk zastanawiał się przez chwilę nad słowami kobiety.

— Może to nie jest zła myśl, Salmonie... — rzekł wreszcie. Spod oka spoglądał na towarzysza. — Co o tym myślisz?

Ten jednak niechętnie potrząsnął głową.

— Nie — powiedział. — Jozue wysłał mnie z tobą, trzeba mi razem z tobą wrócić..

— Odpędzę od ciebie smutek — zapewniła gorąco kobieta... — Uczynię, że zapomnisz o tamtej... Wiem, jak to zrobić... Człowiek nie może żyć ciągle tym, co było... Potem wrócisz do swoich... Nie zdradzę ciebie...

Znowu potrząsnął głową.

— Nigdy nie zapomnę o niej... — powiedział z uporem. — Nigdy...

— A jednak zostań — namawiała — Za kilka dni twoi przyjdą...

— Tak — potwierdził jej słowa pierwszy ze szpiegów — przyjdziemy tu. Zajmiemy całą ziemię Kanaan. Zwyciężymy wszystkich. Możesz zostać — zwrócił się do Salmona. — Rahab ukryje cię. A za to, gdy przyjdziemy, ocalimy ją i jej bliskich, wynagrodzimy...

— Powiedz mu: niech zostanie — podchwyciła. — U mnie nie stanie mu się nic. Będę go strzegła. Sprawię, że zapomni o swoim smutku...

— No, Salmonie? — rzekł zachęcająco.

— Nie, nie — sprzeciwił się. — Przyszliśmy razem, odejdziemy razem. Chodźmy na ten mur. Niech ona nas spuści. Nie zostanę. Mój żal... Nie chcę, aby mnie go ktoś pozbawiał... Chodźmy.

Kobieta wstała i szybko zdmuchnęła kaganek, jakby chciała, by wszystko znikło w mroku. Słyszeli, jak zdąża ku drzwiom, jak je otwiera.

— Chodźcie za mną — rzuciła za siebie.

Wyszli. Noc była bez księżycy, ale płonęło tyle gwiazd, że w ich blasku mogli się bez trudu poruszać. Wstąpili na krużganek, potem na mur. Daleko nad miastem blask łamał się na dachach i tarasach domów; po drugiej stronie skrzył się w skrętach potoku. Posuwali się niedługo. W pobliżu domu Rahab w parapecie muru była szczerba. Musiała służyć nie po raz pierwszy do wypuszczania z miasta ludzi, którzy nie chcieli zetknąć się ze strażnikami pilnującymi bramy, gdyż obok niej pod okapem leżał zwinięty długi, cienki, lecz mocny sznur. Kobieta schyliła się, wyjęła go. Przywiązała jeden koniec sznura do sterzącego z muru haka, drugi podała pierwszemu ze szpiegów.

— Opasz się — poleciła mu krótko.

Zrobił, co mu powiedziała. Ale znowu naszedł go niepokój.

— A zdołasz mnie utrzymać? — zapytał lękliwie.

— Nie bój się — zapewniła go. — Jestem silna. Kobieta jak ja musi być silna... — dorzuciła.

Wierzch muru był oświetlony gwiazdną poświatą; niżej rozpiął się czarny mrok. Ale choć się nie widziało ziemi, czuło się, jak bardzo jest odległa. Mężczyzna usiadł na brzegu, spuścił nogi w czarną otchłań. Jeszcze zawahał się.

— Ty chcesz nas naprawdę ocalić, Rahab? — zapytał, jakby nagle przestał ufać kobiecie.

— Ocalę was — powiedziała.

— A my potem ocalimy ciebie — upewnił ją. — Wierz mi. Gdy miasto zostanie zdobyte, tobie i twoim nie spadnie włos z głowy. Przysięgam ci to...

— Idź już — przerwała mu.

Mężczyzna obrócił się brzuchem do muru i z cichym szelestem zsunął się w ciemność. Podana całym ciałem do tyłu trzymała linę w obu dłoniach. Opuszczała ją po trochu. Podniosła nogę i zaparła się nią o parapet muru. W połyskującym niby maleńkimi iskierkami półmroku Salmon widział jej kształtne ciało sprężone w wysiłku, niby zamarte w szaleńczym biegu. Słyszał jej oddech, który z każdą chwilą stawał się szybszy. Nagle stanęło przed nim wspomnienie — wspomnienie czy może jakaś gorączkowa wizja. Wydało mu się, że znowu leży w gorączce, a nad nim pochyla się ktoś i mówi radośnie: „Ocalę cię... zaniosę do węża...” Miał uczucie, że te słowa usłyszał, znowu naprawdę. Po chwili wizja zniknęła. Zobaczył, jak Rahab pochyla

się do przodu i oparta o mur ciężko oddycha. Sznur zwisał miękko w jej dłoni. Jego towarzysz musiał być już na dole, bezpieczny. Rahab wysapała swoje zmęczenie. Poczęła ściągać sznur. Po chwili jego koniec padł u nóg Salmona.

— Przywiąż się — powiedziała.

Wziął sznur w dłonie. Kobieta patrzyła na niego, a on pod wpływem jej wzroku zdawał się tracić władzę w palcach. Miał uczucie, jakby przez oczy kananejskiej kobiety patrzyła na niego tamta, utracona... — Noo! — zaskowytał w nim ból.

— Przywiąż się — powtórzyła.

Niezgrabnie wziął się do roboty, ale w dalszym ciągu nie mógł zaplątać węzła. Nagle jego palce zeszytniały do reszty. Szepnął:

— Rahab...

— Czego chcesz, cudzoziemcze? — zapytała.

— Chciałaś odpędzić mój smutek — rzekł cicho. — Jesteś dobra, Rahab...

— Po cóż to mówisz? — przerwała mu szorstko. — Nie wiem, skąd mi się to wzięło — powiedziała po małej chwili milczenia — ale dla ciebie zrobiłabym wszystko... Wszystko... — powtórzyła. — Lecz... — poruszyła ramionami, aż zadzwoniły wisioriki kolczyków — kimże jestem? Kobieta ludu skazanego na zagładę...

Z czarnej głębi doleciało dalekie, wołanie. Tamten w dole musiał się bardzo niecierpliwić, skoro ośmielił się krzyczeć. Salmon z nową energią wziął się do wiązania sznura. Ale nie szło mu. Zbliżyła się ku niemu. Wzięła sznur z jego ręki.

— Daj — powiedziała. Szybko i zręcznie zrobiła węzeł. — Teraz dobrze...

Mężczyzna podszedł do wyłomu. Usiadł, spuścił nogi w dół. Lecz w momencie, gdy miał się obrócić na brzuch, zatrzymał się, podniósł wzrok na kobietę.

— Bądź zdrowa — powiedział. — Dziękuję ci za wszystko. Jesteś tak dobra jak... — nie dokończył. — Czekaj na mnie! — rzucił szybko. — Wróć... To nie jest tak, jak powiedziałaś... Nie... Może trzeba, aby lud twój i mój... Bądź zdrowa... Czekaj...

Przyciskając się całym ciałem do szorstkiego muru, począł powoli zjeżdżać w dół.

26 listopada 1954 r.

APENDYKS

Almah	— dziewczyna
Baal	— pan, mąż, władca
Besurah	— dawne miasto
Bohemot	— nosorożec
Bnaj Lewi	— synowie Lewitów
Debir	— część Przybytku zwana Święte Świętych — gdzie mieli wstęp tylko arcykapłani
Degel	— oddział złożony z wojowników trzech rodów
Drzewo sittim	— akacja
Dudaimy	— korzenie mandragory
Efod	— część stroju kapłana
Harpa	— miecz ofiarny
Hekal	— część Przybytku zwana Święte — gdzie mieli wstęp kapłani
Hoszen	— część stroju arcykapłana
Kuttona	— suknia
Labi	— lew
Lewita	— kapłan
Maseboty	— święte kamienie baalowe
Melek	— król
Mohar	— wiano
Nabi	— prorok
Nomos	— prowincja Egiptu
Pola Jalu	— miejsce, dokąd wierzeń egipskich szły po śmierci dusze ludzkie
Pszent	— korona egipskich faraonów
Simlah	— płaszcz
Serafim	— anioł
Stela	— kamień ofiarny dla uczczenia zwycięstwa